

**LUCY MAUD MONTGOMERY**

# **ANIA Z ZIELONEGO WZGÓRZA**

Tytuł oryginału „Anne of Green Gables”

Tłumaczyła z języka angielskiego R. Bernsteinowa

## I.

### ZDUMIENIE PANI MAŁGORZATY LINDE

Dworek pani Małgorzaty Linde stał w tym właśnie miejscu, gdzie wielki gościniec, prowadzący do Avonlea, opadał w dolinę otoczoną olchami i porośłą paprociami, poprzez którą przerywał się strumyk mający swe źródło het, daleko w lasach otaczających dwór starego Cuthberta. Na początku swej wędrówki przez lasy strumyk ów był bardzo kapryśny i swawolny, spływał kaskadami lub rozlewał się w małe stawki, lecz zbliżając się do doliny Linde'ów stawał się coraz spokojniejszym i dobrze ułożonym potokiem, bo nawet strumień, przemykając się w pobliżu ogrodu pani Małgorzaty Linde, winien był pamiętać, „co wypada, a co nie wypada”. Na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że pani Małgorzata, siedząc właśnie przy oknie, baczy czujnym wzrokiem na wszystko, co się dzieje wokoło, począwszy od strumyków i dzieci, a jeśli zauważy coś niezwykłego, nie zagna spokoju, dopóki nie dojdzie przyczyny i celu tej rzeczy.

Wiele jest ludzi, zarówno w Avonlea, jak i poza jej granicami, którzy lubią zajmować się sprawami swych sąsiadów, a przez to zaniedbują swoje własne. Ale pani Małgorzata Linde należała do tych niezwykle dzielnych osób, które dbając gorliwie o własne dobro, żywią jednocześnie gorące zainteresowanie dla spraw swych bliźnich.

Była ona wzorową panią domu, pod której okiem gospodarstwo szło jak w zegarku. Ona wiodła rej w Szwalni dla Dziewcząt, ona zajmowała się szkołą niedzielną, była jednym z głównych filarów parafialnego Związku Pomocy i Stowarzyszenia Pomocy dla Misjonarzy nawracających dalekich pogan.

Pomimo to pani Małgorzata miała jeszcze dość wolnego czasu, aby siedząc godzinami przy oknie kuchennym, robić szydełkiem kołdry bawełniane - a zrobiła ich już szesnaście, jak pełnym czci szeptem opowiadały sobie kumoszki z Avonlea - i czujnym okiem przyglądać się gościńcowi, który tutaj właśnie skręcał w dolinę, a potem wił się w górę po stromym wzgórzu.

Wobec tego, że Avonlea zbudowana jest na trójkątnym, małym półwyspie, wcinającym się w Zatokę Świętego Wawrzyńca, i z dwóch stron otoczona wodą, każdy, kto podążał do miasta lub zeń powracał, musiał przechodzić drogą prowadzącą ku wzgórzu. Tym sposobem, sam nie wiedząc o tym, mijał ulicę pod okiem wszystko widzącej pani Małgorzaty.

Pewnego popołudnia, w pierwszych dniach czerwca, siedziała ona na swym zwykłym miejscu. Ciepłe i jasne promienie słońca zaglądały przez okno. Koło dworku roztaczał się

cudny sad, strojny teraz w najpiękniejszą szatę weselną z bladnoróżowych i białych kwiatów, nad którymi unosiły się brzęcząc miriady pszczoł.

Tomasz Linde - skromny człowieczek, którego mieszkańcy Avonlea zwykli byli nazywać „mężem Małgorzaty Linde” - siał późną brukiew na pagórku za stodołą. Sąsiad jego, Mateusz Cuthbert, niewątpliwie czynił to samo na wielkim polu nad potokiem, koło Zielonego Wzgórza. Tak myślała pani Małgorzata, słyszała bowiem poprzedniego wieczora w sklepie Williama Bakera, jak Mateusz mówił do Piotra Morrisona, że nazajutrz siał będzie brukiew. Naturalnie, że go Piotr musiał o to zapytać, bo Mateusz Cuthbert nie należał do ludzi, którzy opowiadają cokolwiek nie pytani.

A tymczasem, czyż to możliwe? Oto o godzinie pół do czwartej, w jasne popołudnie, i to w dzień powszedni, Mateusz Cuthbert jedzie wolnym truchtem drogą pod górę. Co dziwniejsze, ma na sobie biały kołnierzyk i odświętne ubranie, z czego należy wnosić, iż wyjeżdża z Avonlea. Jedzie zaś kabrioletem zaprzężonym w kasztankę, co wskazuje, że droga jest dość daleka. Dokądże się wybrał i jaki mógł mieć interes?

Nie ulega wątpliwości, że gdyby chodziło o któregokolwiek innego z mieszkańców Avonlea, pani Małgorzata, zastanowiwszy się chwilę, odpowiedziałaby na oba pytania. Ale Mateusz tak rzadko wyjeżdżał z domu, że tylko jakaś nagła i nieoczekiwana sprawa mogła być tego powodem. Z natury bowiem był tak niesłychanie nieśmiały, że wyjazd z domu lub udanie się pomiędzy obcych, z którymi musiałby rozmawiać, uważał za wielką przykrość. Mateusz w białym kołnierzyku, w kabrioletcie - było to zjawisko nieczęsto widywane.

Jakkolwiek pani Małgorzata długo biedziła się nad tym, nie potrafiła jednak dojść do żadnego wniosku. Spokój jej został zmacony!

„Nie ma innej rady - postanowiła wreszcie owa szanowna dama. - Po herbacie przejdę się na Zielone Wzgórze i wybadam Marylę, dokąd to Mateusz pojechał i w jakiej sprawie. Przecież nigdy o tej porze roku nie jeździ do miasta i nigdy nie udaje się z wizytą, i to jeszcze w dzień powszedni. Gdyby mu zabrakło brukwi do siania i musiałby po nią jechać, nie ubrałby się przecież odświętnie i nie pojechałby kabrioletem. Nie wybrał się również po doktora, bo jechał zbyt wolno. Musiało tedy od wczorajszego wieczoru zajść u nich coś nieoczekiwanego! Nie mogę tego pojąć! Nie zaznam chwili spokoju, póła się nie dowiem, dlaczego Mateusz Cuthbert wyjechał dziś z Avonlea”.

Zaraz więc po herbacie pani Małgorzata ruszyła w drogę do Zielonego Wzgórza. Niedługą miała wędrówkę. Wielki, rozległe zbudowany i otoczony sadami dom, w którym mieszkała rodzina Cuthbertów, oddalony był zaledwie o ćwierć mili gościńcem od dworku Linde'ów. Należało jednak przejść jeszcze kawałek boczną drogą. Ojciec Mateusza był

równie milczący i nieśmiały, jak jego syn i budując swe domostwo postarał się umieścić je możliwie daleko od sąsiednich domów, nie ukrywając go jednak całkowicie w lesie. Dworek swój postawił tedy na najodleglejszym krańcu polany, gdzie stał on do dzisiaj, widoczny z wielkiego gościńca, wzdłuż którego ustawily się jakby dla towarzystwa wszystkie pozostałe domki Avonlea. Pani Małgorzata Linde dziwiła się zawsze, jak można było budować dom w tym miejscu i jeszcze nazywać go mieszkaniem.

„Ma się dach nad głową, to prawda - mówiła do siebie, krocząc boczną drogą o głębokich koleinach, okoloną krzakami dzikiej róży - ale nic więcej. Cóż dziwnego, że Maryla i Mateusz są trochę dziwacy, żyjąc w takim odosobnieniu? Jeśli drzewa mogą służyć za towarzystwo, to mają ich, dzięki Bogu, aż nadto. Jednakże ja wdałabym patrzeć na ludzi. Co prawda, oboje wyglądają na zadowolonych, lecz przypuszczam, że przywykli już do takiego rodzaju życia. »Można się do wszystkiego przyzwyczaić« - rzekł pewien Irlandczyk, którego skazali na powieszenie”.

Tak rozmyślając, pani Małgorzata weszła na wielkie podwórze Zielonego Wzgórza. Całe wśród zieleni, czyste i ładne, z jednej strony otoczone było wysokimi, starymi wierzbami, z drugiej zaś - równo przyciętymi topolami. Ani jeden kamyk, ani jeden niepotrzebny patyk nie leżał na ziemi, nie ulega bowiem wątpliwości, że pani Małgorzata zauważyłaby to natychmiast. W duszy żywiła głębokie przekonanie, że Maryla Cuthbert zamiata to podwórze równie często jak swoje pokoje. Można by śmiało jeść wprost z ziemi bez obawy połknięcia żdźbła brudu.

Pani Linde krótko a mocno zapukała do drzwi kuchni i usłyszawszy „proszę”, weszła. Kuchnia na Zielonym Wzgórzu była niezmiernie wesoła, a raczej byłaby wesoła, gdyby nie owa przeraźliwa czystość, dzięki której miało się wrażenie, iż nikt tutaj nigdy nie bywa. Okna kuchni zwrócone były na wschód i na zachód. Ze strony zachodniej, od podwórza, wdzierał się tu potok łagodnego, czerwcowego światła słonecznego; od wschodu zaś, gdzie rozweselał oczy blask białego kwiecica wiśni z sadu i zieleń lekko kołyszających się smukłych brzoź, pięło się dzikie wino. Tutaj Maryla Cuthbert zwykła była siadywać, jeśli chciała chwilę wypocząć, zawsze „nieufnie spoglądając na słońce, które wydawało jej się zbyt wesołe i promienne dla poważnego świata. Tutaj też siedziała w tej chwili właśnie, zajęta robótką. Stół był nakryty do wieszery.

Zaledwie Małgorzata zdążyła uchylić drzwi, już doskonale zauważyła wszystko, co stało na stole. Znajdowały się na nim trzy nakrycia; widoczne więc było, że Maryla oczekiwała jakiegoś gościa, który zapewne miał przybyć z Mateuszem. Lecz talerze były codzienne, na salaterce zaś tylko marmolada z jabłek i jeden rodzaj pieczywa. A więc ten

oczekiwany gość nie był żadną czcigodną, wysoko cenioną osobą. W takim razie jednak, co znaczył biały kołnierzyk Mateusza i kasztanka? Pani Małgorzata zaczęła się gubić w tej zagadkowej sprawie, jaką odkryła, na tak cichym zwykle i bynajmniej nie osłoniętym tajemniczością Zielonym Wzgórzu.

- Dobry wieczór, Marylo! - rzekła wchodząc.

- Dobry wieczór, Małgorzato! - odrzekła wesoło Maryla. - Śliczny wieczór, prawda? Siadaj, proszę! Jakże się twoi miewają?

Coś, co w braku innego określenia można by nazwać przyjaźnią, istniało zawsze między Marylą Cuthbert a panią Małgorzatą, pomimo - albo może właśnie z powodu kontrastu ich natur.

Maryla była wysoką i szczupłą kobietą o nieco kanciastej budowie. Jej ciemne włosy o niewielu siwych pasmach zwinięte były stale w gruby węzeł, w morderczy sposób przesyty, dwiema metalowymi szpilkami. Czyniła wrażenie osoby o niezbyt szerokim poglądzie na świat i bardzo wymagającej. Jednakże nieznaczny jakiś rys wokół ust, leciutko tylko naznaczony, zdradzał utajone poczucie humoru.

- Czujemy się wszyscy doskonale - odpowiedziała pani Małgorzata. - Lecz kiedym zobaczyła Mateusza jadącego gościńcem, przyszło mi na myśl, czy nie zaszło u was coś niepomyślnego. Sądziłam, że jedzie może po doktora.

Ledwie widoczny uśmiech zaigrał na ustach Maryli. Oczekiwała Małgorzaty, wiedziała dobrze, że widok Mateusza, wyjeżdżającego niespodzianie kabrioletem, niewątpliwie rozbudzi ciekawość sąsiadki.

- O nie, czuję się zupełnie dobrze, pomimo że miałam wczoraj ciężką migrenę - odrzekła. - Mateusz pojechał na dworzec. Oczekujemy małego chłopca z Domu Sierot w Nowej Szkocji. Ma on właśnie przyjechać wieczornym pociągiem.

Gdyby Maryla oznajmiła, że Mateusz pojechał na dworzec, aby odebrać kangura przysłanego z Australii, zdumienie pani Małgorzaty pewnie nie byłoby większe. Zdawało się, że oniemiała na kilka sekund. Niepodobieństwem przecież było przypuszczać, że Maryla żartuje z niej... lecz w tej chwili pani Małgorzata gotowa była tak sądzić.

- Czy mówisz serio, Marylo? - spytała odzyskawszy głos.

- Ależ naturalnie - odpowiedziała zapytana takim tonem, jak gdyby sprowadzanie chłopców z Domu Sierot w Nowej Szkocji stanowiło część zwykłych zajęć wiosennych każdej porządnej fermy w Avonlea.

Pani Małgorzata czuła, że traci swą duchową równowagę. Myślała samymi wykrzyknikami. Chłopiec! Maryla i Mateusz Cuthbertowie adoptują chłopca! Z Domu Sierot! Czyż to nie koniec świata! Chyba potem nic już nie zdoła jej zadziwić. Nic! Nic!

- Skądże wam to przyszło do głowy? - spytała tonem nagany. Ponieważ powzięto postanowienie bez jej rady, należało więc je zganić.

- O, długo rozmyślaliśmy nad tym, właściwie przez całą zimę - odpowiedziała Maryla.  
- Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem była u nas pani Spencer i opowiadała, że na wiosnę ma zamiar przyjąć do siebie dziewczynkę z Domu Sierot w Hopeton, gdzie mieszka jej cioteczny brat; bywając często u niego, miała sposobność poznać ten Dom Sierot jako dobrze prowadzony. Mówiła o kilku chłopcach-sierotach, których tam widywała, a że Mateusz i ja już dawno myśleliśmy o tym, by wziąć do siebie jakiegoś chłopca, postanowiliśmy zrobić to teraz. Mateusz jest już niemłody - wiesz, że skończył sześćdziesiąt lat - i nie taki rześki jak dawniej. Od czasu do czasu serce go niepokoi. A wszakże rozumiesz, jak trudno jest dzisiaj znaleźć obcą pomoc! Nie ma tu innych pracowników prócz tych głupich wyrostków francuskich. Ciężko ich utrzymać, bo zaledwie się ich nieco poduczycy i przyzwyczai, wymykają się do fabryk lub wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych. Początkowo myślał Mateusz o jakimś chłopcu z Anglii. Ale ja nie chciałam się na to zgodzić. „Być może, iż to bardzo odpowiedni nabytek, nie przeczę- rzekłam - ale nie chcę znać uliczników Londynu. Daj mi przynajmniej tutejsze dziecko. Kogokolwiek weźmiemy, zawsze to sprawa bardzo niepewna. Lecz lżej mi będzie na duszy, spokojniej będę spała mając w domu dziecko rodem z Kanady” - mówiłam. I wreszcie postanowiliśmy prosić panią Spencer, aby gdy pojedzie po dziewczynkę dla siebie, wybrała dla nas chłopca. Właśnie w zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że wyjeżdża w tej sprawie, i natychmiast przez służącego Roberta Spencera posłałam jej pozdrowienie z prośbą, aby się nam wystarała o ładnego, zdrowego dziesięcio- lub jedenastoletniego chłopczyka. Uważamy, że to wiek najodpowiedniejszy - chłopiec jest dość duży do załatwiania drobnych sprawunków, a dość młody, by móc nim pokierować wedle naszej myśli. Znajdzie u nas ciepły rodzinny kąt i odpowiednią opiekę. Dziś właśnie otrzymaliśmy od pani Spencer depeszę - przyniósł ją listonosz - że przyjeżdża pociągiem o pół do szóstej po południu. Dlatego to Mateusz pojechał na stację. Pani Spencer zostawi tam chłopca, bo sama jedzie dalej, do Białych Piasków.

Pani Małgorzata chełpiła się tym, że zawsze bez ogródek wypowiadała swe zdanie. Postanowiła uczynić to i obecnie, mimo że nie odzyskała jeszcze swej zwykłej równowagi.

- Wiesz, Marylo, muszę ci wyznać otwarcie, że wasz zamiar to wielkie szaleństwo, wielkie ryzyko. Nie wiecie, co robicie! Wprowadzacie do waszego domu jakieś obce dziecko,

stworzenie, o którym nic nie wiecie, którego charakteru najzupełniej nie znacie, nie macie pojęcia, jacy byli jego rodzice ani też czym ono będzie w przyszłości. Właśnie w zeszłym tygodniu czytałam w gazecie, że jakieś małżeństwo z naszych stron przygarnęło do swego domu sierotę, chłopca z przytułku, a ten potwór podpalił ich dom - umyślnie! - i omal nie zginęli w płomieniach. Słyszałam też o innym wypadku, że taki przygarnięty sierota wypijał wszystkie jajka i gospodarze nie mogli go od tego odzwyczaić. Gdybyś się była mnie spytała o radę - czego nie uczyniłaś, Marylo - ja zaklinałabym cię na wszystko, byś tego nie robiła. Bezwarunkowo nie!

Ta spóźniona przestroga zdawała się ani nie przerażać, ani nie martwić Maryli. Spokojnie szydełkowała dalej.

- Nie przeczę, że jest trochę słuszności -w tym, co mówisz, Małgorzato. Ja sama przez długi czas nie wiedziałam, czy się na to zgodzić. Ale Mateusz bardzo tego pragnął. Widziałam, jak mu na tym zależy, więc ustąpiłam. Mateusz tak rzadko żąda czegoś, że jeśli to już czyni, uważam za swój obowiązek spełnić jego prośbę. Co się tyczy ryzyka, to trudno przewidzieć z góry skutki wielu spraw na świecie. Ci, którzy mają własne dzieci, także nie są pewni, co z nich wyrosnie. Nie zawsze przecież wyrastają na dzielnych ludzi. A Nowa Szkocja toć to prawie część naszej wyspy! Zupełnie co innego, gdybyśmy sprowadzili chłopca z Anglii lub ze Stanów Zjednoczonych. Dziecko naszego kraju nie może się przecież tak bardzo różnić od nas.

- No, cóż! Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze - rzekła pani Małgorzata tonem zdradzającym wprost przeciwne przekonanie. - Tylko nie mów później, że cię nie ostrzegę, jeśli kiedykolwiek chłopiec ten podpali wasz dom lub wrzuci strychninę do studni. Przypominam sobie podobny wypadek w Nowym Brunswiku, gdzie cała rodzina umarła w najstraszniejszych męczarniach... Tylko że wtedy była to dziewczynka.

- Wszak my nie bierzemy dziewczynki - odpowiedziała Maryla, jak gdyby zatrucie studzien było wyłącznie kobiecą czynnością i nie należało się tego obawiać ze strony chłopca. - Nigdy nie przyszłoby mi na myśl brać dziewczynki do domu. Dziwi mnie, że pani Spencer to robi. Ona jednak potrafiłaby wziąć cały Dom Sierot pod swą opiekę, gdyby tylko wpadła na taki pomysł.

Pani Małgorzata chętnie poczekałaby na powrót Mateusza. Ale zważywszy, że ma przed sobą jeszcze dwie godziny czasu, postanowiła pójść dalej i wstąpić do Bellów, aby im zanieść tę nowinę. Wyobrażała sobie, jakie tam uczyni wrażenie, a pani Małgorzata bardzo lubiła silne wrażenia. Pożegnała się więc ku wielkiemu zadowoleniu Maryli, której pod

wpływem czarnych przeczuć i wróżb pani Małgorzaty z nową mocą nasunęły się dawne wątpliwości i obawy.

- Niestychane rzeczy! - westchnęła pani Małgorzata znalazłszy się znowu na gościńcu.  
- Czy to aby nie sen? No, to pewne, że chłopca żał mi serdecznie. Ani Mateuszy ani Maryla nie mają pojęcia o wychowywaniu dziecka i z pewnością będą żądali od niego, aby był bardziej mądry i doświadczony od swego dziadka - jeśli go kiedykolwiek posiadał, co jest wątpliwe. Nie mogę sobie zupełnie wyobrazić dziecka w domu Cuthbertów. Przecież nigdy tam dziecka nie było, bo Mateusz i Maryla już byli dorośli, kiedy ich ojciec stawiał swój nowy dom - a zresztą, Bóg wie, czy oni w ogóle byli kiedy dziećmi. Za nic w świecie nie chciałabym być w skórze tego biednego chłopca. Naprawdę, żał mi go serdecznie!

W ten sposób wynurzała się pani Małgorzata przed kwitnącymi krzakami głogu. Lecz litość jej bez wątpienia byłaby jeszcze głębsza i serdeczniejsza, gdyby mogła widzieć dziecko, które w tej chwili czekało na dworcu kolejowym w Szerokiej Rzece.



## II

### .ZDUMIENIE MATEUSZA

Mateusz Cuthbert i jego kasztanka wolnym krokiem przejechali osiem mil dzielących ich od Szerokiej Rzeki. Śliczna była ta droga, wijąca się pomiędzy dwoma szeregami wygodnych domków; miejscami przecinała laski sosnowe o balsamicznym zapachu żywicy lub jakąś dolinkę, gdzie wyciągały swe gałęzie dzikie śliwy osypane puszystym kwieciem. Powietrze nasycone było zapachami niezliczonych sadów jabłkowych, łąki gubiły się w dali na horyzoncie w purpurze i opalu, a ptaszki śpiewały i wyciągały trele z taką radością, jaka się należy pierwszym dniom wiosny.

Mateusz rozkoszował się tą przejażdżką we właściwy sobie sposób. Urok jej psuły mu jedynie chwile, w których musiał się kłaniać spotykanym kobietom. Na Wyspie Księcia Edwarda bowiem panuje zwyczaj kłaniania się każdej spotkanej osobie, czy to znajomej, czy obcej.

Mateusz nie lubił kobiet prócz swej siostry Maryli i pani Małgorzaty. Podejrzewał, że te tajemnicze istoty w duchu śmieją się z niego. Właściwie miał zupełne prawo tak sądzić, gdyż powierzchowność jego była naprawdę dość dziwaczna: niezgrabna figura, długie, popielatosiwe włosy sięgające zgarbionych pleców i gęsta, ciemna broda, którą zapuścił mając lat dwadzieścia. Prawdę mówiąc, kiedy miał lat dwadzieścia, wyglądał tak samo jak obecnie, gdy doszedł do lat sześćdziesięciu. Tyle tylko, że wtedy nie był siwy.

Przybywszy na stację nie zastał ani śladu pociągu. Przypuszczając, że przyjechał zbyt wcześnie, uwiązał klacz w podwórzcu małego zajazdu i udał się na dworzec. Długi peron był prawie pusty. Jediną żywą istotą była dziewczynka siedząca trochę dalej na stosie gontów.

Skoro tylko Mateusz zauważył, że to dziewczynka, przemknął się obok niej jak najszybciej, nie patrząc nawet w tę stronę. Gdyby się jej przyjrzał, nie uszedłby jego uwagi pełen napięcia i wyczekiwania wyraz, jaki się malował w całej jej postaci. Widocznie czekała tu na kogoś czy też na coś, a że oczekiwanie było w tej chwili jedyną możliwą czynnością, oddawała się jej z całym przejęciem, na jakie się potrafiła zdobyć.

Spotkawszy zawiadowcę stacji, zamykającego Właśnie okienko kasy z zamiarem udania się do domu na wieczerzę, Mateusz spytał go, czy pociąg, przybywający o pół do szóstej, prędko nadejdzie.

- Pociąg ten już przybył i odszedł pół godziny temu - odpowiedział zapytany. - Wsiadł zaś jeden tylko pasażer, który miał jechać do was, jakaś mała dziewczynka. Oto

siedzi tam, na stosie gontów. Prosiłem, by weszła do poczekalni dla pań, ale odrzekła z powagą, że woli zostać na peronie. Tutaj ma - jak to się ona wyraziła - więcej pola dla swej wyobraźni. Oryginalny dzieciak, powiadam panu!

- Ależ ja nie oczekuję żadnej dziewczynki - odpowiedział Mateusz bezradnie. - Przybyłem po chłopca, którego miałem tu zastać. Pani Spencer przyrzekła sprowadzić go z Nowej Szkocji.

Zawiadowca gwizdnął.

- W takim razie zaszła jakaś pomyłka - rzekł. - Pani Spencer wyszła z wagonu z tą oto dziewczynką, którą mi powierzyła. Powiedziała, że pan i pańska siostra bierzecie ją na wychowanie z Domu Sierot i że pan po nią przyjedzie. Oto wszystko, co mogę powiedzieć w tej sprawie. Więcej dzieci z Domu Sierot nie mam na składzie - dodał żartobliwie.

- Nie pojmuję zupełnie - rzekł z zakłopotaniem Mateusz żałując, że nie ma tu Maryli do rozwiązania tej sprawy.

- Najlepiej będzie, jeśli pan sam rozmówi się z dziewczynką - radził beztrósco zawiadowca. - Z pewnością wyjaśni panu wszystko, jest bowiem niezwykle rezolutna, mogę pana zapewnić. Być może, że w przytułku nie mieli takiego chłopca, jakiego pan sobie życzył.

Skinął głową i odszedł, gdyż był głodny. Biedny Mateusz pozostał sam. Miał uczynić coś, co uważał za gorsze niż dostanie się do lwiej paszczy. Musiał zwrócić się do dziewczynki - do obcej dziewczynki, do sieroty - z pytaniem, dlaczego nie jest chłopcem. Westchnął ciężko i wolnym krokiem ruszył w stronę dziewczynki.

Już w chwili gdy po raz pierwszy przechodził obok niej, utkwiała weń wzrok, teraz Mateusz, zbliżając się, znowu poczuł na sobie jej spojrzenie.

Nie patrzył na nią, ale gdyby nawet to uczynił, nie spostrzegłby zapewne tego, co potrafiłby tu zauważyć zwykły obserwator. Dziewczynka, około lat jedenastu, ubrana była w bardzo krótką, wąską i brzydką sukienkę z szarozółtej szorstkiej wełny. Na głowie miała wyblakły, brunatny kapelusz marynarski, spod którego opadały na ramiona dwa bardzo grube, czerwone jak ogień warkocze. Twarzyczka jej była drobna, blada, chuda i bardzo piegowata, usta szerokie, duże, zmieniające barwę oczy, to zielone, to znowu szare.

Tyle zauważyłby przeciętny obserwator. Bardziej bystry spostrzegłby, że podbródek dziewczynki był spiczasty i wystający, że wielkie oczy były pełne życia i inteligencji, usta wymowne i pełne słodyczy, czoło zaś szerokie i rozumne. Słowem, bardziej spostrzegawczy obserwator doszedłby do wniosku, że niepospolitą duszyczkę musiała posiadać ta biedna, bezdomna istotka, której nieśmiały Mateusz Cuthbert tak bardzo się przeraził.

Przykrość rozpoczęcia rozmowy została mu jednakże oszczędzona, bo kiedy tylko dziewczynka zrozumiała, że przyjechał po nią, zerwała się z miejsca, jedną chudą, brunatną rączką chwyciła wytartą, staromodną torbę podróżną, drugą zaś mu podała.

- Domyślam się, że to pan Mateusz Cuthbert z Zielonego Wzgórza - rzekła niezwykle dźwięcznym i miłym głosem. - Cieszę się bardzo, że pana widzę. Zaczęłam się już lękać, że pan po mnie nie przyjedzie, i przemyślałam, co właściwie mogło panu przeszkodzić. Postanowiłam więc, jeśliby pan nie przyjechał po mnie dziś wieczór, pójść wzdłuż szyn do tej oto wielkiej dzikiej wiśni, która rośnie tam na zakręcie, i spędzić na niej noc. Wcale bym się nie bała, bo przecież cudnie byłoby przespać noc pośród białego kwiecica dzikiej wiśni, przy świetle księżyca, prawda? Mogłoby mi się zdawać, że mieszkam w marmurowym pałacu, czy nie? A byłabym zupełnie spokojna, że jeśli pan nie przybył po mnie dziś wieczór, z pewnością nadjedzie pan jutro wczesnym rankiem.

Mateusz, nieco zmieszany, uściśnął szczupłą dłoń dziewczynki i w tej chwili postanowił nie mówić temu dziecku o błyszczących oczach, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Zabierze ją do domu i niechaj Maryla jej to powie. Nie mógłby przecież w żadnym razie bez względu na to, jaka zaszła pomyłka, pozostawić dziewczynki na dworcu; więc wszelkie pytania i wyjaśnienia odłoży do chwili, gdy wreszcie szczęśliwie znajdzie się z powrotem w domu, na Zielonym Wzgórzu.

- Żałuję, że się spóźnił! - rzekł nieśmiało. - Chodź, mała, ze mną! Koń mój czeka tam, na podwórzu! Daj mi swoją torbę!

- Ach, cóż znowu! - zaprotestowała wesoło dziewczynka. - Nie jest wcale ciężka. Wprawdzie spoczywa w niej wszystko, co mam i posiadam, ale pomimo to wcale nie jest ciężka. A jeśli nie trzymać jej w pewien odpowiedni sposób, otwiera się z jednej strony. Ja znam ten sposób i dlatego najchętniej sama ją noszę. Jest to niezmiernie stara torba. Ach, jakże się cieszę, że pan przyjechał po mnie, pomimo że cudownie byłoby spać na dzikiej wiśni. Pewnie daleką mamy drogę, prawda? Pani Spencer mówiła mi, że prawie osiem mil! Jestem temu bardzo rada, bo strasznie lubię jechać. Ach, jakże to cudownie, że będę z wami mieszkała i będę do was należała... Nigdy dotąd naprawdę nie należałam do nikogo. Ale Dom Sierot to już było najgorsze. Byłam tam tylko cztery miesiące, ale i to wystarcza! Przypuszczam, że pan nigdy nie mieszkał w Domu Sierot, więc nie może sobie wyobrazić, jak tam jest. A to chyba najgorsze, co można sobie wyobrazić! Pani Spencer uważa, że to bardzo brzydko, iż ja tak mówię, ale ja przecież nic złego nie mam na myśli. Bardzo łatwo jest zrobić niechcący coś brzydkiego, prawda? Wie pan, opiekunowie w Domu Sierot są dobrzy, ale tam nie ma wcale pola do imaginacji, chyba że dzieci. Bo o dzieciach można sobie

rozmaite rzeczy wyobrażać. Na przykład, można sobie pomyśleć, że ta dziewczynka, śpiąca obok, jest może córką jakiegoś księcia, wykradzioną rodzicom we wczesnym dzieciństwie przez niegodziwą niańkę, która umarła nie zdążywszy wyznać swego czynu. Zwykle nocami starałam się nie spać i zmyślać takie historie, bo w dzień nie miałam na to czasu. Być może, iż dlatego jestem tak strasznie chuda, bo jestem chuda, prawda? Nie mam ani żdźbła mięsa na kościach. Ale chętnie wyobrażam sobie, że jestem pełna i ładna, z dołeczkami na łokciach...

Towarzyszka Mateusza zamilkła po części dlatego, że zabrakło jej tchu, po części zaś dlatego, że właśnie stanęli przy kabrioletcie. Nie wyrzekła już ani jednego słowa, gdy opuszczali miasteczko i zjeżdżali ze stromego pagórka. Droga tak głęboko wrzynąła się tu w miękki grunt, że kwitnące po obu jej stronach wiśnie i smukłe, białe brzozy wznosiły się zaledwie o kilka stóp nad głowami jadących.

Dziewczynka wyciągnęła dłoń i zerwała gałązkę dzikiej wiśni, która musnęła bok kabrioletu.

- Czyż to nie cudne? Co pan myśli widząc takie drzewa, osypane śnieżnobiałym kwieciem? Cóż one panu przypominają?

- Nie myślę o tym - rzekł Mateusz.

- Ależ pannę młodą, bez wątpienia! Biało ubraną pannę młodą, w białym, koronkowym welonie. Nie widziałam panny młodej, ale mogę sobie wyobrazić, że tak właśnie wygląda! Ja z pewnością nigdy nie będę panną młodą. Bo ze mną nikt się nie zechce ożenić... chyba jakiś obcy misjonarz. Przecież obcy misjonarz nie powinien być wybredny! Ale białą suknię będę może kiedyś miała. Jest to szczyt moich pragnień ziemskich. Uwielbiam piękne suknie! Nigdy w życiu, jak tylko sięgnę pamięcią, nie miałam ładnej sukienki. Tym bardziej tęskni się do czegoś, czego się nie posiadało, prawda? A zresztą potrafię sobie wyobrazić, że jestem pięknie ubrana! Dziś rano, kiedy opuszczałam Dom Sierot, było mi wstyd, że muszę jechać w tej starej, szkaradnej, codziennej sukience. Wszystkie dzieci noszą tam takie. Jakiś kupiec z Hopeton podarował zeszłej zimy naszemu przytułkowi trzysta jardów tej tkaniny. Niektórzy mówili, że zrobił to dlatego, iż nie mógł jej sprzedać, ale ja wolę przypuszczać, że uczynił to z dobrego serca, prawda? Kiedy wsiałam do wagonu, czułam, że każdy, kto spojrzy na mnie, będzie się nade mną litował. Ale wyobraziłam sobie wtedy, że jestem w najpiękniejszej, bladoniebieskiej, jedwabnej sukni - przecież już jak się coś sobie wyobraża, to się myśli o czymś najpiękniejszym - w wielkim kapeluszu przybranym kwiatami i powiewnymi piórami, mam złoty zegarek, cienkie, skórkowe rękawiczki i pantofelki. Byłam taka szczęśliwa, tak się rozkoszowałam tą podróżą! Na statku nie miałam wcale morskiej choroby. I pani Spencer czuła się dobrze, pomimo że

zwykle choruje. Mówiła, że nie miała czasu, bo bezustannie musiała uważać na mnie, bym nie wpadła do wody. Mówiła też, że w życiu nie widziała tak niespokojnego ducha. A przecież jeśli dzięki mnie uniknęła morskiej choroby, to dobrze, że się tak kręciłam, nieprawdaż? Chyba to nic dziwnego, że chciałam obejrzeć wszystko na statku, bo kto wie, kiedy będę miała znowu sposobność ku temu?... Ach, jakże tu wiele kwitnących drzew wiśniowych! Ta wyspa to wspaniały, kwitnący ogród! Już ją kocham i jestem taka szczęśliwa, że będę tu mieszkała. Słyszałam zawsze, że Wyspa Księcia Edwarda to najpiękniejsze miejsce na świecie, i nieraz wyobrażałam sobie, że mieszkam na niej. Lecz nigdy nie sądziłam, że będę tu mieszkać naprawdę. A czyż to nie rozkosznie, jeśli sen się spełnia?... Jakże te czerwone drogi są dziwne! Kiedyśmy wsiadły do wagonu w Charlottetown i te drogi zaczęły przed nami migać, spytałam pani Spencer, dlaczego są takie czerwone. Odpowiedziała, że nie wie i że bym ją, na miłość boską, zwolniła od tych ciągłych pytań... Powiedziała, że pytałam ją na pewno co najmniej tysiąc razy... Być może, ale jakże zrozumieć rozmaite rzeczy, jeśli nie można zadawać pytań? No i dlaczegoż te drogi są czerwone?

- Naprawdę nie wiem - odrzekł Mateusz.

- A więc jest to jeszcze jedno, na co muszę poszukać odpowiedzi. Czy to nie przyjemnie wiedzieć, że jest tak dużo rzeczy, które jeszcze poznamy? To właśnie sprawia, że ja się tak cieszę życiem... Świat jest taki ciekawy... Nie byłby taki ani w połowie, gdybyśmy wszystko o wszystkim wiedzieli, prawda? Ale ja może za wiele mówię? Wszyscy na ogół uważają, że jestem zbyt gadatliwa. Może by pan wolał, abym milczała? Jeśli pan sobie życzy, proszę otwarcie powiedzieć. Potrafię milczeć, gdy zechcę, chociaż to nie jest łatwe.

Mateusz, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, czuł się zupełnie dobrze. Jak ludzie milczący w ogóle, lubił osoby gadatliwe, jeśli te rozprawiając nie wymagały jego współudziału w rozmowie. Lecz nigdy nie przypuszczał, że towarzystwo dziewczynki może być tak przyjemne. Kobiety, jego zdaniem, były pod każdym względem okropne, a cóż dopiero dziewczynki! Nie lubił ich, zwłaszcza gdy cichaczem starały się go minąć, zerkając z dala, jak gdyby spodziewały się, że połknie je, jeśli odważą się wymówić bodaj słówko. Takie bowiem były dobrze wychowane dziewczynki z Avonlea. Ale to piegowate stworzenie było zupełnie inne i chociaż powolnej inteligencji Mateusza trudno było podążyć za żywym biegiem jego myśli, czuł wyraźnie, że ten szczebiot nie jest mu wcale przykry.

- Mów, ile chcesz. Mnie to nie przeszkadza - rzekł jak zwykle nieśmiało.

- Ach, jakże się cieszę! Przypuszczam, że pan i ja będziemy się zgadzali. Przyjemnie jest mówić, kiedy się ma na to ochotę, a nie być zmuszonym milczeć, dlatego że dorośli są

zdania, iż dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Mówili mi to z milion razy przynajmniej. I śmieją się ze mnie, że używam takich wzniosłych słów. Ale jeśli ktoś ma wzniosłe myśli, musi przecież używać wzniosłych słów dla wyrażenia ich. Czyż nieprawda?

- Owszem, tak by się wydawało - potwierdził Mateusz.

- Pani Spencer mówi, że mój język musi być przytwierdzony w środku. Ale to nieprawda, bo jest mocno przyrośnięty z jednego końca. Opowiadała mi, że wasza posiadłość nazywa się Zielone Wzgórze. Wypytywałam ją o wszystko. Mówiła, że otoczona jest wokóło drzewami. Jakże szczęśliwa się czułam! Ach, kocham drzewa nade wszystko! W naszym przytułku nie było ich wcale; zaledwie kilka biednych, nędznych drzewek z białymi podpórkami u głównego wejścia.- One także wyglądały jak sieroty. Tak mi ich strasznie było żal, że aż się na płacz zbierało. I często mówiłam do nich: „Ach, wy biedaki! Gdybyście rosły w wielkim, szumiącym lesie, w sąsiedztwie innych wielkich drzew, gdzie gęste mchy i konwalijki leśne pokrywałyby wasze korzenie, w pobliżu szemrałby strumyk, a w gałęziach świergotały ptaki, czyżbyście wtedy nie rozrosły się szybko? Tutaj, gdzie jesteście, nie możecie się rozwijać! Doskonale rozumiem, jak wy się tu czujecie, kochane drzewka” Przykro mi było dziś rano, kiedy się z nimi żegnałam. Człowiek przywiązuje się do takich rzeczy, wszak prawda? Czy w pobliżu Zielonego Wzgórza jest jaki strumyczek? Zapomniałam spytać o to panią Spencer!

- Pewnie, że jest. Tuż za naszym dworkiem.

- Co za szczęście! Zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać kiedyś nad strumykiem! Ale nie spodziewałam, się wcale, że to się ziści. Marzenia rzadko się spełniają, prawda? A dobrze byłoby, gdyby się spełniały! Teraz będę prawie zupełnie szczęśliwa! Bo zupełnie szczęśliwa nigdy być nie mogę, gdyż... jaki to jest kolor?

Ujęła jeden ze swych długich, lśniących warkoczy, opadających na chude plecy, i zbliżyła go do oczu Mateuszy, który nie przywykł wprawdzie wyrokować o kolorze warkoczy damskich, lecz w tym wypadku nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

- Rudy, czy nie? - rzekł.

Dziewczynka odrzuciła warkocz z westchnieniem tak głębokim, iż zdawało się wydobywać niemal z jej stóp i wyrażać smutek wielu wieków.

- Tak, rudy - powiedziała z rezygnacją. - Teraz zrozumiał pan, dlaczego nie mogę być zupełnie szczęśliwa. Nie może nią być osoba, która ma rude włosy! Wszystkim innym: piegami, zielonymi oczami i moją chudością nie martwię się tak bardzo. Potrafię sobie wyobrazić, że jest inaczej. Potrafię sobie wyobrazić, że mam najdelikatniejszą płec koloru płatków róży i fiołkowe oczy, błyszczące jak gwiazdy. Ale nie mogę sobie wyobrazić, że nie

mam tych włosów. Staram się o to, powtarzam sobie: włosy twoje są lśniaco czarne, czarne jak skrzydła krucze. Na próżno! Wiem, że są czerwone jak ogień, i serce mi pęka z bólu. Będzie to tragedia mojego życia. Czytałam pewnego razu o dziewczynce, która miała również tragedię w życiu, lecz nie z powodu czerwonych włosów. Przeciwnie, miała lśniące, złote loki, opadające na alabastrowe czoło. Co znaczy czoło z alabastru? Nigdy nie mogłam się dowiedzieć. Czy pan może mi to objaśnić?

- Nie, obawiam się, że nie potrafię - rzekł Mateusz, któremu już trochę zaczęło się kręcić w głowie. Czuł się jak kiedyś, we wczesnej młodości, gdy na pikniku jakiś chłopiec namówił go na przejażdżkę karuzelą.

- No, w każdym razie musiało to być coś bardzo ładnego, bo była bosko piękna. Czy pan wyobrażał sobie kiedyś, co czuje ktoś, kto jest bosko piękny?

- Nie, nigdy - wyznał Mateusz szczerze.

- Ja robię to często. A gdyby panu kazali wybierać, jakim chciałby pan być: bosko pięknym, oszałamiająco mądrym czy też anielsko dobrym?

- Naprawdę... nie bardzo wiem.

- Ja też nie wiem. Waham się ciągle! Ale mniejsza o to, bo ja przecież nigdy nie będę taka. A już najpewniej nie będę anielsko dobra... Pani Spencer mówi, że... ach, panie Cuthbert! Ach, panie Cuthbert, panie Cuthbert!

Nie były to słowa pani Spencer. Dziewczynka nie wypadła też z kabrioletu ani Mateusz nie uczynił nic niezwykłego. Lecz po prostu kabriolet skręcił i wjechał w Aleję.

„Aleją” nazywali mieszkańcy tych stron czterechset- czy pięćsetjardowy odcinek drogi, nad którym sklepiały się dwa rzędy wielkich, rozrośniętych, w tej chwili białym kwieciami osypanych jabłoni, przed wielu laty zasadzonych tu przez jakiegoś starego dziwaka rolnika. Jechali pod długim sklepieniem śnieżnobiałego, pachnącego kwieciami. Panował pod nim łagodny, różowa-wy półcień, daleko zaś w głębi lśniło zabarwione purpurą wieczorne niebo niby wielka rozeta okna zamykająca nawę katedry.

Cudny ten widok na długą chwilę odjął mowę dziewczynce. Przechyliła się w tył siedzenia, chude rączyny splotła na kolanach, a twarzyczkę w niemym zachwycie podniosła ku białej wspaniałości sklepienia. Zachwyconym wzrokiem spoglądała na zachodzące słońce, a przed oczami jej na tle rozplamionego nieba przesuwwały się wspaniałe wizje. Nawet wtedy, gdy już wyjechali z Alei, jadąc długim zboczem ku Newbridge, dziewczynka siedziała nieruchomo w milczeniu.

Przejechali też w milczeniu Newbridge, gęsto zaludnione miasteczko, gdzie ujadały na nich psy, mali chłopcy witali ich okrzykami, a wiele twarzy ciekawie wychyliło się z okien.

Przebyli prawie trzy mile, a dziewczynka jeszcze nie rozpoczęła rozmowy. Prawdopodobnie umiała milczeć równie Wytrwale, jak mówić.

- Domyślam się, że czujesz się porządnie zmęczona i głodna - odważył się wreszcie powiedzieć Mateusz, nie mogąc sobie inaczej wytłumaczyć jej milczenia. - Ale jesteśmy już niedaleko domu, o parę mil tylko.

Dziewczynka z głębokim westchnieniem ocknęła się ze swych marzeń i spojrzała na niego jak istota, która dotąd bujała w dalekich, gwiazdzistych przestworzach.

- Ach, panie Cuthbert! - szepnęła. - To białe... ta biała droga... co to było takiego?

- Masz pewnie Aleję na myśli - odpowiedział Mateusz po chwili głębokiego namysłu.

- Tak, to bardzo ładne miejsce.

- Ładne? O, ładne to niedostateczna nazwa. Ani piękne - to także nie wystarcza. Ono jest cudowne, cudowne! Jest to pierwsza rzecz w moim życiu, której nie mogę sobie wyobrazić cudowniejszej. Tutaj - wskazała ręką piersi - tutaj sprawiło mi to jakiś dziwny ból, ale ból przyjemny. Czy pan doznawał kiedyś takiego bólu, panie Cuthbert?

- Nie, nie pamiętam, abym go czuł kiedykolwiek.

- Ja często go czuję. Zawsze, ilekroć widzę coś cudownie pięknego! Ale dlaczego nazwaliście to królewskie sklepienie Aleją? Przecież ta nazwa nic nie wyraża. Powinno by się to nazywać... zaraz, pomyślę tylko... Białą Drogą Rozkoszy. Czy to nie byłaby śliczna nazwa? Kiedy mi się nie podoba imię jakiejś osoby lub rzeczy, zawsze staram się wymyślić inne i potem już tak ją nazywam. W naszym Domu Sierot była dziewczynka imieniem Hepziba Jenkins, ale ja w myśli zwałam ją zawsze Rozalią de Vere. Niechaj sobie wszyscy ten uroczy korytarz nazywają Aleją. Ja zawsze będę mówiła: Biała Droga Rozkoszy!... Czy naprawdę będziemy niedługo w domu? Martwię się tym i cieszę. Martwię się, bo ta przejażdżka była cudna, a zawsze przykro, kiedy się coś przyjemnego kończy. Wprawdzie potem może się zdarzyć coś jeszcze miłszego, ale nigdy nie jest się tego pewnym, a tak często się zdarza, że to coś wcale nie jest przyjemniejsze. Wiem to z doświadczenia. Ale cieszę się, że przyjadę do domu. Widzi pan, nie miałam nigdy prawdziwego domu, odkąd pamiętam. Na tę myśl, że jadę do mego prawdziwego domu, znowu czuję ten przyjemny ból... Ach, czyż to nie śliczne?!

Zjeżdżali właśnie z wierzchołka wzgórza. Niżej ujrzeni staw, wyglądający prawie jak rzeczka, taki był długi i kręty. Pośrodku przecinał go mostek. Poniżej, aż do miejsca, gdzie bursztynowe wydmy piaszczyste odcinały staw od szafirowej zatoki morskiej, woda mieniła się tęczą barw szafranu, szkarłatu, jaśniejszej i ciemniejszej zieleni oraz wieloma odcieniami, na które jeszcze nigdy nie znaleziono właściwej nazwy. Powyżej mostu wślizgiwał się staw



między kępy jodeł i klonów, prześwitując ciemną wodą wśród cieni poruszających się gałęzi. Tu i ówdzie ze stromego wybrzeża wychylała się dzika śliwa niby biało ubrane dziewczę, wspinające się na palce, by ujrzeć w wodzie swe własne odbicie. Z bagien w pobliżu stawu rozlegał się dziwnie jasny i melancholijny chór żabich głosów.

Nieco wyżej na wzgórzu spomiędzy białych jabłoni wychylał się niewielki, szary domek, a pomimo że zmierzch nie był jeszcze zupełny, w jednym okienku migotało światło.

- Oto jest staw rodziny Barry'ch - rzekł Mateusz.

- Fe, jaka szkaradna nazwa! Ja bym to inaczej określiła... niech mi pan pozwoli pomyśleć... Jezioro Lśniących Wód! Tak, to jest odpowiednie. Poznają to po owym dreszczu, bo jeśli nazwa, którą nadaję, jest naprawdę piękna, to natychmiast dreszcz mnie przejmuje. Czy i pan miewa nieraz taki dreszcz?

Mateusz pomyślał chwilę.

- O, owszem, zdarza się... Dreszcz zawsze mnie przejmuje, ilekroć widzę te szkaradne, białe liszki pełzające po zagonach ogórków. Nie cierpię ich!

- Ach, to jest pewnie zupełnie inny rodzaj dreszczu. Przecież musi być różnica pomiędzy liszkami a jeziorem o Lśnięcej wodzie. Dlaczego ludzie nazywają go stawem Barry'ch?

- Pewnie dlatego, że w tym małym domku mieszka pan Barry. Posiadłość jego nazywa się Sosnowe Wzgórze. Gdyby poza nią nie znajdował się ten gęsty gaj, widzielibyśmy już stąd Zielone Wzgórze. Teraz minimy most, potem dalej pojedziemy drogą. Mamy jeszcze pół mili do domu.

- Czy pan Barry ma córeczki? Nie maleńkie, ale takie w moim wieku?

- Owszem, ma córeczkę jedenastoletnią. Nazywa się Diana.

- Ach! - dziewczynka westchnęła bardzo głęboko. - Cóż za prześliczne imię!

- Nie uważam tego. Brzmi jakoś pogańsko. Ja wolę coś bardziej zwyczajnego, Jankę, Mary... Ale kiedy Diana przyszła na świat, w domu Barry'ch mieszkał nauczyciel, którego proszono o wybór imienia. On to zaproponował imię Diany.

- Szkoda, że nie było nauczyciela tam, gdzie ja się urodziłam... Ach, oto jesteśmy na moście! Zamykam oczy. Zawsze boję się jechać mostem, bo doznaję uczucia, że kiedy się znajduję pośrodku, most załamie się jak scyzoryk i zapadnie pod nami. Dlatego też przysmykam oczy, ale z boku zerkam, gdy przypuszczam, że jesteśmy blisko środka mostu. Bo gdyby się załamał, chciałabym to widzieć... Ach, jak ładnie dudni! Lubię, jak tak dudni. Jak to świetnie, że tyle jest na świecie rzeczy do lubienia. Ale oto przejechaliśmy! Teraz spojrzę poza siebie. Dobranoc, kochane Jezioro Lśniących Wód! Zawsze mawiam „dobranoc” temu wszystkiemu,

co lubię, tak samo jak ludziom. Chyba ta woda też to lubi - patrzy na mnie, jakby się uśmiechała.

Kiedy wjechali na przyległy pagórek i droga znowu zmieniła kierunek, Mateusz rzekł:

- Jesteśmy bardzo blisko domu. Zielone Wzgórze...

- Ach, niech pan nie mówi, gdzie! - przerwała spiesźnie, chwytając jego wyciągnięte ramię, i zamknęła oczy, by nie widzieć, co wskazuje. - Proszę pozwolić mi zgadnąć. Jestem pewna, że zgadnę!

Znowu otworzyła oczy i rozejrzała się wokoło. Znajdowali się na szczycie wzgórza. Słońce już zaszło, ale krajobraz tonął jeszcze w świetle. Na zachodzie na złotoczerwonym niebie zarysowywała się ciemna dzwonnica kościółka. Niżej roztaczała się mała dolina, a dalej ciągnęło się długie, łagodne wzgórze, usiane przytulnymi, ładnymi dworkami.

Oczy dziewczynki błędziły uważnie i żywo od jednego dworku do drugiego. Wreszcie zatrzymały się na jednym z nich. Dość obszerny, stojący z dala od gościńca, otoczony obłokiem kwitnących drzew, odcinał się wyraźnie od przyległych lasów. Ponad tym dworem w południowo-zachodniej stronie czystego nieba błyszczała wielka gwiazda niby kryształowa lampa, wskazująca drogę pełną obietnic.

- To tutaj, prawda? - rzekła wyciągając rękę w ową stronę. Mateusz raźnie śmignął klacz.

- W istocie, zgadłaś! - rzekł. - Prawdopodobnie pani Spencer bardzo szczegółowo opisała ci wszystko.

- Nie, wcale nie. To, co mówiła, dałoby się równie dobrze zastosować do innych dworków. Nie wytworzyłam sobie wcale dokładnego pojęcia o Zielonym Wzgórzu. Lecz zaledwie je dojrzałam, uczułam, że tam jest mój dom. Ach, czy to aby nie sen?! Czy pan uwierzy, że moje ramię musi być sine i żółte, tyle razy szczypałam się dziś od rana. Co chwila ogarniało mnie straszne uczucie - bałam się, że to wszystko sen. Szczypałam się wtedy, żeby się przekonać, że to prawda... Lecz potem pomyślałam sobie, że jeśli to nawet jest sen, nie chcę się zbudzić, wolę śnić dłużej, i przestałam się szczypać... Ale to jest przecież rzeczywista prawda i istotnie niedługo będę w domu!

Umilkła z westchnieniem zachwytu. Mateusz kręcił się niespokojnie na swym miejscu. Rad był, że to Maryla, a nie on, powie temu biednemu, bezdomnemu dziecku, że dom, do którego tak tęskniło, nie otworzy dla niego swych drzwi.

Zmierzch był już zupełny, kiedy przejeżdżali obok mieszkania pani Linde. Pomimo to czcigodna niewiasta zdołała ich dojrzeć ze swego okna, gdy skręcali na drogę ku Zielonemu Wzgórzu.

Kiedy wjechali w podwórko, Mateusz zadrżał przed mającym nastąpić wyjaśnieniem z uczuciem, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Nie myślał ani o sobie, ani o Maryli, ani o kłopotcie, jaki ta omyłka mogła im obojgu sprawić, lecz o rozczarowaniu dziewczynki. Gdy wyobrażał sobie, jak zgaśnie w jej oczach zachwyt, doznawał tak bolesnego uczucia, jak gdyby miał pomóc w morderstwie; czuł teraz taką odrazę, jaka go opanowywała zazwyczaj, gdy trzeba było zakłuć jagnię, cielę lub jakiegokolwiek inne bezradne stworzenie.

Stanęli przed dworkiem. W podwórzu było już zupełnie ciemno. Liście topoli szeleściły wokoło niczym jedwab.

- Niech pan posłucha, jak drzewa rozmawiają we śnie - szepnęła dziewczynka, kiedy postawił ją na ziemi. - Jakież cudne muszą mieć sny!

Po czym ująwszy mocno torbę zawierającą całą jej chudobę, weszła za Mateuszem do sieni.

### III.

#### ZDUMIENIE MARYLI CUTHBERT

Gdy Mateusz otworzył drzwi, Maryla wybiegła szybko na jego spotkanie. Lecz kiedy wzrok jej padł na dziwaczne, małe stworzenie w ciasnej, brzydkiej sukience, z długimi, ognistoczerwonymi warkoczami i oczyma błyszczącymi radością, cofnęła się zdumiona.

- Cóż to, Mateuszu? - wybuchnęła. - Gdzież jest chłopiec?

- Nie było tam chłopca - odpowiedział Mateusz nieśmiało. - Była tylko ona.

Wskazał dziewczynkę, przypomniawszy sobie dopiero teraz, że nie zapytał jej nawet o imię.

- Nie było chłopca? Ależ musiał tam być - nalegała Maryla. - Przecież prosiliśmy panią Spencer, by go przywiozła.

- Tak, ale nie uczyniła tego. Przywiozła właśnie tę dziewczynkę. Pytałem zawiadowcy stacji. Musiałem więc zabrać ją do domu. Nie można było zostawić dziecka na pustym dworcu, nawet jeśli zaszła jakaś pomyłka.

- A to paradne! - zawołała Maryla.

Podczas tej rozmowy dziewczynka milczała, a spojrzenie jej krążyło od Maryli do Mateusza. Wyraz radości znikł z jej twarzyczki. Zdawało się, że nagle zrozumiała treść rozmowy. Rzuciwszy swą drogocenną torbę, zrobiła kilka kroków naprzód i załamała ręce.

- Nie chcecie mnie! - krzyknęła. - Nie chcecie mnie dlatego, że nie jestem chłopcem! Powinnam się była tego spodziewać! Nikt mnie nigdy nie chciał! Zawsze tak bywało. Powinnam była rozumieć, że to zbyt piękne, aby mogło się spełnić. Powinnam była wiedzieć, że mnie nigdy nikt nie zechce! Ale cóż ja pocznę? Rozpłynę się chyba we łzach.

I uczyniła to. Opadłszy na krzesło, załamała ręce nad głową, potem ukryła twarz w dłoniach i zaczęła gwałtownie szlochać.

Maryla i Mateusz spoglądali na siebie przerażeni. Żadne z nich nie wiedziało, co począć, co powiedzieć. Wreszcie Maryla przerwała milczenie:

- Cicho, cicho, przecież nie ma znowu o co tak rozpaczać!

- Nie ma o co?

Dziewczynka szybko podniosła głowę ukazując twarzyczkę skapaną we łzach i drgające usta.

- Pani także płakałaby, gdyby będąc sierotą przybyła pod dach domu, który miał zostać jej rodzinnym domem, i nagle dowiedziała się, że pani nie chcą, bo nie jest chłopcem! O, to najtragiczniesz chwila, jaką przeżyłam!

Coś jakby uśmiech, trochę leniwy, bo dawno zapomniany, złagodził surowy wyraz twarzy Maryli.

- Nie płacz tylko! Nie wyrzucimy cię przecież za drzwi dziś wieczór! Pozostaniesz u nas, dopóki się cała ta sprawa nie wyjaśni. Jak się nazywasz?

Dziewczynka zawahała się na chwilę.

- Może by pani zechciała nazywać mnie Kordelią? - rzekła pośpiesznie.

- Nazywać cię Kordelią? Czy to nie jest twoje imię?

- Nie-e-e, niezupełnie, ale chciałabym nazywać się Kordelią. To brzmi tak dystyngowanie!

- Nie pojmuję, o co ci chodzi. Jeśli nie nazywasz się Kordelią, jakie masz imię?

- Anna Shirley - wyjąkała niechętnie właścicielka tego imienia. - Ale proszę, niech pani nazywa mnie Kordelią. Wszak dla pani to jest obojętne, jak mnie będzie wołać, jeśli pozostanę tutaj niedługo. A Anna to takie nieromantyczne imię.

- Romantyczne czy nieromantyczne! - odburknęła prozaiczna Maryla. - Anna to skromne i rozumne imię. Nie masz powodu się go wstydzić.

- Ja się go nie wstydzę - odpowiedziała dziewczynka - tylko Kordelią więcej mi się podoba. Zawsze wyobrażałam sobie, że nazywam się Kordelią, a zresztą może w ostatnich czasach wmówiłam to w siebie. Kiedy byłam młodsza, wolałam imię Geraldyna, ale teraz jestem zdania, że Kordelią jest najładniejsze. Jeśli jednak pani chce koniecznie nazywać mnie Anną, proszę przynajmniej mówić „Aniu” zamiast „Andziu”.

- Myślę, że to wszystko jedno - rzekła Maryla z niedostrzegalnym uśmiechem, podnosząc imbryk z herbatą.

- O, nie, to wielka różnica! To brzmi o wiele, o wiele delikatniej. Wymawiając jakieś imię, widzimy je natychmiast przed sobą, jak gdyby było wydrukowane; przynajmniej ja tak to odczuwam. Andzia wygląda ohydnie, Ania zaś o tyle bardziej dystyngowanie. Jeśli więc pani zechce nazywać mnie Anią, postaram się pogodzić z myślą, że nie noszę imienia Kordelii.

- A więc, Aniu, nie Andziu, czy możesz nam powiedzieć, w jaki sposób zaszło to nieporozumienie? Prosiłiśmy panią Spencer, by nam przywiozła chłopca. Czy w Domu Sierot nie było chłopców?

- Owszem, jest ich bardzo wielu. Lecz pani Spencer powiedziała wyraźnie, że państwo życzą sobie wziąć jedenastoletnią dziewczynkę. Wtedy przełożona uznała, że ja będę najodpowiedniejsza. Pani nie ma pojęcia, jak bardzo się ucieszyłam! Całą noc nie spałam z radości! Ach - dodała zwracając się z wyrzutem do Mateusza - czemuż nie powiedział mi pan na dworcu, że to pomyłka, i nie pozostawił mnie tam? Gdybym nie widziała Białej Drogi Rozkoszy ani Jeziora Lśniących Wód, nie byłoby mi tak ciężko na duszy!

- O czym ona mówi? - spytała Maryla brata.

- Przypomina sobie... szczegóły naszej rozmowy, podczas gdyśmy jechali... - odpowiedział pośpiesznie Mateusz. - Idę wyprząc klacz, Marylo. Proszę cię, przygotuj herbatę, zanim powrócę.

- Czy pani Spencer wiozła jeszcze jakieś dziecko? - pytała dalej Maryla po odejściu Mateusza.

- Owszem, zabrała Lili Jones dla siebie. Lili ma zaledwie pięć lat i jest bardzo piękna. Ma ciemne, kasztanowate włosy. Gdybym ja miała kasztanowate włosy i była bardzo piękna, czy byście mnie także nie przyjęli?

- O, nie! Chcieliśmy chłopca, który by pomagał Mateuszowi w gospodarstwie. Dziewczynka na nic się nam nie przyda. Zdejm kapelusz! Położę go wraz z twoją torbą na stole w sieni.

Ania posłusznie zdjęła kapelusz. Po chwili wrócił Mateusz i zasiedli do wieczerzy. Ale Ania nie mogła nic przełknąć. Na próżno dziobała jak ptaszek chleb z masłem i marmoladą jabłkową, podaną na szklanej podstawce. Widać było, że nie może przełknąć ani jednego kęsa.

- Ale ty nic nie jesz! - zauważyła Maryla rzucając Ani surowe spojrzenie, jakby za jakiś czyn godny nagany.

Dziewczynka westchnęła.

- Nie mogę. Wpadłam w otchłań rozpaczy. Czy pani miałaby ochotę do jedzenia, gdyby pani wpadła w otchłań rozpaczy?

- Nie mogę na to odpowiedzieć, bo nigdy tam nie byłam - odrzekła Maryla sucho.

- Ach, pani nie była... A nigdy nie próbowała pani tego sobie wyobrazić?

- Nie, to też nie.

- W takim razie przypuszczam, że pani nie może zrozumieć tego uczucia. Jest ono bardzo nieprzyjemne... Gdy się wtedy próbuje jeść, coś staje w gardle i nie można nic przełknąć, nawet czekoladki. Dwa lata temu jadłam czekoladkę. Było to coś przepysznego! Odtąd często śniłam, że mam całą torebkę czekoladek, lecz zawsze, ilekroć sięgnęłam po

pierwszą, budziłam się. Przecież nie będziecie się gniewali o to, że nie jem. Wszystko tutaj jest doskonałe, ale jednak nie mogę...

- Jest pewnie zmęczona - stwierdził Mateusz, który od chwili powrotu ze stajni nie wyrzekł ani słowa. - Najlepiej byłoby kazać jej pójść spać.

Maryla myślała właśnie nad tym, gdzie Ania mogłaby spędzić noc. Przygotowała dla oczekiwanego chłopca izdebkę obok kuchni. Lecz pomimo że był to kąt czysty i jasny, nie wydawał się odpowiedni dla dziewczynki. Wobec tego, że o przyjęciu takiej bezdomnej istoty w gościnnym pokoju nie mogło być mowy, pozostawał tylko wychodzący na wschód pokoiczek na facjatce.

Maryla zapaliła świecę i kazała Ani pójść za sobą, co też dziewczynka uczyniła, zabierając po drodze swoją torbę i kapelusz. W sieni było nienagannie czysto, a pokoiik na górze, w którym się Ania znalazła po chwili, wydawał się jeszcze czystszy.

Maryla postawiła lichtarz na małym, trójnożnym stoliku i odgarnęła kołdrę z łóżka.

- Masz pewnie koszulę nocną? - spytała. Ania skinęła głową twierdząco.

- Owszem, mam dwie. Przełożona mi je uszyła. Są strasznie, wąskie. W Domu Sierot nigdy nie ma niczego pod dostatkiem, wszystkiego jest skąpo, więc też i szyje się oszczędnie... przynajmniej w takim ubogim przytułku, jakim jest nasz. Nie cierpię krótkich i ciasnych nocnych koszul. Ale przecież można w nich równie przyjemnie śnić jak w ozdobionych Haftami i obszytymi koronką wokoło szyi. To jest jedyna pociecha.

- Tak, ale rozbierz się jak najprędzej i kładź się do łóżka. Powrócę za pięć minut zgasić świecę. Nie byłabym spokojna, gdybym to tobie poleciła. Mogłabyś zaproszyć ogień.

Po odejściu Maryli Ania rozejrzała się ciekawie wokoło. Białe, otynkowane ściany były tak boleśnie nagie i smutne, jak gdyby same litowały się nad swym ubóstwem. Podłoga była także goła, tylko pośrodku leżała okrągła, pleciona mata, jakiej Ania nigdy dotąd nie widziała. W jednym kącie pokoju znajdowało się wysokie, staroświeckie łóżko o czterech ciemnych -słupach, przeznaczonych do zawieszania kotary. W drugim kącie trójnożny stolik, a nim czerwona, aksamitna poduszczyka do szpilek, dość twarda, by złamać ostrze najgrubszej z nich. Nad stolikiem maleńkie, podłużne lustro. Pomiedzy łóżkiem a stolikiem mieściło się okno, przybrane u góry śnieżnobiałą, muślinową falbaną, na wprost okna zaś umywalka. Od całego tego pokoju wiał przerażający chłód, toteż przejął on biedną Anię do szpiku kości.

Szlochając, szybko zrzuciła z siebie ubranie, włożyła ciasną nocną koszulę i wskoczyła do łóżka, aby, zatopiwszy twarz w poduszce, naciągnąć kołdrę aż na głowę.

Kiedy Maryla powróciła, by zabrać świecę, rozrzucone po podłodze rozmaite części ubożego ubrania i wzburzona pościel były jedyną oznaką czyjejś obecności w pokoju.

Spokojnie podniosła ubranie Ani, złożyła je w porządku na niskim, żółtym krześle, wzięła świecę i zbliżyła się do łóżka.

- Dobranoc! - rzekła jakimś dziwnym głosem, w którym jednak nie czuć było niechęci. Błada twarzyczka Ani i wielkie jej oczy wyjrzały natychmiast spod kołdry.

- Jak może mi pani mówić „dobra” noc wiedząc, że będzie to najgorsza noc, jaką kiedykolwiek przeżyłam? - rzekła z wyrzutem.

Po czym znowu zniknęła pod kołdrą.

Maryla powoli zeszła do kuchni i zaczęła zmywać naczynia po wieczerzy. Mateusz palił fajkę - niewątpliwa oznaka zafrasowania. Palił rzadko, bo Maryla nie lubiła tego, nazywając używanie fajki złym przyzwyczajeniem. Nieraz jednak pozwalał sobie na ten wybryk, na co siostra patrzyła wówczas przez palce, uważając, że każdy mężczyzna musi się jakoś wyładować.

Tak, ładna historia! - rzekła gniewnie. - Przez posły wilk nie tyje. Prawdopodobnie służący Roberta Spencera przekreślił treść naszej prośby. Jutro jedno z nas musi pojechać, żeby rozmówić się z panią Spencer. Dziewczynkę należy odesłać do Domu Sierot.

Tak sądzę - odpowiedział Mateusz bez przekonania.

- Sądzisz? Czy nie uważasz tego za konieczne?

- Wiesz, Marylo, to jest bardzo miłe stworzenie. Naprawdę, przykro jest odsyłać tę dziewczynkę, kiedy tak bardzo pragnęłaby tu pozostać.

- Ależ, Mateuszu, czyż twoim zdaniem powinniśmy ją zatrzymać?

Zdziwienie Maryli nie byłoby większe, gdyby jej spokojny brat wyraził chęć chodzenia na głowie.

- Nie, nie, niezupełnie - wyjąkał Mateusz nie wiedząc, jak wybrnąć. - Uważam... że nikt nie może żądać tego od nas.

- No, pewno! Czym właściwie byłaby ona dla nas?

- Może my bylibyśmy czymś dla niej, Marylo - powiedział Mateusz nieoczekiwanie.

- Mateuszu Cuthbert, zdaje mi się, że to dziecko zaczarowało cię! Widzę, że pragniesz je zatrzymać!

- Wierzaj mi, że to bardzo ciekawa istota! - przekonywał Mateusz. - Gdybyś ją słyszała rozprawiającą, kiedyśmy wracali z dworca...

- O, mówić ona potrafi. Od razu to poznałam. I to wcale dobrze o niej nie świadczy. Nie lubię dzieci, które dużo mówią. Nigdy nie pragnęłam dziewczynki z przytułku, a gdybym



miała wybierać, to w każdym razie nie tego rodzaju. Jest w niej coś, czego nie rozumiem. Nie, odeślemy ją tą samą drogą, jaką przybyła.

- Może wynajęłbym francuskiego chłopca do pomocy w gospodarstwie, a ty zatrzymałaś ją do towarzystwa? - rzekł Mateusz.

- Nie potrzeba mi towarzystwa - odburknęła Maryla szorstko. - Nie mam zamiaru zatrzymywać jej.

- Zrobisz tak, jak sama zechcesz - odpowiedział Mateusz wstając i odłożył fajkę. - Idę spać, dobranoc!

Mateusz wyszedł. Wkrótce i Maryla, ze zmarszczonym czołem, pozmywawszy naczynia kuchenne, udała się na spoczynek. Na facjatce zaś, piętro wyżej, leżało samotne, bezdomne, spragnione miłości dziecko, które gorzki płacz ukołysał wreszcie do snu.

#### IV.

### PORANEK NA ZIELONYM WZGÓRZU

Dzień był już jasny, kiedy Ania zbudziła się i siadłszy na łóżku spojrzała nieprzytomnie w okno. Płynął przez nie strumień wesołych promieni słonecznych, a poza nimi coś niezmiernie lekkiego i białego powiewało ku błękitnemu niebu.

Przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Ogarnęło ją uczucie niewymownej radości, lecz prawie natychmiast zjawiło się straszne przypomnienie. Jest na Zielonym Wzgórzu, ale musi je opuścić. Nie chcą jej tu zatrzymać dlatego, że nie jest chłopcem!

Lecz był poranek i wszakże tu, przed jej oknem, stała cudna kwitnąca wiśnia. Jednym skokiem dziewczynka znalazła się przy oknie. Uniosła żaluzję, która zaskrzypiała opornie, jakby już dawno nikt jej nie poruszał.

Ania ukłękła i spoglądała w ten jasny czerwcowy poranek oczami błyszczącymi z zachwytu. Ach, czyż to nie piękne? Czyż to nie urocze miejsce? Gdybyż mogła tu pozostać! Postara się wyobrazić to sobie. Tutaj właśnie jest szerokie pole dla jej wyobraźni!

Ogromna wiśnia rosła tuż, blisko, gałęzie jej dotykały domu; kwiaty pokryły drzewo tak obficie, że przysłoniły zupełnie liście. Po obu stronach dworku roztaczały się sady, jeden pełen jabłoni, drugi drzew wiśniowych osypanych kwieciem. Trawniki były żółte od kwitnących mleczków. W ogrodzie poniżej bzy ugiwały się pod olbrzymimi kiściami fioletowych kwiatów. Świeży wietrzyk poranny przynosił do okna pokoiku Ani ich upajającą woń.

Poza ogrodem, hen ku dolinie ciągnęły się zielone łąki, pełne soczystej koniczyny. Tam właśnie płynął strumyk i rosły młode brzoźki, Ich smukłe, białe pnie wznosiły się ponad bogate poszycie - puszyste paprocie, mchy i przeróżne zioła nasuwały myśl o rozkosznym wypoczynku. Dalej ciągnęło się wzgórze, przystrojone ciemną zielenią sosen i jodeł. Poprzez niewielką szczelinę wśród drzew widać było szczyt facjarki szarego domku, który Ania widziała po drugiej stronie Jeziora Lśniących Wód.

Na lewo znajdowała się stajnia, spichrz i inne zabudowania gospodarskie, za nimi na łagodnym zboczu ciągnęły się zielone pola, a jeszcze dalej połyskiwało lśniące, szafirowe morze.

Ania spojrzeniem pełnym uwielbienia dla piękna wchłaniała chciwie wspaniały krajobraz. Biedne dziecko widziało w swym życiu tak mało pięknych widoków. A to, co ujrzała w tej chwili, przechodziło jej najbujniejsze nawet marzenia!

Kłęcząca, zapomniawszy o całym świecie, zapatrzona tylko w te cuda wokoło „siebie, gdy nagle uczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Weszła Maryla, nie zauważona przez małą marzycielkę.

- Czas, abyś już była ubrana - rzekła krótko.

Maryla nie wiedziała, jak przemawiać do tego dziecka, a z powodu tej nieświadomości, która jej ciążyła, mimo woli bywała szorstka.

Ania zerwała się z głębokim westchnieniem.

- Ach, czyż to nie cudowne? - rzekła wskazując ręką jasny świat poza oknem.

- Owszem, drzewo jest bardzo duże - odpowiedziała Maryla - i ślicznie kwitnie. Lecz owoców daje mało, przy tym są one drobne i robaczywe.

- Ach, ja nie mówię wyłącznie o tym drzewie, pomimo że w tej chwili jest piękne... Jest oszałamiająco piękne... Kwitnie, jakby mu samemu na tym pięknie zależało. Mam na myśli wszystko: ogród i sad, i strumyk, i las, cały ten wielki świat... Czy nie wydaje się pani, że właśnie w taki poranek kochamy cały świat? Słyszę aż tutaj śmiech strumyka. Może pani zauważyła, że strumienie są wesołe? Śmieją się zawsze! Nieraz w zimie słyszałam, jak śmiały się pod lodem. Cieszę się bardzo, że w pobliżu Zielonego Wzgórza jest strumień. Pani myśli zapewne, że powinno by mi to być obojętne wobec tego, iż tu nie zostanę. Ale tak nie jest... Jeśli nawet nigdy już tego miejsca nie zobaczę, miło mi będzie pomyśleć, że na Zielonym Wzgórzu jest strumyk. Bo gdyby go nie było, zawsze dręczyłaby mnie myśl, że powinien tu być. Dziś nie jestem pogrążona w otchłani rozpacz, o, nie... Nigdy rano tam nie bywam... Czyż to nie cudnie, że bywają poranki? Ale jestem bardzo smutna. Właśnie wyobrażałam sobie, że to jednak mnie oczekiwaliście i że zostanę tu na zawsze, na zawsze. Było to dla mnie wielką pociechą. Najgorsze jednak z tych wyobrażonych rzeczy jest to, że przychodzi chwila, w której trzeba przerwać marzenie, a to bardzo boli...

- Najlepiej byłoby, gdybyś się ubrała i zeszła, zamiast siedzieć tu i marzyć - zauważyła Maryla, gdy wreszcie udało jej się wtrącić słówko. - Śniadanie czeka. Umyj się i uczesz porządnie! Okno zostaw otwarte i wyłóż pościel do wietrzenia. Pośpiesz się, proszę.

Ania potrafiła się widocznie śpieszyć, gdy jej na tym zależało, gdyż po dziesięciu minutach była już na dole, świeżo umyta, z włosami splecionymi, starannie ubrana, zadowolona, że posłusznie spełniła rozkazy Maryli. Aby być sprawiedliwym, należy dodać, że zapomniała jednak wyłożyć pościel do wietrzenia.

- Dziś jestem porządnie głodna - rzekła siadając na krześle wskazanym jej przez Marylę. - Świat nie jest tak ponury jak wczoraj. Cieszę się, że dziś słoneczny ranek. Chociaż lubię też dżdżyste poranki. Każdy poranek jest zajmujący, prawda? Nigdy nie wiemy, co nas spotka w ciągu dnia. Mamy więc tyle pola do wyobraźni. Cieszę się jednak, że deszcz nie pada, bo łatwiej jest znieść zmartwienie w słoneczny dzionek. A dziś mam wielką troskę do dźwigania... Łatwo jest czytać o czyimś nieszczęściu i wyobrazić sobie, że i my potrafilibyśmy znieść je po bohatersku, lecz kiedy się ono na nas istotnie wali, to niełatwa, sprawa, prawda?

- Zmiłuj się, przestań paplać - rzekła Maryla. - Stanowczo dziewczynka nie powinna tak dużo mówić.

Po tej uwadze Ania zamilkła zupełnie, aż milczenie jej, jako wymuszone, zaczęło irytować Marylę. I Mateusz nic nie mówił, co było zresztą stałym jego zwyczajem - śniadanie więc minęło w zupełnej ciszy.

Powoli Ania wpadała w coraz większą zadumę, jadła machinalnie, a jej duże oczy wpatrywały się nie widzącym spojrzeniem w niebo za oknem. Marylę drażniło to coraz bardziej. Doznawała niemilego uczucia, że gdy to dziwne dziecko siedziało przy stole, myśl jego unosiła się w dalekich przestworzach na skrzydłach fantazji. Któż chciałby mieć u siebie taką istotę?

Ale - dziw nad dziwy! Mateusz pragnął ją zatrzymać. Maryla czuła, że pragnie on tego równie silnie dziś rano, jak pragnął wczoraj wieczorem, i że nadal będzie sobie tego życzył. Taka była natura Mateusza. Potrafił wbić sobie coś do głowy, trzymać się tego ze zdumiewającym uporem i trwać w zaciętym milczeniu, które skutkowało dziesięć razy lepiej, niż gdyby o tym gadał od rana do nocy.

Po śniadaniu Ania ocknęła się z zadumy i spytała, czyby nie mogła zmyć naczyń.

- Czy umiesz porządnie i czysto zmywać? - spytała nieufnie Maryla.

- O-o, tak! Chociaż lepiej potrafię niańczyć dzieci. Mam doświadczenie pod tym względem. Szkoda, że tu nie ma maleństw, których bym mogła doglądać.

- Ja za to nie żałuję tego wcale. Ty już jesteś dostatecznym kłopotem. Nie mam pojęcia, co począć z tobą. Mateusz jest istotnie dziwak, śmieszny dziwak!

- Mnie się on wydaje bardzo miły - zauważyła Ania z wyrzutem. - Wcale nie bronił mi mówić. Przeciwnie, zdawało mi się, że jest temu rad. Zaledwie go zobaczyłam, poczułam, że to pokrewna dusza.

- Jesteście oboje dziwacy, jeśli to nazywasz pokrewieństwem dusz - sarknęła Maryla. - Owszem, możesz zmyć naczynia. Nie żałuj gorącej wody i wytrzyj dokładnie. Mam dziś rano

zajęcia po uszy, gdyż po południu jadę do Białych Piasków pomówić z panią Spencer. Pojedziesz ze mną, tam postanowimy, co z tobą zrobić. Gdy skończysz zmywać, pójdziesz na górę posłać łóżko.

Ania zmyła i wytarła starannie szklanki i talerze, co nie uszło bystrego oka Maryli. Mniej zręcznie słała łóżko; nie przywykła bowiem do układania pierzynek. Wreszcie doprowadziła łóżko do porządku. Maryla, chcąc się jej pozbyć, kazała jej pójść i na własną rękę znaleźć sobie jakąś rozrywkę do czasu, kiedy obiad będzie gotów.

Ania podbiegła do drzwi z rozpromienioną twarzą, uśmiechnięta, z błyszczącymi oczami. Lecz już na progu zatrzymała się nagle, cofnęła i wróciwszy usiadła przy stole. Wyraz zachwyty zgasł, jakby zdmuchnięty z jej twarzyczki.

- Cóż się stało? - spytała Maryla.

- Nie mam odwagi wyjść - rzekła Ania tonem męczennika wyrzekającego się rozkoszy ziemskich. - Jeśli tu nie pozostanę, po cóż mam pokochać Zielone Wzgórze? A przecież, gdy się teraz zapoznam z drzewami, z sadem, z kwiatami i ze strumykiem, nie potrafię ich nie pokochać! Już i tak jest ciężko, po cóż ma być jeszcze gorzej? Tak bardzo pragnęłabym wyjść do ogrodu; zdaje mi się, że wszystko woła: „Aniu, Aniu! Chodźże do nas! Chciałybyśmy mieć towarzyszkę zabaw, Aniu, Aniu!” Lecz lepiej będzie, gdy nie wyjdę. Po cóż kochać coś, z czym trzeba się wkrótce pożegnać? A trudno powstrzymać się od kochania, prawda? Dlatego tak bardzo się cieszyłam, że będę tu mieszkać. Zdawało mi się, że znajdę u was tak wiele do pokochania i nic mi w tym nie przeszkodzi... Ale krótki sen minął! Obecnie jestem już prawie zrezygnowana, a lękam się, że gdy wyjdę, żal znowu mnie ogarnie i smutek - wróci! Jak się nazywa ten kwiat w doniczce na oknie?

- To pelargonia.

- O, nie o tę nazwę mi chodzi. Mam na myśli imię, któreście „wy jej dali. Czy pani jej nie przezwała inaczej? Może bym więc ja mogła to zrobić? Nazwę ją Jutrzenką! Niech mi pani pozwoli nazywać ją tak, dopóki będę tutaj.

- Ależ dobrze, jeśli ci to sprawia przyjemność. Powiedz jednak, czy ma sens nadawanie imion kwiatom?

- Owszem, ja lubię dawać pieszczotliwe nazwy wszystkiemu, nawet kwiatom. Uważam, że wtedy są bardziej zbliżone do ludzi. Skąd wiemy, czy pelargonii nie jest przykro, że ją nazywają tylko pelargonią? Pani także nie chciałaby zawsze nazywać się tylko kobietą. Ja będę mówiła: Jutrzenka. Tej wielkiej wiśni pod moim oknem dałam już imię dziś rano. Nazwałam ją Królową Śniegu, dlatego że jest biała. Prawda, że ona nie zawsze stoi w kwieciu, ale można to sobie wyobrazić.

- Nigdy w życiu nie widziałam ani nie słyszałam nic podobnego - mruzczała Maryla rejterując do piwnicy po kartofle. - Ona jest naprawdę niezwykła, tak jak mówi Mateusz. 'Sama zaczynam się zastanawiać, co ona jeszcze powie. Myślę, że wkrótce zaczaruje i mnie, bo Mateusza niewątpliwie zaczarowała. Przypominam sobie spojrzenie, jakie mi rzucił odchodząc. „Wyrażało wszystko, co przemyślał ostatniej nocy. Wolałabym, żeby był taki jak inni mężczyźni i potrafił wygadać, co go w środku dręczy. Wtedy można by mu odpowiedzieć i wyperswadować niejedno. Ale co zrobić z mężczyzną, który tylko patrzy?

Kiedy Maryla wróciła ze swej pielgrzymki do piwnicy, zastała Anię pogrążoną w zadumie, z podbródkiem opartym na dłoniach ' i wzrokiem utkwionym w obłokach. Maryla pozostawiła ją tak, dopóki nie zasiedli do obiadu.

- Czy będę mogła dostać po obiedzie kabriolet i klacz, Mateuszu? - spytała brata.

Mateusz skinął głową i pytającym wzrokiem spojrzał na Anię, Maryla pochwyciła to spojrzenie i rzekła sucho:

- Chcę pojechać do Białych Piasków, by załatwić tę sprawę. Zabiorę Anię, aby pani Spencer mogła natychmiast odesłać ją do Nowej Szkocji. Herbatę dla ciebie zostawię na kominku. Powrócę do domu na czas dojenia.

Mateusz milczał i Maryla miała wrażenie, że na próżno traciła czas na tę rozmowę. Nie ma nic bardziej irytującego nad mężczyznę, który nie odpowiada... z wyjątkiem kobiety, która nie odpowiada.

We właściwym czasie Mateusz założył klacz do kabrioletu i Maryla z Anią natychmiast wsiadły. Mateusz otworzył wrota, a kiedy powoli wyjeżdżały, rzekł głośno, nie wiadomo do kogo:

- Mały Jerry Buote z Creek był tutaj dziś rano. Powiedziałem mu, że umówię się z nim na lato.

Maryla nie odrzekła ani słowa, lecz tak mocno śmignęła biedną klacz, że ta, nieprzywykła do podobnego traktowania, ruszyła galopem. Ale gdy kabriolet toczył się już szybko po drodze, Maryla raz jeszcze spojrzała poza siebie. Za furtką stał oparty o płot nieznośny Mateusz, wciąż patrząc na nią bacznie, lecz smutnym wzrokiem.

## V.

### HISTORIA ANI

Wie pani - mówiła Ania z ufnością - mam zamiar cieszyć się tą przejażdżką. Wiem z doświadczenia, że prawie zawsze można się z czegoś cieszyć, jeśli się tego mocno pragnie. Tylko należy pragnąć naprawdę mocno. Więc jadąc nie będę myślała o tym, że mam wrócić do Domu Sierot. Będę myślała jedynie o przejażdżce. O, niechże pani spojrzy! Zakwitła wczesna dzika różyczka! Czy nie cudna? Czy pani nie uważa, że byłoby przyjemnie być różą? Gdyby też róże mogły mówić... Jestem pewna, że opowiadałyby najmiłsze rzeczy. A czy barwa czerwona nie jest najpiękniejsza w świecie? Lubię ją nade wszystko, lecz nie mogę tak się ubierać. Osoby rude nie powinny przecież ubierać się na czerwono... nawet w wyobraźni. Czy pani przypadkiem nie słyszała o tym, że ktoś w dzieciństwie miał rude włosy, które zmieniły barwę, gdy dorósł?

- Nie, nie mogę sobie tego przypomnieć - odpowiedziała bezlitośnie Maryla. - Co się zaś ciebie tyczy, nie przypuszczam, aby taka zmiana była możliwa.

Ania westchnęła.

- Znowu jedna nadzieja pogrzebana... Życie moje jest prawdziwym cmentarzem nadziei. Przeczytałam kiedyś to zdanie w jednej z książek i odtąd pocieszam się nim, ile razy jestem rozczarowana.

- Nie rozumiem, jak można pocieszać się czymś takim - rzekła Maryla.

- Przecież wyrazy te brzmią tak romantycznie i uroczo, jak gdybym była bohaterką jakiejś powieści. Szalenie lubię wszystko, co romantyczne, a cmentarz pogrzebanych nadziei jest chyba czymś najbardziej romantycznym, co sobie można wyobrazić... Prawie jestem rada, iż go posiadam. Czy będziemy jechały przez Jezioro Lśniących Wód?

- Nie przejeżdżamy przez staw Barry'ch, bo zapewne o nim mówisz. Pojedziemy wybrzeżem morskim.

- Wybrzeże morskie! Ślicznie brzmi - rzekła Ania zamyślona. - Ciekawam, czy jest równie piękne jak jego nazwa. Gdy pani powiedziała „wybrzeże morskie”, od razu zobaczyłam je w wyobraźni! Białe Piaski to także ładna nazwa! Ale nie taka ładna jak Avonlea. Avonlea brzmi cudnie, zupełnie jak muzyka! Jak daleko do Białych Piasków?

- Pięć mil. Wobec tego, że będziesz zapewne bezustannie mówiła, mów przynajmniej do rzeczy i opowiedz mi wszystko, co wiesz o sobie.

- O, to, co wiem o sobie, nie jest naprawdę godne opowiadania - rzekła Ania żywo. - Lecz gdyby mi pani pozwoliła opowiedzieć to wszystko, co sobie wyobrażam, bez wątpienia zajęłoby to panią daleko więcej.

- Dziękuję bardzo! Żadnych bajek z wyobraźni! Trzymaj się ściśle faktów. Zaczynj od początku. Gdzie się urodziłaś i ile masz lat?

- W marcu skończyłam jedenaście - rzekła Ania z westchnieniem pełnym rezygnacji, godząc się na owe „ściśle fakty”. - Na świat przyszłam w Bolingbroke, w Nowej Szkocji. Ojciec mój nazywał się Walter Shirley i był nauczycielem w tamtejszym liceum. Matka nazywała się Berta. Czy Berta i Walter to nie ładne imiona? Ja się tak bardzo cieszę, że rodzice moi mieli piękne imiona. Przecież to byłoby okropne, gdyby mój ojciec nazywał się... powiedzmy, na przykład Jedediah?

- Sądę, że to wszystko jedno, jak się kto nazywa. Chodzi jedynie o to, jaki ma charakter - wtrąciła Maryla uważając za odpowiednie wystąpić z morałem.

- Ha, nie wiem - odrzekła Ania w zamyśleniu. - Co prawda, czytałam kiedyś, że jeśliby nawet róża miała inne imię, pachniałaby równie rozkosznie, ale trudno mi w to uwierzyć. Sądę, że nie byłaby tak wspaniała, gdyby się nazywała ostem lub kapustą. Pewnie, że mój ojciec byłby równie miłym człowiekiem, gdyby się nazywał Jedediah... ale” byłoby mu z tym ciężko. Matka moja była także nauczycielką w liceum, ale kiedy wyszła za mąż za mego ojca, rzuciła, rozumie się, posadę. Przecież mąż to już wystarczające zajęcie... Pani Thomas mówiła, że była to para smarkaczy, w dodatku biednych jak myszy kościelne. Zamieszkali w maleńkim, żółtym domku w Bolingbroke. Nigdy nie widziałam tego domku, lecz wyobrażałam go sobie po tysiąc razy. Wokoło okna wiły się niewątpliwie powoje, ganeczek otoczony był bzem, a na trawniku rosły konwalijki. W oknach były firanki muślinowe, bo firanki muślinowe nadają domowi urok. W tym właśnie domku się urodziłam. Pani Thomas mówiła, że byłam najszkaradniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała. Sama skóra i kości, no i oczy. Ale podobno matka moja twierdziła, że byłam nieskończenie piękna. Myślę, że chyba matka umie lepiej osądzić niż biedna posługaczka, która przychodzi do szorowania. W każdym razie jestem zadowolona, że się matce podobałam, byłoby mi bardzo ciężko, gdybym wiedziała, że doznała rozczarowania z mego powodu, bo wkrótce potem umarła. W trzy miesiące po moim urodzeniu umarła na febrę. Jakże żałuję, że nie żyła przynajmniej tak długo, bym mogła wołać na nią „mamo”!... Jak to musi być miło mówić „mamo”! Ojciec umarł w cztery dni po niej, także na febrę. Odtąd nie miałam już rodziców i jak pani Thomas opowiadała, ludzie łamali sobie głowę, co ze mną począć. Widzi pani, już wtedy nikt mnie nie chciał. Taki widocznie mój los...



Rodzice moi przybyli z bardzo daleka i wszyscy wokoło wiedzieli, że nie mają oni żadnych krewnych. Wreszcie pani Thomas powiedziała, że mnie weźmie, chociaż była uboga i miała męża pijaka. Karmiła mnie butelką. Czy pani nie wie, na czym to polega, że ludzie karmieni butelką mają być lepsi od innych? Bo ilekroć uczyniłam coś złego, pani Thomas mówiła tonem wyrzutu, że nie rozumie, jak mogę być tak niegodziwa, skoro wykarmiła mnie butelką.

Państwo Thomas przeprowadzili się z Bolingbroke do Marysville. Byłam u nich do ósmego roku życia. Pomagałam piastować dzieci, a było ich czworo młodszych ode mnie. Niech mi pani wierzy, że to była praca nie lada... Aż tu raz jednego pan Thomas wpadł pod koła pociągu i został zabity. Matka jego ofiarowała się, że przyjmie pod swój dach wdowę z dziećmi, ale mnie wziąć nie chciała. Znowu pani Thomas zaczęła sobie łamać głowę, co ze mną zrobić.

Wtedy to zjawiała się niejaka pani Hammond, mieszkająca dalej nad rzeką, a widząc, że umiem się zajmować małymi dziećmi, postanowiła zabrać mnie do siebie. Odtąd więc mieszkałam na niewielkiej porębie pośród gęstego, ciemnego lasu. Było tam strasznie pusto. Jestem pewna, że nie wyżyłabym tam nigdy, gdybym nie posiadała swej wyobraźni. Pan Hammond pracował w niewielkim tartaku, a pani Hammond miała ośmioro dzieci. Trzy razy z rzędu miała bliźnięta. Kocham bardzo dzieci, jeśli nie jest ich zbyt dużo naraz, ale bliźnięta trzy razy z kolei... to już za wiele. Powiedziałam to pani Hammond bardzo stanowczo, kiedy ostatnia para przyszła na świat. Tak strasznie byłam zmęczona od wiecznego dźwigania tych dzieci...

W tym lesie nad rzeką mieszkałam pełne dwa lata, aż wreszcie pan Hammond umarł, a pani zwinęła gospodarstwo. Dzieci swe rozdała krewnym, sama zaś pojechała do Stanów Zjednoczonych. Mnie nikt nie chciał wziąć, więc odesłano mnie do Domu Sierot w Hopetown.

Ale i w przytułku nie chcieli mnie przyjąć. Odpowiedzieli, że mają przepełnienie. Jednakże musieli, bo gdzież miałam się podziać? Spędziłam tam cztery miesiące do dnia przybycia pani Spencer.

Ania zakończyła swe opowiadanie westchnieniem. Tym razem było to westchnienie ulgi. Widocznie nieprzyjemnie było jej wspominać swe losy na świecie, w którym nikt jej nigdy nie pragnął.

- Czy chodziłaś kiedy do szkoły? - spytała Maryla kierując klacz na drogę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża.

- Niewiele. Chodziłam do szkoły tylko w czasie ostatniego roku mego pobytu u pani Thomas. Kiedy mieszkalam nad rzeką, szkoła była tak daleko, że w zimie nie mogłam się tam dostać, w lecie zaś dzieci mają wakacje, pozostawała więc na naukę tylko jesień i wiosna. Ale w Domu Sierot, rozumie się, chodziłam do szkoły. Umiem dobrze czytać, umiem na pamięć wiele pięknych wierszy, na przykład „Bitwa pod Hohenlinden”, wyjątki z „Pani Jeziora”, prawie całe „Pory roku” Jamesa Thompsona i wiele innych. Czy pani lubi takie wiersze które przeszywają człowieka dreszczem wzdłuż krzyża? W wypisach na piątą klasę jest taki wiersz: „Upadek Polski”. Ileż on dreszczy wywołuje! Ja naturalnie nie byłam w piątej klasie, tylko w czwartej, ale starsze dziewczynki pożyczaly mi swoje wypisy do czytania.

- Czy te kobiety, pani Thomas i pani Hammond, były dobre dla ciebie? - spytała Maryla patrząc ukradkiem na Anię.

- O-o-o! - zająknęła się Ania. Jej wrażliwą twarzyczkę oblał nagle szkarłatny rumieniec. Widocznie była zakłopotana. - Z pewnością miały ten zamiar... Chciały być możliwie dobre i miłe. A jeśli ludzie chcą, to przecież nie można im brać za złe, że nie zawsze im się to udaje. Przecież i one same miały ciężkie życie... Czyż to nie straszne, taki mąż, co ciągle pije? Albo czyż nie trzeba świętej cierpliwości, żeby mieć bliźnięta trzy razy z kolei? Jednak jestem pewna, że chciały być dla mnie dobre.

Ania zamilkła przyglądając się z zachwytem wybrzeżu. Maryla nie stawiała więcej pytań, w roztargnieniu trzymała lejce, podczas gdy rozmaite myśli krążyły jej po głowie.

Nagle ogarnęła ją litość dla tego dziecka. Jakież ubogie, pozbawione miłości miało ono życie!... Życie ciężkiej pracy, ubóstwa i sieroctwa! Bo Maryla była dość inteligentna, aby w opowiadaniu dziewczynki umieć czytać pomiędzy wierszami i odgadnąć prawdę.

Nic dziwnego, że myśl o domu, nadzieja uzyskania rodziny wprawiła ją w taki zachwyt. Szkoda w istocie, że trzeba ją będzie odesłać do przytułku. Co by się stało, gdyby Maryla nie sprzeciwiła się owej dziwacznej zachciance Mateusza i zatrzymała ją? Niewątpliwie życzył sobie tego, a dziewczynka wydawała się miłym, pojętym stworzeniem.

„Mówi za wiele - pomyślała Maryla - ale można by to z niej wykorzenić. A zresztą w tym, co mówi, nie ma nic pospolitego ani prostackiego. Jest w niej nawet coś z młodej damy. Widocznie rodzice jej byli to ludzie przyzwoici”.

Wybrzeże morskie było dzikie, zarośnięte i puste. Po prawej stronie rosły gęste, karłowate jodły, których nie zdołały złamać lata walk z wichrami morskimi. Wznoszące się na lewo, strome urwisko czerwonych skał piaskowych opadało niekiedy tak blisko drogi, że koń nieco mniej spokojny od kasztanki byłby niejednokrotnie wystawił na próbę nerwy jadących. U stóp skał leżały stosy kamieni wyflukanych przez fale morskie i błyszczwały małe,

piaszczyste zatoczki, usiane lśniącymi kamyczkami niby klejnotami oceanu. Dalej rozpościerało się morze, błyszczące i szafirowe, a ponad nim uwijały się mewy, których silne skrzydła ciskały srebrne błyskawice w promieniach słońca.

- Czy morze nie jest czymś wspaniałym? - spytała Ania budząc się z długiego milczenia. - Pewnego razu, kiedy mieszkałam w Marysville, pan Thomas wynajął specjalny wóz i pojechaliśmy na cały dzień nad morze o kilka mil dalej. Cieszyłam się każdą chwilą owego dnia, pomimo że musiałam pilnować dzieci. Wspomnieniami tej wycieczki żyłam długo, długo... Ale to wybrzeże jest piękniejsze od wybrzeża Marysville. A czy mewy nie są cudne? Czy pani nie chciałaby być mewą? Ja chciałabym bardzo... gdybym nie była człowiekiem, rozumie się. Jakże musi być miło zbudzić się o czerwonym wschodzie słońca, żeglować dzień cały w błękitnych przestworzach ponad morzami! A wieczorem powrócić do swego domu. Do własnego gniazda! Ach, jak dobrze mogę to sobie wyobrazić!... Cóż to za olbrzymi dom tam przed nami?

- To hotel w Białych Piaskach. Prowadzi go niejaki pan Kirke, ale sezon jeszcze się nie zaczął. Tłumy Amerykanów przyjeżdżają tu na lato. Zachwycają się tym wybrzeżem.

- Bałam się, że to dom pani Spencer - rzekła Ania smutnie. - Wcale mi do niego niepilno. To tak, jakby się już wszystko skończyło.

## VI. CO POSTANOWIŁA MARYŁA

Jednak przybyły tam. Pani Spencer mieszkała w dużym, żółtym domu, tuż nad Zatoką Białych Piasków. Wybiegła na ganek, a radość i zdumienie malowały się na przemian na jej dobroduszej twarzy.

- Mój ty Boże! - zawołała. - Wcale się was dzisiaj nie spodziewałam, ale jestem serdecznie rada. Chyba wyprzęgniemy klacz, panno Maryło? Jakże się miewasz, Aniu?

- Dziękuję, dobrze - odrzekła Ania bez śladu uśmiechu. Cień smutku padł na jej twarzyczkę.

- Wejdziemy na” chwilę, nim klacz wypocznie - powiedziała Maryła. - Przyrzekłam Mateuszowi powrócić wcześniej. Widzi pani, zaszło tu jakieś nieporozumienie i właśnie przyjechałam, aby rzecz wyjaśnić. Zwróciliśmy się do szwagra pani, aby w naszym imieniu poprosił panią o przywiezienie nam chłopca z Domu Sierot. Mówiliśmy, że chodzi nam o chłopca dziesięcio- lub jedenastoletniego...

- Czy być może, Maryło? - przerwała pani Spencer zdumiona. - Wszak Robert przysłał mi córeczkę swoją, Nancy, z wiadomością, że pragniecie wziąć dziewczynkę... czyż nie, Florciu? - zwróciła się z zapytaniem do wychodzącej właśnie na ganek córki.

- Ależ tak, bez wątpienia - potwierdziła Florcia stanowczo.

- Bardzo mi przykro - rzekła pani Spencer - że się tak stało, ale nie z mojej winy. Staralam się to załatwić jak najlepiej i byłam pewna, że postąpiłam zgodnie z pani życzeniem. Nancy jest nieznośny wartogłów. Ileż razy gniewalam się na nią za jej rozrzepanie!

- Co prawda, myśmy zawinili - rzekła Maryła z rezygnacją. - Należało załatwić to osobiście, a nie prosić przez kogoś. Trudno, zaszła pomyłka i teraz trzeba tylko pomyśleć, jak by ją naprawić. Czy możemy odesłać małą do przytułku? Chyba ją przyjmą z powrotem, prawda?

- Przypuszczam - rzekła pani Spencer w zamyśleniu. - Ale może nie trzeba jej będzie wcale odsyłać. Wczoraj była u mnie pani Piotrowa Blewett i bardzo żałowała, że nie prosiła mnie o przywiezienie dla niej dziewczynki do pomocy w domu. Pani Blewett ma, jak wiadomo, liczną rodzinę i trudno jej znaleźć jakąś pomoc. Ania będzie dla niej odpowiednim nabytkiem. Uważam to naprawdę za zrządzenie Opatrzności.

Maryla nie robiła teraz wrażenia osoby, która wierzy, iż Opatrzność wtrąciła się do tej sprawy. Wprawdzie była to znakomita sposobność pozbycia się niepożądanego sieroty, a jednak w tej chwili nie czuła za to najmniejszej wdzięczności.

Panią Piotrowa Blewett znała jedynie z widzenia. Była to chuda, koścista, zrędliva kobieta. Mówiono o niej, że jest bardzo wymagającą gospodynią. Dziewczęta, które porzucały u niej służbę, opowiadały niestworzone rzeczy o jej przykrym charakterze i złośliwości, jak również o jej dokuczliwych, kłócących się stale dzieciach. Maryla poczuła jakby wyrzut sumienia na myśl o wydaniu Ani na łaskę takich ludzi.

- Dobrze - rzekła obojętnie - wstąpię do niej i pomówię w tej sprawie.

- Ale czyż to nie pani Blewett we własnej osobie idzie tu drogą? - zawołała pani Spencer wprowadzając gości z przedpokoju do bawialni, gdzie wionął na nich taki chłód, jak gdyby powietrze w przejściu przez ciemnozielone, szczelnie zasunięte żaluzje straciło całe swe ciepło.

- Co za szczęśliwy traf! Możemy od razu załatwić sprawę. Niechże pani siada na fotelu, Marylo. A ty, Aniu, siądź na otomanie, tylko nie wierz się. Dajcie mi wasze kapelusze. Florciu, pójdź nastaw herbatę. Dobry wieczór, pani Blewett! Właśnie mówiłyśmy, jak to dobrze, że pani tu przyszła. Pozwolę sobie zaznajomić panie. Pani Blewett, panna Cuthbert. Przepraszam was na chwilę! Zapomniałam powiedzieć Florci, żeby wyjęła rogaliki z pieca.

I pani Spencer wybiegła żwawo, podniósłszy przedtem żaluzje. Ania siedziała milcząca i nieruchoma, z rękami złożonymi na kolanach, patrząc jak urzeczona na panią Blewett.

Czyż naprawdę oddadzą ją tej kobiecie o kościstej twarzy i surowym spojrzeniu? Czuła, że łyzy uwięzły jej w gardle, a oczy zaszyły mgłą. Ze strachem pomyślała, że nie potrafi powstrzymać się od płaczu.

Właśnie wróciła pani Spencer, zgrzana, lecz rozpromieniona, gotowa podjąć się bez zwłoki rozstrzygnięcia każdej trudnej sprawy.

- Zaszło tu nieporozumienie co do tej dziewczynki - rzekła do pani Blewett. - Byłam pewna, że państwo Cuthbert życzą sobie wziąć dziewczynkę na wychowanie. Tak mi powiedziano. Tymczasem prosili o przysłanie chłopca. Wobec tego, jeśli pani nie zmieniła od wczoraj zamiaru, dziewczynka ta byłaby dla niej, sędzę, bardzo odpowiednim nabytkiem.

Pani Blewett przeszła Anię spojrzeniem od stóp do głów.

- Ile masz lat i jak się nazywasz? - spytała.

- Anna Shirley - odpowiedziało przerażone dziecko drżącym głosem, nie mając odwagi poprosić, aby nie nazywano ją Andzią. - Mam lat jedenaście.

- Hm, nie wyglądasz na tyle. Ale jesteś pewnie zwinna. Moim zdaniem, zwinni ludzie to najlepsi robotnicy. Jeśli cię wezmę, musisz się porządnie sprawować - być pilną, pracowitą, prędką i posłuszną. Mam nadzieję, że uczciwie zapracujesz na swoje utrzymanie... A więc wezmę ją, panno Cuthbert. Pani się jej pozbędzie. Mój maleńki jest taki rozkapryszony, że brak mi już cierpliwości. Jeżeli pani sobie życzy mogę ją natychmiast zabrać do siebie.

Maryla spojrzała na Anię i serce jej ścisnął jakiś dziwny ból na widok bladej twarzyczki z wyrazem niemej rozpacz - rozpacz małego, niewinnego stworzenia, zamykanego znowu w klatce, z której się właśnie wyrwało. Maryla doznała przykrego, lecz mocnego wrażenia, że jeśli nie uczyni zadość błagalnej prośbie zawartej w tym spojrzeniu, będzie ją ono prześladowało aż do śmierci. Przy tym czuła, że nie lubi pani Blewett. Oddać to wrażliwe dziecko takiej kobiecie! Nie mogła wziąć na siebie odpowiedzialności za coś podobnego.

- Nie wiem jeszcze... - rzekła powoli. - Nie twierdzą, że bezwarunkowo nie chcemy jej zatrzymać. A nawet muszę przyznać, że brat mój życzy sobie, by została u nas. Właściwie przyjechałam tutaj, aby się dowiedzieć, w jaki sposób zaszło to nieporozumienie... Teraz zdaje mi się, że najlepiej uczynię, gdy powróciwszy do domu, raz jeszcze rozmówię się z Mateuszem. Nie mogę teraz postanowić nic ostatecznego bez naradzenia się z nim. W razie jednak, gdybyśmy postanowili jej nie zatrzymywać, przywiozę ją lub odeślę do pani jutro wieczorem. Jeśli tego nie uczynię, znaczy, że pozostanie u nas. Czy pani się na to zgadza, pani Blewett?

- Muszę się zgodzić - odpowiedziała opryskliwie zapytana.

Podczas gdy Maryla to mówiła, zdawało się, że słońce znowu zajaśniało na twarzyczce Ani. Przede wszystkim zgasł na niej wyraz rozpacz, potem zakwitł lekki promień nadziei, a oczy zaśniły jak dwie gwiazdy poranne. Dziewczynka była jak przeistoczona, a kiedy po chwili pani Blewett wraz z gospodynią wyszły poszukać jakiegoś przepisu kulinarnego, po który pani Blewett przybyła, Ania rozpromieniona przypadła do kolan Maryli.

- Ach, panno Cuthbert, czy pani naprawdę powiedziała, że może zatrzymacie mnie na Zielonym Wzgórzu? - szeptała bez tchu, jak gdyby ta cudna możliwość mogła się rozwiać od głośniejszego dźwięku. - Czy pani naprawdę tak powiedziała? Czy może tylko tak sobie wyobraziłam?

- Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś się nauczyła trzymać na wodzy swą imaginację - rzekła Maryla sucho. - Wtedy potrafiłabyś rozróżnić rzeczywistość od przywidzeń, ręczę za to.

Tak, właśnie tak powiedziałam. Ale nie ma w tym jeszcze nic pewnego i być może, iż ostatecznie pani Blewett cię zabierze. Z pewnością jesteś jej bardziej potrzebna niż mnie.

- W takim razie wołałabym powrócić do Domu Sierot! - wybuchnęła Ania. - Przecież ona wygląda zupełnie jak... jaszczurka.

Maryla powstrzymała się od uśmiechu, uważając, że Anię należy złączyć za podobną uwagę. - Wstyd, żeby mała dziewczynka wyrażała się w ten sposób o starszej i obcej osobie - rzekła surowo. - Wracaj na swoje miejsce, zachowuj się spokojnie i trzymaj język na wodzy, jak dobrze wychowana panienka.

- Postaram się o to i będę robiła wszystko, co mi pani każe. Tylko zatrzymajcie mnie!  
- prosiła Ania wracając posłusznie na swoje miejsce.

Gdy tegoż wieczora powrócili do domu, Mateusz oczekiwał je na gościńcu. Maryla już z dala spostrzegła brata, chodzącego, tam i z powrotem, i odgadła przyczynę jego niepokoju. Była przygotowana na wyraz zadowolenia, jaki wyczytała w jego twarzy, gdy zobaczył, że powraca z Anią. Ale nie mówiła z nim o tej sprawie, dopóki nie znaleźli się sami na podwórzu przy dojeniu krów. Wtedy opowiedziała mu w krótkich słowach historię dzieciństwa Ani i wynik swej rozmowy z panią Spencer.

- Nie powierzyłbym nawet psa tej babie Blewett - rzekł Mateusz z niezwykłą zaciętością.

- I ja jej nie lubię - przyznała Maryla - lecz mamy do wyboru: albo Anię jej oddać, albo zatrzymać ją u nas. A ponieważ ty, Mateuszu, jak mi się zdaje, chcesz, by Ania została, będę zmuszona ostatecznie zgodzić się na to. Tak wiele zastanawiałam się nad tym wszystkim, że wreszcie przywykłam do tej myśli. Wydaje mi się to pewnego rodzaju obowiązkiem... Nigdy wprawdzie nie wychowywałam dziecka, a wychowywanie dziewczynki to zapewne jeszcze trudniejsza sprawa. Myślę, że będę miała z tym dużo kłopotu... Ale zrobię wszystko, co będę mogła... A więc co do mnie, zgadzam się, by została.

Ponura twarz Mateusza rozjaśniła się.

- Wiedziałem, że tak postąpisz, Marylo - rzekł. - To takie ciekawe stworzenie.

- Lepiej byłoby, gdybyś mógł powiedzieć, że to pożyteczne stworzenie - burknęła Maryla. - Postaram się, by nim została. Tylko pamiętaj, Mateuszu, nie wtrącaj się do mojej metody postępowania. Wprawdzie stara panna niewiele wie o wychowywaniu dzieci, sędzę jednak, że stary kawaler wie o tym jeszcze mniej. Najśluszniej więc będzie, jeśli mnie pozostawisz tę sprawę. Gdybym nie potrafiła dać sobie rady, ty mi pomożesz.

- Ależ, rozumie się, Marylo, że będziesz postępowała, jak zechcesz - zapewniał Mateusz siostrę. - Tylko bądź dla niej dobra i łagodna, nie psując jej bynajmniej... Wydaje mi

się, że ona należy do tych istot, z którymi można wszystko przeprowadzić, jeżeli tylko postępuje się z miłością.

Maryla chrząknęła, aby wyrazić pogardę dla metody wychowawczej Mateusza, i poszła do spiżarni z konwiami mleka.

„Nie powiem jej dziś wieczór, że zostanie u nas - myślała, zajęta rozlewaniem mleka do dzieżek. - Będzie tak podniecona, że nie zaśnie. Tak, Marylo, ładnie się urządziłaś! Czyś przypuszczała kiedykolwiek, że doczekasz się dnia, w którym weźmiesz sierotkę na wychowanie? W istocie zadziwiające! Lecz daleko dziwniejsze jest to, że przyczyną całej tej sprawy jest Mateusz, który tak śmiertelnie bał się małych dziewczynek... Jakkolwiek się stało, podjęliśmy się trudnego zadania i Bóg tylko wie, co z tego wszystkiego wyniknie”.



## VII. MODLITWA ANI

Tego wieczora, odprowadzając Anię do pokoiku na facjacie, Maryła rzekła surowo:

- Wiesz, Aniu, zauważyłam wczoraj, iż rozebrawszy się, rozrzuciłaś ubranie po podłodze. Jest to brzydkie przyzwyczajenie, którego nie znoszę. Każdą część ubrania powinnaś, rozebrawszy się, starannie ułożyć. Nie lubię dziewczynek nie dbających o porządek.

- Wczoraj wieczorem byłam tak zrozpaczona, że nie myślałam o ubraniu - odpowiedziała Ania. - Dziś ułożę wszystko jak najskrupulatniej. W przytułku surowo przestrzegano tego. Co drugi dzień, co prawda, zapominałam o tym... Tak się zawsze śpieszyłam, żeby jak najprędzej położyć się do łóżka i móc w spokoju zatonać w marzeniach...

- Tutaj, jeśli zostaniesz, musisz lepiej o tym pamiętać - upominała Maryła. - Ot, tak, teraz to wszystko jest w porządku. Zmów modlitwę i połóż się spać.

- Nigdy się jeszcze nie modliłam! - oświadczyła Ania. Maryła spojrzała ze zdumieniem.

- Co też ty wygadujesz, Aniu? Czyż nie uczono cię nigdy modlitwy? Bóg żąda, by małe dziewczynki zawsze mówiły pacierz. Czy wiesz, Aniu, kto to jest Bóg?

- Bóg jest to duch, nieskończony, wieczny i niezmienny, najwyższa doskonałość i prawda, wszechmocny, wszystkowiedzący, rozumny, sprawiedliwy i dobry - wyrecytowała Ania szybko i płynnie.

Maryła uspokoiła się nieco.

- Więc jednakże masz jakieś pojęcie. Nie jesteś zupełną poganką. Gdzie nauczyłaś się tego?

- O, w niedzielnej szkole Domu Sierot. Uczyli nas tam całego katechizmu. To mi się bardzo podobało. Jest coś wspaniałego w wyrazach: „Nieskończony, wieczny i niezmienny”. Jakie to potężne! Jest w tym głęboki, pełny ton, jak gdyby grały wielkie organy. Nie można tego nazwać poezją, ale jednakże bardzo ją przypomina.

- Nie rozprawiamy teraz o poezji, Aniu... mówimy o wieczornej modlitwie. Czy nie wiesz, że to brzydko nie modlić się każdego wieczora? Obawiam się, że jesteś bardzo niedobrym dzieckiem.

- Pani także łatwiej byłoby być niedobłą niż dobrą, gdyby pani miała rude włosy - rzekła Ania z wyrzutem. - Ci, co nie mają rudych włosów, nie wiedzą wcale, jakie to okropne. Pani Thomas powiedziała, że Bóg umyślnie dał mi rude włosy. Od owej chwili przestałam się Nim zajmować.. A zresztą wieczorami bywałam zbyt zmęczona, aby móc się jeszcze troszczyć o pacierz. Od ludzi, którzy muszą cały dzień piastować bliźnięta, nie powinno się wymagać, aby pamiętali jeszcze o modlitwie. Czy pani nie jest tego samego zdania?

Maryla doszła do wniosku, że do religijnego wychowania Ani należy przystąpić bezzwłocznie, nie ma czasu do stracenia.

- Musisz odmawiać modlitwę, dopóki jesteś pod moim dachem, Aniu - rzekła.

- Ależ, owszem, jeśli pani sobie tego życzy - odpowiedziała wesoło dziewczynka. - Uczynię wszystko, by panią zadowolić. Tylko dziś proszę mi powiedzieć, co mam mówić. Leżąc w łóżku, ułożę sobie jakąś bardzo piękną modlitwę, którą odtąd będę codziennie odmawiała. Jestem pewna, że to będzie coś bardzo zajmującego.

- Musisz uklęknąć - rzekła Maryla, trochę zakłopotana. Ania uklękła u kolan Maryli i z powagą spojrzała na nią.

- Dlaczego właściwie należy klękać do modlitwy? Gdybym ja szczerze pragnęła się pomodlić, wiem, co bym uczyniła. Poszłabym sama, samiutka na wielką, piękną łąkę albo lepiej jeszcze do dużego, ciemnego lasu i patrzyłabym na obłoki, het, w górę, w te cudne, bezgraniczne, błękitne niebiosa. Wtedy po prostu odczuwałabym modlitwę... Jestem gotowa. No i co mam powiedzieć?

Maryla była wciąż zakłopotana. Miała zamiar nauczyć Anię tego codziennego, dziecięcego pacierza: „Kiedy się do snu układam”. Lecz jak to już kiedyś wspominaliśmy, Maryla miewała przebłycki poczucia humoru - jest to po prostu inne określenie umiejętności wyczucia tego, co jest dla kogo właściwe. Toteż odczuła natychmiast, że naiwny pacierz, ułożony dla maleństw w białych koszulkach, szepczących go u kolan kochających matek, był nieodpowiedni dla tego piegowatego stworzenia nie znającego Bożej miłości ani też nie troszczącego się o nią, skoro mu jej nigdy nie ofiarowano za pośrednictwem miłości ludzi.

- Jesteś dość duża, abyś potrafiła pomodlić się bez niczyjej pomocy - rzekła wreszcie.

- Podziękuj Bogu za wszystkie dobrodziejstwa, jakich doznałaś, i proś Go pokornie o spełnienie twoich życzeń.

- Dobrze, postaram się jak najlepiej - przyrzekła Ania kryjąc twarz na kolanach Maryli.

- Litościwy Ojciec Niebieski - tak mówią księża w kościołach, więc można pewnie i u siebie w domu tak mówić... Prawda? - przerwała podnosząc na chwilę głowę. - Litościwy

Ojciec Niebieski, dziękuję Ci za Jezioro Lśniących Wód, za Białą Drogę Rozkoszy, za Królową Śniegu i za Jutrzenkę. Jestem Ci za to naprawdę niewymownie wdzięczna. To są wszystkie dobrodziejstwa, jakie sobie w tej chwili przypominam i za które Ci się należy podziękowanie. Co się tyczy moich życzeń, jest ich tak wiele, że w tej chwili nie starczyłoby mi czasu na wyliczanie ich. Wymienię więc tyłka dwa najważniejsze. Pozwól mi pozostać na Zielonym Wzgórzu i uczyn mnie piękną, gdy dorosnę. Pozostaję z szacunkiem Twoja Ania Shirley.

No i cóż, dobrze? - spytała, spieszenie podnosząc się z kolan. - Gdybym miała więcej czasu, z pewnością dobrałabym piękniejsze wyrażenia.

Trudno byłoby opisać uczucia biednej Maryli. Pocieszała się nieco przeświadczeniem, że ta niezwykle oryginalna modlitwa była skutkiem nieświadomości, nie zaś braku szacunku ze strony dziecka. Starannie otuliła Anię kołdrą, przyrzekając sobie w duchu, że nazajutrz każe jej się nauczyć prawdziwego pacierza. Wychodziła już z pokoiku, zabierając świecę, kiedy Ania przywołała ją znowu.

- Przypomniałam sobie właśnie - rzekła - że powinnam była powiedzieć „amen” zamiast „z szacunkiem”. Przecież tak mówią księża w kościołach. Zapomniałam o tym, ale wiedziałam, że pacierz musi mieć jakieś zakończenie, więc dałam takie. Czy pani myśli, że to wielka różnica?

- Nie... nie sądzę... - rzekła Maryla. - Śpij spokojnie, dobranoc!

- Dziś mówię „dobra” noc z czystym sumieniem - rzekła Ania wtulając się z rozkoszą w poduszki.

Maryla wróciła do kuchni, postawiła energicznie świecę na stole i zwróciła się ku Mateuszowi:

- W istocie, Mateuszu, wielki czas, aby ktoś wziął to dziecko i zajął się jego wychowaniem. Jest to prawie zupełna poganka. Czy uwierzyłbyś, że się nigdy w życiu nie modliła? Muszę zaraz jutro pójść na plebanie pożyczyć dla niej modlitewnik dla młodzieży. Zaczęję ją też posyłać do szkoły niedzielnej, gdy tylko zdołam jej uszyć jakieś ubranie. Przewiduję, że będę miała pełne ręce roboty... Tak, tak, każdy musi mieć w życiu swoją porcję kłopotów. Dotąd wiodłam spokojny żywot. Teraz przyszła na mnie kolej ciężkich dni i muszę z rezygnacją poddać się losowi.

## VIII.

### ZACZYNA SIĘ WYCHOWYWANIE ANI

Z przyczyn jej tylko wiadomych Maryla dopiero po południu powiedziała Ani, że zatrzymuje ją na Zielonym Wzgórzu. Przed obiadem powierzała jej wykonanie rozmaitych zajęć i pilnym okiem przyglądała się pracy dziewczynki. Już po tych kilku godzinach przekonała się dostatecznie, że Ania była zręczna i posłuszna, chętna do pracy i pojętna. Główną jej wadę stanowiła pewna skłonność do wpadania w zadumę. Wtedy podczas największej nawet roboty zapominała o wszystkim i dopiero głośna uwaga lub jakieś szczególne wydarzenie sprowadzały ją na ziemię.

Skończywszy zmywanie naczyń po obiedzie, Ania stanęła nagle przed Marylą ze zrozpaczoną miną człowieka, który jest gotów wysłuchać najgorszego wyroku. Wątku jej postać drżała od stóp do głów, twarzyczka była rozgorączkowana, oczy wydawały się prawie czarne. Złożywszy dłonie, rzekła błagalnym tonem:

- Ach, panno Cuthbert! Błagam, niechże mi pani powie, czy mnie odeślecie, czy też nie? Całe przedpołudnie starałam się być cierpliwa, ale teraz czuję, że nie potrafię znieść dłużej tej niepewności. To takie straszne uczucie! Proszę mi wreszcie powiedzieć!

- Nie wyparzyłaś ścierki w gorącej wodzie, jak ci kazałam - odrzekła niewzruszenie Maryla. - Zanim zwrócisz się do mnie z pytaniem, zechciej to uczynić.

Ania pobiegła spełnić rozkaz, po czym powróciła do Maryli i utkwiała w jej twarzy błagające spojrzenie.

- Dobrze - odpowiedziała Maryla nie mogąc już znaleźć nowej wymówki dla odwołania ostatecznej odpowiedzi. - Myślę, że już mogę ci to powiedzieć. Brat mój i ja postanowiliśmy zatrzymać cię, rozumie się, jeśli będziesz się starała być dobrą i posłuszną dziewczynką. Ale co się z tobą dzieje, dziecko?

- Płaczę - rzekła Ania ze zdumieniem. - Tylko nie wtem dlaczego. Cieszę się tak, jak tylko człowiek cieszyć się potrafi. Ach, cieszyć się - to nieodpowiednie wyrażenie. Cieszyłam się z powodu białych kwiatów wiśni i z powodu Białej Drogi Rozkoszy, ale to jest coś więcej! Jestem szczęśliwa! Postaram się być taka dobra. Będzie to bardzo trudna sprawa, przypuszczam, gdyż pani Thomas zawsze mi mówiła, że jestem zupełnie zwariowana. Ale zrobię, co tylko będę mogła. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego płaczę.

- Chyba dlatego, że jesteś bardzo podniecona i wzruszona - rzekła Maryla tonem nagany. - Usiądź na tym oto krześle i staraj się uspokoić. Boję się, że jesteś zbyt skłonna

zarówno do płaczu, jak i do śmiechu. Tak, pozostaniesz więc u nas i postaramy się, by ci było dobrze. Będiesz uczęszczała do szkoły. Nie zaczniesz jednak nauki przed wrześniem, bo teraz już tylko dwa tygodnie dzielą nas od letnich wakacji.

- A jak powinnam panią nazywać? - spytała Ania. - Czy mam zawsze mówić: panno Cuthbert? Czy nie mogłabym po prostu nazywać pani ciocią Marylą?

- Nie, nazywaj mnie tylko Marylą. Nikt nie mówi do mnie „panno Cuthbert”. Drażniłoby mnie to.

- A czy nie będą tego uważali za pewien brak szacunku? - ośmieliła się zaprotestować Ania.

- Co to, to nie, jeśli będziesz do mnie mówić z odpowiednim szacunkiem. Wszyscy w Avonlea, młodzi i starzy, nazywają mnie Marylą. Tylko pastor mówi czasem „panno Cuthbert”, kiedy o tym pamięta.

- Ja bym jednak wolała mówić „ciociu Maryło” - prosiła dalej Ania. - Nie miałam nigdy żadnej ciotki ani krewnej... nawet babki. Zdawałoby mi się, że naprawdę należę do pani. Czy mogę mówić „ciociu”?

- Nie, nie jestem twoją ciotką i nie lubię dawać ludziom tytułów, których nie mają.

- Ależ mogłaby pani sobie wyobrazić, że jest moją ciocią!

- O, bynajmniej. Ja tego nie potrafię! - odrzekła Maryła sucho.

- Czy pani się nigdy nie zdaje, że rzeczy są często inne, niż są w rzeczywistości? - spytała Ania, szeroko otwierając oczy.

- Nie!

- Ach! - Ania głęboko westchnęła. - Panno... Ach, Maryło, jakże wiele pani traci!

- Nie uważam tego... Po cóż widzieć rzeczy innymi, niż są rzeczywistości? - odpowiedziała Maryła. - Jeśli Bóg stworzył nas w takim, a nie w innym świecie, to nie po to, byśmy sobie ten świat wyobrażali inaczej. Aha, to mi coś przypomniało. Wejdz do pokoju, tylko wytrzymaj nogi i nie wpuść much, i podaj mi ten obrazek, który stoi na kominku. Jest tam wydrukowana modlitwa „Ojcze nasz”. Cały swój wolny czas dziś po południu poświęcisz na wyuczenie się jej na pamięć; nie chcę takich modlitw, jakie słyszałam wczoraj wieczorem.

- Pewnie że to był dziwny pacierz - tłumaczyła się Ania. - Ale nie miałam jeszcze żadnego doświadczenia. Nie można wymagać, by ktoś modląc się po raz pierwszy w życiu robił to pięknie, prawda? Położywszy się spać, wymyśliłam, jak to pani przyrzekłam, przesłiczną modlitwę... Była prawie tak długa, jakby ją sam pastor napisał, i taka poetyczna! Ale czy pani uwierzy? Kiedy zbudziłam się dziś rano, nie pamiętałam ani jednego słowa! Obawiam się też, że nie potrafię już nigdy ułożyć równie pięknej. Nie wiem wprawdzie

dlaczego, ale gdy się coś wymyśla po raz drugi, to jest zawsze brzydsze od tego, co się wymyśliło pierwszym razem. Czy pani to zauważyła?

- Jest coś, co ty powinnaś zauważyć, Aniu. Ilekroć każę ci coś uczynić, słuchaj natychmiast i nie zatrzymuj się, by rozprawiać o tej sprawie. Otóż pójdz i zrób, co ci poleciłam.

Ania natychmiast przeszła sienią do bawialni, ale długo nie powracała. Po dziesięciu minutach oczekiwania Maryla odłożywszy robótkę i zacisnąwszy wargi poszła za nią. Zastała dziewczynkę stojącą nieruchomo przed obrazem zawieszonym pomiędzy oknami. Ręce założyła z tyłu, błyszczące, rozmarzone oczy wzniosła ku górze. Białe i zielone światło, płynące tu od jabłoni i dzikiego wina, oblewało małą postać blaskiem prawie nierealnym.

- O czym myślisz, Aniu? - spytała ostro Maryla. Ania ocknęła się z zadumy.

- O tym - rzekła wskazując na wcale dobrą reprodukcję obrazu „Chrystus błogosławiący dzieci”. - Właśnie wyobrażałam sobie, że jestem jednym z nich, tą oto małą dziewczynką w niebieskiej sukience, stojącą w kącie, jak gdyby nie należała do nikogo, zupełnie jak ja... Wydaje się smutna i opuszczona, prawda? Ręcę, że nie ma ani ojca, ani matki. Chcąc jednak otrzymać błogosławieństwo, wśliznęła się w kącik, z dala od innych, mając nadzieję, że jej nikt nie zauważy prócz Niego. Jestem pewna, że wiem, jak się czuła, serduszko jej dygotało, a ręce były zimne jak moje wtedy, gdy się pytałam, czy mnie zatrzymacie. Lękała się, że On jej może nie zauważyć. Ale On spostrzegł ją, prawda? Staralam się wyobrazić sobie to wszystko. Jak zbliżała się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie znalazła się tuż obok, a wtedy On ją spostrzegł i położył Swą rękę na jej głowie. Ach, jakież dreszcz rozkoszy musiał ją przeniknąć!... Pragnęłabym tylko, aby malarz nie przedstawił Go takim zatroskanym. Chociaż taka jest Jego twarz na wszystkich obrazach, nie wiem, czy Maryla to zauważyła. Nie sądzę, aby w rzeczywistości wyglądał tak smutnie, bo wtedy dzieci na pewno by się Go lękały.

- Aniu - rzekła Maryla, sama dziwiąc się temu, że dawno nie przerwała dziewczynce. - Nie wolno ci tego mówić. Jest to brak szacunku... zupełny brak szacunku.

Oczy Ani wyraziły zdumienie.

- Ach, ja czuję tyle szacunku... Proszę mi wierzyć, że nie miałam nic złego na myśli.

- O, wierzę ci. Ale o tych sprawach nie wolno mówić tak bezceremonialnie. Chciałam ci jeszcze na coś zwrócić uwagę, Aniu! Kiedy cię posyłam po cokolwiek, wracaj natychmiast, a nie zatrzymuj się i nie gap jak przed tym obrazem. Pamiętaj o tym! A teraz weź ten mały obrazek i chodź ze mną do kuchni. Tak, siadź „w kącie i naucz się tej modlitwy na pamięć.

Ania oparła przyniesiony obrazek o dzban pełen kwiatów jabłoni, który ustawiła przy obiedzie dla przystrojenia stołu - Maryla krzywym okiem patrzyła na tę dekorację, ale nic nie powiedziała - i oparłszy twarz na dłoniach, spoglądała przez kilka chwil w milczeniu na wydrukowane wyrazy.

- To mi się podoba - rzekła wreszcie. - Jakie to piękne! Już raz to słyszałam, kiedy rektor w niedzielnej szkole Domu Sierot odczytywał te zdania głośno. Ale wówczas nie podobało mi się wcale, bo mówił skrzekliwym i żalobnym głosem. Czułam wprost, że on uważa modlitwę za nieprzyjemny obowiązek. To nie jest poezja, a jednak wywiera wrażenie poezji. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje”... Czy nie brzmi to jak muzyka? Ach, jak się cieszę, że mi pani... Maryla kazała się tego nauczyć.

- Ucz się i bądź cicho - rzekła krótko Maryla.

Ania przysunęła ku sobie wazon z kwiatami jabłoni, aby móc od czasu do czasu ucałować różowy pączek, a następnie kilka chwil uczyła się pilnie.

- Marylo - spytała potem - czy Maryla myśli, że będę mogła zdobyć sobie w Avonlea przyjaciółkę od serca?

- Co... jaką przyjaciółkę?

- Od serca... taką pokrewną duszę, której mogłabym powierzać wszystkie uczucia. Całe życie marzyłam o niej. Nigdy nie odważyłam się przypuszczać, że mogłoby się to stać w rzeczywistości. Ale teraz tyle moich najcudniejszych snów nagle się ziściło, że kto wie, czy i ten także... Czy Maryla sądzi, że to byłoby możliwe?

- Diana Barry mieszka w pobliżu nas, na Sosnowym Wzgórzu, i jest prawie w twoim wieku. To bardzo miła dziewczynka i kto wie, czy nie byłaby dla ciebie odpowiednią towarzyszką zabaw. Obecnie nie ma jej tutaj, gdyż pojechała w odwiedziny do swej ciotki, do Carmody. Ale przebywając z nią, musiałabyś zwracać baczną uwagę na swe sprawowanie, bo pani Barry jest bardzo wymagająca. Nie pozwoli córeczce zadawać się ze źle wychowaną dziewczynką.

Ania patrzyła na Marylę poprzez kwiaty jabłoni oczami pełnymi zaciekawienia.

- Jak ta Diana wygląda? Nie ma rudych włosów, prawda? Z pewnością nie! To już wystarcza, że ja jestem ruda! Uchowaj, Boże, od tego moją serdeczną przyjaciółkę.

- Diana jest bardzo ładna. Ma czarne włosy, czarne oczy i różowe policzki. Jest niezmiernie miła i dzielna, a to więcej warte niż być piękną.

Maryla miała przygotowaną wiązanekę nauk moralnych, gdyż była głęboko przekonana, że należy nimi okraszać każde zdanie kierowane do dziecka, którego wychowanie właśnie się rozpoczyna.

Ania jednak lekko przełknęła moralę, a zatrzymała się tylko na zachwycających nadziejach, jakie się przed nią otwierały.

- Jak to dobrze, że jest taka ładna! Jeżeli się jest brzydką, co u mnie nie da się już zmienić, przyjemnie jest mieć choć ładną przyjaciółkę. Pani Thomas, u której mieszkałam, miała w swoim bawialnym pokoju oszkloną biblioteczkę, ale bez książek. Pani Thomas przechowywała w niej swą najdroższą porcelanę i słoiki z konfiturami, o ile je miała naturalnie. Jedne drzwi miały stłuczoną szybę. Pan Thomas wybił ją którejś nocy, gdy wrócił do domu pijany. Ale jedna szyba pozostała cała i przeglądając się w niej wyobraziłam sobie, że z tamtej strony w szafie znajduje się dziewczynka, moja rówieśnica. Nazwałam to moje odbicie Katie i przyjaźniłyśmy się bardzo, bardzo. Potrafiłam rozmawiać z nią całymi godzinami, szczególnie w niedzielę. Zwierzałam się jej ze wszystkiego. Katie była moją jedyną pociechą i radością! Wyobrażałam sobie, że szafa jest zaczarowana i gdybym tylko potrafiła wymówić odpowiednie zaklęcie, mogłabym ją otworzyć i wejść do pokoju, gdzie jest Katie, a nie półki z porcelaną i konfiturami. Wtedy Katie wzięłaby mnie za rękę i zaprowadziła w cudowne miejsce pełne kwiatów, słońca i elfów, gdzie byśmy żyły w wiecznym szczęściu.

Przeniósłszy się do pani Hammond, martwiłam się niezmiernie, że opuszczam Katie. I ona czuła się z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Jestem tego pewna, bo widziałam poprzez szybę, jak płakała przesyłając mi całusy. U pani Hammond nie było biblioteki. Ale nad rzeką, niedaleko domu, rozciągała się zielona dolina, gdzie mieszkało najpiękniejsze echo. Oddawało ono dokładnie każdy wyraz nawet wówczas, gdy się mówiło niezbyt głośno. Więc wyobraziłam sobie, że to dziewczynka imieniem Violetta, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam i którą pokochałam prawie tak jak Katie; niezupełnie, ale prawie. Wieczorem przed wyjazdem do Domu Sierot poszłam pożegnać Violetkę, a pożegnanie jej brzmiało tak smutno, tak smutno, miała łzy w głosie... Przywiązałam się do niej tak bardzo, że nie potrafiłam wyobrazić sobie nowych przyjaciółek w Domu Sierot. A zresztą tam nie było pola dla imaginacji...

- Sądzę właśnie, że to było dobre - rzekła Maryla sucho. - Nie uznaję takich głupstw. Wydaje mi się, że ty niemal wierzysz w te swoje fantazje. Pragnęłabym, żebyś znalazła prawdziwą przyjaciółkę, bo wtedy skończyłabyś z tym „wyobrażaniem sobie”. Nie opowiadaj też nigdy pani Barry o twojej Katie ani o Violetcie, bo pomyśli, że bajesz.

- O, co to, to nie... Zresztą nie potrafiłabym wcale mówić o tym z pierwszą lepszą osobą... pamięć tych przyjaciółek jest mi zbyt droga... Ale Maryli chciałam to opowiedzieć. Ach, oto wielka pszczoła wyfrunęła wprost z kwiatu jabłoni. Jakże cudnie musi być mieszkać



w kwiecie jabłoni! Usypiać w nim, gdy wiatr kołysze do snu! Gdybym 'nie była człowiekiem, pragnęłabym być pszczołą i mieszkać w kwiatach.

- Wczoraj pragnęłaś być mewą - przypomniała Maryla. - Uważam, że jesteś bardzo zmienna. Kazałam ci się nauczyć modlitwy, nie rozmawiać. Zdaje się jednak, że to jest dla ciebie niemożliwe, jeśli masz obok siebie kogoś, kto może słuchać twojej paplaniny. Pójdź więc do swego pokoju i ucz się.

- Ależ umiem już prawie całą... oprócz ostatniego wiersza.

- Tym lepiej. Zrób jednak, co ci każę. Pójdź do swego pokoju, skończ się uczyć i poczekaj tam, dopóki cię nie zawołam, żebyś mi pomogła przygotować herbatę.

- Czy nie mogłabym zabrać gałązek jabłoni dla towarzystwa? - prosiła Ania.

- Nie trzeba zaśmiecać pokoju kwiatami. Należało pozostawić je na drzewie.

- Wahałam się też, zanim je zerwałam - rzekła Ania. - Czułam prawie, że nie powinnam niszczyć ich krótkiego życia, ja także nie chciałabym być zerwaną, jeślibym była kwiatem... Ale pokusa była nieprzewyciężona. Co Maryla czyni, kiedy bierze ją nieprzewyciężona pokusa?

- Aniu, czyś nie słyszała, że kazałam ci pójść do swego pokoiku?

Ania z głębokim westchnieniem udała się na górę i usiadła w fotelu obok okna.

- No tak, modlitwę już umiem. Nauczyłam się ostatniego wiersza idąc po schodach. Teraz wyobrażę sobie, że ten pokój wygląda zupełnie inaczej i że taki już pozostanie na zawsze... Podłoga pokryta jest dywanem z białego aksamitu, osypanym pąsowymi różami. U okien wiszą pąsowe jedwabne portiery. Ściany są zawieszane makatami, haftowanymi złotem i srebrem. Meble są mahoniowe. Nie widziałam wprawdzie nigdy mahoni, ale to brzmi tak bogato. Tutaj stoi sofa, zarzucona miękkimi poduszkami z różowego, czerwonego, błękitnego i złotawego jedwabiu. Leżę sobie wygodnie, przytulona do nich. Widzę odbicie mojej postaci we wspaniałym zwierciadle wiszącym na ścianie. Jestem wysoka i smukła, mam na sobie powłóczytą suknię z białych koronek, perły na szyi i perły we włosach. Włosy mam czarne jak noc, a płeć białą jak kość słoniowa. Nazywam się lady Kordelia Fitzgerald... No, ale tak nie jest... Nie potrafię się zapomnieć tak dalece, żeby mi się to wydawało czymś rzeczywistym!

Skoczyła do małego lusterka i przejrzała się w nim. Wyrzała ku niej chuda, piegowata twarzyczka o poważnych, szarych oczach.

- Jesteś najzwyczajniej Anią z Zielonego Wzgórza - rzuciła surowo - i widzę cię taką, jaką jesteś, wtedy nawet, gdy wmawiasz w siebie, że jesteś lady Kordelia Fitzgerald. Ale jest milion razy lepiej być Anią z Zielonego Wzgórza niż Anią znikąd, prawda?

Nachyliła się, ucałowała serdecznie odbicie swej postaci i podeszła do otwartego okna.

- Dobry wieczór, najdroższa Królowo Śniegu! I dobry wieczór, wy, drogie brzoźki w dolinie! Dobry wieczór, kochany szary domku tam na wzgórzu! Ciekawam, czy Diana zostanie moją serdeczną przyjaciółką. Mam nadzieję, że tak; będę ją gorąco kochała! Lecz nie zapomnę nigdy Katie i Violetty. Dotknęłyby je to srodze, a ja nie chcę zadrasnąć niczyich uczuć, nawet małej dziewczynki z biblioteki lub dziewczynki - echa. Będę je wspominała codziennie i będę im przesyłała całusy.

Końcami palców przesłała kilka całusów w stronę kwitnącej wiśni i oparłszy brodę na rękach, zatonęła znowu w słodkich marzeniach.

## IX. OBURZENIE PANI LINDE

Dwa tygodnie minęły od przybycia Ani na Zielone Wzgórze, a pani Linde nie zjawiała się jeszcze, by ją obejrzeć. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że nie stało się to z jej winy. Ciężka influenza zmusiła tę czcigodną niewiastę do pozostania w domu. Pani Małgorzata rzadko chorowała i żywiła wyraźną pogardę dla osób słabowitych. Influcencę jednak uważała nie za chorobę, ale za pewnego rodzaju karę Opatrzności. Lecz skoro tylko lekarz pozwolił jej wyjść z domu, natychmiast pośpieszyła na Zielone Wzgórze, umierając z ciekawości, jak też może wyglądać przyjęta przez Cuthbertów sierota, co do której najrozmaitsze gadki i domysły krążyły pośród mieszkańców Avonlea.

Ania zużytkowała jak najlepiej wszystkie chwile tych minionych dwóch tygodni. Zaznajomiła się już z każdym drzewem i z każdym krzaczkiem koło domu. Odkryła maleńką ścieżynę, która prowadziła poprzez sad jabłkowy i dalej przez las. Zbadała ją też do końca. Ścieżka biegła wzdłuż strumienia, przez most pomiędzy kępami sosen i pod sklepieniem splecionych ze sobą dzikich wiśni, potem wiała się przez zakątki gęsto zarośnięte paprociami i ginęła pod kołyszającymi się koronami olch i klonów.

Ania zaprzyjaźniła się ze źródłem w dolinie, z cudnie głębokim, lodowatym, kryształowym źródłem. Wypływało ono spomiędzy gładkich, czerwonych kamieni piaskowca i obrzeżone było wielkimi, podobnymi do palm kępami paproci. Dalej przez strumień przerzucony był mostek z bali. Przez ten most Ania biegła lekkim krokiem ku porośniętemu lasem wzgórzu, gdzie panował wieczorny zmrok pod grubymi, gęsto rosnącymi jodłami i sosnami. Kwitły tam jedynie miriady zachwycających konwalijek, tych najskromniejszych i najmilszych kwiatów leśnych, oraz blade, powiewne astry niby duszyczki zeszłorocznych kwiatów. Cienkie pajęczyny unosiły się jak srebrne nici pomiędzy drzewami, gałązki zaś i szyszki sosen zdawały się szeptać i serdecznie gawędzić ze sobą.

Wszystkie te wspaniałe wyprawy badawcze dokonywane były w chwilach przeznaczonych na zabawę. Po powrocie dziewczynka zarzucała Mateusza i Marylę opowiadaniem o wszystkim, co „odkryła”. Mateusz nie uskarżał się na to, słuchał milcząc, z uśmiechem zadowolenia na ustach. Maryla pozwalała na to „bajanie”, dopóki nie spostrzegła, że sama się nim zaczyna interesować. Wówczas przerywała potok wymowy Ani krótkim rozkazem zamknięcia ust.

Kiedy pani Małgorzata nadeszła, Ania była w sadzie. Zaczyna nawiązać do domu powoli, krocząc poważnie przez bujne, kołyszące się trawy, usiane rudawymi plamami zachodzącego słońca.

W rozmowie z Cuthbertami znalazła dobrą sposobność opowiedzenia wszystkich szczegółów swej choroby. Z tak widoczną przyjemnością rozpamiętywała każde podwyższenie temperatury i najmniejszy ból, że Maryla doszła do wniosku, iż nawet influenza może dać pewne zadowolenie.

Po wyczerpaniu wszystkich szczegółów pani Małgorzata poruszyła właściwy cel swych odwiedzin.

- Zdziwiający rzeczy opowiadano mi o tobie, Marylo, i o Mateuszu.

- Sądzę, że nie byłaś bardziej zdziwiona niż ja - odpowiedziała Maryla. - Teraz pogodziłam się już z tą niespodzianką.

- Była to w istocie niezwykle przykra pomyłka - rzekła ze współczuciem pani Małgorzata. - Czy nie można było odesłać małej?

- Właściwie mogliśmy to uczynić, lecz postanowiliśmy tego nie robić. Mateusz polubił ją bardzo, a i mnie, muszę przyznać, też się spodobała, pomimo że, naturalnie, ma pewne wady. Dom nasz jakby odżył. To taki jasny promyczek, takie miłe stworzenie!

Maryla powiedziała więcej, niż początkowo miała zamiar, gdyż wyczytała na twarzy pani Linde bardzo wyraźną naganę.

- Ciężką odpowiedzialność wzięłaś na swe barki - rzekła znowu pani Linde ponuro - tym bardziej że nie masz wszakże najmniejszego doświadczenia w postępowaniu z dzieckiem. Z pewnością nie znasz prawie wcale jej charakteru, a nikt nie może przewidzieć, co wyrosnie z takiego obcego stworzenia. Nie chcę ci jednak odbierać odwagi, Marylo.

- Nie potrafiłabyś tego uczynić - odpowiedziała Maryla sucho. - Nie waham się z chwilą, gdy raz coś postanowię. Ale może zechcesz zobaczyć Anię? Zawołam ją.

Po chwili wpadła Ania z twarzą rozpromienioną z powodu jakiegoś nowego „odkrycia” w sadzie. Lecz zaskoczona niespodzianą obecnością obcej osoby, nieśmiało zatrzymała się u drzwi. Niewątpliwie wyglądała dość dziwnie w krótkiej i ciasnej sukience z szorstkiej wełny, przywiezionej z Domu Sierot, spod której chude jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe, niż były w istocie. Piegi na twarzy zółciły się liczniej i widoczniej niż kiedykolwiek. Rozwiane przez wiatr włosy były w niezwykłym nieładzie, a barwa ich wydawała się jeszcze bardziej ognista niż kiedykolwiek.

- To pewne, że nie wybrali cię ze względu na twoją urodę - odezwała się pani Linde, przesadnie nadymając usta.

Należała ona do tych zachwycających i bardzo lubianych osób, które szczycą się tym, że bezwzględnie i wprost wypowiadają swe zdanie każdemu.

- Jakież to chude i nędzne stworzenie, Marylo! Zbliź się, dziecko, niech ci się lepiej przyjrzę! Ach, czy kto widział kiedy podobne piegi! A włosy czerwone, istna marchew! Chodźże bliżej, mała, powiadam ci!

Ania zbliżyła się, lecz wcale nie w ten sposób, jak pani Małgorzata tego oczekiwała.

Jednym susem przeskoczyła kuchnię i znalazła się obok mówiącej, z twarzą zapłonioną od gniewu, z drgającymi ustami, drżąca z rozgoryczenia od stóp do głów.

- Nienawidzę pani! - zawołała zdławionym głosem, tupiąc nogą w podłogę. - Nienawidzę pani!... Nienawidzę pani!... - wołała tupiąc mocniej za każdym wyrazem. - Jakim prawem śmie mnie pani nazywać chudą i brzydką? Jakim prawem pani mówi, że jestem piegowata i ruda? Pani jest ordynarną, źle wychowaną kobietą bez serca!

- Aniu! - zawołała stropiona Maryla.

Ale Ania stała naprzeciw pani Linde z głową wysoko podniesioną, z pałającymi oczyma, z rękami zaciśniętymi. Cała jej postać wyrażała zacięte oburzenie.

- Jak śmie pani mówić o mnie to wszystko? - powtarzała gwałtownie. - Co by też pani uczyniła, gdyby tak się o pani wyrażono? Co by też - pani sobie pomyślała, jeśliby jej powiedziano, że jest niezgrabna i tłusta i nie ma prawdopodobnie ani źdźbła wyobraźni? W tej chwili mało mnie obchodzi, że ranie pani uczucia! Przeciwnie, chcę je zranić! Nikt nigdy nie postąpił wobec mnie tak niegodziwie, nikt, nawet pijany mąż pani Thomas. I nigdy pani tego nie wybaczę! Nigdy!

Tupnięcie. I jeszcze raz tupnięcie.

- Czy ktokolwiek widział kiedy coś podobnego? - zawołała oburzona pani Małgorzata.

- Aniu, pójdz do swego pokoju i nie wychodź, dopóki ja tam nie przyjdę! - rzekła Maryla, z trudnością odzyskując panowanie nad sobą.

Ania rozplakała się i trzasnąwszy drzwiami do sieni, jak wichur pomknęła po schodach na górę. Silny trzask na facjatce oznajmił, że drzwi jej pokoju zamknięte zostały z nie mniejszą gwałtownością.

- O, nie zazdroszczę ci wychowywania tej osóbk! - rzekła z niewysłowioną ironią pani Małgorzata.

Maryla otworzyła usta, by wyrzec coś usprawiedliwiającego czy potępiającego... Lecz to, co wyrzekła, pozostało dla niej samej niewytłumaczone zarówno wówczas, jak i potem.

- Nie powinnaś była szydzić z jej powierzchowności, Małgorzato.

- Marylo Cuthbert, chyba nie masz zamiaru bronić tego dzikiego postępowania, którego tylko co byliśmy świadkami? - rzekła oburzona pani Linde.

- Nie - odpowiedziała powoli Maryla - wcale nie mam zamiaru stawać w jej obronie. Ania postąpiła bardzo brzydko i otrzyma ode mnie surową nauczkę. Lecz musimy uwzględnić pewne okoliczności. Nie uczono jej nigdy tego, co należy, a czego nie należy czynić. A ty stanowczo byłaś dla niej zbyt okrutna.

Maryla nie potrafiła wstrzymać się od tej ostatniej uwagi, pomimo że znowu sama się sobie dziwiła. Pani Małgorzata wstała z miną obrażonej dumy i godności.

- Tak, widzę, Marylo, że tutaj będę musiała bardzo liczyć się ze słowami, jeśli należy mieć względy przede wszystkim dla uczuć rozmaitych sierot, przywiezionych nie wiadomo skąd... O, nie gniewam się, bynajmniej, nie lękaj się tego! Za bardzo mi was żal, by się na was gniewać. Przeżyjesz niejedną ciężką chwilę z tym dzieckiem. Jeśli jednak posłuchasz mojej rady - czego przypuszczalnie nie zrobisz, pomimo że zasługuję na zaufanie, bo przecież wychowałam dziesięcioro dzieci i pochowałam dwoje - to dasz jej tę „surową nauczkę”, o której mówiłaś, brzozową różgą. Zdaje mi się, że to byłaby najwymowniejsza nauka dla tego rodzaju dziewczyny. Charakter jej jest pewnie równie ognisty, jak jej włosy. No, do widzenia, Marylo! Mam nadzieję, że od czasu do czasu wstąpisz mnie odwiedzić, tak jak to dotąd bywało. Nie przypuszczasz chyba, abym ja się śpieszyła z następnymi odwiedzinami, z chwilą gdy można tu być narażonym na tego rodzaju przyjęcie, coś podobnego bowiem przekracza wszelkie moje dotychczasowe doświadczenia!

I pani Małgorzata z wielką godnością i szacunkiem dla swej okrągłej figury podniosła się i powoli ruszyła w drogę, Maryla zaś, przybrawszy bardzo surowy wyraz twarzy, udała się do pokoiku na facjatce.

Idąc po schodach, zawahała się jednak, niepewna, co powinna uczynić. Była bardzo stropiona tym, co się zdarzyło. Co za nieszczęsny traf, że Ania właśnie wobec pani Małgorzaty Linde okazała się taką złośnicą. I nagle Maryla z przykrością zdała sobie sprawę, że bardziej odczuwa upokorzenie z powodu tego zajścia niż przykrość z odkrycia tak poważnej wady u swej wychowanki. Jakże należało ją ukarać? Przyjacielska rada użycia różgi brzozowej, o której błogosławionym działaniu świadczyć powinny były wszystkie dzieci pani Małgorzaty, nie przypadła do gustu Maryli. Nie wyobrażała sobie, by mogła uderzyć dziecko. Należało więc poszukać innego sposobu, aby dać poznać Ani ogrom jej przewinienia.

Maryla zastała Anię leżącą na łóżku. Dziewczynka płakała gorzko, nie zwracając bynajmniej uwagi na to, że zabłoconym obuwiem brudziła pościel.

- Aniu - rzekła Maryla tonem wcale nie surowym. Nie, było odpowiedzi.

- Aniu - mówiła już trochę ostrzej - wstań natychmiast z łóżka i posłuchaj tego, co ci powiem.

Ania zerwała się i usiadła wyprostowana na krześle tuż obok. Twarzyczka jej była opuchnięta i zalana łzami. Oczy nieruchomo utkwiała w podłogę.

- Ładnie postąpiłaś, Aniu! Czy ci nie wstyd?

- Ona nie miała prawa nazywać mnie brzydką i rudą - odpowiedziała dziewczynka z uporem.

- Tyś także nie miała prawa wpaść w taki gniew i mówić do niej w podobny sposób, Aniu. Wstydziałam się za ciebie... naprawdę wstydziałam się. Pragnęłam, byś się okazała grzeczną i uprzejmą wobec pani Linde, a tymczasem sprawiłaś mi taki wstyd. Nie pojmuję, dlaczego tak bardzo dotknęło cię powiedzenie pani Linde, że jesteś chuda i masz czerwone włosy. Przecież nieraz sama mówiłaś o tym.

- Ależ to wielka różnica, czy ktoś sam o sobie coś mówi, czy też słyszy to od innych osób - jęknęła Ania ze łzami w głosie. - Można wiedzieć, jak coś naprawdę wygląda, lecz mieć trochę nadziei, że ludzie myślą inaczej. Maryla myśli zapewne, że mam bardzo niedobry charakter. Ale cóż mogę na to poradzić? Kiedy pani Linde zaczęła w ten sposób mówić do mnie, nagle coś jakby zerwało się we mnie i popchnęło naprzód. Musiałam jej odpowiedzieć.

- Pięknie się przedstawiła, to nie ulega wątpliwości... Pani Linde zdobyła ładną historyjkę do opowiadania znajomym. A że opowiadać będzie... możesz być tego pewna. Bardzo źle się stało, żeś nic potrafiła zapanować nad sobą, Aniu.

- Czyby pani potrafiła, gdyby jej ktoś powiedział tak wprost, że jest chuda i brzydka? - broniła się Ania ze łzami.

Nagle dawne wspomnienie odżyło w pamięci Maryli.-Była bardzo młodą dziewczynką, kiedy razu pewnego usłyszała, jak któraś z jej ciotek rzekła do drugiej: „Szkoda, że to takie brzydkie, śniade stworzenie!” Maryla kończyła już lat pięćdziesiąt, a dotąd nie zapomniała owego ukłucia.

- Nie twierdzę, że pani Linde postąpiła słusznie, mówiąc w ten sposób do ciebie, Aniu - dodała łagodniej. - Małgorzata jest zbyt szczerą. Nie usprawiedliwia to jednak wcale twego postępuku. Jest to osoba starsza, nie znana ci i u mnie w gościnie; dostateczny powód, abyś się wobec niej zachowywała z szacunkiem. Tymczasem byłaś niegrzeczna i zuchwała - tutaj Maryla wpadła na zbawienny pomysł kary - pójdziesz więc do niej do mieszkania i powiesz, że jest ci bardzo przykro, żeś tak brzydko wobec niej postąpiła, i poprosisz ją o przebaczenie.

- Nie uczynię tego - odpowiedziała Ania ponuro i stanowczo. - Niech mnie Maryla ukarze w jakikolwiek inny sposób. Może mnie zamknąć w ciemnym, wilgotnym lochu,

zamieszkanym przez węże i jaszczurki, może za pożywienie dawać mi jedynie chleb i wodę, a nie będę się skarżyła... Ale nie mogę prosić pani Linde o przebaczenie.

- Nie przywykliśmy zamykać ludzi w ciemnych, wilgotnych lochach - rzekła Maryła sucho. - Zwłaszcza że trudno byłoby je znaleźć w Avonlea. Ale powinnaś i musisz przeprosić panią Linde; w przeciwnym razie pozostaniesz w swoim pokoju do chwili, aż przyrzekniesz, że to uczynisz.

- Więc pozostanę w nim na zawsze - rzekła Ania drżącymi ustami - bo nie mogę powiedzieć pani Linde, że jest mi przykro, iż tak postąpiłam. Jakże mogłabym to powiedzieć? Przecież nie jest mi przykro! Martwi mnie, że Maryli zrobiła przykrość, ale cieszę się bardzo, że jej powiedziałam, co czuję. Sprawilo mi to zadowolenie. Nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro, jeśli tak nie jest. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, żeby mi było przykro.

- Może wyobraźnia twoja będzie skłonniejsza do ustępstw jutro rano - rzekła Maryła zabierając się do odejścia. - Masz noc do zastanowienia się nad swoim sprawowaniem i do zmiany zdania. Przyrzekłaś mi sprawować się jak najlepiej, jeśli zatrzymam cię na Zielonym Wzgórzu. Tymczasem dziś po południu dałaś dowód, że nie pamiętasz o swej obietnicy.

Maryła zeszła do kuchni stroskana i zirytowana. Była niezadowolona zarówno z Ani, jak i z siebie, gdyż ilekroć przypomiwała sobie niezwykle osłupiały wyraz twarzy pani Małgorzaty, usta jej drgały i odczuwała nieprzepartą ochotę roześmiać się serdecznie.



## X.

### WYZNANIE WINY

Tego wieczora Maryla nie powiedziała Mateuszowi o tym, co zaszło. Lecz kiedy i nazajutrz rano Ania trwała w swym uporze, należało wytłumaczyć mu jej nieobecność przy śniadaniu. Opowiedziała więc owo zajście, starając się położyć nacisk na niezwykle zuchwałe zachowanie się dziewczynki.

- Dobrze się stało, że pani Małgorzata usłyszała kilka słów prawdy. Jest to nieznośna kumoszka, lubiąca zawsze zajmować się cudzymi sprawami - orzekł Mateusz.

- Ależ, Mateuszu, zdumiewasz mnie. Wiesz dobrze, że Ania zachowała się skandalicznie, a jednak usprawiedliwiasz ją. Niedługo powiesz, że w ogóle nie zasłużyła na karę.

- No, nie... niezupełnie... - rzekł Mateusz trochę niepewnym tonem. - Uznaję, że powinna otrzymać lekką karę... Ale nie bądź dla niej zbyt surowa, Marylo. Pamiętaj, że to dziecko nigdy nie miało bliskich; którzy by je uczyli tego, co słuszne. W każdym razie ty... ty jej dasz coś do jedzenia, prawda?

- Czyś słyszał kiedykolwiek, abym głodem zmuszała ludzi do dobrego wychowania? - spytała Maryla urażona. - Będzie jadła o zwykłej porze dnia, ja sama jej będę usługiwać. Ale pozostanie na górze, dopóki nie zgodzi się przeprosić pani Linde. Stanowczo, Mateuszu.

Śniadanie, obiad i wieczerza minęły w milczeniu... Ania bowiem była nieobecna. Za każdym razem Maryla zanosila na facjatkę suto zapełnioną tacę, lecz potrawy wracały prawie nie tknięte. Mateusz niespokojnym okiem przypatrywał się zawartości talerzy, kiedy wieczorem zostały odniesione do kuchni. Czyżby Ania przez cały dzień nic nie jadła?

Gdy Maryla tego wieczoru wyszła, by przygnać krowy z pastwiska do obory, Mateusz, który obserwował ją kręcąc się przy zabudowaniach gospodarskich, wśliznął się niczym włamywacz do domu i wszedł na schody prowadzące na facjatkę. Zazwyczaj krążył tylko pomiędzy kuchnią a swoją skromną sypialnią, rzadko kiedy odważał się wejść do bawialni, co najwyżej podczas odwiedzin rodziny pastora. Na górze zaś był po raz ostatni, gdy pomagał Maryli wyklejać tapetą pokoił gościny. Było to jeszcze przed czterema laty.

Cicho przeszedł maleńką, górną sionkę i stał parę chwil w milczeniu u progu pokoiku Ani, wreszcie odważył się zapukać i otworzywszy drzwi zajrzał do wnętrza. Ania siedziała na żółtym krześle koło okna, ponuro spoglądając na ogród. Była taka drobna i nieszczęśliwa, że

serce Mateusza ścisnęło się z żalu. Cicho zamknął drzwi i na palcach podszedł do dziewczynki.

- Aniu - szepnął, jakby lękając się, że go kto usłyszy - cóż ty porabiasz, dziecino? Jakże się masz?

Ania uśmiechnęła się blado.

- Bardzo dobrze, wyobrażam sobie wiele różnych rzeczy, a to pomaga do spędzenia czasu. Rozumie się, że jestem trochę samotna. Ale nie szkodzi, może do tego przywyknę.

I uśmiechnęła się znowu, śmiało spoglądając w przyszłość długich lat samotnego zamknięcia, które - sądziła - ją oczekiwało.

Mateusz przypomniał sobie, że należało szybko powiedzieć, o co mu chodzi, bo Maryla mogła nadejść w każdej chwili.

- Posłuchaj, Aniu, czy nie sądzisz, że lepiej byłoby uczynić to, czego Maryla chce, i zakończyć całą sprawę? - szepnął. - Chyba wiesz dobrze, że będziesz zmuszona to uczynić, Aniu... wcześniej czy później, bo Maryla jest bardzo stanowcza... niezmiernie stanowcza... niezmiernie stanowcza. Uczyn to, jak możesz najprędzej, a pozbędziesz się troski.

- Czy pan ma na myśli przeproszenie pani Linde?

- Tak, przeproszenie... właśnie o to mi chodzi... - rzekł Mateusz spiesźnie. - Należy skończyć z tą sprawą. Chciałem cię o to prosić.

- Przypuszczam, że potrafiłabym to uczynić, jeśli panu na tym zależy - oświadczyła Ania po chwili namysłu. - Teraz mogłabym powiedzieć, że jestem zmartwiona, bo jest tak naprawdę. Ale nie byłam wcale zmartwiona wczoraj wieczorem. Byłam wściekła, całą noc byłam wściekła! Wiem o tym, bo budziłam się trzykrotnie i za każdym razem byłam równie wściekła. Ale dziś rano wszystko minęło. Nie byłam już wcale zła, miałam tylko jakieś przykre uczucie wyczerpania. Poza tym wstydziałam się. Ale nie potrafiłabym wyznać tego pani Linde. Byłoby to tak bardzo upokarzające. Dlatego postanowiłam, że raczej pozostanę tu przez całe życie, niż przeproszę tę kobietę... Ale teraz... dla pana zrobiłabym wszystko... jeśli panu na tym zależy...

- Bez wątplenia zależy mi na tym... Jest tak strasznie pusto bez ciebie na dole. Idź więc i załatw to... Jesteś dzielną dziewczynką!

- Dobrze - odpowiedziała Ania z rezygnacją. - Gdy Maryla powróci, powiem jej, że żałuję tego, co się stało.

- Bardzo dobrze... bardzo dobrze, Aniu. Tylko nie wspominaj Maryli, że ja mówiłem z tobą o tej sprawie. Pomyśli sobie, że wtrącam się do tego, co nie powinno mnie obchodzić.

- Dzikie rumaki nie wydrą z mej duszy tej tajemnicy - obiecała uroczyście Ania. - A zresztą, czy dzikie konie potrafiłyby wydrzeć komu tajemnicę?

Ale Mateusz odszedł już, zdziwiony, że mu się tak łatwo powiodło. Szybko udał się w najbardziej odległy koniec pastwiska, aby Maryla nie podejrzewała, gdzie był przed chwilą. Maryla zaś po powrocie była przyjemnie zdziwiona usłyszawszy głośne wołanie z góry: „Marylo!”

- Cóż takiego? - spytała wchodząc do sieni.

- Żałuję, że się tak uniosłam wobec pani Linde i postąpiłam niegrzecznie... Chciałabym pójść przeprosić ją za to.

- Dobrze zrobisz.

Maryla szorstkim tonem bynajmniej nie zdradziła ulgi, jaką ta wiadomość jej sprawiła. Bezustannie bowiem przemyślała, co uczyni, jeśli Ania nie zechce ustąpić.

- Przyjdę do ciebie po wydojeniu krów.

Wkrótce potem Maryla z Anią szły drogą; pierwsza wyprostowana, z miną triumfującą, druga z głową spuszczoną i przygnębiona. Lecz po kilku chwilach smutek Ani znikł jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Podniosła głowę i lekkim krokiem szła naprzód. Oczy utkwiała w zachodzącym słońcu, a całą jej istotę przeniknęła jakaś gwałtem tłumiona wesołość. Maryla z niezadowoleniem zauważyła tę zmianę. Nie była to żałująca pokutnica, jaką pragnęła przedstawić srodze dotkniętej pani Linde.

- O czym myślisz, Aniu? - spytała.

- Myślę o tym, co mam powiedzieć pani Linde - odrzekła Ania zadumana.

Było to w porządku albo prawie w porządku. Lecz Maryla nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś nie dopisało w jej programie kary... Ania nie powinna była mieć tak zadowolonej ani pewnej siebie miny.

A zadowolona i pewna siebie pozostała Ania do chwili, kiedy znalazła się wobec pani Linde siedzącej nad robotą u okna swej kuchni. Wtedy radość znikła. W każdym rysie dziewczynki można było odnaleźć wyraz ponurego żalu. I oto, zanim jeszcze panie zdążyły wymówić wyrazy powitania, dziewczynka nagle upadła na kolana przed zdumioną panią Małgorzatą i błagalnie wyciągnęła ku niej splecione dłonie.

- Ach, pani Linde, jestem tak bardzo zmartwiona - rzekła z drżeniem w głosie. - Nie potrafiłabym wypowiedzieć w pełni mego żalu, gdybym nawet użyła do pomocy całego słownika. Musi pani to sobie wyobrazić. Postąpiłam niegrzecznie... i zmartwiłam tym drogich opiekunów, Marylę i Mateusza, którzy pozwolili mi pozostać na Zielonym Wzgórzu, pomimo że nie jestem chłopcem. Jestem szkaradną i niewdzięczną dziewczyną, zasługującą

na karę i na wydalenie z domu ludzi szanowanych. Było to bardzo brzydko, że uniosłam się, dlatego że mi pani powiedziała prawdę... Mam rude włosy, jestem piegowata, chuda i brzydka. To, co ja pani powiedziałam, jest również prawdą, ale nie powinnam była jej mówić. Ach, pani Linde, proszę, proszę, wybac mi. Jeśli mi pani odmówi, będzie to tragedią mego życia. Przecież pani nie zechce być przyczyną tragedii całego życia biednej sieroty, jeśli by nawet miała szkaradne usposobienie?! O, pewna jestem, że pani tego nie uczyni. Proszę mi wybaczyć!

Ania splotła dłonie, spuściła głowę i czekała wyroku.

Nie można było wątpić o szczerości tego wyznania. Brzmiała ona w każdym wyrazie i zarówno Maryla, jak i pani Małgorzata były o niej przekonane. Lecz pierwsza zrozumiała także, i to ją niezmiernie gniewało, że Ania napawała się tą sceną poniżenia i upajała jej patetycznością. Gdzież była ta uzdrawiająca kara, którą Maryla wynalazła? Ania obróciła ją w pewnego rodzaju zabawę.

Pani Linde, w gruncie rzeczy niezła kobieta, ale niezbyt bystra, nie zdołała tego zauważyć. Widziała jedynie, że Ania rzetelnie spełnia akt przeprosin, i wszelki gniew stopniał w jej duszy.

- Wstańże, wstań, dziecko! - rzekła serdecznie. - Przebaczam ci bez wątpienia. Być może, iż powiedziałam ci trochę zbyt wiele wtedy wieczorem. Ale, widzisz, taka ze mnie szczerka, otwarcie wszystko wypowiadająca kobieta. Nie trzeba tak bardzo brać sobie do serca tego, co mówię. Nie można zaprzeczyć, że włosy twoje są bardzo czerwone. Lecz kiedyś znałam dziewczynkę - właściwie była to moja koleżanka - której włosy, gdy była mała, były równie czerwone jak twoje, a gdy dorosła, ściemniały i przybrały piękny, kasztanowaty kolor. Toteż nie byłabym wcale, ale to wcale zdziwiona, jeśli to samo zdarzyło się i z tobą.

- O, pani Linde! - Ania wstała i westchnęła głęboko. - Pani dała mi nadzieję. Będę panią zawsze uważała za swoją dobrodziejkę. O, potrafiłabym znieść wszystko, bylebym tylko mogła wierzyć, że włosy moje, gdy dorosnę, będą kasztanowate!... O ileż łatwiej byłoby być dobrą, gdyby się miało kasztanowate włosy. Czy mogę przejść teraz do sadu i usiąść na ławce pod jabłonią, gdy tymczasem pani będzie tu gawędziła z Marylą? Jest tam więcej pola do wyobraźni.

- Ależ biegnij, drogie dziecko. A jeśli masz ochotę, zerwij sobie wiązanek tych irysów, które rosną tam w kącie.

Kiedy drzwi za Anią zamknęły się, pani Linde szybko wstała, by zapalić lampę.

- W istocie oryginalne, lecz miłe stworzenie. Usiądź na tym, krześle, Marylo, jest ono wygodniejsze niż tamto... Tak, bez wątpienia, jest to dziwne dziecko, ale jest w niej coś

bardzo pociągającego. Obecnie już wam się nie dziwię, żeście ją zatrzymali, i nie lękam się o was... Być może, iż wyrosnie z niej coś dobrego. Ma ona, co prawda, niezwykle sposób wyrażania się... używa jakichś mocnych zwrotów. Ale odzwyczała się przecież od tego z chwilą, gdy będzie przebywała z ludźmi dobrze wychowanymi. Zdaje się także, iż jest bardzo gwałtowna; lecz dziecko gwałtowne z czasem spoważnieje i uspokoi się, a jest stokroć sympatyczniejsze od przebiegłego i chytrego. Nade wszystko bowiem lękam się u dziecka przebiegłości. Słowem, Marylo, uważam, żeście nieźle trafili!

Kiedy Maryla wracała do domu, Ania wybiegła ku niej z ciemnego, pełnego woni sadu, trzymając w dłoni wiązanek kremowych irysów.

- Ładnie prosiłam o przebaczenie, prawda? - spytała z dumą. - Uważałam, że jeśli powinnam to uczynić, muszę przynajmniej pięknie wystąpić.

- Zapewne, żeś dość pięknie wystąpiła - przyznała Maryla. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu czuła, że przypomnienie owej sceny budzi w niej ochotę do śmiechu. Doznawała też przykrego uczucia, iż właściwie powinna Ani nagadać za to, że tak pięknie przeproszała. Ale to było tak pocieszne! Uspokoiła swe sumienie, ograniczając się do następujących słów, wypowiedzianych dość ostro:

- Mam nadzieję, że nie będziesz na przyszłość zmuszona wygłaszać podobnych przeprosin... Musisz się starać panować nad sobą, Aniu.

- Nie byłoby to bynajmniej trudne, gdyby nie szydono z mojej powierzchowności - rzekła Ania z westchnieniem. - Mało dbam o wszystko inne, lecz moje rude włosy tak bardzo mi ciążyą, że wpadam we wściekłość, ilekroć ktoś o nich mówi... Czy Maryla wierzy w to, że kiedy dorosnę, włosy moje zmienią barwę na ciemnokasztanową?

- Nie powinnaś tyle myśleć o swojej powierzchowności, Aniu. To nieładnie, że jesteś tak bardzo próżna.

- Czy mogę być próżną wiedząc, że jestem strasznie brzydka? - zaprotestowała Ania. - Kocham piękno i cierpię, gdy patrząc w zwierciadło widzę swoją brzydotę. Doznaję wtedy wielkiej przykrości... zupełnie jak wówczas, kiedy patrzę na coś szkaradnego. Żal mi tego, co jest brzydkie.

- Pięknym jest czyniący piękno - wyrecytowała Maryla.

- Nieraz już słyszałam to zdanie, ale nie zgadzam się z nim - zauważyła sceptycznie Ania, z rozkoszą wachając swe irysy. - Ach, jakież te kwiaty są słodkie! Pani Linde bardzo uprzejmie postąpiła dając mi je. Nie mam już do niej wcale żalu. Czyż to nie miłe i rozkoszne uczucie przeproszać i otrzymać przebaczenie?... Ach, jakże dziś gwiazdy cudnie się iskrzą!

Gdyby Maryla miała mieszkać na gwieździe, jaką wybrałaby sobie? Ja wybrałabym tę wielką, jasną, świecąca tuż nad tym ciemnym pagórkiem.

- Aniu, zamilknij wreszcie! - rzekła Maryla, zmęczona już śledzeniem wirowego biegu myśli dziewczynki.

Ania zamilkła aż do chwili, gdy weszły w aleję, prowadzącą do domu. Lekki, figlarny wietrzyk, przepojony żywicznym zapachem lasu, wionął na ich spotkanie. Spoza drzew, w dali, witało je wesołe światło, płynące z kuchni na Zielonym Wzgórzu. Ania przytuliła się nagle do Maryli i wcisnęła piąstkę w spracowaną dłoń swej opiekunki.

- Jakże miło jest wracać, kiedy się wie, że wracamy do swego domu! - rzekła. - Ja już kocham Zielone Wzgórze, a przecież przedtem nie kochałam żadnej miejscowości. Żadna nie wydawała mi się nigdy moim domem. Ach, Marylo, jaka ja jestem szczęśliwa! Teraz potrafiłabym się modlić i nie wydałoby mi się to wcale trudne.

Jakieś miłe uczucie ciepła wezbrało w sercu Maryli, kiedy poczuła tę chudą rączkę w swej dłoni. Może być, że zapulsowało w niej uczucie macierzyństwa, którego nigdy nie zaznała. Uczucie, doznane w tej chwili, było tak żywe, a tak bardzo nieznane, że zmieszało ją nieco. Pośpieszyła sprowadzić je do zwykłej temperatury, wygłaszając małą nauczkę moralną:

- Jeśli będziesz zawsze poczciwą dziewczynką, Aniu, będziesz też szczęśliwa. Nigdy nie powinnaś była uważać, że trudno jest odmawiać modlitwę.

- Kiedy recytować modlitwę nie jest wcale to samo, co modlić się - powiedziała Ania w zamyśleniu. - Teraz wyobrażę sobie, że jestem wietrzykiem, co wieje tam daleko, pomiędzy koronami drzew. Kiedy zmęczone się pomiędzy drzewami, powionę pośród paproci... następnie uniosę się nad sadem pani Linde i wezmę do tańca jej kwiaty... a wreszcie jednym wielkim skokiem uniosę się nad łąką koniczyny, popłynę nad Jeziorem Lśniących Wód poruszając jego maleńkie, kędzierzawe fale... Ach, ileż pola dla wyobraźni dostarcza wietrzyk!... Ale teraz przestanę już mówić, Marylo.

- Dzięki Ci, Boże - rzekła Maryla z głębokim westchnieniem ulgi.

## XI.

### WRAŻENIA ANI W SZKOLE NIEDZIELNEJ

No, jakże ci się podobają? - spytała Maryla stojąc w pokoiku na facjacie.

Ania poważnie przyglądała się trzem nowym sukienkom, rozłożonym na łożku. Jedna z nich była z prążkowanego płótna koloru tabaczkowego. Materiał wyglądał tak praktycznie, że Maryla poprzedniego lata skusiła się na jego kupno u wędrownego kupca. Druga była z satynki w biało-czarną kratkę, nabytej jako resztką w zimie; trzecia - ze sztywnej, drukowanej, bawełnianej tkaniny brzydkiego niebieskiego koloru, kupionej w tym tygodniu w Carmody.

Maryla sama je uszyła, wszystkie trzy jednakowo: gładka spódniczka, gładka bluzka z rękawami niemożliwie wąskimi.

- Będę sobie wyobrażała, że mi się podobają - odpowiedziała Ania bardzo spokojnie.

- Ja nie chcę, byś sobie wyobrażała - rzekła Maryla urażona. - Widzę dobrze, że ci się nie podobają. A czegoż im brak właściwie? Czyż nie są świeże, nowe i czyste?

- Owszem.

- Więc dlaczegóż ci się nie podobają?

- Bo nie są... nie są... ładne - powiedziała Ania ociągając się.

- Ładne! - sarknęła Maryla. - Nie łamałam sobie głowy nad wymyślaniem ładnych strojów dla ciebie. Nie lubię próżności, Aniu, mówię ci to otwarcie. Te sukienki są skromne, praktyczne, świeże, bez wszelkich falban i przybrań i mają ci służyć przez całe lato. Brunatną i niebieską będziesz nosiła do szkoły, kiedy zaczniesz do niej chodzić, satynkową zaś do kościoła i do szkoły niedzielnej. Mam nadzieję, że będziesz uważna i postarasz się ich nie zniszczyć. Sądzę też, iż powinnaś być wdzięczna, że otrzymałaś takie ubranie w zamian wyrośniętej sukieneczyny, jaką dotąd miałaś.

- Ależ jestem bardzo wdzięczna - zaprotestowała Ania. - Byłabym jednak daleko wdzięczniejsza, gdyby... gdyby choć jedna z nich miała bufiaste rękawy. Bufiaste rękawy są teraz takie modne. Przeszyłby mnie dreszcz rozkoszy, jeślibym miała sukienkę z bufiastymi rękawami.

- Obejdiesz się bez tych swoich dreszczy. Nie miałam dość materiału na bufiaste rękawy. Zresztą uważam tę modę za śmieszna. Wolę stokroć skromne, gładkie...

- Jednakże ja wolałabym wyglądać tak śmiesznie jak wszyscy inni niż wyróżniać się skromnym, gładkim ubraniem - upierała się Ania.

- Mniejsza o to. Powieś nowe sukienki do szafy i zabierz się do przygotowania lekcji do szkoły niedzielnej. Pan Bell przysłał mi dla ciebie podręcznik; jutro pójdziesz do szkoły - rzekła Maryla i urażona opuściła pokój na facjatce.

Ania załamała ręce, spoglądając na rozłożone suknie.

- Tak bardzo się cieszyłam, że może jedna z nich będzie biała z bufiastymi rękawami - szepnęła smutnie. - Modliłam się nawet o to, chociaż nie bardzo wierzyłam w skuteczność mojej prośby. Nie przypuszczałam, żeby Pan Bóg miał czas zajmować się sukienką biednej sieroty. Wiedziałam, że to zależy tylko od Maryli. Szczęściem, potrafię sobie wyobrazić, że jedna z nich jest ze śnieżnobiałego muślinu, prześlicznie przybrana koronkami, z trzema bufami na każdym rękawie.

Nazajutrz rano przecucie nadchodzącej migreny nie pozwoliło Maryli odprowadzić Ani do szkoły niedzielnej.

- Jak będziesz szła do kościoła, zajdź po panią Linde - rzekła do dziewczynki. - Ona postara się już o to, byś się dostała do odpowiedniej klasy. Pamiętaj sprawować się jak najlepiej. Pozostań podczas kazania i poproś panią Linde, by ci wskazała nasze miejsce w kościele. Tu masz centa na ofiarę. Nie rozglądaj się wokoło i nie kręć się na ławce. Po powrocie opowiesz mi treść kazania.

Ania wyszła w swej biało-czarnej satynowej sukience, która choć dostatecznie długa i wcale nie ciasna, fasonem swym znakomicie uwydatniała jej chudość. Płaski, marynarski kapelusz nie był niczym przybrany. Nowe rozczarowanie dla Ani, która w duszy marzyła o jakichś wstążkach i kwiatach. O kwiaty postarała się, co prawda, sama, zanim jeszcze dostała się na wielki gościniec. Zaledwie bowiem wyszła na drogę poza Zielone Wzgórze, napotkała cudną łąkę, pełną jaskrów i wspaniałych krzaków dzikiej róży. Natychmiast więc uwiła grubym wianuszek i przystroiła nim swój kapelusz. Nie wiadomo, czy spodobałby się on innym, ale Ania była zachwycona i z dumnie podniesioną głową kroczyła naprzód, dźwigając na swych rudych warkoczach wieniec żółtego i czerwonego kwiecia.

Pani Linde nie zastała już w domu. Bynajmniej tym nie zrażona, Ania sama przyszła do kościoła. W przedsionku spotkała 'całą gromadę dziewcząt, mniej lub bardziej strojnie ubranych w białe, niebieskie albo różowe sukienki. Przyglądały się one ciekawie nowicjuszcze w oryginalnym nakryciu głowy. Małe mieszkanki Avonlea słyszały już niejedną dziwną historyjkę dotyczącą Ani. Pani Linde opowiadała o jej gwałtownym temperamencie, Jerry Buote zaś, pastuszek z Zielonego Wzgórza, rozwodził się nad tym, że Ania godzinami potrafi rozmawiać jak pomyłona sama z sobą lub mówić do kwiatów i drzew. Spoglądały więc na nią i szeptały pomiędzy sobą, kryjąc twarzyczki za książki. Nikt nie próbował zbliżyć się do niej



z życzliwym przywitaniem ani w kościele, ani też w klasie panny Rogerson, gdzie się następnie odbywała lekcja.

Panna Rogerson była to osoba w średnim wieku, wykładająca już od lat dwudziestu w szkole niedzielnej. Jej sposób nauczania polegał na tym, że odczytywała pytania z podręcznika, patrząc jednocześnie zza książki na uczennicę, którą miała zapytać. Patrzyła też często na Anię, która dzięki staraniom Maryli odpowiadała szybko i dobrze. Nie wiadomo tylko, czy rozumiała wiele z tych pytań i odpowiedzi.

Panna Rogerson nie bardzo jej się podobała. Ale nie dlatego Ania czuła się niezmiernie nieszczęśliwa. Wszystkie dziewczynki w szkole miały rękawy z bufami. Ania uważała, że nie warto żyć, jeśli się nie ma buf u rękawów.

- Jakże ci się spodobała niedzielna szkoła? - spytała Maryla Ani po powrocie do domu.

Wobec tego, że wianuszek z kwiatów zwiądnął, Ania cisnęła go na łąkę i Maryla dopiero po kilku dniach dowiedziała się o tym oryginalnym przybraniu kapelusza.

- Wcale mi się nie podobała! Jest okropna!

- Ależ, Aniu! - zawołała Maryla z wyrzutem.

Ania z ciężkim westchnieniem opadła na bujający fotel, ucałowała jeden z kwiatów Jutrzenki i ruchem ręki rzuciła ukłon kwitnącej fuksji.

- Zapewne czuły się osamotnione, gdy mnie tu nie było - rzekła. - Teraz opowiem o szkole niedzielnej. Postępowałam tak, jak mi Maryla kazała. Pani Linde nie-było już w domu, więc poszłam sama. Weszłam do kościoła z gromadką innych dziewcząt i usiadłam w kącie ławki obok okna. Pan Bell wyrecytował bardzo długą modlitwę. Byłabym się na śmierć zanudziła, gdybym nie siedziała przy oknie. Ale że stamtąd roztaczał się widok na Jezioro Lśniących Wód, więc spoglądałam na nie i wyobrażałam sobie tysiące rzeczy.

- Nie powinnaś była tak postąpić. Należało słuchać pana Bella.

- Kiedy on nie mówił do mnie - zaprotestowała Ania. - Mówił do Boga i sam nie wydawał się być tym bardzo zainteresowany. Sądzę, że rozumiał, iż Bóg jest zbyt daleko, aby się to wszystko na coś zdało... Ja sobie sama ułożyłam modlitwę. Nad jeziorem zwieszały się gałęzie białych brzoź. Promienie słońca padały na nie i zaglądały głęboko, głęboko do wody. Ach, Marylo, było to piękne jak cudny sen. Przejęło mnie zachwytem. Więc powtarzałam dwa i trzy razy z rzędu: „Dzięki Ci za to, Boże!”

- Czy aby nie głośno? - spytała niespokojnie Maryla.

- O nie, cichutko... Nareszcie pan Bell skończył i powiedzieli mi, żebym z kompletem panny Rogerson poszła do jej klasy. Było dziewięć dziewczynek oprócz mnie. Wszystkie miały rękawy z bufami. Próbowałam sobie wyobrazić, że i ja mam takie, ale jakoś nie

udawało mi się to wcale. Dlaczego? Kiedy siedziałam w pokoiku na facjatce, z łatwością mogłam to sobie wyobrazić, lecz będąc pośród innych, które miały prawdziwe bufy...

- Nie powinnaś była w szkole rozmyślać o rękawach. Trzeba było słuchać wykładu. Sądzę, żeś go zrozumiała.

- O tak, i odpowiadałam milion razy. Panna Rogerson pytała bardzo dużo. Zdaje mi się, że nie powinna była zadawać tylu pytań. Ja sama pragnęłam pytać ją o wiele rzeczy, ale nie śmiałam, bo nie wydawała mi się wcale pokrewną duszą... Potem niektóre dziewczynki recytowały przypowieści. Zapytała mnie, czy umiem coś podobnego. Odrzekłam, że nie, ale mogę wyrecytować „Pies na grobie swego pana”. Jest w trzeciej części „Wypisów”. Nie jest to ściśle religijny poemat, ale taki poważny i rzewny, że mógłby nim być. Odpowiedziała, że nie chce tego, i kazała mi się nauczyć na przyszłą niedzielę dziewiętnastej przypowieści. Przeczytałam ją sobie w kościele. Jest wspaniała. Szczególnie dwa wiersze:

*Bezładnie, w dzikim tumultie pierzchły  
zastępy wrogów!*

Nie wiem, co znaczy „zastępy”, co znaczy „tumult”, ale zwrot brzmi tragicznie... Żałuję, że nie mogę tego zadeklamować przed przyszłą niedzielą. Będę to powtarzała przez cały tydzień. Potem poprosiłam pannę Rogerson - bo pani Linde była zbyt daleko - aby mi wskazała Maryli miejsce w kościele. Siedziałam tak cichutko i spokojnie, jak nigdy. Tematem kazania były objawienia - trzeci rozdział, drugi i trzeci wiersz. Był to bardzo długi temat, zbyt długi. Gdybym ja była pastorem, wybierałabym zawsze krótkie tematy. I kazanie było strasznie długie. Rozumiem, że powinno odpowiadać tekstowi, ale nie było wcale a wcale zajmujące. Najgorsze jest to, że pastor nie ma, oczywiście, ani źdźbła wyobraźni. Nie słuchałam go prawie wcale. Pozwoliłam myślom swoim bujać do woli i wyobrażałam sobie najrozmaitsze rzeczy.

Maryla czuła doskonale, że powinna zgromić Anię za te uwagi. Lecz pamiętała dobrze, że niejedna z tych uwag, szczególnie ta, tycząca się kazania i modlitwy pana Bella, była jej osobistym poglądem od wielu lat. Nie śmiała tylko go wygłosić. I wydało jej się, że tajemne, nigdy nie ujawnione krytyczne myśli nagle przybrały widomą i pełną oskarżenia postać w osobie tej lekceważonej dotychczas i niepozornej drobiny ludzkiej, która tutaj całkiem śmiało wypowiedziała swe zdanie.

## XII.

### UROCZYSTA PRZYSIĘGA I OBIETNICA

W piątek dopiero dowiedziała się Maryla o kapeluszu przybranym kwiatami. Powróciwszy od pani Linde, wezwała do siebie Anię.

- Aniu, pani Linde opowiedziała mi, żeś ostatniej niedzieli przyszła do kościoła w kapeluszu dziwacznie przystrojonym jaskrami i polnymi różyczkami. Cóż ci przyszło do głowy? Wyglądałaś prawdopodobnie jak straszdyło na wróble.

- O tak, wiem, że w czerwonym i żółtym kolorze nie jest mi do twarzy - zaczęła Ania.

- Nie do twarzy! Przecież same kwiaty na twoim kapeluszu, niezależnie od ich barwy, wyglądały śmiesznie. Jesteś najnieznośniejszym dzieckiem na świecie.

- Nie rozumiem, dlaczego kwiaty u kapelusza wyglądają śmieszniej niż kwiaty przypięte do sukni - protestowała Ania. - Wiele dziewczynek miało wiązanek przypięte do sukien. Cóż to za różnica?

Maryla nie pozwoliła oderwać się od bezpiecznego konkretnego i wepchnąć na niepewne ścieżki abstrakcyjnych rozważań.

- Nie odpowiadaj mi tak, Aniu. Było to bardzo niemądre i proszę, byś nigdy więcej nie robiła czegoś podobnego. Pani Małgorzata twierdzi, że omal nie zemdleła zobaczywszy cię tak wystrojoną. Nie zdążyła zbliżyć się do ciebie, aby ci kazać zrzucić to wszystko. Mówi, że wszyscy uważali, że to okropne... Rozumie się, że przypuszczano, iż to ja mam tak źle w głowie i pozwalam ci wychodzić w podobnym stroju.

- Ach, jakże mnie to martwi - rzekła Ania ze łzami w oczach. - Nigdy nie przypuszczałam, że Maryla będzie się o to gniewała. Jaskry i różyczki były takie śliczne, że uważałam, iż na moim kapeluszu będą ładnie wyglądały. Przecież tyle dziewczynek miało sztuczne kwiaty u kapeluszy. Obawiam się, że będę dla was prawdziwym dopustem bożym. Może byście mnie lepiej odesłali do Domu Sierot? Wprawdzie byłoby to okropne i nie wiem, czy potrafiłabym to przeżyć. Prawdopodobnie wpadłabym w suchoty, bo przecież jestem tak strasznie chuda. Ale wołałabym raczej to niż być dla was wiecznym utrapieniem.

- Co za nedorzecznosc - rzekła Maryla, niezadowolona, że doprowadziła dziewczynkę do łez. - Nie mam zamiaru odsyłać cię do Domu Sierot. Pragnęłabym tylko, abyś się zachowywała tak jak inne dziewczynki i nie narażała się na śmieszność. Przestań płakać. Mam dobrą nowinę dla ciebie. Diana Barry wróciła dziś do domu. Idę właśnie do nich pożyczyć wykroju koszuli. Jeśli masz ochotę, możesz mi towarzyszyć, a poznasz Dianę.

Ania zerwała się z miejsca ze splecionymi rękami, ze łzami błyszczącymi jeszcze na policzkach. Ściereczka, którą trzymała, niepostrzeżenie wypadła z jej rąk.

- Ach, Marylo, jestem przerażona! Teraz, gdy ta chwila już nadeszła, jestem naprawdę przerażona. A jeśli ja jej się nie spodobam? Byłoby to najtragiczniejsze rozczarowanie w moim życiu.

- Nie bądź taka egzaltowana. I nie używaj takich wyszukanych wyrażen. Brzmi to nienaturalnie w ustach dziewczynki. Jestem pewna, że Diana cię polubi. Obyś się tylko spodobała jej matce. Jak jej nie przypadniesz do gustu, to na nic się nie zda sympatia Diany. Jeśli pani Barry dowie się, jak gwałtownie zachowałaś się wobec pani Linde i że poszłaś do kościoła w kapeluszu przybranym jaskrami, to nie wiem, co pomyśli o tobie. Musisz być uprzejmą i dobrze wychowaną, a także wystrzegać się tych dziwacznych wyrażen... Czegóż ty, na litość boską, drżysz?

Ania drżała w istocie. Twarzyczka jej była blada i pełna napięcia.

- Ach, i Maryla byłaby wzruszona, gdyby miała ujrzeć dziewczynkę, w której pragnęłaby zyskać serdeczną przyjaciółkę... a której matka mogłaby Maryli nie polubić - szepnęła idąc spiesznie po kapelusz.

Poszły na przełaj, do mostu, a potem w górę ku poroślemu lasem Sosnowemu Wzgórzu. Maryla zapukała do drzwi kuchni. Pani Barry natychmiast otworzyła. Była to osoba wysoka, o czarnych włosach, czarnych oczach i energicznym wyrazie ust. Mówiono o niej, że bardzo surowo wychowuje swe dzieci.

- Jak się masz, Marylo! - powiedziała serdecznie. - Wejdz, proszę. To pewno ta mała dziewczynka, którą wzięliście na wychowanie.

- Tak, to Ania Shirley - potwierdziła Maryla.

- Ania, nie Andzia - szepnęła dziewczynka, która choć podniecona i przejęta, nie chciała dopuścić do nieporozumienia w tak ważnej sprawie.

Pani Barry nie dosłyszała widać lub nie zrozumiała, uścisnęła bowiem dłoń Ani, mówiąc uprzejmie:

- Jak się czujesz?

- Czuję się bardzo dobrze fizycznie, lecz duchowo jestem znużona. Dziękuję pani bardzo - odpowiedziała Ania poważnie.

A zwracając się do Maryli, dodała szeptem: - Czy była w tym jakaś przesada? Wszak nie, Marylo? Diana siedziała w rogu sof, czytając książkę, którą na widok wchodzących natychmiast odłożyła. Było to bardzo ładne dziewczątko, o pięknych, czarnych oczach i włosach swej matki, różowych policzkach i wesołym usposobieniu, odziedziczonym po ojcu.

- Oto moja córeczka Diana - rzekła pani Barry. - Diano, zabierz Anię do ogrodu i pokaż jej swoje kwiaty. Będzie to dla ciebie lepsze niż psucie oczu nad książką. Czyta bardzo dużo, za dużo - mówiła dalej, zwracając się do Maryli, kiedy dziewczynki wyszły z pokoju - a nie mogę temu zapobiec, bo ojciec zachęca ją do tego. Wiecznie ślęczy nad książkami. Cieszę się, że znalazła towarzyszkę zabaw... będzie więcej czasu spędzała na świeżym powietrzu.

W wielkim ogrodzie, pełnym łagodnych promieni zachodzącego słońca wślizgujących się przez szeregi ciemnych, starych sosen, stały Ania i Diana przypatrując się sobie nieśmiało poprzez krzak wspaniałych żółtych lili.

Ogród państwa Barry był to istny gąszcz kwiatów, które w każdej innej, nie tak decydującej i podniosłej chwili wprawiłyby w zachwyt wrażliwą Anię. Otaczały go rozłożyste, stare wierzby i wielkie, wysokie sosny, pod którymi tuliły się kwiaty nie znoszące nadmiaru słońca. Wymuskane, o prostych liniach ścieżki, schludnie obrzeżone z obu stron muszlami, przerywały go na wszystkie strony niby czerwone, wilgotne wstęgi, na klombach zaś pstrzyła się istna orgia najbardziej uroczych kwiatów. Kwitły tam różowe stokrotki i wielkie, wspaniałe, karmazynowe piwonie; białe narcyzy o upajającej woni i cierniste różyczki polne; czerwone, niebieskie i białe orliki i liliowe dzwonki; kępy piołunu, wstęga trawy i mięty; purpurowe bratki, żonkile i mnóstwo słodkiej koniczyny o delikatnym, wonnym, puszystym kwieciu; szkarłatna szałwia, wystrzelająca swymi płomiennymi lancami ponad wymuskane białe pelargonie. Był to ogród pełen promieni słońca, brzęku pszczół i powiewów wietrzyka, który szemrał i szeleścił pośród drzew, zachwycony najwidoczniej swą włościwą.

- Ach, Diano - rzekła wreszcie Ania zniżając głos do szeptu i składając ręce - czy myślisz... czy myślisz, że będziesz mogła mnie polubić trochę... tyle, aby zostać moją serdeczną przyjaciółką?

Diana roześmiała się. Śmiała się zawsze, zanim cośkolwiek powiedziała.

- Z pewnością tak - odrzekła szczerze. - Cieszę się ogromnie, że będziesz mieszkała na Zielonym Wzgórzu. Przyjemnie mi będzie mieć towarzyszkę zabaw. Nie ma tu w sąsiedztwie żadnej dziewczynki, z którą mogłabym się bawić, a siostry moje są jeszcze zbyt maleńkie.

- Czy przysięgniesz, że będziesz moją przyjaciółką na wieczne czasy? - spytała prędko Ania.

Diana spojrzała przerażona.

- Ależ to bardzo brzydko przysięgać - rzekła z wyrzutem.

- Cóż znowu! Nie jest brzydko przysięgać, tak jak ja myślę. Są dwa rodzaje przysięgi.

- Ja słyszałam tylko o jednym - rzekła Diana z powątpiewaniem.

- A właśnie, że jest i drugi. Wcale nie brzydki! Jest to po prostu uroczysta obietnica.

- No, tak to co innego - przyznała Diana z ulgą. - Jakże ty ją dajesz?

- Podajemy sobie ręce... ot tak - rzekła Ania poważnie. - Właściwie powinno się to odbyć nad bieżącą wodą, ale możemy sobie wyobrazić, że ta ścieżka to bieżąca woda. Ja pierwsza wypowiem tę przysięgę: „Uroczyście obiecuję i przyrzekam pozostać wierną najlepszej mej przyjaciółce, Dianie Barry, dopóki słońce i księżyc istnieć będą”. Powtórz to samo, tylko wstaw moje imię na miejsce swojego.

Diana powtórzyła „przysięgę”. Naturalnie roześmiała się na początku zdania i na końcu, potem powiedziała:

- Jesteś bardzo oryginalną dziewczynką, Aniu. Słyszałam już o tym dawniej. Ale zdaje mi się, że będę cię bardzo lubiła.

Kiedy Maryla z Anią wracały do domu, Diana odprawa 'je aż do mostu. Dziewczynki szły razem, oplótłszy się ramionami. Przy rozstaniu kilkakrotnie przyrzekały sobie spotkać się nazajutrz po południu i razem się bawić.

- No cóż, znalazłaś w Dianie pokrewną duszę? - spytała Maryla kierując się w stronę Zielonego Wzgórza.

- O, tak! - westchnęła Ania, nie odczuwszy na szczęście sarkazmu w zapytaniu Maryli.  
- Ach, Marylo, jestem w tej chwili najszczęśliwszą dziewczynką na Wyspie Księcia Edwarda. Zapewniam Maryłę, że ze szczerą chęcią odmówię dziś wieczorem modlitwę. Diana i ja zbudujemy jutro domek do zabawy w brzozowym lasku pana Bella. Czy mogę wziąć te kawałki potłuczonej porcelany, które leżą na stosie drzewa? Urodziny Diany są w lutym, moje zaś w marcu. Czy Maryli się to nie wydaje dziwnym zbiegiem okoliczności? Diana pożyczy mi książkę do czytania, bardzo ciekawą i strasznie zajmującą. Pokaże mi miejsce daleko w lesie, gdzie rosną konwalijki. Czy Maryla nie uważa, że Diana ma bardzo wymowne oczy? Chciałabym i ja mieć takie! Diana nauczy mnie piosenki „Nelly z koszyczkiem w ręce”. Da mi też obrazek do zawieszenia w moim pokoiku. Jest to prześliczna rycina, mówi Diana: jakaś piękna dama w błękitnej jedwabnej sukni. Dostała ją od pewnego agenta sprzedającego maszyny do szycia. Chciałabym mieć cośkolwiek, co mogłabym dać Dianie. Jestem troszeczkę wyższa od niej, ale ona jest tęższa. Mówi, że chciałaby być szczupła, bo wtedy jest się zręczniejszą, ale obawiam się, że powiedziała tak dlatego, aby mnie pocieszyć. Któregoś dnia pójdziemy nad morze zbierać muszle. Postanowiłyśmy nazwać źródło tam za mostem Fontanną Driad. Czy to nie pięknie? Czytałam raz o jednym źródle, które się tak samo nazywało. Zdaje mi się, że driada jest to dorosła wróżka, prawda?

- Obyś tylko nie zameczyła Diany swoim gadulstwem - rzekła Maryla. - Pamiętaj także przy układaniu waszych planów, że nie wolno bezustannie się bawić. Będziesz miała obowiązki, które muszą być spełniane przede wszystkim.

Kielich radości Ani był już pełen, lecz Mateusz wypełnił go po brzegi. Powrócił właśnie ze sklepu z Carmody i nieco nieśmiało, błagalnie spoglądając na siostrę, podał Ani małą torebkę.

- Mówiłaś kiedyś, że bardzo lubisz pastylki czekoladowe - rzekł - oto masz trochę.

- Masz tobie! - mruknęła Maryla. - Popsuje zęby i żołądek. No, no, nie patrz tak smutnie, Aniu. Możesz je zjeść, skoro Mateusz kupił je dla ciebie. Wprawdzie lepiej by zrobił, gdyby kupił pastylki miętowe; są zdrowsze. Tylko nie zjedz ich wszystkich od razu, bo zachorujesz.

- Ależ nie, nie! - zawołała Ania szybko. - Co dzień wieczorem zjem tylko jedną pastylkę, Marylo. A czy mogłabym oddać połowę Dianie? Pozostałe będą smakować mi dwa razy lepiej. Jestem taka szczęśliwa, że mam coś, co mogę jej dać.

- Trzeba przyznać na pochwałę Ani - rzekła Maryla, gdy dziewczynka poszła do swego pokoiku - że nie jest wcale chciwa. Cieszę się z tego, gdyż nie cierpię dzieci chciwych. Boże mój, jest tutaj dopiero od trzech tygodni, a wydaje mi się, że zawsze była u nas. Nie umiem sobie teraz wyobrazić domu bez niej. Nie rób, Mateuszu, takiej miny, jakbyś chciał powiedzieć: „Czy nie mówiłem?” To jest wystarczająco nieznośne u kobiet, a nie do wytrzymania u mężczyzn. Przyznaję otwarcie, że jestem zadowolona, iż zgodziłam się na zatrzymanie u nas tego dziecka, i że przywiązuję się do niej z każdym dniem więcej. Tylko nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego w związku z tym, Mateuszu!

### XIII. ROZKOSZE OCZEKIWANIA

Ania powinna już była wrócić i zasiąść do szycia - rozmyślała Maryla spoglądając na zegarek pewnego sierpniowego popołudnia, gdy słońce zdawało się roztopiać wszystko w żarze swych promieni. - Bawiła się z Dianą o całe pół godziny dłużej, niż jej pozwoliłam, a teraz siedzi na stosie drzewa i gawędzi najspokojniej z Mateuszem. A miele jak wiatrak, chociaż wie dobrze, że powinna wrócić, by zająć się szyciem. On zaś stoi jak słup i słucha. Nigdy nie widziałam tak urzeczonego mężczyzny. Im ona więcej mówi, im nieprawdopodobniejsze opowiada historie, tym Mateusz wydaje się bardziej zachwycony”.

- Aniu, przyjdź tu w tej chwili! Czy nie słyszysz, że cię wołam?

Słowom tym towarzyszyło kilkakrotne krótkie stukanie w okno.

Ania przybiegła z błyszczącymi oczyma i zaczerwienionymi policzkami, a od jej rozwianych włosów bił potok światła.

- Ach, Marylo! - wołała bez tchu prawie. - W przyszłym tygodniu szkoła niedzielna urządza piknik! Odbędzie się na łące pana Andrews, tuż obok Jeziora Lśniących Wód. Pani Bell i pani Linde przygotowują lody śmietankowe. Czy Maryla słyszy? Lody śmietankowe!... Ach, Marylo, czy ja będę mogła pójść?

- Spójrz na zegar, Aniu! O której godzinie kazałam ci wrócić?

- O drugiej! Ach, ten piknik! Jakaż to będzie przyjemność! Chyba będę mogła pójść? Nigdy nie byłam na żadnym pikniku... marzyłam o nim tylko, ale...

- Tak, kazałam ci wrócić na drugą. Teraz zaś jest za piętnaście trzecia. Nie rozumiem, dlaczego byłaś nieposłuszna.

- Stało się to nieumyślnie, Marylo. Ale nie miałam pojęcia, że tak prześlicznie jest w Zaciszu Słowika! Przy tym musiałam opowiedzieć o pikniku Mateuszowi. On mnie tak chętnie słucha... Będę mogła pójść?

- Powinnaś się nauczyć opierać pokusie pozostawiania tak długo w Słowiczym Gaju, czy jak ty tam zwiesz to miejsce. Gdy ci naznaczam godzinę, o której masz powrócić, nie pozwalałam na półgodzinne spóźnienie. I nie powinnaś się zatrzymywać dla rozmowy z sympatyzującymi z tobą słuchaczami. Co się tyczy udziału w pikniku, naturalnie, że będziesz mogła pójść. Jesteś przecież uczennicą szkoły i nie będę ci broniła tego, co wolno twoim koleżankom.



- Ale... ale... - wyjąkała Ania. - Diana mówi, że każdy musi wziąć koszyk z jedzeniem. Przecież ja nie... nie umiem gotować... Marylo. Wcale się nie przejmuję tym, że pójdę na piknik bez bufiastych rękawów, ale byłabym naprawdę upokorzona, gdybym nie miała koszyka. Myśl ta ciążyła mi strasznie, odkąd Diana mi to powiedziała.

- Niechaj ci ona dłużej nie ciąży. Przygotuję ci koszyk, bądź spokojna.

- Ach, droga, kochana Marylo! Jakaś ty dobra! O, jakże ci jestem wdzięczna!

Po tych wszystkich „ach” i „o” Ania rzuciła się na szyję Maryli i w zachwycie ucałowała jej blade policzki. Po raz pierwszy w życiu Maryli dziecięce usta przyłgnęły dobrowolnie do jej twarzy. I znowu przejęło ją nagle owo nieznane uczucie słodczy. W duszy bardzo była rada tej impulsywnej pieszczocie Ani, jednakże odezwała się swym zwykłym, surowym tonem:

- No, no, dość już tych niemądrych pieszczot. Wolałabym, abyś lepiej wypełniała moje polecenia. Co się tyczy gotowania, mam zamiar zacząć cię uczyć tego w najbliższych dniach. Ale jesteś tak roztrzepana, Aniu, że chciałam, byś się trochę ustatkowała i nauczyła cierpliwości, zanim zacznę naukę. Stojąc przy kuchni, musisz mieć uwagę skupioną, a nie wpadać w zamyślenie nad cudami przyrody. Przynieś zaraz swoją robotę, tę zszywaną z kawałków wsypę na poduszkę, i skończ zszywać kwadrat, zanim zasiądziemy do herbaty.

- Nie lubię tego - rzekła z niezadowoleniem Ania idąc po swoją robotę i z westchnieniem zasiadając nad stołem czerwonych i białych kwadratów. - Przypuszczam, że bywają i ładne wzory, ale w tym nie ma zupełnie pola do wyobraźni. Kwadrat za kwadratem i wcale nie widzę, żebym się posuwała. Wolę jednak być Anią z Zielonego Wzgórza, uczącą się zszywać kwadraty, niż Anią znikąd, która mogłaby się bezustannie bawić. Chciałabym, aby czas upływał mi równie prędko podczas szycia, jak w zabawie z Dianą. Ach, jakże my się świetnie bawimy, Marylo! Co prawda, do mnie należy wszystko, do czego potrzebna jest wyobraźnia, ale ja to potrafię. Diana zaś jest doskonałością pod wszystkimi innymi względami. Czy Maryla zna tę polankę po drugiej stronie strumienia pomiędzy waszymi łąkami a pana Barry? Należy ona do pana Bella. W jednym jej kącie smukłe, białe brzozy utworzyły koło, najromantyczniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić! Tam urządziliśmy sobie z Dianą nasz dom do zabawy. Nazwałyśmy go Zacisze Słowika! Czy to nie poetyczna nazwa? Zapewniam Marylę, że dużo zabrało mi czasu, zanim ją wymyśliłam. Nie spałam prawie calutką noc, a kiedy wreszcie sen zaczął mnie morzyć, nazwa ta zjawiała się jak natchnienie. Diana była wniebowzięta, gdy ją usłyszała. Urządziliśmy nasz domek elegancko. Maryla musi przyjść go obejrzeć, dobrze? Wielkie kamienie, pokryte mchem, służą nam za fotele, deski zaś, ułożone od drzewa do drzewa, za półki. Ustawiliśmy na nich

nasze serwisy. Rozumie się, że są to same skorupy, ale nic łatwiejszego jak wyobrazić sobie, że są to całe talerze, półmiski, filiżanki. Jest między nimi kawałek półmiska z gałązką czerwonych i żółtych kwiatów, coś prześlicznego! Umieściliśmy go w bawialni. Tam także jest Zwierciadło Elfów, cudne jak sen. Znalazła je Diana za kurnikiem między drzewami. Widać w nim cudne tęczę, takie maleńkie tęczę, które jeszcze nie urosły... Mama Diany mówi, że jest to kawałeczek ich starej wiszącej lampy. Poetyczniej jednak brzmi, że to elfy zgubiły je którejś balowej nocy; więc przezwałyśmy je Zwierciadłem Elfów. Mateusz przyrzekł nam zrobić stolik. Małą, okrągłą sadzawkę na łące Barry'ch nazwałyśmy Jasnooką. Nazwę tę przeczytałam w książce, pożyczonej od Diany. Była to „prześliczna książka, Marylo. Bohaterka miała pięciu narzeczonych... Ja byłabym zadowolona, gdybym miała jednego, a Maryja? Ona była bardzo piękna i musiała przejść wiele, wiele prób. Mdląła z łatwością. Chciałabym też umieć mdleć! A Maryla? To takie romantyczne!... Tylko że ja jestem na to zbyt zdrowa, chociaż jestem chuda. Jednakże zdaje mi się, że trochę utylam, prawda? Codziennie rano wstając oglądam swe łokcie, aby się przekonać, czy nie mam już dołeczków... Diana dostanie nową sukienkę z krótkimi rękawami. Włoży ją na nasz piknik. Ach, żeby tylko była pogoda w środę! Zdaje mi się, że nie przeżyłabym zmartwienia, gdyby mi coś stanęło na przeszkodzie i gdybym nie mogła być na pikniku. Może bym i przeżyła, ale bałaby to moja tragedia życiowa. Gdybym później była nawet na stu piknikach, nie miałyby to znaczenia. Nie wynagrodziłyby mi tego jednego! Będziemy pływali łodziami po Jeziorze Lśniących Wód i będziemy jedli lody śmietankowe! Nigdy jeszcze nie kosztowałam lodów. Diana próbowała opowiedzieć mi, jaki one mają smak, ale lody należą do tych rzeczy, których nie można sobie wyobrazić.

- Aniu, mówiłaś całe dziesięć minut - rzekła Maryla. - Patrzyłam na zegarek. Teraz rada bym się przekonać, czy też potrafisz równie długo milczeć.

Niespodziewanie Ania milczała prawie tyleż czasu. Lecz przez resztę dni tygodnia mówiła, myślała i marzyła tylko o pikniku. W sobotę padał deszcz. Dziewczynka, lękając się niepogody na środę, wpadła w taki stan rozdrażnienia, że Maryla zadawała jej umyślnie robotę, zszywanie kwadratów, dla uspokojenia nerwów.

W niedzielę wróciwszy z kościoła Ania zwierzyła się Maryli, że chłodny dreszcz przejął ją od stóp do głów, kiedy pastor z ambony ogłosił piknik.

- Po plecach przeszedł mi taki dreszcz, Marylo! Przedtem prawie nie wierzyłam, że piknik się odbędzie. Obawiałam się, że może wmówiłam to sobie tylko i wyobraziłam... Lecz kiedy pastor głosi coś z ambony, to już w to trzeba wierzyć!

- Zbyttnio się wszystkim przejmujesz, Aniu - rzekła Maryla z westchnieniem. - Obawiam się, że z tego powodu doznasz wielu rozczarowań w życiu.

- Ach, Marylo, wszak oczekiwanie czegoś daje nam już połowę przyjemności! - zawołała Ania. - Może się zdarzyć, że się tego nie otrzyma wcale, ale nikt nie może zabronić cieszyć się z oczekiwania! Pani Linde mówi: „Błogosławieni ci, którzy się niczego nie spodziewają, bo nie zaznają rozczarowania”. Ale ja myślę, że gorzej jest nie spodziewać się niczego niż doznać rozczarowania.

Tej niedzieli Maryla, jak zwykle gdy szła do kościoła, miała u szyi swą ametystową broszkę. Brała ją zawsze w niedzielę i brak jej przy sukni uważałyby prawie za świętokradztwo, za coś równie karygodnego, jak zapomnienie książki do nabożeństwa czy dziesięciu centów na tacę. Ta broszka to był jej najdroższy klejnot. Jakiś wuj, żeglarz, ofiarował ją jej matce, która z kolei przekazała tę rodzinną pamiątkę Maryli. Była to staromodna, podłużna brosza, zawierająca pasmo włosów matki Maryli, otoczone drobnymi, niezwykle pięknymi ametystami. Maryla zbyt mało znała się na drogich kamieniach, by należycie ocenić ich wartość, lecz uważała je za bardzo ładne i cieszyła się pięknym, fioletowym blaskiem, jaki rzucały u kołnierzyka jej brązowej sukni.

Ania ujrzawszy po raz pierwszy ten klejnot wpadła w istny zachwyty.

- Ach, Marylo, to jest prawdziwie elegancka broszka! Nie pojmuję, jak można myśleć o kazaniu mając ją u szyi. Ja nie potrafiłabym tego, jestem pewna. Jakże cudne są ametysty! Właśnie tak wyobrażałam sobie brylanty. Dawno już, zanim jeszcze widziałam brylanty, czytałam o nich i starałam się wyobrazić je sobie. Myślałam, że są purpurowe i błyszczące. Pewnego razu zobaczyłam prawdziwy brylant w pierścionku pewnej damy i rozczarowałam się tak bardzo, że zaczęłam płakać. Prawda, że był piękny, ale wcale nie taki, jak go sobie przedstawiałam. Czy Maryla pozwoli mi potrzymać tę broszkę przez małą, maleńką chwilę? Czy Maryla nie sądzi, że ametysty to może duszyczki dobrych fiołków?

## XIV.

### PRZYZNANIE SIĘ DO WINY

Wieczorem w poniedziałek, jeszcze przed wycieczką, Maryla wyszła ze swego pokoju bardzo zmartwiona. - Aniu - rzekła do swej małej pomocnicy, która właśnie łuskała na czystym stole zielony groszek śpiewając piosenkę z żywością i odczuciem, świadczącym dobrze o pedagogicznych zdolnościach Diany. - Czyś nie widziała mojej ametystowej broszki? Zdawało mi się, że wróciwszy wczoraj z kościoła wpięłam ją w poduszeczkę od igieł, ale teraz nie mogę jej znaleźć.

- Ja... ja widziałam ją wczoraj po południu, kiedy Maryla wybierała się na posiedzenie związku - rzekła Ania nieco niepewnym tonem. - Przechodząc przez pokój, widziałam ją w poduszeczkę i zatrzymałam się, by się jej lepiej przypatrzeć.

- Czyś ją ruszała? - spytała Maryla surowo.

- T-a-a-k - przyznała Ania - wyjęłam ją i wpięłam w swój kołnierzyk, aby zobaczyć, jak to będzie wyglądało...

- Nie powinnaś była tego robić. Dzieciom nie wolno wszystkiego ruszać. Po pierwsze, nie powinnaś wchodzić do mego pokoju, po drugie, nie wolno ruszać broszki, która do ciebie nie należy. Gdzieżeś ją położyła?

- Położyłam ją znowu na biurku. Nie miałam jej na sobie nawet przez pół minuty. Nie chciałam popełnić nic złego. Nie sądziłam, że przymierzenie broszki to coś karygodnego. Teraz widzę, że źle zrobiłam, i nigdy więcej tego nie uczynię. To jedyna moja zaleta, iż dwa razy nie popełniam tego samego błędu.

- Nie położyłaś jej na miejscu - rzekła Maryla. - Nie ma broszki na biurku. Zabrałaś ją pewnie do ogrodu, Aniu.

- Położyłam ją na miejscu - odpowiedziała Ania szybko, nawet trochę zuchwale, jak wydało się Maryli. - Nie pamiętam dokładnie, czy wpięłam ją w poduszeczkę, czy też położyłam na porcelanowej miseczce. Ale wiem z pewnością, że jej nie zabrałam.

- Pójdę raz jeszcze poszukać jej - rzekła Maryla pragnąc być sprawiedliwą. - Jeśli położyłaś na miejscu, musi tam być; jeśli jej tam nie ma, to dowód, żeś jej nie zostawiła.

Maryla powróciła do swego pokoju i szukała dokładnie nie tylko na biurku, lecz wszędzie, gdzie przypuszczała, że broszka mogłaby się znajdować. Nie było jej jednak. Powróciła więc do kuchni.

- Aniu, broszka zginęła. Sama przyznałaś, że ty ostatnia miałaś ją w ręku. Cóżes z nią uczyniła? Powiedz mi natychmiast prawdę. Czy zabrałaś ją do ogrodu? Może ją zgubiłaś?

- Nie, nie zgubiłam - odpowiedziała Ania uroczyście, śmiało spoglądając w zagniewaną twarz Maryli. - Nie zabrałam broszki z pokoju Maryli. Jest to prawda, której się nie zaprę, gdyby nawet mieli mnie zakuć w dyby... chociaż nie wiem dobrze, co to są dyby. Tak właśnie było, Marylo.

Owo „tak właśnie było” dodała Ania dla nadania mocy swemu zapewnieniu; ale Maryla zrozumiała je jako wyzwanie.

- Wydaje mi się, że to nieprawda - rzekła surowo. - Jestem prawie pewna tego. Nie mów nic więcej, dopóki nie będziesz miała zamiaru powiedzieć prawdy. Pójdź do swego pokoju i pozostań tam, dopóki się nie przyznasz.

- Czy mam zabrać groch? - spytała pokornie Ania.

- Nie, ja sama go wyłuskam. Zrób, co kazałam.

Po odejściu Ani Maryla, bardzo zirytowana, zabrała się do swych wieczornych zajęć. Żal jej było drogocennej broszki. A jeśli Ania ją zgubiła?... Jak brzydko, że dziewczynka wypiera się tego, co jest oczywiste! I z jaką niewinną minką!

„Nie wiem naprawdę, co bym wolała, żeby się stało - myślała Maryla, nerwowymi ruchami łuskając groch. - Nie sądzę, by chciała sobie broszkę przywłaszczyć. Pewnie chciała się nią pobawić albo »wyobrazić« sobie coś wedle swego zwyczaju. Musiała ją wziąć, to oczywiste, bo nikt po niej nie był w pokoju, dopiero ja weszłam tam wieczorem, idąc spać. A broszka zginęła, to jasne. Pewno ją wzięła i zgubiła i nie chce się przyznać w obawie przed karą. Straszna jest myśl, że kłamie. To stokroć gorsze niż gwałtowny charakter. Jakaż to odpowiedzialność mieć w domu dziecko, któremu nie można ufać... Przebiegłość i kłamstwo... oto widocznie jej wady. Martwią mnie one więcej niż utrata broszki. Gdyby się chociaż przyznała, nie byłoby mi tak przykro”.

Tego wieczora Maryla jeszcze kilkakrotnie wchodziła do swego pokoju i szukała broszki, ale na próżno. Wieczorne odwiedziny w pokoiku na facjatce także nie odniosły skutku. Ania stanowczo twierdziła, że nie wie nic o broszce. Ale Maryla była coraz pewniejsza, że dziewczynka mówi nieprawdę.

Nazajutrz rano opowiedziała wszystko Mateuszowi. Zdziwił się i zmartwił, ale nie stracił zaufania do Ani, chociaż musiał przyznać, że pozory przemawiały przeciw niej.

- Czy jesteś pewna, że nie wpadła za biurko? - przyszło mu na myśl.

- Odsunęłam biurko, wyjęłam szufladki, zajrzałam do każdego kącika - odpowiedziała Maryla. - Broszki nie ma! Ania wzięła ją, a co najgorsze - kłamie. Jest to smutna, okropna prawda, ale musimy jej spojrzeć w oczy, Mateuszu Cuthbert.

- No i jakże ty teraz postąpisz? - spytał Mateusz bezradnie, zadowolony w duszy, że to Maryla, a nie on, zmuszona będzie załatwić tę sprawę. Nie czuł tym razem najmniejszej ochoty wtrącania się w sprawy wychowawcze.

- Pozostanie zamknięta w swoim pokoju, dopóki się nie przyzna - rzekła Maryla stanowczo, przypominając sobie dobry rezultat tej metody w poprzednim wypadku. - Potem zobaczymy, co będzie dalej. Może byśmy zdołali odnaleźć broszkę, gdyby tylko zechciała powiedzieć, dokąd ją zabrała. W każdym jednak razie musiałaby być surowo ukarana.

- Zapewne ukarzesz ją - rzekł Mateusz sięgając po kapelusz. - Pamiętaj, że ja nie zabieram głosu w tej sprawie. Nie pozwoliłaś mi się wtrącać do wychowania Ani.

Maryla czuła się opuszczona przez wszystkich. Nie mogła nawet pójść poradzić się pani Linde. Powędrowała znów na facjatkę zachmurzona i zirytowana, lecz powróciła jeszcze bardziej zasepiona. Ania stanowczo nie chciała się przyznać do niczego, twierdząc bezustannie, że broszki nie zabrała. Widoczne było, że dziewczynka dużo płakała, i Maryla poczuła litość, spojrzawszy na jej zmienioną twarzyczkę. Jednakże nie ustąpiła.

- Pozostaniesz w swoim pokoju, dopóki nie wyznasz prawdy. Bądź tego pewna - rzekła stanowczo.

- Ależ piknik ma się jutro odbyć! - zawołała Ania. - Wszak nie przeszkodziecie mi wziąć w nim udziału! Wypuści mnie Maryla na popołudnie, dobrze? Potem z radością będę siedziała w zamknięciu, jak długo będzie Maryla chciała. Ale na piknik muszę pójść!

- Nie pójdziesz ani na piknik, ani gdziekolwiek indziej, dopóki nie wyznasz prawdy, Aniu.

- Ach, Marylo! - wybuchnęła Ania płaczem. Lecz Maryla wyszła zamknąwszy drzwi.

Poranek środowy był tak słoneczny i jasny, jakby specjalnie zamówiony na piknik. Tysiące ptaków rozspiewało się nad Zielonym Wzgórzem. Wszystkie białe lilie w ogrodzie pachniały rozkosznie. Zapach ten wdzierał się do mieszkania drzwiami i oknami, rozlewając się po pokojach i sieniach niby błogosławieństwo. Brzozy w dolinie kołysały się i powiewały gałązkami, jakby wyczekując zwykłego rannego powitania mieszkanki facjatki. Ale Ani nie było u okna. Kiedy Maryla, przyniosła jej śniadanie, zastała dziewczynkę siedzącą na łóżku, bladą i zdecydowaną, z zaciśniętymi ustami i błyszczącymi oczyma.

- Marylo, jestem gotowa przyznać się!

- Wreszcie!

Maryla odstawiła tacę. Znowu metoda jej odniosła zwycięstwo, lecz jakież to smutne.

- Słucham, co chcesz mi powiedzieć?

- Wzięłam broszkę ametystową - recytowała Ania tonem wyuczonej lekcji. - Wzięłam ją, tak jak Maryla przypuszczała. Wszedłszy do pokoju, nie miałam zamiaru jej wziąć. Ale kiedy wpięłam ją do kołnierzyka, wydała mi się tak piękna, że opanowała mnie nieprzezwyciężona pokusa. Pomyślałam sobie, jak to cudnie będzie, gdy ją zabiorę do Zacisza Słowika i będę ją miała na sobie, udając lady Kordelię Fitzgerald. O ileż łatwiej przecież wyobrazić sobie, że jestem lady Kordelią Fitzgerald, mając broszkę z prawdziwych ametystów! Diana i ja robiłyśmy swoje naszyjniki z jarzębiny, ale czym jest jarzębina w porównaniu z ametystami? Więc wzięłam broszkę. Myślałam, że zdążę ją odłożyć, zanim Maryla wróci. Poszłam okrężną drogą, aby mieć więcej czasu. Przechodząc mostem na Jeziorze Lśniących Wód, zdjęłam broszkę, aby raz jeszcze spojrzeć na nią. Ach, jakże wspaniale błyszczała w słońcu! Lecz kiedy przechyliłam się poprzez poręcz, wymknęła mi się z palców i... widziałam, jak spadała coraz niżej... niżej... niżej, mieniając się purpurowo, aż wreszcie znikła na wieki w falach Jeziora Lśniących Wód. Lepiej już przyznać się do winy nie potrafię, Marylo!

Maryla czuła, jak znów opanowuje ją gniew. Ania wzięła samowolnie jej drogocenną, ametystową broszkę, zgubiła ją i teraz bez śladu żalu, z zimną krwią opowiada o tym wydarzeniu!

- Aniu, to jest okropne! - rzekła starając się zachować spokój. - Jesteś najniegodziwszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek spotkałam.

- Tak, wierzę temu - odpowiedziała Ania spokojnie - i wiem, że muszę być ukarana. Maryla jest zmuszona mnie ukarać. Ale czyby Maryla nie mogła uczynić tego natychmiast, abym idąc na piknik, nie miała już żadnej troski na duszy?

- Na piknik? Jeszcze czego! Nie pójdziesz na żaden piknik. I to będzie twoja kara! Choć nie jest ona ani w części tak surowa, na jaką zasługujesz.

- Nie pójdę na piknik?!

Ania zerwała się na nogi i złapała Marylę za rękę.

- Ależ Maryla mi przyrzekła! Ja muszę pójść na piknik! Przecież dlatego przyznałam się do winy! Proszę ukarać mnie w jakikolwiek inny sposób, tylko nie tak! Ach, Marylo, proszę, błagam, pozwól mi pójść! Przypomnij sobie lody! Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze będę mogła spróbować lodów!

Maryla stanowczym ruchem odtrąciła obejmujące ją ręce Ani.

- Na próżno prosisz, Aniu. Nie pójdziesz na piknik, i na tym koniec! Ani słowa więcej!

Ania zrozumiała, że Maryla jest nieubłagana. Załamała dłonie, wydała przeraźliwy okrzyk i padła na łóżko, szlochając i wijąc się w przystępie bezgranicznej rozpacz.

- Oszałała chyba! - rzekła Maryla wychodząc z pokoiku. - A jeśli nie jest szalona, to musi być do gruntu zła. Lękam się, że Małgorzata miała od początku słuszność. Ale cóż! Trzeba dalej ciągnąć swój wóz i na nic się nie oglądać.

Smutne to było przedpołudnie. Maryla pracowała za troje, szorowała podłogę w przedsiionku i półki w spiżarni, nie znajdując na razie nic innego do roboty, chociaż ani podłoga, ani półki nie wymagały czyszczenia. Potem gorliwie wygracowała całe podwórze.

Skończywszy obiad, wyszła na schody i zawołała Anię. Skąpiana we łzach twarzyczka o tragicznych oczach wyjrzała spoza poręczy.

- Chodź na obiad, Aniu!

- Nie chcę obiadu, Marylo - rzekła Ania szlochając. - Nie mogłabym nic przełknąć. Mam złamane serce. Maryla je złamała i może kiedyś odczuje wyrzuty sumienia z tego powodu. Ale ja wybaczam Maryli; proszę o tym pamiętać, kiedy przyjdzie właściwa chwila... Jednakże i tak nie potrafiłabym jeść, zwłaszcza gotowanej wieprzowiny z jarzynami. To takie nieromantyczne potrawy dla kogoś, kto ma ciężkie zmartwienie.

Maryla bezradna powróciła do kuchni i cały swój gniew i żal wylała przed Mateuszem, który czuł się bardzo nieszczęśliwy nie mogąc pogodzić poczucia sprawiedliwości ze współczuciem dla nieszczęśliwej Ani.

- Zapewne, Marylo, nie powinna była wziąć broszki i nie przyznać się - mówił, posępnym wzrokiem mierząc swoją porcję „nieromantycznej wieprzowiny z jarzynami”.

Widocznie na równi z Anią uważał te potrawy za nieodpowiednie w chwili silnego wzruszenia.

- Ale to jeszcze dziecko... i takie niezwykle dziecko. Czy nie sądzisz, że to zbyt surowa kara - pozbawienie jej udziału w pikniku, na który się tak nadzwyczajnie cieszyła? - Mateuszu, bardzo ci się dziwię. Sądzę, że byłam dla niej zbyt pobłażliwa. Ania zdaje się wcale nie odczuwać, jak szkaradnie postąpiła. To gniewa mnie najwięcej. Gdybyż choć żałowała! A ty również nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ona zrobiła. Zawsze jej bronisz, zawsze znajdziesz dla niej wytłumaczenie. Widzę to dobrze!

- Przecież to jeszcze dziecko - powtórzył słabiej trochę Mateusz. - I trzeba dodać na jej usprawiedliwienie, że nigdy nikt jej nie wychowywał.

- To prawda, lecz teraz ja zajmuję się jej wychowaniem - odpowiedziała Maryla.



Mateusz zamilkł, chociaż bynajmniej nie przekonany. Obiad minął niezwykle cicho. W dobrym humorze był tylko Jerry Buote, pastuszek, którego wesołe zachowanie Maryla uważała za osobistą obrazę.

Po umyciu naczyń, przygotowawszy rozczyń ciasta i nakarmiwszy kurczętą, Maryla przypomniała sobie, że zdejmując swój najładniejszy czarny szal koronkowy, który miała na głowie w poniedziałek na zebraniu w związku, zauważyła w nim małą dziurkę. Należało ją naprawić.

Szal ten ułożony był w pudełku, w skrzyni. Gdy Maryla go wyjęła, promienie słoneczne, przedzierające się poprzez gęste wino wokoło okien, padły na coś, co tkwiło w szalu, coś lśniącego i odbijającego światło o fioletowej barwie. Maryla chwyciła to z przejęciem. Była to jej ametystowa broszka zaczepiona o brzeg koronki.

- A to co takiego?! - zawołała zdumiona. - Broszka nie tknięta! A ja byłam pewna, że leży zatopiona w stawie Barry'ch. Dlaczego Ania mówiła, że wpadła do wody? Naprawdę, zaczynam sądzić, że na Zielonym Wzgórzu dzieją się jakieś czary. Teraz przypominam sobie, że kiedy wracałam w poniedziałek wieczorem z posiedzenia, położyłam szal na chwilę na biurku. Broszka widocznie zaczepiła się o niego i tak go schowałam.

Z broszką w ręce udała się Maryla na facjatkę. Ania spłakana siedziała u okna.

- Aniu - rzekła uroczyście do dziewczynki - znalazłam właśnie broszkę, zaczepioną o mój szal koronkowy. Chciałabym wiedzieć, co to za bajkę opowiedziałas mi dziś rano.

- Przecież Maryla zapowiedziała, że nie wyjdę z pokoju, do- póki się nie przyznam - rzekła Ania znużonym głosem - więc postanowiłam się przyznać, aby móc pójść na piknik. Ułożyłam sobie w nocy wyznanie tak pięknie, jak tylko potrafiłam. Powtarzałam je bezustannie, aby nic nie zapomnieć. Ale pomimo wszystko Maryla nie pozwoliła mi pójść, mój trud był więc daremny!

Maryla pomimo woli musiała się roześmiać, ale poczuła przy tym wyrzuty sumienia.

- Co za pomysł, Aniu! Nie miałam słuszności... widzę to teraz. Nie powinnam była wątpić o twojej prawdomówności, wobec tego, żeś dotąd nigdy nie skłamała. Rozumie się, żeś i ty niesłusznie postąpiła zmyśliwszy historię, która nigdy nie istniała. Wprawdzie to ja doprowadziłam cię do tego. Wybacz mi, Aniu, ja ci także wybaczę i będziemy nadal przyjaciółkami. A teraz przygotuj się do pikniku. Ania skoczyła jak piłka.

- Ach, Marylo, czy nie za późno?

- Bynajmniej. Druga dopiero! Być może, iż zaledwie zdążyli się zebrać, a godzina minie, zanim zasiądą do podwieczorku. Umyj się, uczesz i zmień sukienkę. Przygotuję ci twój

koszyk z prowiantem. Znajdziesz w nim ciastka domowej roboty. Powiem Jerry'emu, aby natychmiast zaprzął klacz i zawiózł cię do lasu, gdzie się zbierają.

- Ach, Marylo! - zawołała Ania biegnąc do umywalni. - Przed pięciu minutami byłam tak nieszczęśliwa, że pragnęłam, bym się nigdy nie urodziła, teraz zaś nie chciałabym zamienić się z aniołem!

Tegoż wieczora Ania, wyjątkowo znużona, lecz nieopisanie szczęśliwa, powróciła do domu.

- Ach, Marylo, bawiłyśmy się bajecznie... „Bajecznie” jest to nowe wyrażenie, którego się dziś nauczyłam. Alisia Bell użyła go kilkakrotnie. Czy ono nie jest wymowne? Wszystko było wspaniałe! Podwieczorek był pyszny, a potem pan Andrews brał nas po sześć do łodzi na przejażdżkę po Jeziorze Lśniących Wód. Janka Andrews omal nie wypadła. Wychyliła się, aby zerwać wodną lilię, i gdyby nie ojciec jej, który ją schwycił za sukienkę w ostatniej prawie chwili, byłaby wypadła i utonąła. Szkoda, że ja nie byłam na jej miejscu! Jak to byłoby romantycznie tak prawie utonąć. Ileż miałabym do opowiadania! Były też lody. Brak mi słów do opisanie śmietankowych lodów. Ach, jakież wszystko było bajeczne!

Wieczorem, cerując pończochy, Maryla opowiedziała wszystko Mateuszowi.

- Przyznaję otwarcie, że popełniłam błąd - mówiła szczerze - ale otrzymałam nauczkę. Na śmiech mi się zbiera, gdy przypomnę sobie to „wyznanie” Ani. Chociaż nie powinnam się śmiać, bo przecież było to kłamstwo, choć może nie tak złe jak każde inne, i ja sama je wywołałam. W istocie nieraz trudno jest tę dziewczynkę zrozumieć. Ale mam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. Widzę coraz wyraźniej, że w domu, w którym jest Ania, nie może być smutno!

## XV.

### BURZA W SZKOLNEJ SZKLANCE WODY

Jakiż prześliczny dzień! - rzekła Ania, głęboko oddychając. - Czyż nie cudnie jest żyć w takim dniu jak dzisiejszy? Żal mi tych, którzy się jeszcze nie urodzili i nie mogą napawać się tą pogodą! Choćby przeżyli niejeden rozkoszny dzień, dzisiejszego przecież nie znają... I jakie to szczęście, że mamy taką śliczną drogę do szkoły!

- Zapewne, że przyjemniej jest iść tędy niż gościńcem, na którym jest gorąco i tyle kurzu - odpowiedziała praktyczna Diana, po czym zajrzała do koszyczka ze śniadaniem, obliczając, ile też kęsów smacznego ciastka z malinami przypadnie na jedną dziewczynkę, jeśli trzy sztuki trzeba będzie podzielić pomiędzy dziesięć koleżanek.

Dziewczęta ze szkoły w Avonlea miały zwyczaj składać razem przyniesione śniadania, a gdyby która z nich odważyła się sama lub nawet wspólnie z najlepszą swoją przyjaciółką zjeść trzy ciastka z malinami, napiętnowano by ją jako „wstrętnego sobka”. A jednak trzy ciastka, podzielone pomiędzy dziesięć dziewczynek, mogły tylko boleśnie zaostrzyć apetyt.

Droga, którą Ania i Diana szły do szkoły, była w istocie prześliczna. Ania nawet w swej wyobraźni nie potrafiłaby stworzyć piękniejszej. Chodzenie gościńcem było wcale nie romantyczne, natomiast spacer Aleją Zakochanych, wzdłuż Szumu Wierzb, Doliną Fiołków i Ścieżką Brzóz był w wysokim stopniu poetyczny.

Aleja Zakochanych zaczynała się za sadem Zielonego Wzgórza i wiła się poprzez las tak daleko, jak sięgała posiadłość Cuthbertów. Była to droga, którą zwykle chodziły krowy udające się na pastwiska i któreży zimową porą zwożono drzewo do kuchni. Ania wymyśliła tę nazwę już po kilkutygodniowym pobycie na Zielonym Wzgórzu.

- Wiem dobrze, że żadni zakochani nie chodzą tędy - objaśniała Maryla - ale czytamy właśnie z Dianą śliczną książkę, w której jest Aleja Zakochanych. Dlatego chcieliśmy także mieć podobną. Wszakże to śliczna nazwa, taka romantyczna. Widzi Maryla, można sobie w tej alei wyobrazić zakochanych. Lubię tę ścieżkę, można tam także śpiewać i krzyczeć wniebogłosy, a nikt się o to nie gniewa.

Ania wychodziła zazwyczaj wczesnym rankiem i udawała się Aleją Zakochanych aż do strumienia. Tam spotykała się z Dianą i obie dziewczynki wędrowały pod koronami klonów, dopóki nie doszły do małego mostka.

- Klony to są naprawdę towarzyskie drzewa - mawiała Ania - wiecznie szepczą i szepczą do nas.

Następnie dziewczynki skręcały ze ścieżki, mijały łąki pana Barry'ego i Szum Wierzb. Dalej rozciągała się Dolina Fiołków - maleńka, zielona kotlinka w cieniu wielkiego lasu pana Bella.

- Pewno, że teraz nie ma tam fiołków - opowiadała Ania Maryli - lecz Diana mówi, że na wiosnę są ich miliony. Czy Maryla może to sobie wyobrazić? Nazwałam to miejsce Doliną Fiołków. Diana mówi, że nie zna nikogo równie zdolnego, jak ja, do nadawania nazw. Bardzo przyjemnie jest być zdolnym w pewnym kierunku. Diana wymyśliła nazwę Ścieżka Brzóz. Prosiła o nią koniecznie, więc zgodziłam się, chociaż z pewnością wymyśliłabym coś o wiele poetyczniejszego. Każdy mógłby ułożyć taką pospolitą nazwę. Ale pomimo to Ścieżka Brzóz jest jedną z najpiękniejszych na świecie.

I tak było w istocie. Ktokolwiek zabłądził kiedy w ową stronę, mówił to samo. Była to wąska ścieżka, wijąca się wokół pagórka pośród lasu pana Bella, gdzie światło wdzierające się poprzez szmaragdową ścianę liści było czyste jak diament. Z obu stron okalały ją młode brzoźki o białych pniach i gibkich gałęziach. Paprocie, astry i dzikie konwalie rosły tu w wielkiej ilości. Powietrze przesycone było delikatnym, żywicznym zapachem, muzyką tonów ptasich, szmerem i śmiechem wietrzyka pośród koron drzew. Jeśli kto szedł cichutko - Ani i Dianie zdarzało się to bardzo rzadko - mógł spłoszyć królika. Niżej, w dolinie, ścieżka łączyła się z gościńcem, a tuż za pagórkiem, porośłym lasem, była szkoła.

Dom szkolny w Avonlea był to białe otynkowane, niski budynek o wielkich oknach. Wewnątrz mieściły się solidne, staroświeckie ławki z pulpitemi dającymi się otwierać i zamykać, których deski były wyłobione literami i hieroglificznymi podpisami trzech pokoleń uczniów. Dom szkolny stał z dala od drogi; poza nim ciągnął się ciemny las sosnowy i strumień, do którego uczniowie i uczennice wstawiali rano butelki z mlekiem, aby pozostało do południa zimne i słodkie.

Z wielkim niepokojem wyprawiła Maryla Anię pierwszego września do szkoły. Ania była takim oryginalnym dzieckiem! Jakże się zgodzi z innymi? I jak potrafi zapanować podczas godzin lekcji nad swą gadatliwością?

Ale wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Ania powróciła tego dnia rozpromieniona.

- Zdaje mi się, że polubię tę szkołę - oznajmiła na wstępie. - Nauczyciel, co prawda, nie bardzo mi się podoba. Cały czas kręci węża i zerka na Prissy Andrews. Prissy jest już dorosła, wie Maryla. Ma lat szesnaście i przygotowuje się do zdania wstępnego egzaminu do

królewskiej akademii w Charlottetown w roku przyszłym. Tillie Boutler mówi, że nauczyciel jest śmiertelnie zakochany w Prissy. Ma ona śliczną cerę i wijące się, ciemne włosy, które bardzo ładnie upina. Siedzi w ostatniej ławce i on tam często się przysiadają... aby jej wytłumaczyć lekcję, jak twierdzi. Ale Ruby Gillis mówi, że widziała, jak napisał jej coś na tabliczce, a gdy Prissy to przeczytała, zaczerwieniła się jak burak i zaczęła chichotać. Ruby mówi, że jest pewna, iż to nie tyczyło się wcale lekcji.

- Aniu, nie waż mi się nigdy więcej mówić w ten sposób o twoim nauczycielu - rzekła Maryla surowo. - Nie uczęszczasz do szkoły dla krytykowania nauczyciela. Sądzę, że ciebie z pewnością potrafi czegoś nauczyć, a twoją rzeczą jest uważnie go słuchać. Proszę nigdy nie wracać do domu z podobnymi opowieściami. Stanowczo nie pozwalam na to. Mam nadzieję, że dobrze się zachowywałaś.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Ania beztrąsko. - Wcale nie było tak strasznie, jak sobie wyobrażałam. Siedziałam obok Diany. Ławka nasza stoi tuż przy oknie i możemy spoglądać na Jezioro Lśniących Wód. Jest wiele miłych dziewcząt w szkole, więc podczas południowej pauzy bawiłyśmy się znakomicie. Jak to przyjemnie mieć tyle towarzyszek do zabawy! Rozumie się, że najwięcej ze wszystkich lubię i będę lubiła Dianę. Ubóstwiam Dianę. Ale umiem daleko mniej niż inni. Wszyscy przechodzą piątą część „Wypisów”, ja zaś czwartą. Czuję się tym jakby upokorzona. Ale nikt z nich nie posiada takiej wyobraźni jak ja. Stwierdziłam to bardzo szybko. Dziś miałyśmy czytanie, geografii, historię Kanady i dyktando. Pan Phillips powiedział, że moja ortografia jest potworna, i podniósł moją tabliczkę wysoko, aby wszyscy mogli ją widzieć. Błędy były grubo podkreślone. Wstydziłam się bardzo, Marylo, ale czy to grzecznie postąpić w ten sposób z uczennicą, która przyszła po raz pierwszy? Ruby Gillis dała mi jabłko, a Zosia Sloane przesłała mi śliczną, czerwoną kartkę z napisem: „Czy mogę odwiedzić cię w domu?” Tillie Boutler zaś pozwoliła mi nosić swój pierścionek z paciorków przez całe popołudnie. Czy mogłabym wziąć trochę tych sztucznych perełek ze starej poduszeczki od szpilek, która leży na strychu, dla siebie na pierścionek? I czy Maryla wie, że Janka Andrews powiedziała mi, iż słyszała Minnie Macpherson mówiącą, że Prissy Andrews powiedziała Sarze Gillis, jakoby miała bardzo ładny nos? Ach, Marylo, jest to pierwszy komplement, który usłyszałam w życiu! Jakiego dziwnego doznałam uczucia! Marylo, czy ja mam naprawdę ładny nos? Wiem, że Maryla powie mi prawdę!

- Owszem, twój nos nie jest brzydki - przyznała Maryla krótko.

Dobrze wiedziała, że Ania miała wyjątkowo zgrabny nos, lecz nie chciała jej tego powiedzieć.

Upłynęło już trzy tygodnie od pierwszej bytności Ani w szkole, a dotąd wszystko szło pomyślnie. I oto w piękny wrześnieowy poranek Ania i Diana, jedne z najszcześniejszych dziewczynek w Avonlea, dążyły wesoło Ścieżką Brzóz.

- Zdaje mi się, że Gilbert Blythe przyjdzie dzisiaj do szkoły - rzekła Diana. - Całe lato spędził u swych krewnych w Nowym Brunszwiku i wrócił dopiero w sobotę wieczorem. Jaki on śliczny, Aniu! Zawsze okropnie dokucza dziewczynom. Potrafi zamęczyć na śmierć.

Ton mowy Diany wyraźnie dowodził, że chętnie pozwala zamęczać się na śmierć. ‘

- Gilbert Blythe? - spytała Ania. - Czy to nie jego imię i nazwisko wypisane jest na ścianie, tuż obok wejścia, razem z imieniem Julii Bell, a nad tym wielkimi literami: „Uwaga”?

- Tak, właśnie - rzekła Diana potwierdzając skinieniem głowy -. lecz jestem pewna, iż on jej wcale tak bardzo nie lubi. Słyszałam, jak mówił, że uczył się tabliczki mnożenia na jej piegach.

- Ach, nie mówże o piegach przy mnie - prosiła Ania. - To bardzo niedelikatnie, bo przecież ja mam ich tyle! Lecz wydaje mi się bardzo niemądre takie wspólne „ogłaszanie” imion dziewcząt i chłopców na ścianach. Chciałabym zobaczyć takiego, kto by się odważył połączyć moje imię z imieniem któregoś z chłopców. Nie przypuszczam wcale, aby kto zechciał to uczynić - dodała spieszenie. Słowom tym jednak towarzyszyło westchnienie.

Ania nie chciała, by jej imię zostało napisane na ścianie, ale trochę upokarzająca była myśl, że jej to zupełnie nie grozi.

- Głupstwo! - rzekła Diana, której czarne oczy i wspaniałe warkocze robiły takie wrażenie na młodzieży szkolnej, że imię jej było wyryte ze sześć razy na ścianie przedsionka.

- Przecież to tylko żarty! I nie wmawiaj w siebie wcale, że twoje imię nigdy tam nie będzie widniało. Karol Sloane jest w tobie śmiertelnie zakochany. Powiedział swojej matce - rozumiesz, matce - że jesteś najbystrzejszą dziewczynką w szkole. To wszak więcej znaczy niż być ładną.

- Co to, to nie - odpowiedziała Ania, wielbicielka piękna. - Wołałabym być ładną niż rozumną. Zresztą nie cierpię Karola. Nienawidzę chłopców z wyłupiastymi, oczami. Gdyby ktokolwiek odważył się napisać jego imię wraz z moim, nie przebaczyłabym mu tego nigdy... Ale przyjemnie jest być prymusem w klasie!

- Teraz Gilbert będzie w twojej klasie, a on zwykle jest prymusem. Przechodzi dopiero czwartą część „Wypisów”, pomimo że ma lat prawie czternaście. Przed czterema laty ojciec jego zachorował i musiał wyjechać do Alberty dla ratowania zdrowia. Zabrał go wtedy i zatrzymał przy sobie przez całe trzy lata. Nie ucęszczał więc Gilbert wówczas prawie wcale

do szkoły, zaczął chodzić dopiero po powrocie. Jednak wobec niego nie będzie ci tak łatwo być prymuską, Aniu.

- Cieszę się z tego - wtrąciła Ania prędko. - Niewielka to chwała być prymuską pomiędzy dziećmi dziewięcio- i dziesięcioletnimi. Wczoraj wstałam, aby powiedzieć, jak się pisze „wrzenie”. Józia Pye zrobiła to pierwsza, ale wyobraź sobie, zaglądała do książki. Pan Phillips nie zauważył tego - patrzył na Prissy Andrews - lecz ja widziałam. Rzuciłam jej spojrzenie tak pełne wzgardy, że zaczerwieniła się jak piwonia i zaczęła plątać się w odpowiedziach!...

- Wszystkie Pye'ówny to znane oszustki! - rzekła Diana oburzona, przełaząc przez barierę na gościniec. - Czy wiesz, że właśnie wczoraj Gertie Pye wstawiła swą butelkę mleka na miejsce mojej w strumieniu? Nie rozmawiam z nią.

Podczas gdy pan Phillips w głębi pokoju objaśniał Prissy Andrews łacinę, Diana szepnęła do Ani:

- Gilbert Blythe siedzi na prawo od środkowego przejścia, Aniu. Spójrz nań i powiedz, czy nie uważasz, że jest ładny?

Ania spojrzała we wskazanym kierunku. Mogła to uczynić swobodnie, bo Gilbert Blythe był gorliwie zajęty przypinaniem za pomocą szpilki długiego, jasnego warkocza Ruby Gillis do poręczy ławki, siedziała bowiem tuż przed nim. Był to smukły chłopiec o czarnych, kędzierzawych włosach, figlarnych, ciemnych oczach i wesołym uśmiechu na ustach.

Po chwili Ruby zerwała się z miejsca, aby przedstawić wynik jakiegoś zadania nauczycielowi. Z lekkim okrzykiem padła z powrotem na ławkę, pewna, że wyrwała sobie zupełnie włosy z głowy. Wszyscy spojrzeli na nią, pan Phillips zaś tak surowo, że Ruby się rozplakała.

Gilbert wyciągnął szpilkę i błyskawicznie z najniewinniejszą miną w świecie zatopił się w czytaniu książki. Lecz kiedy się wszystko uspokoiło, zerknął porozumiewawczo ku Ani z wesołą miną zręcznego łobuza.

- Przyznaję, że twój Gilbert Blythe jest przystojny - zwierzyła się Ania Dianie - lecz uważam, że jest bardzo zuchwały. Cóż to za zachowanie mrugać do obcej dziewczynki? Ale dopiero po południu zaszły ważniejsze sprawy. Pan Phillips siedział w kącie klasy, zajęty objaśnianiem zadania algebraicznego Prissy Andrews, a reszta dzieci robiła, co im się podobało. Jadły zielone, niedojrzałe jabłka, szeptały ze sobą, rysowały na swych tabliczkach i puszczały między ławkami koniki polne zaprzęzone w sznurki. Gilbert Blythe usiłował zmusić Anię do rzucenia nań okiem, lecz nie udawało mu się to wcale, gdyż Ania w tej chwili zupełnie zapomniwała o istnieniu nie tylko Gilberta, ale i wszystkich innych uczniów z

Avonlea, a nawet bodaj czy nie zapomniała o szkole. Z twarzyczką wspartą na dłoniach, z oczami zapatrzonymi w błękitne fale Jeziora Lśniących Wód, które widać było przez zachodnie okno, dziewczynka zatonała w świecie marzeń, ślepa i głucha na wszystko, co nie było obrazem jej imaginacji.

Gilbert Blythe nie przywykł starać się bezskutecznie o to, by któraś z dziewczynek zechciała nań spojrzeć. Musi spojrzeć nań ta czerwonowłosa Ania Shirley o spiczastym podbródku i wielkich oczach, jakich nie miała żadna inna uczennica w całym Avonlea.

Nagle wychylił się w stronę przejścia pomiędzy ławkami, pochwycił koniec jednego z długich warkoczy Ani, pociągnął ku sobie i zawołał przenikliwym szeptem:

- Patrzcie! Marchewka! Marchewka!

Wtedy dopiero Ania rzuciła nań mściwe spojrzenie.

I nie tylko spojrzenie. Zerwała się z miejsca, a wszystkie jasne jej rojenia pierzchły w jednej chwili.

Oczy jej gorzały gniewem, lecz prawie natychmiast przygasiły je łzy wściekłości i upokorzenia.

- Ty wstrętny chłopcze! - zawołała gwałtownie. - Jak śmiałeś!...

A potem - trzask! - Ania cisnęła swą tabliczką szyfrową w głowę Gilberta, cisnęła z taką siłą, że tabliczka pękła...

Szkoła rada była każdemu niezwykłemu zdarzeniu. A to było coś bardzo niezwykłego. Każde z dzieci zawołało „o!” z przerażeniem i zachwytem równocześnie. Diana otworzyła usta i oniemiała, Ruby, skłonna do łez, zaczęła płakać. Tomek Sloane puścił swój zaprzęg koników polnych, przyglądając się tej scenie z otwartymi ustami.

Pan Phillips wielkimi krokami zbliżył się do Ani i położył swą ciężką dłoń na jej ramieniu.

- Anno Shirley, co to miało znaczyć? - spytał surowo. Ania nie odpowiedziała ani słowa. Było to zbyt wiele kazać wyznać biednemu dziecku wobec całej szkoły, że nazwano ją „marchewką”. Ale Gilbert Blythe wystąpił odważnie:

- To moja wina, proszę pana. Ja jej dokuczyłem. Pan Phillips nie zwrócił uwagi na te wyrazy.

- Przykro mi bardzo, że jedna z moich uczennic okazała taki mściwy charakter i gwałtowność - rzekł uroczystym tonem, jak gdyby sam fakt należenia do jego uczniów powinien był zniszczyć w zarodku wszelkie złe instynkty w sercach młodziutkich, niedoskonałych śmiertelników. - Aniu, stań przed tablicą. Pozostaniesz tam resztę popołudnia!



Ania stokroć wolałaby zostać wysmaganą biczem niż znieść tę karę, która przy jej wrażliwym usposobieniu równała się policzkowi. Posłuchała jednak, blada, osłupiała. Pan Phillips, wzięwszy kredę do ręki, napisał na tablicy nad jej głową:

„Andzia Shirley ma bardzo brzydki charakter. Andzia Shirley powinna się starać panować nad swą złością” i następnie odczytał głośno te wyrazy tak, aby nawet najmłodszy, którzy jeszcze nie umieli dobrze czytać, mogli to zrozumieć.

I Ania stała resztę popołudnia z tym napisem nad głową. Nie płakała jednak ani nie pochyliła głowy. Gniew w jej duszy wrzał jeszcze zbyt silnie i dodawał jej sił w tym strasznym upokorzeniu. Z palącymi policzkami gniewnie odtrącała współczujące spojrzenia Diany, pełne oburzenia ruchy głowy Karola Sloane i złośliwy uśmiech Józi Pye. Na Gilberta ani spojrzała. Nigdy już nań nie spojrz! Nigdy nie przemówi do niego!

Po zakończeniu lekcji Ania wyszła z głową wysoko podniesioną. Gilbert stał przed drzwiami sieni, czekając na nią.

- Tak mi przykro, że żartowałem z twoich włosów, Aniu - rzekł błagalnym szeptem. - Mówię szczerze. Nie obrażaj się na mnie na zawsze, proszę!

Ania przemknęła obok niego z miną pełną pogardy, nie patrząc i nie chcąc słuchać.

- Aniu, jakżeś mogła! - westchnęła Diana w czasie drogi powrotnej, po części z wyrzutem, po części z podziwem. Diana bowiem była pewna, że sama nie potrafiłaby oprzeć się błagalnej prośbie Gilberta.

- Nigdy nie wybaczę Gilbertowi - rzekła Ania stanowczo. - W dodatku pan Phillips napisał „Andzia”. Żelazo rozdarło moją duszę, Diana!

Diana nie miała pojęcia, co znaczyły te wyrazy, lecz zrozumiała, że musiało to być coś strasznego.

- Nie powinnaś gniewać się tak bardzo o to, że Gilbert żartował z twoich włosów - pocieszała ją. - Wszak on żartuje ze wszystkich dziewczynek. Wyśmiewa moje warkocze, że są takie czarne. Nazwał mnie wroną z dziesięć razy, a przecież ani razu nie przeproszał mnie za to.

- Jest wielka różnica być nazwaną wroną, a marchewką - rzekła Ania z godnością. - Gilbert uraził moje uczucia w sposób okrutny.

Być może, iż burza ta minęłaby bez dalszych następstw, gdyby nie zaszło nic więcej. Lecz jedno nieszczęście pociąga za sobą najczęściej drugie.

Dzieci szkoły w Avonlea spędzały często pauzę południową na wielkich łąkach pana Bella lub zbierały żywicę w sosnowym lasku na wzgórzu. Stamtąd mogły z łatwością mieć oko na pobliski domek, w którym pan Phillips jadał obiady. Skoro tylko spostrzegły go

wychodzącego, natychmiast co tchu pędziły ku szkole. Wobec tego jednak, że ścieżka, którą wracał nauczyciel, była co najmniej trzy razy krótsza od drogi, jaką same musiały przebiec, wpadały do szkoły zadyszane kilka minut po nauczycielu.

Nazajutrz po awanturze z Anią ogarnął pana Phillipsa zjawiający się u niego od czasu do czasu zapał do reform. Idąc na obiad oznajmił, że życzy sobie, by powróciwszy zastał wszystkie dzieci na miejscach. Ktokolwiek się spóźni, będzie ukarany.

Wszyscy chłopcy i kilka dziewcząt pobiegło jak zwykle do lasu ze stanowczym zamiarem znalezienia tylko kawałka żywicy do żucia i powrócenia na czas. Lecz pod sosnami było tak rozkosznie, a złociste krople żywicy błyszcząły tak nęcąco!

Toteż dzieci zbierały ją, gadając i spacerując, a opamiętały się dopiero wówczas, gdy usłyszały przeraźliwy okrzyk Jimmy Glovera, który siedząc na wierzchołku starej sosny, zawołał, jak mógł najgłośniejszy: „Nauczyciel idzie!”

Dziewczęta, znajdujące się pod drzewami, skoczyły co sił i przybiegły do szkoły w ostatniej chwili, chłopcy, zmuszeni spuszczać się z drzew w popłochu, spóźnili się trochę. Ale najpóźniej zjawiała się Ania - Ania, która bynajmniej nie była zajęta zbieraniem żywicy, lecz pełna zachwyty kroczyła po najdalszej części lasu, brodząc między paprociami sięgającymi jej prawie do pasa.

Włożywszy na głowę wianuszek z kwiatów, nuciła sobie półgłosem, niby jakaś boginka tych cienistych zakątków. Ania umiała biec jak sarenka. Toteż i teraz potrafiła tak doskonale użyć swych długich nóg, że doścignęła chłopców przy drzwiach i wpadła razem z nimi do pokoju szkolnego w chwili, gdy pan Phillips wieszał swój kapelusz na kołku.

Gorączkowy zapał wprowadzania reform ochłódł już i nauczyciel nie miał wcale ochoty kłopotać się karaniem kilkunastu spóźnionych uczniów. Należało jednak uczynić coś, by dotrzymać słowa. Obejrzał się więc za jakimś kozłem ofiarnym i znalazł go w Ani, która właśnie padała na swe miejsce, zgrzana, bez tchu, z wiankiem przekrzywionym nad uchem, co nadawało jej wygląd szczególnie nieporządny i łobuzerski.

- Anno Shirley! Wobec tego, iż zdajesz się chętnie przebywać w towarzystwie chłopców, uwzględnię twój gust na resztę dzisiejszego popołudnia - rzekł sarkastycznie. - Zdejmij kwiaty z głowy i usiądź obok Gilberta Blythe.

Chłopcy zachichotali. Diana zbladła, przejęta współczuciem, zdjęła wianek z głowy Ani i mocno uściśnęła jej dłoń. Ania jak skamieniała patrzyła na nauczyciela.

- Czy Ania słyszała, co powiedziałem? - spytał pan Phillips surowo.

- Słyszałam - odrzekła Ania powoli - lecz nie sądziłam, aby to było powiedziane na serio.

- Zapewniam cię, że tak - dodał nauczyciel tym sarkastycznym, smagającym niczym bicz tonem, którego nienawidziły wszystkie dzieci, a zwłaszcza Ania. - Uczyń natychmiast, co ci kazałem.

Przez chwilę zdawało się, że Ania nie ma zamiaru usłuchać. Lecz zrozumiałwszy, że nie ma innego wyjścia, wstała dumnie i przeszedłszy pomiędzy ławkami, usiadła obok Gilberta, wsparła łokcie na pulpicie i ukryła twarz w dłoniach. Ruby Gillis, która zdążyła spojrzeć na nią w ostatniej chwili, opowiadała w powrotnej drodze koleżankom, iż „nigdy w życiu nie widziała podobnej twarzy - istna ściana kredowa w drobne, czerwone cętki”.

Dla Ani było to okropne przeżycie. Dość już ciężkie przez to, że ona jedna spośród kilkunastu winnych została ukarana, że kazano jej usiąść koło chłopca, lecz fakt, że sąsiadem jej stał się Gilbert Blythe, czynił tę karę i zniewagę nie do zniesienia. Ania czuła, że nie potrafi tego wytrzymać. Cała jej istota drżała ze wstydu, upokorzenia i bezsilnego gniewu.

Początkowo reszta dzieci spoglądała w jej stronę: chichotały, szeptały, mrugały ku sobie. Lecz kiedy Ania nie podnosiła głowy ani na chwilę, Gilbert zaś był tak zajęty rozwiązywaniem zadania na ułamki, że utonął w nim całą duszą, one także powróciły do swych zadań i przestały zajmować się Anią.

Gdy pan Phillips odbierał ćwiczenia z historii, Ania nie ruszyła się z miejsca, ale nauczyciel nie zauważył tego, bo kiedy uczniowie pisali klasówkę, zajęty był właśnie układaniem wiersza „Do Priscilli” i teraz biedził się nad jakimś trudnym rymem. Gilbert korzystając z chwili, kiedy nikt nie patrzył w jego stronę, wydobyl ze swej szuflady czerwone serduszko z cukru ze złotym napisem: „Jesteś słodka” i podsunął je pod łokieć Ani. Ale Ania wstała, delikatnie ujęła w dwa palce owo serduszko, cisnęła je na podłogę, rozgniotła obcasem i usiadła na swym miejscu, nie racywszy ani jednym spojrzeniem uszczęśliwić Gilberta.

Po skończonych lekcjach Ania podeszła do swego pulpitu, ostentacyjnie wydobyla książki i zeszyty, atrament i pióro i ułożyła wszystko na swej pękniętej tabliczce.

- Czemu to zabierasz? - spytała Diana, gdy znalazły się na gościńcu.

Przedtem nie odważyła się zadawać żadnych pytań.

- Nie wrócę już do szkoły - odpowiedziała Ania.

Diana osłupiała ze zdziwienia i spojrzała na przyjaciółkę, aby się przekonać, czy mówi poważnie.

- Czyż Maryla pozwoli ci pozostać w domu? - spytała.

- Musi pozwolić. Nigdy już nie powrócę do szkoły do tego niegodziwca.

- Ach, Aniu!

Diana zdawała się być bliską płaczu.

- Czy być może? Cóż ja pocznę? Pan Phillips niewątpliwie posadzi mnie obok tej wstrętnej Gertie Pye. Wiem dobrze, że tak zrobi, gdyż ona siedzi sama jedna. Wróć, Aniu, do szkoły!

- Uczyniłabym dla ciebie wszystko na świecie, prawie wszystko, Dianio - rzekła Ania smutnie. - Pozwoliłabym sobie uciąć ręce i nogi, gdybym wiedziała, że to jest potrzebne dla twego dobra. Tego jednak nie mogę uczynić, więc nie prosź mnie. Rozdzierasz mi duszę.

- Pomyśl, ile przyjemności stracisz - skarżyła się Diana. - Mamy właśnie zbudować sobie śliczny domek w pobliżu strumienia i zaczniemy od przyszłego tygodnia grywać w piłkę. Tyś nigdy nie grała w piłkę. Aniu, to, taka wspaniała zabawa! Będziemy się też uczyły jednej nowej pieśni... Janka Andrews już się ćwiczy. Alisia Andrews zaś przyrzekła pożyczyć nam nową książkę do wspólnego czytania, gdy odpoczywamy nad strumieniem. A ty umiesz tak ślicznie czytać na głos, Aniu!

Jednakże nic nie mogło zachwiać postanowienia Ani. Stanowczo nie powróci już do szkoły pana Phillipsa. Oświadczyła to Maryli natychmiast po powrocie do domu.

- Głupstwo! - rzekła Maryla.

- Wcale nie głupstwo - odpowiedziała Ania spoglądając na Marylę poważnym, pełnym wyrzutu wzrokiem. - Czy Maryla nie rozumie tego? Zostałam znieważona!

- Znieważona!... Rzeczywiście! Pójdiesz jutro, jak zwykle, do szkoły.

- O, nie! - Ania przecząco potrząsnęła głową. - Nie powrócę już do szkoły, Marylo. Będę się uczyła w domu, będę się sprawowała możliwie jak najlepiej i będę milczała, ile tylko potrafię. Ale do szkoły nie wrócę!

Maryla widziała, że na twarzyczce Ani odmalował się opór nie do złamania. Zrozumiała, że w tej chwili trudno jej będzie przekonać Anię, i rozsądnie postanowiła nie mówić o tym więcej.

„Pójdę dziś wieczorem do Małgorzaty - pomyślała. - Z Anią nie można teraz rozmawiać. Jest zbyt rozgoryczona i lękam się, że mogłaby się zaciąć w swoim uporze. O ile rozumiem tę całą historię, pan Phillips postąpił nie bardzo taktownie. Nie powiem tego jednak dziecku, ale rozmówię się z Małgorzatą. Dziesięcioro dzieci posyłała do szkoły, więc ma przecież doświadczenie w tym kierunku. Zresztą opowiem jej dokładnie, co się stało”.

Maryla zastała panią Linde pilnie zajętą, jak zwykle, robieniem swej bawełnianej kołdry.

- Przypuszczam, że wiesz, w jakiej sprawie przychodzę - rzekła nieco zmieszana.

Pani Małgorzata skinęła głową potakująco.

- Domyślam się, że to sprawa Ani w szkole - odpowiedziała. - Tillie Boutler wracała tędy do domu i opowiedziała mi całą awanturę.

- Nie wiem, co z nią robić - rzekła Maryla. - Oznajmiła mi, że nie pójdzie więcej do szkoły. Nie widziałam nigdy równie zaciętego dziecka. Co prawda, spodziewałam się jakichś nieporozumień, gdy tylko zaczęła uczęszczać na lekcje. Dziwiłam się, że wszystko odbywało się tak spokojnie. Wszak Ania przeżywa każdą rzecz niezwykle silnie. Cóż ty radzisz uczynić, Małgorzato?

- Jeżeli mnie pytasz o radę, Marylo - odpowiedziała pani Linde uprzejmie (lubiła niezmiernie być pytana o radę) - tym razem pozwoliłabym jej postąpić, jak zechce. Ja uważam, że pan Phillips nie miał słuszności w tym wypadku. Naturalnie, nie można tego powiedzieć dzieciom. Wczoraj miał rację karząc ją za uniesienie się gniewem, lecz dziś to zupełnie co innego. Przecież powinien był ukarać tych wszystkich uczniów, którzy spóźnili się jednocześnie z Anią. Tak należało uczynić. A cóż to za sposób karania dziewcząt przez umieszczanie ich na ławce obok chłopców? To jest niewłaściwe. Tillie Boutler jest oburzona. Twierdzi, że Ania była niewinna i że cała klasa jest tegoż zdania. Zdaje się, że Ania cieszy się dużą sympatią w szkole. Nie sądziłam nigdy, aby to było możliwe.

- Więc uważasz, że powinnam pozostawić Anię w domu? - spytała Maryla zdziwiona.

- Bezwarunkowo. I nie kazałabym jej iść do szkoły, zanim sama tego nie zechce. Przekonasz się, że mam słuszność, Marylo. Po tygodniu mała zapomni i sama chętnie powróci do klasy. A gdybyś ją zmuszała, kto wie, do jakich scen mogłoby dojść w końcu i ile mogłoby być z tym kłopotu. Mnie się wydaje, że całe to zajście należy zlekceważyć. Niewiele straci nie uczęszczając przez tydzień do takiej szkoły. Pan Phillips wcale nie jest dobrym nauczycielem. Sposób, w jaki prowadzi szkołę, jest godny potępienia. Młodszym uczniom pozostawia zupełną swobodę, zajmuje się zaś jedynie starszymi, przygotowującymi się do akademii. Z pewnością nie pozostawałby on na swym stanowisku, gdyby wuj jego nie zasiadał w Radzie Szkolnej i nie wodził innych członków za nos. Nie rozumiem w istocie, co się stanie ze szkolnictwem na naszej wysepce.

I pani Małgorzata znacząco potrząsnęła głową, jakby chciała dać do zrozumienia, że gdyby ona mogła kierować szkolnictwem Prowincji, sprawy te byłyby lepiej prowadzone.

Maryla posłuchała rady pani Linde i nie było już mowy o powrocie Ani do szkoły. Dziewczynka odrabiała lekcje w domu, pomagała w gospodarstwie, a o chłodnym, purpurowym zachodzie słońca bawiła się z Dianą. Lecz jeśli kiedy spotkała na gościńcu Gilberta lub gdy zetknęła się z nim w szkole niedzielnej, zawsze mijała go z lodowatą pogardą, której stopić nie potrafiła jego bardzo jawna chęć pogodzenia się z obrażoną

koleżanką. Nawet starania Diany o przywrócenie zgody pomiędzy nimi nie odniosły skutku. Widoczne było, że Ania postanowiła nienawidzić Gilberta do końca życia.

Lecz o ile nienawidziła Gilberta, o tyle gorąco kochała Dianę całym przywiązaniem swego namiętnego serduszka, zarówno zapamiętałego w miłości, jak i w nienawiści.

Pewnego wieczora Maryla, wracając z sadu z koszykiem świeżo zerwanych jabłek, zastała Anię u okna zalaną łzami.

- Co się stało, Aniu? - spytała.

- Ach, to o Dianę chodzi - odpowiedziała Ania szlochając. - Ja tak bardzo kocham Dianę, Marylo! Nie potrafiłabym żyć bez niej. Lecz wiem dobrze, że gdy dorośniemy, Diana wyjdzie za mąż, odjedzie stąd i opuści mnie. A wtedy co ja pocznę? Nienawidzę jej męża, nienawidzę go z całej duszy. Wyobrażam sobie wszystko... wesele i wszystko... Diana w śnieżnobiałym stroju, z welonem, piękna i wspaniała jak królowa. A ja, jako druhna, w ślicznej sukience, to prawda, w rękawach z bufami, lecz z rozdartym sercem pomimo uśmiechniętej twarzy. A w końcu, kiedy trzeba będzie pożegnać Dianę na... na... zawsze...

Tu głos Ani załamał się i dziewczynka gorzko zapłakała.

Maryla odwróciła się, aby ukryć uśmiech. Ale już było za późno. Padła na najbliższe krzesło i wybuchnęła tak niezwykłym i serdecznym śmiechem, że Mateusz, który właśnie przechodził podwórzem, przystanął zdumiony. Nie pamiętał, czy Maryla śmiała się kiedykolwiek tak serdecznie.

- Aniu - rzekła Maryla, gdy tylko potrafiła przemówić. - Jeśli już musisz wymyślać sobie kłopoty, to wymyślaj lepsze. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że masz wyobraźnię nie lada!

## XVI.

### TRAGICZNE SKUTKI PODWIECZORKU

Październik był śliczny na Zielonym Wzgórzu. Brzozy w kotlinie złociły się jak światło słoneczne, a klony poza sadem mieniły się najwspanialszą purpurą. Dzikie wiśnie wzdłuż alei przystroiły się w najcudniejsze ciemnoczerwone i brunatnozielone odcienie, gdy tymczasem świeża, powtórna zieleń pokryła łąki i pola.

Ania upajała się bezgranicznie tym przepychem barw roztaczających się wokoło niej.

- Ach, Marylo! - zawołała w pewien sobotni rano, wpadając do mieszkania z pękiem olbrzymich gałęzi. - Jakże się cieszę, że żyję na świecie, w którym istnieje październik! Jakież to byłoby okropne, gdyby natychmiast po wrześniu następował listopad! Proszę spojrzeć na te gałęzie klonu! Czy na ich widok nie doznaje Maryla dreszczu? Wielu dreszczy? Idę przystroić nimi mój pokoik.

- Znowu śmieci! - rzekła Maryla, której zmysł estetyczny nie był zbyt rozwinięty. - Stanowczo, Aniu, nagromadzasz zbyt wiele śmieci z pola i lasu w swoim pokoju. Sypialnie przeznaczone są do spania.

- I do marzeń, Marylo! A marzy się daleko przyjemniej w pokoju, w którym są ładne rzeczy. Umieszczę te gałęzie w tym starym, niebieskim dzbanie i postawię je na swoim stoliku.

- Tylko uważaj, żebyś nie zasypała liśćmi schodów. Jadę dziś po południu na zebranie związku do Carmody i nie powrócę zapewne przed zmrokiem. Przygotujesz wieczerę dla Mateusza i Jerry'ego. Nie zapomnij tylko, tak jak to uczyniłaś ostatnim razem, wsypać herbaty do imbryka, zanim usiądziesz przy stole.

- Tak, wtedy bardzo nieuważnie postąpiłam - odpowiedziała Ania usprawiedliwiając się. - Lecz było to tego wieczora, kiedy przemyślałam nad znalezieniem odpowiedniej nazwy dla Doliny Fiołków, i dlatego nie mogłam pamiętać o niczym innym. Mateusz był tak wyrozumiały! Nie gniewał się ani trochę. Sam nasypał herbaty i powiedział, że nie szkodzi, iż poczekamy. Aby mu się czas nie dłużył, gdy czekał na herbatę, opowiadałam mu prześliczną bajkę. Naprawdę prześliczną, Marylo! Zapomniałam, jaki był jej koniec, więc ułożyłam sobie inny, a Mateusz przyznał, że nie zauważył wcale, gdzie się zaczynała moja własna kompozycja.

- Mateusz uważałby, że wszystko jest w największym porządku, nawet gdyby ci wpadło do głowy wstać w środku nocy z łóżka i poprosić o obiad. Jednakże dziś postaraj się

mieć głowę na karku. I... chociaż nie wiem, czy słusznie robię... bo będziesz jeszcze bardziej roztargniona... możesz zaprosić Dianę na dzisiejsze popołudnie i poczęstować ją herbatą.

- Ach, Maryło! - Ania klasnęła w dłonie. - Jak cudnie, jak doskonale! Jednak Maryła musi mieć wyobraźnię, bo inaczej skąd by wiedziała, że tak bardzo tego pragnęłam. Jakże to będzie rozkoszne, zupełnie jak u dorosłych! Z pewnością nie zapomnę wsypać herbaty, mając gościa przy stole. Maryło, czy mogę użyć serwisu z pączkami róż?

- O, bynajmniej! Serwis z pączkami róż i co jeszcze? Wiesz dobrze, że nie używam go nigdy, jedynie tylko podczas odwiedzin pastora lub pań ze związku. Użyjesz zwykłej zastawy, weźmiesz stare brązowe filiżanki do herbaty. Ale pozwalam ci otworzyć słoik z konfiturami z wisien. Trzeba je zużyć... zdaje mi się, że zaczynają się cukrzyć. Możesz też wziąć kawałek placka z owocami, podać trochę pierników i herbatników.

- Wyobrażam sobie, jak to, siedząc na honorowym miejscu przy stole, będę częstowała herbatą! - zawołała Ania rozpromieniona. - Zapytam Dianę, czy używa cukru do herbaty. Wiem dobrze, iż nie używa, ale udam, że nie wiem. Potem poproszę, by wzięła jeszcze kawałek placka i nieco więcej konfitur. Ach, Maryło, jak przyjemna jest sama myśl o podobnej chwili. Czy będę mogła wprowadzić ją do pokoju gościnnego, aby tam zdjęła i położyła swój kapelusz? I czy będziemy mogli siedzieć w bawialni?

- To zbyteczne, nasz codzienny pokój wystarczy w zupełności dla ciebie i twojego gościa. Lecz mamy jeszcze pół butelki soku malinowego, pozostał z ostatniego naszego zebrania w zeszłym tygodniu. Stoi na drugiej półce w spiżarni. Weźcie go sobie trochę, jeśli będziecie miały ochotę. Zostawię wam też kilka rogalików na podwieczorek, bo kto wie, czy Mateusz, zajęty zwózką kartofli na statek, powróci wcześniej na wieczerzę.

Ania jak strzała pomknęła wzdłuż Źródła Leśnych Nimf i przebiegła pełną zapachów sośniny ścieżką wiodącą ku Sosnowemu Wzgórzu, aby zaprosić Dianę na herbatę. Na skutek tego zaproszenia, zaledwie Maryła pojechała do Carmody, natychmiast zjawiała się Diana w odświętnej sukience, w stroju, w jakim bywają osoby zaproszone na herbatę.

Zazwyczaj wpadała nie pukając przez kuchnię; teraz jednak zapukała uprzejmie do drzwi ganku. Ania, ubrana również w swoją prawie najlepszą sukienkę, natychmiast otworzyła i obie dziewczynki uściśniły sobie dłonie poważnie, zupełnie tak, jakby się nie spotykały nigdy przedtem. Ten niezwykle uroczysty nastrój trwał jeszcze, gdy Diana udała się na facjatkę, by złożyć kapelusz w pokoiku Ani, i gdy siedząc nieruchomo na kanapie, gawędziły spokojnie.

- Jakże zdrowie mateczki? - spytała Ania z wyszukaną uprzejmością, jakby tegoż rana nie widziała pani Barry, zdrowej i w najlepszym humorze, zajętej zrywaniem jabłek.



- Dziękuję za pamięć. Mateczka ma się doskonale. Przypuszczam, że pan Cuthbert zwozi dziś kartofle na statek, prawda? - spytała Diana, która, spotkawszy Mateusza na wozie, przejechała z nim kawałek drogi aż do domu pana Andrews.

- Tak. Nasz zbiór kartofli jest bardzo bogaty w tym roku. Sądzę, że i twój ojciec ma piękny plon tej jesieni.

- Owszem, bardzo piękny w istocie. Czyście już zerwali dużo jabłek?

- Ach, strasznie wiele! - zawołała Ania zapominając o powadze i zrywając się szybko z krzesła. - Chodźmy, Diano, do sadu! Zerwiemy trochę malinówek. Maryla powiedziała, że możemy zabrać wszystkie, które pozostały na drzewie. Maryla jest bardzo szczodra. Pozwoliła nam także wziąć sobie po kawałku placka z owocami i konfitury z wisien. Ale zapomniałam, że to nie wypada mówić gościowi, czym się go będzie podejmowało. Toteż nie powiem, co mamy do picia. Tyle jedynie się dowiesz, że na początku wyrazu jest „s”, na końcu zaś „k” i że jest pięknego, czerwonego koloru. Ja bardzo lubię napoje czerwone, a ty? Uważam, że mają dwa razy lepszy smak niż wszelkie inne.

Sad, pełen drzew uginających się pod ciężarem dojrzałego owocu, był tak rozkosznym zaciszem, że dziewczynki z przyjemnością spędziły w nim prawie całe popołudnie. Ułożyły się w kąciku na wysokiej trawie, gdzie chłód nie zdążył jeszcze zwarzyć zieleni, a łagodne słońce jesienne dogrzewało niezgorzej, i tam chrupały zawzięcie jabłka, przy czym ani na chwilę nie przestawały gawędzić.

Diana miała dla Ani tyle nowin ze szkoły. Musi siedzieć obok Gertie Pye, a nie lubi jej. Gertie przez cały czas „skrobie” rysikiem na tabliczce, od czego Dianę przejmuje „lodowaty dreszcz.

- Wyobraź sobie - mówiła - Ruby Gillis wytępiła sobie wszystkie brodawki, słowo ci daję, za pomocą jakiegoś cudownego kamienia, który otrzymała od tej starej czarownicy Marii Joe z Creek. Należy podobno potręć brodawki tym kamieniem, a następnie podczas nowiu księżyca cisnąć go poza lewe ramię, a brodawki znikną bezpowrotnie... Oprócz tego nazwisko Karolka Sloane wypisane było wraz z nazwiskiem Emilki White na ścianie w szkole i Emilka szalała z tego powodu. Sam Boutler zamknął pana Phillipsa w klasie i zaryglował drzwi, a pan Phillips zbił go za to, a wtedy ojciec Sama przyszedł do szkoły i surowo zabronił nauczycielowi tknąć którekolwiek z jego dzieci. Mattie Andrews ma nową czerwoną czapkę i błękitny fartuszek, a zadziera głowę, aż się słabo robi... A Lizzie Wright nie mówi do Mamie Wilson dlatego, że starsza siostra Mamie Wilson odbiła konkurenta starającego się o rękę siostry Lizzie Wright... Wszyscy koledzy i koleżanki tak tęsknią za tobą, Aniu, i pragną, abyś wróciła. Gilbert Blythe zaś...

Lecz Ania nie chciała nic wiedzieć o Gilbertcie Blythe. Zerwała się ze swego miejsca mówiąc, że czas już, by spróbowały soku malinowego.

Ania przeszukała drugą półkę w spiżarni, lecz nie znalazła tam butelki z sokiem. Szukając dokładniej, dostrzegła ją wreszcie na najwyższej półce. Postawiwszy butelkę wraz ze szklanką na tacce, podała ją na stół.

- Proszę, pozwól, Diano - rzekła zapraszając uprzejmie. - Co do mnie, nie mogłabym teraz nic wypić. Jestem tak bardzo nasycona tymi wspaniałymi jabłkami.

Diana nalała sobie pełną szklankę soku, przyjrzała się z zachwytem jego pięknej, czerwonej barwie i powoli zaczęła saczyć.

- Jakież to pyszny sok malinowy, Aniu! - rzekła. - Nigdy nie przypuszczałam, że sok owocowy może być taki doskonały.

- Cieszy mnie bardzo, że ci smakuje. Pij, ile zechcesz. Muszę odejść na chwilę, by zajrzeć, co się dzieje z ogniem na kominie. Prowadzenie gospodarstwa nakłada ogromną odpowiedzialność na człowieka, wierzaj mi.

Kiedy Ania powróciła z kuchni, Diana zapijała drugą szklankę soku, a zapraszana serdecznie przez Anię, nie wzbraniała się wypić i trzeciej. Sok był w istocie przepyszny.

- Najlepszy, jaki kiedykolwiek piłam - twierdziła Diana. - O wiele lepszy od płynu roboty pani Linde, która przecież tak bardzo chwali swoje wyroby. Tamten jest zupełnie inny.

- Bardzo wierzę, że przetwory Maryli mogą być lepsze od wyrobów pani Linde - przyznała Ania z głębokim przekonaniem. - Maryla jest świetną gospodynią. Próbuje teraz uczyć mnie gotowania, lecz lękam się, że będzie miała ciężką pracę. W sztuce kucharskiej nie ma absolutnie żadnego pola dla wyobraźni. Bezustannie należy się trzymać jakichś reguł. Gdy ostatnim razem przygotowywałam ciasto, zapomniałam dodać mąki. Bo właśnie podczas tego układałam sobie prześliczną bajkę o tobie i o mnie. Wyobraziłam sobie, żeś była ciężko chora na ospę i że wszyscy cię opuścili. Tylko ja jedna pozostałam obok twego łóżka, pielęgnowałam cię i pomogłam powrócić do zdrowia. Ale sama zaraziłam się i dostałam ospę. Umarłam i pochowano mnie na cmentarzu pod cieniem wierzb. Tyś zasadziła na mym grobie krzak róży, polewałaś go łzami i nigdy nie zapomniałaś przyjaciółki młodości, która poświęciła życie dla ciebie. Ach, Diano, jakaż to była wzruszająca historia! Podczas gdy rozbijałam jajka, łzy płynęły mi po twarzy. Wtedy to zapomniałam wsypać mąki i ciasto się zmarnowało. Wiesz przecież, że mąka jest najważniejszym dodatkiem. Maryla była bardzo rozgniewana z tego powodu i wcale się jej nie dziwię. Ma ze mną krzyż Pański! Na przykład w zeszłym tygodniu. Posłuchaj historii z sosem waniliowym do puddingu. We wtorek mieliśmy pudding śliwkowy z sosem, ale pół puddingu i sosjerka sosu pozostała od obiadu.

Maryla powiedziała, że ta porcja wystarczy w zupełności na następny obiad, kazała mi schować Wszystko do spiżarni i nakryć szczelnie. Miałam zamiar uczynić to jak najskrupulatniej, lecz wynosząc salaterkę, wyobrażałam sobie, że jestem zakonnica - jestem wprawdzie protestantką, lecz udawałam, że jestem katoliczką - która przybrała welon, aby w zaciszu klasztorным ukryć i pochować na zawsze swe złamane serce. Cóż dziwnego, że najzupełniej zapomniałam o nakryciu owego sosu? Przypomniałam sobie o tym nazajutrz raniutko i pobiegłam do spiżarni. Wyobraź sobie, Diano, moje przerażenie, kiedy w sosie znalazłam utopioną mysz! Wydobyłam ją łyżką, wyrzuciłam na podwórze i umyłam łyżkę aż w trzech wodach. Maryla była wówczas zajęta dojeniem krów, więc postanowiłam, gdy powróci, zapytać, czy mogę sos ten wylać prosiętom. Lecz kiedy nadeszła, wyobrażałam sobie właśnie, że jestem boginią chłodu, przebiegającą jesienne lasy, aby zabarwiać liście drzew na czerwono lub żółto, stosownie do ich życzenia. Zapomniałam wtedy znowu o sosie do puddingu i na wezwanie Maryli pobiegłam do sadu zrywać jabłka. Zdarzyło się tymczasem, że tego dnia przyjechali do nas w odwiedziny państwo Ross ze Spencervale. Wiesz zapewne, że są to niezmiernie dobrze wychowani, dystyngowani ludzie, szczególnie pani Ross. Gdy zawołano mnie na obiad, stół był już nakryty i wszyscy siedzieli na swych miejscach. Staralam się sprawować niezwykle uprzejmie i elegancko, bo pragnęłam przekonać panią Ross, że można zachowywać się jak prawdziwa dama nawet wtedy, kiedy się nie jest ładną. I wszystko szło bardzo składnie do chwili, gdy ujrzałam Marylę wnoszącą w jednej ręce pudding śliwkowy, w drugiej salaterkę z owym sosem odgrzanym. Diano, była to okropna chwila! Przypomniałam sobie wszystko, co zaszło, zerwałam się z miejsca i krzyknęłam w przerażeniu: „Marylo, nie można podawać tego sosu! Mysz się w nim utopiła! Zapomniałam uprzedzić o tym!” Ach, Diano, nigdy w życiu nie zapomnę tej strasznej chwili, gdybym nawet żyła sto lat. Pani Ross spojrzała tylko na mnie i byłam pewna, że padnę ze wstydu. Jest ona wyjątkowo dobrą gospodynią. Wyobraź sobie, co pomyślała o nas! Maryla zaczerwieniła się jak piwonia, lecz wtedy nie wyrzekła ani słowa. Wyniosła pudding i sos, natomiast podała konfitury z truskawek. Częstowała także i mnie, lecz nie zdołałam przełknąć ani jednej łyżeczki. Czułam się tak, jakby mi chlebem odplacono za zbrodnię. Po odejściu państwa Ross gniewała się na mnie porządnie. Ale „co się z tobą dzieje, Diano?”

Diana wstała z miejsca trochę chwiejnym krokiem, po czym usiadła znowu, przykładając ręce do głowy.

- Jestem... jestem strasznie chora - rzekła płaczącym głosem. - Ja... ja... muszę iść do domu.

- Ale jakże możesz myśleć o pójściu do domu bez herbaty! - zawołała Ania zrozpaczona. - Herbata będzie zaraz... biegnę nastawić imbryk.

- Muszę pójść do domu - powtarzała Diana płacząco, lecz stanowczo.

- Ależ musisz zjeść cokolwiek - błagała Ania. - Pozwól, bym ci podała jeszcze kawałek placzka z owocami i trochę konfitur z wisien. Połóż się na chwilę, a z pewnością zrobi ci się lepiej. Co cię boli?

- Muszę iść do domu - broniła się Diana.

Nie potrafiła powiedzieć nie więcej. Na próżno Ania błagała ją, by pozostała.

- Nie słyszałam nigdy, by goście odchodzili bez herbaty - skarżyła się. - Ach, Dianko, czy myślisz, że to możliwe, abyś naprawdę dostała ospy? Jeśli tak, bądź pewna, że będę cię pielęgnowała. Nie opuszczę cię nigdy. Tylko teraz, błagam cię, zostań na herbacie. Cóż ci najwięcej dokucza?

- Mąci mi się w głowie - rzekła Diana.

W istocie poruszała się bardzo chwiejnie. Ania ze łzami rozczarowania w oczach podała Dianie kapelusze i odprowadziła ją aż do sztachet ogrodu państwa Barry'ch. Po czym płacząc powróciła na Zielone Wzgórze, gdzie bardzo zasmucona schowała resztę soku malinowego do spiżarni i przygotowała herbatę dla Mateusza i Jerry'ego. Cała oczekiwana przyjemność spełzała na niczym.

Nazajutrz była niedziela. Deszcz lał potokami od rana do zmierzchu i Ania nie wychodziła ani na chwilę z Zielonego Wzgórza. W poniedziałek po południu Maryla wysłała ją w jakiejś drobnej sprawie do pani Linde. Po krótkiej chwili Ania powróciła zalana łzami. Wpadła do kuchni i rzuciwszy się na sofę, ukryła twarz w dłoniach.

- Cóż to, Aniu? - spytała Maryla zdziwiona i przerażona. - Chyba nie byłaś znowu zuchwała wobec pani Linde?

Żadnej odpowiedzi prócz łez i gwałtowniejszego szlochania.

- Aniu, kiedy pytam, wymagam odpowiedzi. Wstań natychmiast i powiedz, czego płaczesz!

Ania wstała niby uosobienie rozpacz.

- Pani Linde była dziś na chwilę u pani Barry - wyjąkała. - Pani Barry jest bardzo zagniewana. Mówi, że ja w sobotę społam Dianę i odesłałam ją do domu w strasznym stanie; twierdzi, że muszę być do głębi zepsuta, złą dziewczyną i że już nigdy nie pozwoli Dianie bawić się ze mną. Ach, Marylo, jakie ciężkie nieszczęście mnie spotkało!...

Maryla patrzyła zdumiona.

- Ty spoiłaś Dianę! - zawołała odzyskawszy mowę. - Czy pani Barry, czy też ty oszalałaś? Cóżes jej dała takiego do picia?

- Nic innego, tylko sok malinowy - szlochała Ania. - Nie miałam pojęcia, że sokiem malinowym można się upić, Marylo... nawet jeśli ktoś wypije trzy pełne szklanki, tak jak to uczyniła Diana. Ach, jakże to strasznie brzmi... pijana, tak... tak... jak mąż pani Thomas. Ależ ja nie chciałam jej spoić!

- Spoić! Co za głupota! - rzekła Maryla kierując się ku spiżarni.

Na półce stała butelka, w której od razu poznała wino porzeczkowe, przygotowane w domu przed trzema laty, wino, z powodu którego słynęła na całą Avonlea, jakkolwiek niektórzy jego przeciwnicy, w ich rzędzie pani Barry, surowo ją za nie potępiali. I w tejże chwili Maryla przypomniała sobie, że właśnie butelkę z sokiem wstawiła do piwnicy, nie zaś do spiżarni, jak to powiedziała Ani.

Powróciła do kuchni z butelką wina w ręce. Pomimo wysiłku woli trudno jej było powstrzymać się od śmiechu.

- Aniu, w istocie posiadasz jakiś niezwykły dar do stwarzania sobie kłopotów. Poczęstowałaś Dianę winem porzeczkowym, nie sokiem. Czy sama nie zauważyłaś tej różnicy?

- Nie próbowałam go wcale - odrzekła Ania. - Byłam przekonana, że to sok malinowy. Staralam się być bardzo... bardzo gościnną. Nagle Diana poczuła się słabo i musiała wrócić do domu. Pani Barry powiedziała pani Linde, że Diana była najzwyczajniej pijana. Podobno śmiała się głupkowato, kiedy matka wypytywała ją, co jej się stało, potem położyła się spać i spała kilka godzin z rzędu. Matka po jej oddechu poznała, że była pijana. Przez cały wczorajszy dzień Diana miała straszny ból głowy. Pani Barry jest oburzona. Z pewnością nigdy nie uwierzy, że ja jestem niewinna w tej sprawie.

- Sądzę, że uczyniłaby lepiej, karząc surowo Dianę za łakomstwo. Któż to wypija od razu trzy szklanki czegokolwiek? - zauważyła surowo Maryla. - Jeśli by nawet był to tylko sok, trzy szklanki musiałyby jej również zaszkodzić. Wypadek ten będzie wodą na młyn tych wszystkich, którzy mają mi za złe, że nastawiam wino. Co prawda, nie przyrządzam go już od trzech lat, odkąd pastor również nie pochwalił tego, a tę butelkę przechowywałam tylko na wypadek choroby. No, no, uspokójże się, dziewczyno! Nie masz powodu się martwić, skoroś nie zawiniła, a tylko przypadek zrządził nieporozumienie.

- Nie mogę nie płakać - rzekła Ania. - Mam serce złamane! Widocznie złe losy sprzysięgły się przeciw mnie, Marylo. Rozłączono mnie z Dianą na zawsze! Nie śniłam o tym wówczas, gdyśmy sobie przysięgały wieczną przyjaźń.

- Nie bądź dziecinna, Aniu. Pani Barry będzie innego zdania o tej sprawie, kiedy się dowie, że nie jesteś winna. Przypuszczam, iż posądza cię o jakiś niemądry żart w stosunku do Diany. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do niej i opowiesz, co się stało.

- Odwaga mnie opuszcza, gdy myślę o spotkaniu z obrażoną matką Diany - rzekła Ania. - Wolałabym, żeby to Maryla zechciała pójść. Wszak Maryla jest o wiele ważniejszą osobą ode mnie. Pani Barry prędzej wysłucha wyjaśnienia Maryli niż mojego.

- Dobrze, więc ja tam pójde - zgodziła się Maryla rozważywszy, że Ania ma może słuszność. - Nie płacz, Aniu, wszystko będzie dobrze.

Maryla jednak przestała uważać, że wszystko będzie dobrze, w chwili gdy wracała z Sosnowego Wzgórza.

Ania wyczekiwała z niecierpliwością powrotu swej opiekunki i jak strzała pomknęła na jej spotkanie.

- Ach, Marylo, poznaję po minie, że wszystko stracone! - zawołała smutnie. - Czy pani Barry nie chce mi przebaczyć?

- Pani Barry! - fuknęła Maryla. - Z każdym innym można się porozumieć, tylko nie z nią! Powiedziałam jej, że była to najzwyczajniejsza pomyłka i żeś ty wcale nie była winna. Ale zdaje się, że mi po prostu nie uwierzyła. Wszystko zwała na moje wino porzeczkowe i drwiąco powtarzała moje słowa, że „ono jeszcze nikomu nie zaszkodziło”. Wreszcie powiedziałam jej zupełnie otwarcie, że nie pije się trzech szklanek wina porzeczkowego naraz i że gdybym ja miała takie łakome dziecko, tobym je otrzeźwiła dobrym laniem.

Maryla powróciła do kuchni niezwykle zirytowana, pozostawiając w przedpokoju Anię, nieszczęśliwą i zrozpaczoną.

Po chwili Ania, pomimo chłodnego jesiennego zmierzchu, z gołą głową wybiegła na drogę. Z głębokim i stanowczym postanowieniem dążyła śmiało poprzez łąkę suchej koniczyny, poprzez mostek i gaik sosnowy przy świetle bladego księżyca, zawieszzonego nisko nad zachodnim skrajem lasu.

Pani Barry, usłyszawszy słabe pukanie do drzwi, otworzyła i ujrzała na progu przygnębionego małego gościa, z bladymi ustami, o wielkich oczach pełnych błagalnej prośby.

Twarz jej przybrała srogi wyraz. Pani Barry należała do kobiet stanowczo upierających się przy swych uprzedzeniach i niechęciach, a gniew jej był zimny i zacięty, taki, który najtrudniej jest przełamać. Należy jej oddać sprawiedliwość, że tym razem była głęboko przekonana, iż Ania złośliwie i świadomie spoiła Dianę; postanowiła więc bezwzględnie strzec swej córeczki od bliższego zetknięcia się z podobnie złym dzieckiem.

- Czego chcesz? - spytała oschłym tonem. Ania złożyła błagalnie ręce.

- Ach, pani Barry, proszę mi przebaczyć. Ja nie miałam zamiaru... spoić... Diany. Jakżebym śmiała uczynić coś podobnego? Niech pani sobie wyobrazi, że pani jest ubogą sierotą przygarniętą przez dobrych ludzi i ma pani jedyną serdeczną przyjaciółkę, jedynego oddanego człowieka na całym świecie. Czyż pani społaby go umyślnie? Myślałam, że to zwyczajny sok malinowy. Byłam przekonana. Ach, proszę, niech pani nie mówi, że pani nie pozwoli więcej bawić się Dianie ze mną. Czyniąc tak, okryłaby pani całe moje życie ciemnym obłokiem smutku i rozpacz.

Przemowa ta, która bez wątpienia od razu rozbroiłaby czułe serce pani Linde, nie wywarła podobnego- wrażenia na pani Barry. Przeciwnie, rozdrażniła ją jeszcze więcej. Podejrzliwie spoglądała na dramatyczne ruchy i słuchała wyszukanych wyrażen Ani. Przypuszczając, że dziewczynka żartuje z niej, rzekła chłodno i okrutnie:

- Nie uważam, abyś była odpowiednim towarzystwem dla Diany. Idź więc do domu i sprawuj się jak należy.

Usta Ani zadrgały.

- Czy mogłabym zobaczyć Dianę po raz ostatni, by ją pożegnać? - spytała błagalnie.

- Diana pojechała z ojcem do Carmody - rzekła pani Barry wchodząc do mieszkania i zamykając drzwi za sobą.

Ania, złamana, lecz spokojna, powróciła na Zielone Wzgórze.

- Ostatnia moja nadzieja prysnęła - rzekła do Maryli. - Sama zwróciłam się do pani Barry, lecz przyjęła mnie bardzo niegrzecznie. Marylo, nie sądzę, by była to dobrze wychowana osoba. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak modlić się. Lecz nie mam wielkich nadziei, czy to pomoże, Marylo. Wątpię bardzo, czy sam Pan Bóg potrafiłby coś wskórać u tak upartej osoby.

- Daj pokój, Aniu, tym uwagom - przerwała Maryla starając się powstrzymać bezbożną chęć do śmiechu, który ku jej niezadowoleniu opanowywał ją coraz silniej.

Opowiadając jednak wieczorem całe to wydarzenie Mateuszowi, śmiała się serdecznie ze strapien Ani.

Ale kiedy przed udaniem się na spoczynek zaszła do pokoiku na facjatce i zastała Anię śpiącą, a bardzo spłakaną, niezwykle wyraz słodczy odmalował się na jej twarzy.

- Biedactwo! - szepnęła odgarniając pukiel włosów z zalanej łzami twarzyczki dziewczęcia. Po czym pochyliła się nad śpiącą i pocałowała spoczywający na poduszce rozgrzany policzek.

## XVII. NOWY CEL W ŻYCIU

Nazajutrz po południu Ania, siedząc nad swą robotą u okna kuchni, spostrzegła nagle Dianę, która stojąc u Źródła Leśnych Nimf, dawała jej tajemnicze znaki. W mgnieniu oka Ania znalazła się na dziedzińcu i pobiegła ku przyjaciółce z wesołym zdumieniem i nadzieją w wyrazistych oczach. Lecz nadzieja przysła, gdy zbliżywszy się, wyczytała przygnębienie na twarzyczce Diany.

- Mama twoja nie ustąpiła? - spytała żywo. Diana potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Nie, a co gorsza, powiada, że nie pozwoli mi już nigdy bawić się z tobą. Płakałam i płakałam, przekonywałam ją, że to nie była twoja wina, ale na próżno. Musiałam zebrać i błagać bardzo długo, zanim mi pozwoliła przyjść pożegnać się z tobą. Mogę zostać tu zaledwie dziesięć minut. Mama uprzedziła mnie, że będzie spoglądać na zegarek.

- Dziesięć minut to w istocie bardzo krótki czas do pożegnania się na wieki - rzekła Ania głosem drżącym od płaczu. - Ach, Diano, czy chcesz złożyć uroczystą przysięgę, że nigdy nie zapomnisz mnie, twej przyjaciółki młodości, nawet gdybyś później znalazła droższych przyjaciół?

- Ależ bezwarunkowo - zaszlochała Diana - nigdy nie chcę mieć innej serdecznej przyjaciółki... nie chcę innej. Nie potrafiłabym żadnej kochać tak jak ciebie.

- Ach, Diano! - zawołała Ania składając ręce. - Kochasz mnie, naprawdę?

- Naturalnie, że tak. Czyś nie wiedziała o tym, Aniu?

- Nie! - Ania westchnęła głęboko. - Myślałam, że mnie lubisz, ale nie odważyłam się przypuszczać, że mnie kochasz. Widzisz, Diano, nie sądziłam, aby ktokolwiek mógł mnie kochać. Nikt nigdy mnie nie kochał, od czasu jak sięgnę pamięcią. Ach, jakże to cudnie! Jest to promień światła, który wiecznie przyświecać będzie w ciemnościach mojej samotnej odtąd drogi.. O, powtórz to raz jeszcze!

- Kocham cię prawdziwie, Aniu - powtórzyła Diana stanowczo - i zawsze będę cię kochała. Bądź tego pewna!

- I ja będę cię zawsze kochała, Diano - rzekła Ania uroczyście, wyciągając rękę. - W przyszłości pamięć o tobie świecić będzie jak gwiazda ponad moim samotnym życiem. Pamiętasz, tak się wyraziła bohaterka ostatniej powieści, którą razem czytałyśmy. Diano, czy zechcesz mi darować pukiel włosów z twoich kruczonych warkoczy? Zachowam go na zawsze jako mój najdroższy skarb.



- A masz go czym uciąć? - spytała Diana ocierając łzy wywołane wzniosłą mową Ani i powracając do spraw praktycznych.

- Owszem! Na szczęście mam małe nożyczki w kieszeni fartuszka - rzekła Ania. Uroczyście ścięła lok włosów Diany. - Żegnaj mi, najdroższa przyjaciółko! Odtąd, mieszkając tak blisko, będziemy jednak obce dla siebie. Lecz serce moje dochowa ci wiary na wieki.

Diana odeszła powolnym krokiem.

Ania pozostała na miejscu, spoglądając za przyjaciółką, dopóki nie straciła jej z oczu, i machając ręką, ilekroć tamta się obejrzała. Po czym powróciła do domu, uspokojona do pewnego stopnia romantycznym nastrojem pożegnania.

- Skończyło się raz na zawsze - zwierzała się Maryli. - Nie będę już nigdy miała przyjaciółki. Jest mi nawet gorzej niż kiedykolwiek dawniej, bo nie mam ani Katie, ani Violetty. A gdybym je nawet miała, to nie byłoby już to samo. Z chwilą gdy się raz posiadało prawdziwą przyjaciółkę, takie wyobrażone niby-przyjaciółki nie wystarczają. Diana i ja urządziliśmy wzruszające pożegnanie, tam obok źródła. Będzie ono moim świętym wspomnieniem. Mówiliśmy do siebie bardzo wzniosie... Diana ofiarowała mi pukiel swych włosów. Włożę je do maleńkiego woreczka i nosić będę na szyi przez całe życie. Poproszę też Marylę, aby zwróciła uwagę, by nie zapomniano włożyć mi go do trumny, gdyż wątpię bardzo, czy jeszcze długo pożyję. Być może, iż pani Barry, widząc mnie zimną i umarłą, poczuje wyrzuty sumienia i pozwoli Dianie pójść na mój pogrzeb.

- Sądzę, że dopóki potrafisz tak gadać, nie ma obawy, byś wkrótce zakończyła życie ze zmartwienia - wtrąciła nielitościwie Maryla.

Następnego poniedziałku Maryla zdziwiła się niezmiernie, widząc Anię wychodzącą ze swego pokoiku z teczką pełną książek w ręce. Usta dziewczynki były zaciśnięte w jakimś silnym postanowieniu.

- Wracam do szkoły - oświadczyła Ania. - To jedno pozostało mi w życiu, odkąd tak nielitościwie, bezwzględnie odtrącono ode mnie przyjaciółkę. W szkole mogę przynajmniej patrzeć na nią i rozmyślać nad minionymi dniami.

- Rozmyślaj raczej nad lekcjami i zadaniami arytmetycznymi - rzekła Maryla ukrywając swe zadowolenie z takiego obrotu rzeczy. - Sądzę, że nie usłyszę więcej o tabliczkach, ciskanych ludziom w głowy, i innych niespodziankach. Sprawuj się rozsądnie i uważaj na to, co nauczyciel mówi.

- Postaram się być przykładną uczennicą - rzekła Ania smutnie. - Sądzę, że to nie będzie bardzo przyjemne. Pan Phillips twierdzi, że Minnie Andrews jest wzorowa, ale przecież ona nie posiada ani źdźbła wyobraźni, ani życia. Jest zawsze znudzona, smutna, nic

jej nie sprawia przyjemności. Wobec tego jednak, że ja czuję się obecnie tak bardzo nieszczęśliwa, być może, iż nietrudno mi będzie stać się do niej podobną. Pójdę do szkoły gościńcem. Nie potrafiłabym samotnie wędrować Ścieżką Brzóz. Musiałabym gorzko płakać.

W szkole przyjęto Anię ze szczerą radością. Brak było towarzyszom podczas urządzania zabaw jej bujnej wyobraźni, jej jasnego głosu podczas śpiewu i patetycznej intonacji przy głośnym czytaniu książek w czasie przerwy obiadowej. Ruby Gillis podsunęła jej ukradkiem podczas lekcji religii trzy piękne, granatowe śliwki. Ella MacPherson ofiarowała jej olbrzymi żółty bratek, wycięty z katalogu jakiejś firmy ogrodniczej. Tego rodzaju ozdoba ławki była wielce ceniona w szkole w Avonlea. Zosia Sloane przyrzekła nauczyć ją robić szydełkiem śliczne ząbki, niezmiernie eleganckie przybranie fartuszka. Katie Boulter podarowała jej buteleczkę po perfumach do wody potrzebnej do zmywania tabliczki, a Julia Bell wykaligrafowała bardzo starannie na arkusiku różowego papieru z wyciętymi brzegami następujący czterowiersz:

*Do Ani  
Wpisuję się na pamiątkę,  
ale wyznam szczerze,  
że miłość jest w sercu,  
a nie na papierze.*

- Przyjemnie jest być cenionym - rzekła Ania do Maryli tegoż wieczora, opowiedziawszy jej o przyjęciu, jakiego doznała od koleżanek.

Nie tylko jednak dziewczynki ją „ceniły”. Wracając po pauzie południowej na swe miejsce - pan Phillips posadził ją obok wzorowej Minnie Andrews - Ania spostrzegła na swym pulpicie wielkie, soczyste, złote jabłko. Już, już miała zatopić w nim ząbki, kiedy przypomniała sobie, że jedynym miejscem, gdzie rosły te ananasówki, był stary sad Blythe'ów po drugiej stronie Jeziora Lśniących Wód. Odsunęła jabłko, jak gdyby to był rozżarzony węgiel, i bardzo ostentacyjnie wytarła palce chustką do nosa.

Jabłko pozostało na pulpicie do następnego ranka. Dopiero mały Tomek Andrews, który zamiatał szkołę i rozniecał ogień na kominku, przywłaszczył je sobie jako dodatkowy dochód.

Przychylniejszego przyjęcia doznał rysik, przesłany Ani ukradkiem po przerwie południowej przez Karolka Sloane. Co prawda był wspaniały, powleczony żółtym i czerwonym papierem i kosztował dwa centy, gdy za zwykle rysiki płacono tylko jednego centa. Ania raczyła go łaskawie przyjąć i obdarzyła ofiarodawcę uśmiechem, który sprawił, iż zaślepiony młodzieniec z radości poczuł się w siódmym niebie. Następstwem tego zachwytu

była niezliczona ilość omyłek w jego dyktandzie i rozkaz pana Phillipsa pozostania po lekcjach w szkole dla poprawienia zrobionych błędów.

Jednakże bardzo widoczny i zupełny brak jakiegokolwiek zainteresowania ze strony Diany Barry siedzącej obok Gertie Pye osłabiał triumfy Ani.

- Uważam, iż Diana mogłaby przynajmniej raz jeden uśmiechnąć się do mnie - skarżyła się Maryli tegoż wieczora.

Lecz już nazajutrz rano malutki, przezornie i umiejętnie zwinięty bilecik, dołączony do niewielkiej paczuszki, dostał się ukradkiem do rąk Ani. Treść bileciku była następująca:

*Droga Aniu. Mama nie pozwala mi bawić się z Tobą ani rozmawiać, nawet w szkole. To nie moja wina, więc nie gniewaj się na mnie, bo ja Cię kocham tak samo jak dawniej. Martwi mnie bardzo, że nie mogę Ci powiedzieć moich tajemnic. Gertie Pye nie lubię ani trochę. Zrobiłam dla Ciebie zakładkę do książki z czerwonej karbowanej bibułki. Takie są teraz najmodniejsze, a tylko trzy dziewczynki z naszej szkoły potrafią je zrobić. Ile razy spojrzysz na nią, przypomnij sobie Twoją wierną przyjaciółkę.*

*Diane Barry*

Ania przeczytała liścik, ucałowała zakładkę i szybko przesłała odpowiedź na drugi koniec klasy.

*Moja ty jedyna, najdrorzsza Diano!*

*Nie mogę gniewać się na Ciebie, że musisz być posłuszna mamie, ale duszom naszym wolno się spotykać. Twój prześliczny podarunek zahowam na zawsze. Minnie Andrews jest niezmiernie miłą dziewczynką - pomimo że nie posiada wcale imaginacji - lecz z chwilą, gdy byłam serdeczną przyjaciółką Diany, nie mogę być przyjaciółką Minnie. Proszę, wybacz mi błędy ortograficzne, gdysz nie potrafię jeszcze zupełnie dobrze pisać, pomimo że się bardzo o to staram.*

*Twoja aż do chwili, gdy nas śmierć rozłączy.*

*Ania lub Kordelia Shirley*

*P. S. Będę tej nocy spała z bilecikiem. Twoim pod poduszką.*

*A. lub K. S.*

Pesymistycznie usposobiona Maryla przygotowana była na rozmaite niemiłe niespodzianki z chwilą, gdy Ania znowu zaczęła uczęszczać do szkoły. Ale obawy te nie spełniły się. Być może, iż Ania przejęła niejedyn rys od „wzorowej” Minnie Andrews, lecz faktem było, iż nie zdarzyła się już żadna utarczka pomiędzy nią a panem Phillipsem. Całą duszą oddała się nauce, niezłomnie postanowiwszy nie dać się wyprzedzić pod żadnym względem Gilbertowi Blythe.

Współzawodnictwo ich w ubieganiu się o miejsce prymusa w klasie stało się wkrótce bardzo widoczne. U Gilberta wyływało ono z jak najlepszych pobudek, ale nie można tego samego powiedzieć o Ani, która kierowała się mało chwalebna, a zaciętą niechęcią do chłopca. Była równie gwałtowna i uparta w miłości, jak i w nienawiści. Nigdy nie zgodziłaby się przyznać, iż współzawodniczy w szkole z Gilbertem, bo znaczyłoby to uznać jego obecność, jego istnienie, którego Ania uparcie zdawała się nie spostrzegać. Jednakże niewątpliwie współzawodniczyli ze sobą i odznaczenia za pilność dostawały się im na przemian. Raz Gilbert był prymusem w ortografii, to znów odpowiedziała celująco Ania, jak zwykle odrzucając na ramiona swe długie, rude warkocze. Pewnego rana Gilbert, rozwiązawszy znakomicie zadanie arytmetyczne, otrzymał nagrodę: nazwisko jego zostało wypisane wielkimi literami na szkolnej tablicy; nazajutrz na tymże samym miejscu widniało nazwisko Ani, która cały poprzedni wieczór spędziła bledząc się nad ułamkami dziesiętnymi.

Okropny dla Ani był dzień, w którym oboje okazali się jednakowo dobrze przygotowani i imiona ich znalazły się obok siebie na tablicy. Równało się to prawie „ogłoszeniu” i przykrość Ani z tego powodu była tak samo widoczna, jak jawne było zadowolenie Gilberta.

Niepokój ich podwajał się, kiedy przy końcu miesiąca odbywały się egzaminy pisemne. W pierwszym miesiącu Gilbert otrzymał trzy lepsze stopnie, w następnym Ania wyprzedziła go o pięć. Lecz radość jej przyćmiona została przez to, że Gilbert w obecności całej szkoły serdecznie jej powińszował. O ileż przyjemniej byłoby, gdyby go ta porażka zabolala!

Pan Phillips mógł nie być wybitnym pedagogiem, lecz uczennica, która tak gorliwie jak Ania pracowała i dążyła do zdobycia wiedzy, nie mogła nie czynić postępów, bez względu na nauczyciela. Przy końcu roku szkolnego Ania i Gilbert zostali promowani do piątej klasy i zaczęli zaznajamiać się z zupełnie nowymi przedmiotami, jak łacina, geometria, francuski i algebra. W geometrii Ania znalazła swoje Waterloo\*.

- To coś okropnego, Marylo - skarżyła się dziewczynka. - Jestem pewna, że nigdy w życiu nie pojmę geometrii. Nie ma w niej absolutnie pola dla wyobraźni. Pan Phillips twierdzi, że do geometrii mam najbardziej zakutą głowę, jaką kiedykolwiek widział. A przecież Gil... to znaczy inni są bardzo rożgarnięci w tym kierunku. To takie strasznie upokarzające, Marylo! Nawet Diana często daje sobie łatwiej radę niż ja. Lecz że Diana łatwiej pewne rzeczy rozumie, to mnie cieszy... Pomimo że nigdy nie mówimy ze sobą,

---

\* Waterloo - miejscowość w Belgii pamiętna wielką klęską Napoleona w 1815 r.

jakbyśmy się nie znały, kocham ją zawsze niewygasłym uczuciem. Często smutno mi się robi, gdy o niej myślę. Lecz naprawdę, Marylo, czy można być długo smutnym na tak ciekawym świecie?

## XVIII. ANIA W ROLI ZBAWCY

Wszystkie wielkie sprawy są nierozłącznie splecione ze sprawami drobnymi. W pierwszej chwili nieprawdopodobne się wydaje, aby postanowienie pewnego kanadyjskiego premiera odwiedzenia w swej oficjalnej podróży Wyspy Księcia Edwarda mogło w jakikolwiek sposób wpłynąć na losy małej Ani Shirley z Zielonego Wzgórza. A jednak tak się stało.

Było to w styczniu. Premier przybył, aby spotkać się ze swymi wiernymi zwolennikami oraz z tymi z przeciwników, którzy zechcieliby wziąć udział w wielkim mityngu w Charlottetown. Większość mieszkańców Avonlea należała do jego stronnictwa; toteż w przeddzień mityngu prawie wszyscy mężczyźni i wiele kobiet wybrało się do miasta odległego o trzydzieści mil angielskich. Pani Małgorzata Linde udała się wraz z innymi. Należała ona do gorących, czynnych polityków i uważała, że bez jej obecności nie może się odbyć żadne polityczne zgromadzenie, chociaż zaliczała się do opozycji owego premiera. Zabrała też i męża - Tomasz mógł przecież przypilnować konia - i Marylę Cuthbert. Maryla głęboko w sercu ukrywała żywe zainteresowanie polityką i zważywszy, iż to może być jedyna w jej życiu sposobność ujżenia prawdziwego, żywego premiera, postanowiła pojechać, zostawiając dom na całą dobę pod opieką Mateusza i Ani.

W ten sposób, podczas gdy Maryla i pani Małgorzata napawały się wrażeniami wielkiego mityngu, Ania i Mateusz gospodarowali na własną rękę w jasnej kuchni na Zielonym Wzgórzu. Wesoły ogień palił się na staroświeckim kominie, a niebiesko-białe kryształki szronu błyszczały na szybach. Mateusz siedząc na sofie zatopił się w czytaniu jakiegoś dziennika dla rolników, Ania zaś z zapamiętaniem kuła lekcje, od czasu do czasu rzucając spojrzenie pełne ciekawości ku półeczce, na której leżała nowa książka, pożyczona dziś właśnie od Janki Andrews. Janka zapewniła ją, że się drży ze wzruszenia, taka to zajmująca powieść, i Anię korciło, by czym prędzej zabrać się do przewertowania książki. Lecz wziąć się do czytania - znaczyło to pozwolić się prześcignąć w jutrzejszych lekcjach Gilbertowi. Więc też Ania odwróciła głowę od półeczki i starała się wmówić w siebie, że książki tej wcale tam nie ma.

- Czy Mateusz uczył się w szkole geometrii? - spytała.

- Nie, zapewne, że nie - odrzekł Mateusz ocknąwszy się nagle z lekkiej drzemki.

- Żałuję, że się Mateusz nie uczył, bo w takim razie potrafiłby mnie zrozumieć. Jeśli Mateusz nie pracował nad geometrią, to nie może wejść w moje położenie. Geometria przyćmiewa całe moje istnienie. Tak mi jest trudno ją zrozumieć, Mateuszu.

- E, nie martw się, Aniu - rzekł Mateusz tonem pocieszycie-la. - Masz zdolności do wszystkiego. Pan Phillips, spotkawszy mnie w zeszłym tygodniu w sklepie Blaira, oświadczył mi, że jesteś najzdolniejszą uczennicą w szkole i że czynisz niezwykle szybkie postępy. „Szybkie postępy” to jego własne słowa. Co prawda są tacy, którzy krytykują pana Phillipsa twierdząc, że to marny nauczyciel. Jednakże ja uważam, iż jest bardzo rozumny.

Mateusz nazwałby rozumnym każdego, kto by chwalił Anię.

- Jestem pewna, że dawałabym sobie daleko lepiej radę z geometrią, gdyby pan Phillips nie zmieniał liter - tłumaczyła się- Ania. - Uczę się na pamięć dowodzenia z literami oznaczonymi w książce. Lecz oto on, rysując figurę geometryczną na tablicy, stawia zupełnie inne litery i wszystko mi się gmatwa. Czy nauczyciel powinien używać takich niecných sposobów? Uczymy się teraz także o uprawie roli i wreszcie dowiedziałam się, dlaczego drogi bywają czerwone... Cieszę się bardzo, że już to wiem!... Ciekawa jestem, jak się tam czują pani Linde i Maryla. Pani Linde mówi, że Kanada schodzi na psy, tak nią rządzą w Ottawie, i że powinno to być wielkim oskarżeniem dla wyborców. Mówi też, że gdyby kobiety otrzymały prawo głosowania, nastąpiłaby błogosławiona zmiana. Za kim głosuje Mateusz?

- Za konserwatystami - odpowiedział Mateusz szybko. Głosowanie za konserwatystami stanowiło część jego religii.

- W takim razie i ja jestem konserwatystką - rzekła Ania stanowczo. - Jestem temu bardzo rada, bo Gil... bo niektórzy chłopcy w szkole są liberałami. Domyślam się, że i pan Phillips jest także liberałem, bo ojciec Prissy Andrews jest nim, a Ruby Gillis twierdzi, że każdy starający się o rękę córki musi zgadzać się z matką w kwestii religii, z ojcem zaś w kwestii polityki. Czy to prawda, Mateuszu?

- Naprawdę nie wiem - przyznał Mateusz.

- Czy Mateusz nigdy nie starał się o jakąś pannę?

- Hm, pewnie nigdy - rzekł Mateusz, który przez całe życie nie zastanawiał się nad podobnymi kwestiami. Ania rozmyślała oparłszy podbródek na dłoni.

- A jednak musi to być bardzo przyjemnie, prawda, Mateuszu? Ruby Gillis mówi, że kiedy dorośnie, postara się mieć bardzo wielu konkurentów, którzy by za nią szaleli. Ale mnie się to nie podoba. Wołałabym mieć jednego, bardzo kochającego człowieka. Rozumie się, że Ruby Gillis ma daleko więcej doświadczenia w tej sprawie, bo ma przecież tyle dorosłych siostr. A pani Linde mówi, że dziewczęta u Gillisów są rozchwytywane jak świeże bułeczki.

Pan Phillips bywa u Prissy Andrews prawie codziennie wieczorem. Powiada, że musi jej pomagać w przygotowywaniu się do egzaminów. Ale przecież Miranda Sloane ma także pójść do akademii i potrzebowałaby więcej pomocy niż Prissy, bo jest o wiele głupsza od niej... A jednak on nigdy wieczorem nie przychodzi, by jej pomóc. Wiele jest takich spraw na świecie, których ja wcale nie mogę zrozumieć, Mateuszu.

- Kto wie, czy ja rozumiem je lepiej od ciebie, Aniu - wyznał Mateusz.

- Ale muszę wreszcie skończyć lekcje. Nie pozwolę sobie wziąć się do czytania tej nowej książki Janki, dopóki nie odrobię wszystkich zadań. Jednakże to straszna pokusa, Mateuszu. Nawet kiedy odwracam się plecami od półki, widzę książkę bardzo dokładnie. Janka mówi, że spłakała się nad nią. A ja lubię nade wszystko powieści, nad którymi się płacze. Chyba najlepiej będzie, gdy zaniosę tę książkę do biblioteki i schowam ją do szafki, gdzie stoją konfitury, klucz zaś oddam Mateuszowi. Tylko niech mi go Mateusz nie zwraca, zanim nie skończę odrabiać lekcji, nawet gdybym go błagała o to na klęczkach. Łatwo jest mówić, że należy opierać się pokusom. Lecz przecież łatwiej jest oprzeć się nie mając klucza. A teraz skoczę do piwnicy i przyniosę kilka złotych renet. Czy Mateusz lubi renety?

- Tak, mogą być niezłe - rzekł Mateusz, który sam ich nie jadł, lecz wiedział, że Ania była wielką ich amatorką.

W chwili gdy Ania powracała z piwnicy, wnosząc triumfalnie talerz brunatnożółtych jabłek, dały się słyszeć spieszne kroki na pokrytej lodem dróżce przed kuchnią i gwałtownie pchnięte drzwi nagle się rozwarły. Do kuchni wpadła Diana Barry, blada i zadyszana, w chustce zarzuconej na głowę w widocznym pośpiechu.

Ania stanęła jak wryta, zapominając o trzymanym w rękach talerzu i o świecy, które wraz z jabłkami potoczyły się po piwnicznych schodkach. Odnalazła je tam nazajutrz Maryla i pozbierała zakapane roztopioną stearyną, zadowolona, że przy tej sposobności nie powstał pożar.

- Co się stało, Dianko? - spytała Ania. - Czy matka twoja wreszcie dała się uprosić?

- Ach, Aniu, błagam cię, chodź czym prędzej - prosiła Diana pełna niepokoju i zdenerwowania. - Nasza Minnie jest strasznie chora... Mary mówi, że to krup... Rodzice pojechali do miasta i nie ma nikogo, kto by sprowadził doktora. Minnie czuje się bardzo niedobrze, a Mary nie ma pojęcia, co robić... Ach, Aniu, ja się tak strasznie boję!

Mateusz, nie mówiąc ani słowa, sięgnął po swój płaszcz i czapkę, prześliznął się obok Diany i zniknął pośród ciemności, w głębi podwórza.

- Poszedł zaprząć klacz, aby pojechać po doktora do Carmody - objaśniła przyjaciółkę Ania, spieszenie chwytając płaszczyk i kapturek. - Jestem tego tak pewna, jak gdyby mi to



powiedział. Mateusz i ja jesteśmy dusze pokrewne. Potrafię czytać w jego myślach, nawet kiedy milczy.

- Obawiam się, że nie zastanie doktora w Carmody - zaszlochała Diana. - Wiem, że doktor Blair pojechał do miasta, spodziewano się tam również doktora Spencera. Mary nie widziała nigdy chorego na krup, a pani Linde nie ma w domu. Ach, Aniu!

- Nie płacz, Dianuś - uspokajała Ania. - Ja wiem doskonale, jak się leczy krup. Zapominasz, że pani Hammond miała trzykrotnie bliźnięta. Kiedy się było piastunką trzech par bliźnięt, można mieć doświadczenie. One wszystkie po kolei przechodziły krup. Poczekaj chwilę, zabiorę buteleczkę z ipekakuaną... wy pewnie nie macie tego środka w domu... A teraz chodźmy czym prędzej!

Obie dziewczynki, trzymając się za ręce, pobiegły szybko Aleją Zakochanych i poprzez zmarzniętą łąkę. Śnieg leżał tak wysoko, że droga leśna, mimo iż krótsza, była niemożliwa do przebycia. Ania, choć szczerze zmartwiona chorobą Minnie, nie potrafiła jednak oprzeć się romantyzmowi tej nieoczekiwanej wędrówki i cieszyła się, że odbywa ją wraz z bliską sobie istotą.

Noc była jasna i mroźna. Drzewa rzucały czarne cienie, a śnieg błyszczał jak srebro na skłonie wzgórza. Nad cichymi polami lśniły wielkie gwiazdy. Tu i ówdzie odcinały się ciemne, spiczaste sosny z upudrowanymi śniegiem gałęzmi, skrzypiącymi za podmuchem wiatru. Ania była zachwycona tą cudną i tajemniczą drogą.

Mała Minnie, trzyletnia dziewczynka, była w istocie bardzo chora. Leżąc na sofie w kuchni, rozgorączkowana i niespokojna, dyszała tak chrapliwie, że oddech jej słyszać było w całym domu. Mary, wesoła, hoża francuska dziewczyna z Creek, której pani Barry zleciła opiekę nad dziećmi podczas swej nieobecności, straciła głowę; była bezradna i zupełnie niezdolna do powzięcia jakiejś decyzji.

Ania zabrała się umiejętnie i energicznie do roboty.

- Minnie ma krup bez wątpienia. Jest ciężko chora, lecz widziałam i gorsze wypadki... Przede wszystkim należy przygotować bardzo wiele wrzącej wody. Jestem pewna, że w tym kociołku jest zaledwie filiżanka! Ot, tak, napełniłam go po brzegi, a Mary niechaj podłoży więcej drzewa na ogień. Nie chcę cię urazić, Mary, ale uważam, że mogłaś sama o tym pomyśleć, gdybyś miała choć trochę wyobraźni. Tak... teraz rozbiore Minnie i położę ją do łóżka, a Diana postara się przygotować ciepłe, miękkie flanelowe okrycia. Przede wszystkim muszę dać chorej porcję ipekakuany.

Minnie nie chciała wziąć lekarstwa, ale Ania nie darmo przecież wychowała trzy pary bliźnięt. Dziecko musiało więc połknąć nie jedną łyżkę ipekakuany, lecz kilka w ciągu tej

długiej, pełnej niepokoju nocy. Podczas gdy obie dziewczynki cierpliwie doglądały biednego, cierpiącego maleństwa, Mary, chętna i życzliwa, dokładała tyle drzewa na ogień, że aż dudniło pod kominem, i grzała tyle wody, iż starczyłoby jej dla całego szpitalika dzieci chorych na krup.

Dochodziła trzecia godzina po północy, gdy Mateusz przybył z doktorem, po którego musiał jechać aż do Spencervale. Lecz gwałtowna potrzeba obecności lekarza już minęła. Minnie czuła się daleko lepiej i spała spokojnie.

- Zdarzały się chwile, że byłam bliska rozpaczyci - opowiadała Ania. - Czuła się coraz gorzej, gorzej nawet niż bliźnięta Hammondów, a właściwie ostatnia para. Zdawało mi się, że jest bliska uduszenia się. Dałam jej całą zawartość butelki, a przy ostatniej kropli powiedziałam - nie do Diany ani do Mary, bo nie chciałam ich przerazić - były już i tak bardzo przestraszone - tylko do siebie samej: „Jest to ostatnia, słaba nadzieja... a lękam się, czy nie stracona”. Szczęściem po paru minutach dziecko wykrztusiło flegmę i poczuło się daleko lepiej. Pan doktor musi sobie wyobrazić moje uczucia w owej chwili, gdyż nie potrafię ich wypowiedzieć. Pan wie, że są uczucia, których nie można wyrazić słowami.

- Tak, wiem - potwierdził doktor.

Patrzył na Anię, jakby i jemu właśnie przychodziły na myśl rzeczy, których nie można wyrazić słowami. Gdy rodzice Diany przyjechali, rzekł do nich:

- Ta mała czerwonowłosa dziewczynka, którą Cuthbertowie wychowują, to dzielny człowiek. Zapewniam was, że ona ocaliła życie waszej małej, bo ja przybyłem zbyt późno. Posiada zręczność i przytomność umysłu wprost zdumiewającą u dziecka w tym wieku. Nigdy nie widziałem podobnego wyrazu oczu jak jej, gdy mi to wszystko opowiadała.

Ania powracała do domu w cudny, jasny, mroźny poranek, z powiekami opadającymi po bezsennie spędzonej nocy. Lecz idąc wielką, białą łąką i przechodząc pod skrzypiącym bajecznie sklepieniem klonów, tworzących Aleję Zakochanych, rozprawiała bezustannie:

- Ach, Mateuszu, czyż to nie cudny poranek? Świat wygląda tak, jakby go Bóg stworzył dla swej przyjemności, prawda? A drzewa wyglądają, jak gdyby je można zdmuchnąć jednym chuchnięciem... Cieszę się bardzo, że żyję na świecie, na którym istnieją białe szrony! A Mateusz? Pomimo wszystko rada jestem, że pani Hammond miała trzy pary bliźniąt, bo gdyby ich nie miała, czyż potrafiłabym pomóc Minnie? Przykro mi naprawdę, że brałam za złe pani Hammond, iż miewała bliźnięta. Ach, Mateuszu, jestem tak strasznie śpiąca! Nie będę mogła pójść do szkoły. Czuję, że nie potrafię mieć oczu otwartych i będę odpowiadała bez ładu i składu. Jednakże nie lubię zostawać w domu, bo Gil... bo kto inny

może zostać prymusem, a trudno potem odzyskać pierwsze miejsce. Chociaż, co prawda, im trudniej się coś zdobywa, tym większe ma się zadowolenie.

- Zapewne, ale ty już potrafisz dać sobie radę - rzekł Mateusz spoglądając na bladą twarzyczkę Ani i ciemne obwódki pod jej oczyma. - Powinnaś czym prędzej położyć się do łóżka i wyspać się jak należy. Ja załatwię domowe roboty.

Stosownie do tej rady, Ania pośpieszyła do łóżka i spała tak mocno, że obudziła się dopiero w śnieżne, białe popołudnie. Natychmiast weszła do kuchni, gdzie Maryła, przybyła podczas jej snu, zajęta była robótką.

- Ach, czy Maryła widziała premiera?! - wykrzyknęła Ania. - Jakże on wygląda?

- Z pewnością nie wybrano go na premiera ze względu na jego powierzchowność - rzekła Maryła. - Cóż to za nos! Ale za to potrafi mówić! Dumna byłam z tego, iż należę do konserwatystów. Małgorzata Linde, która jest liberałem, nie miała z jego przemówienia żadnej satysfakcji... Twój obiad stoi w piecyku, Aniu. Weź też trochę kompotu ze śliwek ze szpiżarki. Wyobrażam sobie, jaka jesteś głodna! Mateusz opowiadał mi o wypadkach ostatniej nocy. Jak to szczęśliwie się złożyło, że umiałaś poradzić chorej. Ja nie potrafiłabym tego zrobić, nigdy w życiu nie widziałam przypadku krupu... No, no, tylko nie zaczynaj rozmowy, zanim nie zjesz obiadu. Poznają po twojej minie, że masz milion nowin do opowiadania, ale mogę poczekać.

Maryła miała także coś do zakomunikowania Ani, lecz nie chciała tego czynić teraz, bo znając usposobienie dziewczynki, była pewna, że radość i zdumienie z powodu tej nieoczekiwanej wiadomości każą jej wyrzec się tak prozaicznego zajęcia, jakim jest spożywanie obiadu. Więc dopiero gdy Ania skończyła swoją salaterkę kompotu, Maryła rzekła:

- Pani Barry przyszła tu po południu, chciała się z tobą widzieć, lecz żał mi było cię zbudzić. Twierdziła, że uratowała życie Minnie, i żałowała niezmiernie, że postąpiła tak bezwzględnie w tej sprawie z winem. Mówiła, że teraz pewna jest, żeś nie miała zamiaru spoić Diany, i że ma nadzieję, iż jej wybaczysz i będziesz znowu przyjaciółką jej córki. Jeśli masz ochotę, możesz pójść do nich jeszcze dziś wieczorem, bo Diana nie wyjdzie z domu z powodu przeziębienia, jakiego się nabawiła ostatniej nocy. Ależ, Aniu, zmiłuj się, przecież gotowaś ulecieć w powietrze!

Przestroga ta była w istocie słuszna. Ania jak strzała zerwała się z miejsca z twarzą rozjaśnioną szczęściem.

- Och, Marylo, czy mogłabym pójść już... nie zmywając po sobie? Zmyję wszystko, powróciwszy od Diany, lecz nie potrafię w żaden sposób zabrać się w chwili tak uroczystej do czegoś równie poziomego jak sprzątanie.

- Dobrze, biegnij choćby natychmiast - zezwoliła Maryla uwzględniając wzruszenie dziewczynki. - Aniu... Aniu... czyś ty oszalała? Wracaj w tej chwili i weź na siebie jakieś okrycie!

Mogę równie skutecznie wołać do wiatru - kończyła do samej siebie. - Pobiegnij z gołą głową! Patrzcie no, jak pędzi przez sad z rozwianymi włosami! Cud będzie, jeśli się nie zaziębi śmiertelnie.

Ania powróciła do domu już o zmierzchu, gdy purpurowe cienie zachodzącego słońca kładły się na śnieżne pola. Het, daleko na południowym zachodzie błyszczało światło wielkiej, jasnej gwiazdy wieczornej na bladożółtym i różowawym niebie, sklepionym ponad olśniewająco białymi polami i ciemnymi kępami sosen. Odgłosy dzwonek u sani, sunących pomiędzy śnieżnymi wyniosłościami, rozlegały się w mroźnym powietrzu niby czarodziejskie dzwoneczki elfów, lecz z pewnością tony ich nie były słodsze od pieśni, która rozbrzmiewała w sercu i na ustach uszczęśliwionej Ani.

- Oto stoi przed Marylą zupełnie szczęśliwy człowiek - oznajmiła. - Jestem zupełnie szczęśliwa... pomimo moich rudych włosów. Teraz właśnie jestem wyższa ponad rude włosy. Pani Barry ucałowała mnie i rozplakała się mówiąc, że jest jej niezmiernie przykro i nigdy nie potrafi mi się odwdziżyć. Byłam bardzo zawstydzona, ale odpowiedziałam, jak tylko umiałam najgrzeczniej: „Nie mam do pani najmniejszego żalu, pani Barry. Zapewniam panią po raz ostatni, że nigdy nie miałam zamiaru spoić Diany, i tym zarzucam zasłonę zapomnienia nad minioną przeszłością”. Było to bardzo piękne zdanie, prawda, Marylo? Czułam, iż odpłaciłam pani Barry dobrem za złe. Następnie spędziłyśmy z Dianą niezmiernie miłe popołudnie. Diana nauczyła mnie nowego wzoru szydełkowego, który pokazała jej ciotka w Carmody. Nikt w Avonlea, prócz nas, nie potrafi go naśladować i uroczyście przyrzekłyśmy sobie nie pokazywać go nikomu. Diana ofiarowała mi przesłiczną kartę z wianuszkiem róż wokoło i dwuwierszem pośrodku:

*Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze,  
nikt nas nie rozłączy, tylko Ty, o Boże!*

Tak jest w istocie, Marylo. Chcemy poprosić pana Phillipsa, aby nam pozwolił siedzieć w szkole obok siebie, a Gertie Pye mogłaby siedzieć na jednej ławce z Minnie Andrews. Przyjęto mnie wytwornym podwieczorkiem. Pani Barry wyjęła swoją najładniejszą zastawę do herbaty, zupełnie jak gdybym była prawdziwym gościem. Nie zdołam

opowiedzieć Maryli, jakie to uczyniło na mnie wrażenie. Nikt jeszcze dotąd nie wyjmował dla mnie najlepszej porcelany. Jedliśmy placek z owocami, ciastka z kremem, orzechy w cukrze i dwa rodzaje konfitur. Pani Barry zapytała mnie, czy chcę jeszcze herbaty, i rzekła do męża: „Tatusiu, czemu nie podajesz Ani biszkoptów?” Jakże to musi być przyjemnie, Marylo, być naprawdę dorosłym, jeśli tak przyjemnie jest być traktowaną jak dorosła.

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzekła Maryla z westchnieniem

- W każdym razie, gdy dorosnę - mówiła Ania dalej z głębokim przekonaniem - będę zawsze mówiła do małych dziewczynek tak, jak gdyby były dorosłe, i nigdy nie będę szydziła, jeśli się które dziecko górnolotnie wyrazi. Wiem ze smutnego doświadczenia, jak to rani uczucia... Po herbacie Diana i ja piekłyśmy biszkopciki. Nie bardzo się udały, zapewne dlatego, żeśmy je robiły po raz pierwszy. Diana poleciła mi obracać je, gdy sama smarowała masłem blachę, ale ja zapomniałam i pozwoliłam im się spalić. A kiedy wystawiłyśmy resztę biszkopcików do wystudzenia, kot dobrał się do półmiska i trzeba było wszystko wyrzucić. Lecz samo przygotowywanie ich było dużą przyjemnością. Kiedy już wybierałam się do domu, pani Barry prosiła, abym przychodziła jak najczęściej. Diana, stojąc u okna, przesyłała mi całusy, jak długo szłam Aleją Zakochanych. Taka się dzisiaj czuję szczęśliwa, Marylo, że postanowiłam ułożyć sobie zupełnie nową modlitwę wieczorną, aby podziękować Stwórcy za to, co mnie spotkało.

## XIX.

### KONCERT, KATASTROFA WYZNANIE

Marylo, czy mogę skoczyć do Diany na jedną chwileczkę? - spytała Ania pewnego zimowego wieczora, wpadając bez tchu z facjatki do kuchni.

- Nie widzę powodu, dla którego masz wychodzić z domu podczas ciemnej nocy - zauważyła Maryla. - Ze szkoły wracałaś razem z Dianą i dobre pół godziny stałyście w śniegu, mieląc jak najęte. Wobec tego nie uważam, żebyście się musiały znowu spotykać.

- Ależ Diana musi się ze mną zobaczyć - błagała Ania. - Chce mi coś ważnego powiedzieć.

- Skąd wiesz o tym?

- Bo właśnie dała mi sygnał ze swego okna. Wynałazłyśmy sposób porozumiewania się za pomocą świecy i arkusza papieru. Stawiamy zapaloną świecę na oknie, zasłaniamy ją i odsłaniamy arkuszem papieru. Pewna ilość ruchów oznacza taką a taką wiadomość. To był mój pomysł, Marylo.

- Domyśliłam się tego natychmiast - odrzekła Maryla. - I jestem pewna, że w najbliższym czasie podpalicie firanki tym głupim sygnalizowaniem.

- Ach, Marylo, jesteście bardzo uważne. A to taka przyjemna rozrywka! Dwa ruchy znaczą: „Czy jesteś w domu?” Trzy znaczą „tak”, cztery zaś „nie”. Pięć wyraża: „Przyjdź czym prędzej, muszę ci coś ważnego powiedzieć”. Diana w tej chwili sygnalizowała pięć i drzę z ciekawości dowiedzenia się, o co chodzi.

- A więc nie drzyj dłużej - rzekła Maryla ironicznie. - Możesz pójść, lecz masz wrócić za dziesięć minut.

Ania pamiętała o tym nakazie i powróciła w oznaczonym czasie, pomimo że zapewne żaden śmiertelnik nie uwierzyłby, ile wysiłku ją kosztowało ograniczenie tej ważnej rozmowy do dziesięciu minut.

- Ach, Marylo, proszę sobie tylko wyobrazić! Jutro są urodziny Diany. Otóż pani Barry pozwoliła jej zabrać mnie ze sobą wprost ze szkoły, abym u nich pozostała na noc. Kuzynostwo jej przyjeżdżają z Newbridge wielkimi saniami, aby pójść jutro na koncert do Klubu Dyskusyjnego. Zabiorą też Dianę i mnie, rozumie się, jeśli Maryla pozwoli. Ale Maryla pozwoli, prawda? Ach, jestem taka wzruszona!

- Uspokój się; nie pójdziesz do Barry'ch, Aniu. Zdrowiej ci będzie, jeśli się prześpisz w domu, we własnym łóżku. Co się zaś tyczy koncertu, jest to bardzo niemądry pomysł, bo dziewczynki w twoim wieku nie chodzą jeszcze na koncerty.

- Jestem pewna, że Klub Dyskusyjny to bardzo przyzwoita instytucja - broniła się Ania.

- Nie przeczę. Lecz nie pozwolę, byś włóczyła się po koncertach i chodziła spać gdzie indziej niż w domu. Ładna zabawa dla dzieci! Dziwi mnie, że pani Barry pozwala na to Dianie!

- Ależ to taka wyjątkowa okazja - prosiła Ania bliska płaczu. - Urodziny Diany są tylko raz do roku. Przecież urodziny to niezwykła rzecz, Marylo. Prissy Andrews będzie deklamowała „Niech dzwon nie bije dzisiaj”, coś wyjątkowo pięknego. Koleżanki moje mówiły, że to bardzo moralny poemat, Marylo. Z pewnością wpłynąłby na mnie jak najlepiej. Chór zaś odśpiewa cztery wspaniałe, wzruszające pieśni, prawie równie wzniosłe jak hymny. Nawet pastor tam będzie. Tak, naprawdę, on nas przywita! To przecież będzie prawie jak kazanie. Droga, kochana Marylo, czy będę mogła pójść?

- Czyś nie słyszała mojej odpowiedzi, Aniu? Zdejmij obuwie i idź spać. Ósma już wybiła.

- Jeszcze jedna uwaga, Marylo - rzekła Ania próbując ostatniego środka przekonania swej opiekunki. - Pani Barry powiedziała Dianie, że pozwoliłaby nam spać w gościnnym pokoju. Czy Maryla wyobraża sobie zaszczyt, jakiego dostąpiłaby sierota Ania śpiąc w łóżku przeznaczonym dla gości?

- Potrafisz żyć i bez tego wielkiego zaszczytu. Idź już spać, Aniu, i nie mówmy więcej o tej sprawie.

Kiedy Ania, zalana łzami, smutnie wracała na facjatkę, Mateusz, który choć zdawał się drzemać, wysłuchał całej tej rozmowy, otworzył oczy i rzekł tonem stanowczym:

- Mnie się wydaje, Marylo, żeś powinna pozwolić Ani na tę przyjemność.

- A ja jestem przeciwnego zdania - odrzekła Maryla. - Kto się zajmuje wychowaniem dziecka, Mateuszu? Ty czy ja?

- Zapewne, że ty - przyznał Mateusz.

- Więc nie wtrącaj się do moich spraw.

- Ja się nie wtrącam, tylko mam własne zdanie o tej sprawie. A zdaniem moim, powinnaś pozwolić Ani wziąć udział w tej rozrywce.

- Ty byś uważał, że powinnam jej pozwolić udać się na księżyc, gdyby miała ochotę na taką wycieczkę. Ręczę za to - odpowiedziała kwaśno Maryla. - Pozwoliłabym jej

ostatecznie przenocować u Diany, ale nic ponadto. Nie zgadzam się na ten koncert. Na pewno przeziębiliby się i nabiła sobie głowę nowymi wrażeniami i różnymi bzdurami. Byłaby przez cały tydzień oszołomiona i roztrzęsiona. Znam naturę tego dziecka i wiem, co jest dla niej dobre, lepiej od ciebie, Mateuszu.

- A jednak sędzę, że powinnaś była jej pozwolić - powtórzył Mateusz stanowczo.

Nie umiał dobrze uzasadniać swego stanowiska, lecz potrafił uparcie obstawać przy nim.

Maryła westchnęła beznadziejnie i zamilkła.

Nazajutrz, kiedy Ania zmywała naczynia po śniadaniu, Mateusz, idąc do spichrza, odezwał się znowu do siostry:

- Powinnaś pozwolić Ani pójść na koncert, Marylo.

Twarz Maryli przybrała na kilka sekund wyraz nie do opisania. Po czym poddając się widocznie konieczności, rzekła surowo:

- Owszem, może pójść, jeśli ci ta sprawa nie daje spokoju. W tej chwili Ania wybiegła z kuchni, w której zajęta była zmywaniem, trzymając mokrą ściereczkę w ręce.

- Ach, Marylo, Marylo, powtórz te błogosławione wyrazy raz jeszcze!

- Uważam, że jednorazowe powiedzenie wystarczy. Jest to sprawa Mateusza. Ja umyвам ręce od wszystkiego. Jeśli wychodząc podczas chłodnej nocy z gorącej sali koncertowej lub śpiąc w cudzym łóżku nabawisz się zapalenia płuc, nie miej żalu do mnie, lecz do Mateusza. Ależ, Aniu, zmiłuj się, przecież zalewasz brudną wodą podłogę. Nigdy w życiu nie widziałam równie nieuważnego dziecka!

- Ach, ja wiem dobrze, że często jestem dla Maryli dopustem bożym - rzekła Ania żałośnie. - Tak często robię omyłki, ale wtedy natychmiast myślę o błędach, których nie popełniłam, chociaż mogłam. Wezmę trochę piasku i wyszoruję plamy na podłodze, zanim jeszcze pójde do szkoły. Ach, Marylo, ja tak 'bardzo marzyłam o tym koncercie... Nigdy w życiu nie byłam na żadnym i kiedy inne dziewczynki w szkole rozmawiały o tym, czułam się niezmiernie upokorzona. Maryła nie wyobraża sobie, co wtedy przeżywałam, lecz Mateusz to rozumie. A to tak przyjemnie być rozumianym.

Ania, zbyt przejęta myślą o przyjemności, jaka ją oczekiwała, nie potrafiła tego ranka skupić uwagi na lekcjach w szkole. Pozwoliła Gilbertowi Blythe prześcignąć się w odpowiedziach z pisowni i zdystansować się całkowicie w rachunkach pamięciowych. Nie przejęła się jednakże tym niepowodzeniem tak bardzo, jak by się to stało innym razem, bo miała ciągle na myśli koncert i nocleg w gościnnym pokoju. Wraz z Dianą nie przestawały



rozmawiać o tym, co je oczekiwało, i każdy nauczyciel, sumienniejszy od pana Phillipsa, byłby z pewnością zauważył ich roztargnienie i odpowiednio skarcił za nieuwagę.

Ania czuła, iż nie potrafiłaby znieść zakazu pójścia na koncert, bo cała szkoła nie mówiła tego dnia absolutnie o niczym innym. Klub Dyskusyjny w Avonlea, który się zbierał podczas zimy co dwa tygodnie, urządzał kilkakrotnie małe, bezpłatne przedstawienia. Ale tym razem miał to być wielki koncert z opłatą dziesięciu centów za wejście, a dochód z koncertu przeznaczony był dla czytelników.

Młodzież Avonlea ćwiczyła się już od kilku tygodni; najbardziej zainteresowane były dzieci szkolne, których starsi bracia i siostry mieli brać udział w tym koncercie. Każdy uczeń, który miał więcej niż dziewięć lat, liczył, iż się tam znajdzie. Wyjątek stanowiła Carrie Sloane, której ojciec był zdania Maryli, że małe dziewczynki nie powinny chodzić na wieczorne koncerty. Toteż Carrie Sloane spędziła całe popołudnie płacząc nad gramatyką i uznała, że nie warto żyć na świecie.

Dla Ani istotne wzruszenie zaczęło się z chwilą zakończenia lekcji i potęgowało się z wolna, aż wreszcie dosięgło kulminacyjnego punktu podczas samego koncertu. Pani Barry urządziła w najwyższym stopniu „elegancką herbatę”. Po czym nastąpiła rozkoszna chwila ubierania się w maleńkim pokoiku Diany na piętrze. Diana upięła Ani włosy nad czołem w nowym stylu a la Pompadour. Ania zaś z właściwą sobie zręcznością ułożyła Dianie precelki z warkoczy nad uszami. Potem przynajmniej ze sześć razy próbowała ułożyć sobie na różne sposoby włosy w tyle głowy. I wreszcie dziewczynki były gotowe, z płonącymi policzkami, z błyszczącymi od radosnego oczekiwania oczyma.

Przyznać należy, iż Ania doznała pewnej przykrości porównując swą czarną, zwyczajną czapkę i niezręczny, o wąskich rękawach, w domu uszyty popielaty płaszcz z elegancką futrzaną czapką i zgrabną narzutką Diany. Lecz w porę przypomniała sobie, iż posiada bujną wyobraźnię i potrafi z niej korzystać.

Następnie nadjechali kuzynowie Diany, Murrayowie z Newbridge, i wszyscy razem, otuleni w futra, usadowili się w obszernych, wymoszczonych słomą, wygodnych saniach. Ania rozkoszowała się jazdą, gdy sanie lekko sunęły po gładkich jak jedwab drogach, a śnieg skrzypiał pod płozami. Słońce zachodziło wspaniale, a śniegiem pokryte pagórki i ciemnoszafirowa woda Zatoki Świętego Wawrzyńca lśniła jak wielki puchar z pereł i szafirów, napełniony winem i ogniem. Dźwięki dzwonek i oddalone śmiechy, niby głosy elfów leśnych, rozbrzmiewały ze wszystkich stron.

- Ach, Diano - szepnęła Ania ściskając pod futrem rękę Diany - czyż to wszystko nie wydaje ci się pięknym snem? Czy ja naprawdę wyglądam tak jak zawsze? Czuję się zupełnie inaczej i wyobrażam sobie, że to się odbija na mojej twarzy.

- Wyglądasz w istocie uroczo - rzekła Diana, która tylko co posłyszawszy podobną pochwałę od jednej ze swych kuzynek, uznała, że będzie ona odpowiadała w tym wypadku. - Masz prześliczne rumieńce!

Program tego wieczoru składał się, przynajmniej dla jednej osoby, z „szeregu wzruszeń”, z których, jak Ania zapewniała Dianę, każde następne było silniejsze niż poprzednie. Kiedy Prissy Andrews, w pąsowej jedwabnej bluzce, ze sznurkiem pereł na białej, okrągłej szyi, ze świeżymi goździkami we włosach - wieść niosła, że nauczyciel posyłał po nie daleko za miasto - „wchodziła po wilgotnych schodkach w ciemność, gdzie nie zdołał się przedrzeć żaden promień światła”, Ania drżała z przejęcia i współczucia. Kiedy chór śpiewał pieśni cherubinów, Ania spoglądała w sufit, jakby tam widziała grupę aniołków. Kiedy Sam Sloane głosem i ruchami naśladował „Głupiego Marka na jarmarku”, Ania śmiała się tak serdecznie, że siedzący obok niej zaczęli się również śmiać, mimo iż dowcip tej historyjki był dość pospolity, nawet jak na Avonlea. Wreszcie gdy pan Phillips w monologu Marka Antoniusza\* nad ciałem Cezara\* nadawał swemu głosowi najbardziej rozdzierające dźwięki, spoglądając w końcu każdego zdania na Prissy Andrews, Ania czuła, że potrafiłaby zerwać się i natychmiast podjąć bunt, gdyby wskazał drogę i powiódł ją choć jeden rzymski obywatel.

Znalazł się jednakże pewien numer programu, który nie potrafił wzbudzić jej zainteresowania. Gdy Gilbert Blythe zaczął deklamować, Ania wydobyła z kieszeni jakąś książkę i nie słuchając go zagłębiła się w czytaniu. Pozostała też sztywna i nieruchoma, podczas gdy Diana klaskała w dłonie, aż w uszach huczało.

O jedenastej dziewczynki powróciły do domu, znużone i syte wrażeń, z głębokim przeświadczeniem, że czeka je jeszcze rozkosz omówienia mile spędzonego wieczoru. Ciemno było i cicho, dom wydawał się pogrążony we śnie. Stąpając cichutko na palcach, wsunęły się do wąskiej i długiej bawialni, skąd otwarte drzwi prowadziły do gościnnego pokoju. W bawialni panowało miłe ciepło, oświetlał ją słaby blask wygasającego na kominku ognia.

- Rozbierzmy się tutaj - rzekła Diana. - Tu tak ciepło i przyjemnie.

---

\* Marek Antoniusz (Antonius Marcus r. 83-30 p.n.e.) - doświadczony wódz rzymski, stronnik Cezara.

\* Cezar (Gajus Julius Caesar, r. 100-44 p.n.e.) - wielki rzymski wódz i mąż stanu, zginął zamordowany w senacie przez uczestników spisku.

- Czyż to nie był rozkoszny wieczór? - westchnęła Ania z zachwytem. - Jak to musi być miło wstępować na estradę i recytować! Diano, czy nas kiedy o to poproszą?

- Kiedyś na pewno. Proszą zawsze starszych uczniów i uczennice. Gilbert Blythe występuje często, a jest tylko o dwa lata od nas starszy. Ach, Aniu, jakże mogłaś udawać, że go nie słuchasz! Kiedy doszedł do zdania: „Jest tu inne dziewczę, nie siostra...”, patrzył wtedy wprost na ciebie.

- Diano - wyrzekła Ania z dumą - jesteś bez wątpienia moją serdeczną przyjaciółką, lecz nawet tobie nie wolno mówić ze mną o tej osobie. Czy jesteś gotowa? Możemy się już położyć? Ścigajmy się! Kto będzie pierwszy w łóżku?

Myśl ta spodobała się Dianie. I w mgnieniu oka dwie małe postacie w białej nocnej bieliźnie pomknęły poprzez długą bawialnię, wpadły do gościnnego pokoju i obie jednocześnie wskoczyły na łóżko. Ale nagle... coś... poruszyło się pod nimi, rozległo się ciężkie westchnienie, stłumiony okrzyk... i ktoś przyduszonym głosem zawołał: „Na litość boską!”

Ania i Diana nie wiedziały wcale, w jaki sposób wyskoczyły z łóżka i wypadły z pokoju. Wiedziały jedynie, że po owej szaleńczej ucieczce znalazły się drżące w pokoiku na górze.

- Ach, któż to był?... Co to było? - szepnęła Ania szcękając zębami z zimna i ze strachu.

- Była to ciotka Józefina - rzekła Diana dusząc się od śmiechu. - Ach, Aniu, ciotka Józefina! Skądże ona się tam wzięła? Jestem pewna, że będzie wściekła. To straszne, to straszne... Czyś ty kiedy słyszała o tak zabawnej przygodzie?

- Któż to jest ciotka Józefina?

- Ciotka ojca, mieszkająca w Charlottetown. Jest okropnie stara... ma pewno przeszło siedemdziesiąt lat... i wcale nie wierzę, że kiedykolwiek była małą dziewczynką. Oczekiwaliśmy jej odwiedzin, ale jeszcze nie teraz. Jest bardzo surowa, ogromnie wymagająca i jestem pewna, że urządzi straszną awanturę z powodu tego, co się stało. Ha, trudno, musimy się położyć spać obok Minnie! Nie masz pojęcia, jak ona we śnie kopie!

Panna Józefina Barry nie zjawiła się nazajutrz przy pierwszym śniadaniu, ale pani Barry uśmiechnęła się zyczliwie do dziewczynek.

- No i cóż? Dobrzeście się bawiły wczoraj wieczorem? Chciałam zachekać, aż powrócicie, aby was uprzedzić, że ciotka Józefina przyjechała i będziecie jednak musiały pójść spać na górę. Ale byłam tak znużona, że zasnęłam. Sądzę, żeście nie przeszkodziły ciotce, Diano?

Diana zachowała dyskretne milczenie, lecz poprzez stół zamieniła z Anią porozumiewawczy uśmiech.

Ania natychmiast po śniadaniu pośpieszyła do domu i w ten sposób pozostała w błogiej nieświadomości co do burzy domowej, jaka się rozpętała po południu nad głowami rodziny Barry'ch. Dowiedziała się o tym dopiero od pani Linde, do której Maryla wysłała ją z jakimś poleceniem.

- Słyszałam, żeście z Dianą napędziły śmiertelnego stracha tej biednej starej pannie Barry - rzekła pani Linde surowym głosem, lecz z ironicznym błyskiem oczu. - Pani Barry wstąpiła tu do mnie przed pięciu minutami, jadąc do Carmody. Jest niezmiernie zmartwiona tą całą sprawą. Panna Barry była w strasznym humorze, gdy dziś rano przysłała na śniadanie... a mogę cię zapewnić, że zły humor panny Józefiny Barry to nie żarty. Z Dianą nie chce wcale mówić.

- To nie była wina Diany - rzekła Ania ze skruchą. - Była to moja wina. Ja wpadłam na pomysł ścigania się, kto pierwszy będzie w łóżku.

- Domyślałam się tego! - rzekła pani Linde z triumfem nieomylnego proroka. - Wiedziałam, że wyszło to z twojej głowy. Tak, tak, dobrego nawarzyłyście piwa! Stara panna Barry przyjechała z zamiarem pozostania przez cały miesiąc, ale teraz oświadczyła, że nie zatrzyma się ani godzinę dłużej, lecz wróci do miasta już jutro, mimo niedzieli i innych względów. Byłaby odjechała nawet dziś jeszcze, gdyby mieli wolne konie. Obiecywała płacić przez kwartał za lekcje muzyki Diany, ale teraz mowy być o tym nie może. Nic nie uczyni dla takiej dzikiej kozy. Wyobrażam sobie, co się tam działo dziś rano i jak się wszyscy czują. Panna Barry jest bogata i rodzina pragnęłaby żyć z nią w zgodzie. Pani Barry nie zwierzała mi się z tym, co prawda, ale zbyt dobrze znam naturę ludzką, bym nie rozumiała takich rzeczy.

- Jakaż ze mnie nieszczęśliwa istota! - skarżyła się Ania. - Ciągłe popadam w jakieś tarapaty i jeszcze wciągam w nie moich najserdeczniejszych przyjaciół... tych, dla których gotowa byłabym własnej krwi utoczyć. Czy pani mogłaby mi powiedzieć, dlaczego tak się dzieje?

- Dlatego, że jesteś zbyt wielki trzpiot. Gdy ci jakiś pomysł strzeli do głowy, nie zastanawiasz się ani przez chwilę, czy należy tak postąpić, czy też nie!

- Ach, ależ to właśnie jest najprzyjemniejsze - zaprotestowała Ania. - Nagle zaświta mi w mózgu jakaś myśl niezwykła i natychmiast pragnę ją wprowadzić w czyn. Jeśli się nad nią zastanowić, cała przyjemność prysnie. Czy pani nigdy nie doznawała czegoś podobnego?

Nie, pani Linde nie знаła podobnych wrażeń, toteż poważnie potrząsnęła głową.

- Należy się nauczyć zastanawiać, Aniu. Powinnaś pamiętać o przysłowiu: „Spójrz, zanim skoczysz”, szczególnie do łóżka w gościnnym pokoju.

Pani Linde roześmiała się ze swego niewinnego dowcipu, lecz Ania pozostała zamyślona. Nie widziała nic śmiesznego w sytuacji, która wydawała się jej bardzo poważną. Pożegnawszy panią Linde, udała się poprzez zamarźnięte pole ku Sosnowemu Wzgórzu. Diana czekała na nią w drzwiach kuchni.

- Czy ciotka Józefina była bardzo obrażona o to, co się stało? - spytała Ania cicho.

- O, tak - odszepnęła Diana tłumiąc śmiech i rzucając poza siebie trwożliwe spojrzenie ku zamkniętym drzwiom bawialni. - Po prostu skakała ze złości. A jak strasznie urągała mi twierdząc, że jestem najgorzej wychowaną dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu spotkała, i że rodzice moi powinni się wstydić, że mnie tak wychowali. Powiedziała też, że nie zostanie u nas dłużej, co mnie wcale nie wzrusza, ale rodzice są zmartwieni.

- Dlaczego żeś nie powiedziała, że to wszystko stało się z mojej winy? - spytała Ania.

- Czy to do mnie podobne? - spytała Diana oburzona. - Nie jestem plotkarką, a w tym wypadku zawiniłam tyleż, co i ty.

- A więc ja sama pójdę jej to powiedzieć - rzekła Ania rezolutnie.

Diana osłupiała.

- Aniu! Nigdy w życiu! Ona cię zje żywcem.

- Nie strasz mnie! Ja i tak jestem przerażona - błagała Ania. - Wołałabym się znaleźć w lwiej paszczy. Ale muszę tak postąpić. Była to moja wina i powinnam wyznać prawdę. Na szczęście mam doświadczenie w przyznawaniu się do winy!

- A więc dobrze. Ciotka jest w bawialnym pokoju - rzekła Diana. - Możesz tam wejść, jeśli chcesz. Ja nie odważyłabym się nigdy! Nie sądzę też, byś potrafiła cokolwiek wskórać.

Pokrzepiona taką zachętą, Ania rezolutnie skierowała się do owej paszczy lwa, czyli zbliżyła się do drzwi bawialni, i delikatnie zapukała. Krótkie „proszę wejść” było odpowiedzią.

Panna Józefina Barry, chuda, wysoka, o surowej twarzy osoba, siedziała przed kominkiem, zawzięcie szydełkując. Widocznie była jeszcze bardzo zagniewana, bo oczy jej spoglądały wrogo poprzez złote okulary. Obróciła się w fotelu, pewna, że ujrzy Dianę. Tymczasem wzrok jej padł na bladą dziewczynkę, w której wielkich oczach malowała się dziwna mieszanina rozpaczliwej odwagi i trwogi pełnej drżenia.

- Któż ty jesteś? - spytała panna Józefina Barry bez żadnych wstępów.

- Jestem Ania z Zielonego Wzgórza - odpowiedział mały gość składając ręce we właściwy sobie sposób - i przyszedłam wyznać, proszę pani...

- Wyznać, co takiego?

- Że to była moja wina, iż wskoczyłyśmy tej nocy do pani łóżka. Był to mój pomysł. Jestem pewna, że Dianie nigdy nic podobnego nie wpadłoby do głowy. Diana jest prawdziwą damą, proszę pani. Toteż pani nie powinna się na nią gniewać.

- O, nie powinnam? Hm!... Wszakże Diana co najmniej brała udział w tym skakaniu. Takie rzeczy w przyzwoitym domu!

- Ależ to były tylko żarty! - nalegała Ania. - Sądzę, że pani zechce darować nam winę, skoro się tłumaczymy i prosimy o przebaczenie. A przede wszystkim, niechże pani będzie tak dobra i wybaczy Dianie oraz pozwoli jej brać lekcje muzyki. Diana cieszyła się tak bardzo myślą o tych lekcjach, a ja wiem najlepiej, co to znaczy cieszyć się nadzieją czegoś i doznać potem zawodu. Jeśli pani chce się koniecznie na kogoś gniewać, proszę się gniewać na mnie. W dzieciństwie tak bardzo przywykłam do tego, że się na mnie gniewano, iż potrafię znieść to daleko łatwiej niż Diana.

Podczas gdy Ania tak rozprawiała, surowy wzrok starej panny Barry złagodniał nieco i zamigotały w nim błyski lepszego humoru i zaciekawienia. Pomimo to mówiła ostrym tonem:

- Sądzę, że nie tłumaczy was wcale, iż były to tylko żarty. W czasach gdy ja byłam młoda, dziewczynki nie pozwalały sobie na tego rodzaju figle. Nie wiesz wcale, co to znaczy po długiej i uciążliwej podróży zostać zbudzoną z miłego snu przez dwie dziewczyny spadające na ciebie jak dwa wielkie kloce.

- Nie wiem tego, lecz mogę sobie wyobrazić - rzekła Ania skwapliwie. -- Jestem pewna, że to było niezmiernie przykre uczucie. Ale teraz niechże pani zechce również nas zrozumieć. Czy pani posiada trochę wyobraźni, panno Barry? Jeśli tak, proszę na chwilę znaleźć się na naszym miejscu. Nie miałyśmy pojęcia o tym, że ktoś leży w łóżku, więc same przestraszyłyśmy się śmiertelnie. Wrażenie było naprawdę straszne! Prócz tego ominęła nas przyjemność spania w gościnnym pokoju, pomimo że to nam zostało przyrzeczone. Przypuszczam, że pani przywykła sypiać w gościnnych pokojach. Ale proszę sobie wyobrazić, jak by pani odczuła podobne rozczarowanie, gdyby pani była biedną sierotą, która nigdy w życiu nie zaznała takiego zaszczytu.

Gniew panny Barry już stopniał. Roześmiała się, a śmiech jej wywołał u Diany, czekającej w niewymownej trwodze za drzwiami na rezultat rozmowy, głębokie westchnienie ulgi.

- Lękam się, że wyobraźnia moja jest nieco zaśniedziała... tak dawno nie miałam z nią do czynienia - rzekła panna Barry. - Jednak sądzą, że twoje prawa do współczucia są równie

słuszne jak moje. Wszystko zależy od punktu widzenia. Usiądź przy mnie na chwilę i opowiedz trochę o sobie.

- Żałuję bardzo, że nie mogę tego uczynić - rzekła Ania stanowczo. - Porozmawiałabym z panią bardzo chętnie, bo wydaje mi się pani niezmiernie zajmującą osobą i kto wie, czy pani nawet nie okazałaby się pokrewną mi duszą, pomimo że, sądząc z pozoru, zdaje się być inaczej. Ale muszę wracać do domu, do panny Maryli Cuthbert. Jest to bardzo zacna osoba, która mnie przygarnęła, aby się zająć moim wychowaniem. Czyni, co tylko w jej mocy, lecz jest to bardzo niewdzięczne zadanie. Niechże pani nie przypisuje jej winy za to, że wskoczyłam do pani łóżka. Lecz zanim odejdę, pragnęłabym wiedzieć, czy pani wybaczy Dianie i zechce pozostać w Avonlea tak długo, jak pani poprzednio zamierzała.

- Przypuszczam, że pozostanę, o ile ty będziesz mnie odwiedzała od czasu do czasu - rzekła panna Barry.

Tegoż wieczora panna Barry ofiarowała Dianie srebrną bransoletkę i oświadczyła starszym członkom rodziny, że rozpakowała swój kufer.

- Postanowiłam zostać, aby się zapoznać bliżej z tą małą mieszkanką Zielonego Wzgórza - rzekła otwarcie. - Bawi mnie to dziecko, a w moim wieku rzadko kto potrafi mnie już zabawić.

Panna Barry spędziła u swej rodziny zapowiadany miesiąc, a nawet zabawiła jeszcze dłużej. Była przyjemniejszym gościem niż kiedykolwiek, gdyż Ania dbała o jej dobry humor. Zaprzyjaźniły się bardzo.

Wyjeżdżając i żegnając się z Anią, panna Barry zapowiedziała:

- Pamiętaj, Aniu, gdy przyjedziesz do miasta, musisz mnie odwiedzić, a zaproszę cię do mego najwspanialszego gościnnego pokoju.

- A jednak, pomimo wszystko, panna Barry była pokrewną duszą - zwierzała się Ania Maryli. - Sądząc z pozoru, trudno było to przypuszczać, a jednak! To samo było i z Mateuszem! Pokrewne dusze nie są tak rzadkie, jak pierwotnie sądziłam. Jak to przyjemnie dojsć do wniosku, że jest ich na świecie tak dużo!

## XX. BEZDROŻA WYOBRAŹNI

I znowu zawitała wiosna na Zielone Wzgórze, piękna, choć kapryśna i ociągająca się, kanadyjska wiosna! Zwlekąca cały kwiecień i maj, wysyłając urocze, rzeźkie, chłodne dni, o purpurowych zachodach słońca i cudach zmartwychwstania i rozkwitu natury. Klony w Alei Zakochanych pokryte były czerwobrunatnymi pąkami, a wokoło Źródła Nimf Leśnych wykwiwały drobne, kędzierzawe listki paproci. Dalej w gaiku, na polance, poza domkiem pana Sloane, kwitły przylaszczki, a spod ich rudawych listków wychylały się różowe i białe pierwiosnki. Wszystkie dzieci uczęszczające do szkoły spędziły już raz cudne popołudnie na zrywaniu ich i powróciły o zmierzchu do domów z rękami i koszykami pełnymi kwieciami.

- Tak mi żal ludzi mieszkających w krajach, gdzie nie ma przylaszczek! - mówiła Ania. - Diana twierdzi, iż ludzie ci posiadają zapewne coś innego, ale czyż może istnieć coś piękniejszego od przylaszczek? Jak Maryla sądzi? Chyba nie! Diana mówi, że jeśli nie znają przylaszczek, to nie mogą tęsknić za nimi. Ale mnie to właśnie wydaje się najsmutniejsze. Uważam, że byłoby wprost tragiczne nie znać ich i nie tęsknić do nich! Czy Maryla wie, jak ja sobie wyobrażam, czym są przylaszczki? Sądzę, że muszą to być duszyczki tych kwiatów, które zwiędły poprzedniego lata i tutaj znalazły swój raj. Ale też spędziliśmy dziś rozkoszne popołudnie, Marylo! Jedliśmy podwieczorek w zacisznym parowie, porośłym mchami, niedaleko starej studni. Co za romantyczne miejsce! Karolek Sloane wyzwiał Artura Gillisa, aby przeskoczył rów, i Artur musiał to uczynić, bo przecież nie mógł nie przyjąć wyzwania. Nikt w szkole nie odważyłby się odmówić. Wyzywanie jest u nas bardzo w modzie. Pan Phillips oddał wszystkie zebrane przez siebie kwiaty Prissy Andrews i wyraźnie słyszałam, jak wyrzekł: „Piękno dla piękna!” Wyrażenie to wyjęte było z książki, wiem dobrze, ale, bądź co bądź, dowodzi, że pan Phillips posiada trochę polotu, jeśli potrafi je odpowiednio zastosować. Mnie także ofiarował ktoś wiązaną przylaszczek, lecz odrzuciłam je z pogardą. Nie mogę powiedzieć imienia tej osoby, bo uroczyście przyrzekłam, iż imię to nigdy nie przejdzie przez moje usta. Uwiliśmy wianki z zebranych kwiatków i przystroiliśmy nimi nasze kapelusze. A kiedy nadeszła chwila powrotu do domu, ruszyliśmy śpiewając głośno, para za parą, wielkim gościńcem, z wiązanymi i wieńcami w rękach. Ach, jakież to było wspaniałe! Wszyscy mieszkańcy dworku pana Sloane wybiegli, by się nam przypatrzeć, a każdy spotkany na drodze przechodzień zatrzymywał się i spoglądał za nami. Zwracaliśmy powszechną uwagę...

- Było na co patrzeć! Błazeństwa! - zauważyła Maryla.



Po przyłasczkach nastąpiły fiołki i cała Dolina Fiołków pokryła się nimi. Ania szła pośród nich do szkoły, stając ostrożnie i obejmując je wzrokiem pełnym miłości, jak gdyby chodziła po poświęconej ziemi.

- Nieraz - zwierzała się Dianie - kiedy przechodzę tędy, najzupełniej mi jest obojętne, czy Gil... czy ktokolwiek inny w klasie zajmie pierwsze miejsce, lecz kiedy jestem w szkole, doznaję zupełnie innych uczuć i staję się znowu ambitną. Tak jakby były we mnie dwie, zupełnie, różne, Anie. Nieraz przychodzi mi na myśl, że dlatego zapewne jestem takim niespokojnym duchem! Ale gdybym była tylko jedną Anią, życie płynęłoby mi wprawdzie daleko spokojniej, jednak ani w części tak zajmująco.

Był piękny wieczór czerwcowy. Drzewa sadów stały znowu w pełni różowego kwiecia, żaby rechotały chórem w błotach okalających Jezioro Lśniących Wód, a powietrze pełne było słodkich zapachów koniczyny i balsamicznej żywicy lasów. Ania siedziała u okna swego pokoiku. Zajęta była odrabianiem lekcji. Gdy ściemniło się tak dalece, że nie mogła już dłużej czytać, pogрузyła się w zadumie, zatopiwszy wzrok w gałęziach Królowej Śniegu, osypanej znowu pąkami wspaniałego kwiecia.

Właściwie pokoik na facjacie nie zmienił swego wyglądu. Ściany pozostały równie białe, poduszka do igieł równie twarda, żółte zaś krzesła o surowym wyglądzie tak samo żółte jak ongi. A jednak charakter pokoiku uległ pewnej zmianie. Pełen był czegoś nowego i żywego, czegoś, co zdawało się go przenikać, niezależnie od książek szkolnych, sukienek i wstążek mieszkającego tu dziewczęcia, a nawet od pękniętego niebieskiego dzbana napełnionego kwiatem jabłoni. Zdawać by się mogło, że wszystkie marzenia, snute we śnie czy na jawie przez niezwykle żywotną mieszkankę tego pokoiku, oblekły się w widoczną, choć niematerialną formę i osnuły nagle ściany najwspanialszymi tkaninami barw tęczyowych i blasków księżycy.

W tej chwili właśnie do pokoju weszła Maryla trzymając w obu rękach świeżo uprasowane szkolne fartuszki Ani. Zawiesiwszy je na krześle, usiadła znużona i westchnęła. Przebyła właśnie ciężką, od czasu do czasu nawiedzającą ją migrenę, po której czuła się zwykle bardzo osłabiona i wyczerpana. Ania przyglądała się swej opiekunce oczami pełnymi współczucia.

- Naprawdę, pragnęłabym sama mieć migrenę zamiast Maryli. Poddałabym się jej z radością - rzekła.

- Uważam, że już dość uczyniłaś zastąpiwszy mnie w zajęciach i tym samym pozwalając mi wypocząć - zauważyła Maryla. - Wydaje mi się nawet, że ci się wcale nieźle powiodło i popełniłaś mniej błędów niż kiedykolwiek. Wprawdzie niekoniecznie trzeba było

krochmalić Mateusza chustki do nosa i większość gospodyń, wstawiwszy pieróg z mięsem do pieca, aby go odgrzać, wyjmuje go, gdy jest ciepły, zamiast pozwolić mu się spalić na węgiel. Widocznie jednak ty jesteś innego zdania.

Po migrenie Maryla bywała zwykle nieco ironicznie usposobiona.

- Ach, jakże mi przykro! - rzekła Ania ze skruchą. - Nie myślałam ani trochę o tym pierogu od czasu, gdy go wstawiłam do pieca, aż do chwili obecnej, pomimo że instynktownie czułam brak czegoś do obiadu. Dziś rano, kiedy mi Maryla powierzyła gospodarstwo, postanowiłam niezłomnie nic sobie nie wyobrazać, a myśli moje zaprzętać tylko rzeczywistymi faktami. Zachowywałam się też odpowiednio aż do czasu, gdy wstawiłam pieróg do pieca, lecz wtedy ogarnęła mnie nieprzewyciężona ochota wyobrażenia sobie, że jestem z czarowaną księżniczką uwięzioną w wysokiej, odosobnionej wieży i że nagle zjawia się piękny rycerz, pędzący na czarnym jak węgiel rumaku, aby mnie oswobodzić. W ten sposób zapomniałam o pierogu. Nie przypominam też sobie wcale, bym krochmaliła chustki do nosa. Prasując je, bezustannie myślałam, jakie by imię nadać nowej wysepce, którą wraz z Dianą odkryłyśmy w górze potoku. Jest to wyjątkowo urocze miejsce, Marylo, osłonięte dwoma wspaniałymi klonami, a wokoło toczy swe wody potok. Wreszcie wpadło mi na myśl, aby ją nazwać „Wyspą Wiktorii”, bośmy ją odkryły w dzień urodzin królowej\*. Obie, Diana i ja, jesteśmy niezwykle lojalne... Lecz pieróg i chustki do nosa bardzo mnie martwią. Pragnęłam być dziś niezwykle dzielna i rozważna, bo to rocznica. Czy Maryla przypomina sobie, co się stało właśnie rok temu?

- Nie, nie pamiętam nic niezwykłego.

- Ach, Marylo, wszak to był dzień mego przybycia na Zielone Wzgórze. Nigdy tego nie zapomnę. Był to przełom w moim życiu. Zapewne, że dla was nie była to taka ważna chwila. Spędziłam tutaj rok życia i byłam przez ten czas taka szczęśliwa! Niewątpliwie miewałam i smutki, ale starałam się o nich zapomnieć. Czy Maryla żałuje, że mnie zatrzymała?

- O nie, nie mogę powiedzieć, że żałuję - odrzekła Maryla, która już niejednokrotnie zastanawiała się nad tym, jak mogła żyć, zanim Ania przybyła na Zielone Wzgórze. - Nie, nie żałuję... Jeśli skończyłaś już odrabiać swe zadania, Aniu, skocz do pani Barry i poproś, aby mi pożyczyła wzoru fartuszka Diany.

- Ach., jest... jest tak ciemno - broniła się Ania.

---

\* Wiktoria I - królowa Wielkiej Brytanii panująca w latach 1837-1901.

- Tak ciemno? Cóż znowu! Zmierzch ledwie zapadł. A zresztą przecież często biegałaś tam o wiele później, w ciemną noc.

- Pójdę tam rano - opierała się Ania gorąco. - Wstanę o wschodzie słońca i natychmiast tam pójdę.

- Co za pomysły, Aniu! Fartuszek muszę skroić jeszcze dziś wieczorem. Idź natychmiast i wracaj czym prędzej.

- W takim razie wolę pójść gościńcem - rzekła Ania sięgając niechętnie po kapelusz.

- Iść gościńcem i zmarnować pół godziny czasu! To mi się podoba, w istocie!

- Ależ, Marylo, ja nie mogę przejść Lasem Duchów! - wybuchnęła Ania rozpaczliwym płaczem.

Maryla osłupiała.

- Las Duchów! Czyś ty oszalała? Gdzież, u licha, istnieje Las Duchów?

- Jest to las sosnowy po drugiej stronie strumienia - wyszeptowała Ania.

- Co za głupstwa! Nigdy i nigdzie nie istniał żaden Las Duchów!... Któż to wmówił ci te bajki?

- Nikt - tłumaczyła się Ania. - Diana i ja wyobraziłyśmy sobie, że w tym lesie straszy. Wszystkie miejsca tu w pobliżu są tak bardzo... tak bardzo... pospolite. Więc ułożyłyśmy sobie tak dla przyjemności. Wpadłyśmy na ten pomysł już w kwietniu. Las Duchów to takie romantyczne, Marylo. Wybrałyśmy las sosnowy dlatego, że jest w nim ciemno. Ach, wyobrażałyśmy sobie najbardziej wstrząsające historie. Oto na przykład właśnie o obecnej porze przechadza się wzdłuż strumienia biała dama, załamując dłonie i wydając żalosne jęki. Ukazuje się ona wówczas, gdy w rodzinie ma nastąpić śmierć. Koło Zacisza Słowika błąka się znowu duch maleńkiego zamordowanego dzieciątka. Podkrada się poza ciebie i zimnymi palcami dotyka twojej ręki... ot, tak. Ach, Marylo, drzę cała, gdy myślę o tym. Tam znowu po ścieżce idzie chwiejąc się jakiś mężczyzna bez głowy... szkielety wychylają się spomiędzy krzaków. Ach, Marylo, za nic w świecie nie odważę się teraz pójść w ciemności poprzez Las Duchów. Jestem pewna, że białe postacie wypadłyby spoza drzew i pochwyciły mnie.

- Czy widział kiedy kto coś podobnego! - zawołała Maryla, słuchająca dotąd w osłupiałym zdziwieniu. - Nie chciałybyś wszakże, Aniu, przekonywać mnie, że wierzysz w te wszystkie głupstwa powstałe w twojej wyobraźni?

- Wierzę... niezupełnie - wyznała Ania. - W każdym razie nie wierzę podczas dnia. Ale w nocy, Marylo, to co innego. Wtedy właśnie duchy przechadzają się po lesie.

- Nie ma duchów, Aniu.

- Ależ są, Marylo, bez wątpienia! - zawołała Ania z żywością. - Znam osoby, które je widziały. Osoby bardzo godne szacunku. Karolek Sloane opowiada, że babka Jego widziała pewnego wieczora dziadka zapędzającego krowy do obory, chociaż rok minął od czasu, gdy go pochowano. A przecież Maryla wie dobrze, że babka Karolka Sloane nie opowiadałaby bajek. Jest to bardzo religijna osoba. Ojciec zaś pani Thomas był którejs nocy ścigany przez płonącego baranka z uciętą głową, zwisającą na strzemie skóry. Mówił, że z pewnością był to duch jego brata, ostrzegający go, że umrze za dziewięć dni. Co prawda nie umarł wtedy, dopiero po dwóch latach. Ale Maryla widzi, że to była prawda. A Ruby Gillis mówi...

- Aniu! - przerwała Maryla surowo. - Nie pozwalam ci opowiadać takich bredni. Dawno już stwierdziłam, że nie trzymasz na wodzy swej wyobraźni, a dziś widzę, że miarka się przebrała i nie wolno mi dłużej tolerować tego rodzaju wybryków. Pójdiesz natychmiast do państwa Barry'ch i pójdiesz właśnie przez lasek sosnowy. Niechaj ci to posłuży za nauzkę i za przestroę. A pamiętaj nigdy już nie powtarzać bajek o Lesie Duchów.

Na próżno Ania błagała płacząc, bo w istocie była bardzo strwożona. Bujna jej wyobraźnia splatała jej tym razem niemiłego figla i niewymowny strach ogarniał ją na myśl o przejściu przez lasek sosnowy po zapadnięciu nocy. Lecz Maryla pozostała nieubłagana. Sama odprowadziła drżącą wywoływaczkę duchów do strumienia i kazała jej pójść prostą drogą przez most w ciemne schronienie jęczących białych dam i bezgłowych postaci.!

- Ach, Marylo, jakże można być tak okrutną! - łkała Ania. - Co Maryla uczyni, jeśli nagle ukaze się jakiś biały cień, który mnie porwie i uniesie?

- Zaryzykuję to - odrzekła Maryla bez litości. - Wiesz dobrze, że nigdy nie mówię na wiatr. Wyleczę cię z manii zaludniania lasu duchami. Proszę, idź.

Ania poszła dalej. Właściwie nie szła, lecz chwiała się na mostku i drżąca przebiegła okropnie ciemną drózkę poza nim.

Ania nigdy nie zapomniała te i wędrówki. Gorzko żałowała, iż nie potrafiła utrzymać na wodzy swej wyobraźni. Widziadła, twory jej własnej fantazji, czyhały za każdym krzakiem, wysuwając swe chłodne, kościste dłonie, by pochwycić strwożone dziewczątko, które je powołało do życia. Kawał kory brzozej, porwany podmuchem wichru i ciskany tam i z powrotem po zwiędłych, szeleszczących liściach, sprawił, że na chwilę serce w niej zamarło. Przeciągły jęk dwóch starych gałęzi ocierających się o siebie wywołał krople potu na jej czole. Lecące w ciemnościach nietoperze wydały się jej skrzydłami nieziemskich postaci.

Kiedy wreszcie dobiegła do otwartego pola pana Bella, popędziła przez nie na przelaj, niby ścigana przez hufiec białych cieni, i dopadła drzwi kuchni rodziny Barry'ch zziajana, bez

tchu prawie, ledwie zdolna wyjąkać prośbę o pożyczenie wzoru fartuszka. Diany nie zastała w domu, nie było więc powodu do - zatrzymywania się tam dłużej. Należało natychmiast udać się w powrotną, tak bardzo przerażającą drogę. „Ania przebyła ją z zamkniętymi oczami; wolała raczej rozbić sobie głowę o wystające gałęzie drzew niż ujrzeć jakąś białą postać.

Kiedy wreszcie chwiejnym krokiem przeszła mostek, z piersi jej wydobyło się długie westchnienie ulgi.

- No i cóż, nikt cię nie porwał? - spytała niełitościwie Maryla.

- Ach, Marylo! - jęknęła Ania. - Będę się już teraz zadowalała pospolitymi miejscami.

## XXI.

### NOWE ZASTOSOWANIE KROPLI WALERIANOWYCH

Całe życie składa się tylko z powitań i pożegnań, jak mówi pani Linde - stwierdziła żałośnie Ania chowając ostatniego dnia czerwca swe książki i zeszyty do szuflady stołu i ocierając zaczerwienione oczy bardzo wilgotną chustką do nosa. - Czyż nie dobrze się złożyło, że zabrałam dziś do szkoły jeszcze jedną chustkę do nosa? Przeczuwałam, iż będzie potrzebna.

- Nie sądziłam, abyś była tak bardzo przywiązana do pana Phillipsa, że trzeba ci będzie aż dwóch chustek do ocierania łez z powodu rozstania się z nim - zauważyła Maryla.

- Nie twierdzę, że płakałam dlatego, iż bardzo lubię pana Phillipsa - odpowiedziała Ania. - Płakałam, bo inni płakali. Ruby Gillis zaczęła. Zawsze dowodziła, że nienawidzi pana Phillipsa, a tymczasem gdy tylko on wstał, aby wygłosić swą pożegnalną mowę, wybuchnęła płaczem. Wtedy wszystkie dziewczęta, jedna za drugą, rozpląkały się. Ja próbowałam się powstrzymać. Usiłowałam przypomnieć sobie chwilę, gdy pan Phillips kazał mi usiąść obok Gil... obok pewnego chłopca, i tę chwilę, gdy napisał na tablicy moje imię „Andzia”, i kiedy powiedział, że byłam najbardziej tępą uczennicą z geometrii, i kiedy śmiał się z mojej ortografii. Przypomniam sobie te wszystkie chwile, w których bywał taki ironiczny i niemiły, a jednak nie potrafiłam zapanować nad sobą i także się rozpląkałam. Janka Andrews już od miesiąca opowiadała bezustannie, jak bardzo się cieszy, że pan Phillips nas pożegna, i zapewniała, że nigdy nie uroni łzy z tego powodu. A tymczasem... właśnie ona była bardziej zmartwiona niż my i musiała pożyczyć chustki od swego brata - rozumie się, że chłopcy nie płakali - bo nie przyniosła swej własnej, nie przypuszczając, iż jej będzie potrzebna. Ach, Marylo, to była scena rozdzierająca serce! Pan Phillips miał prześliczną mowę pożegnalną zaczynającą się od wyrazów: „Nadeszła dla nas chwila rozstania!” To było niezmiernie wzruszające. On także miał łzy w oczach. Ach, i mnie było strasznie smutno na duszy i czyniłam sobie wyrzuty za te wszystkie lekcje, podczas których rozmawiałam, rysowałam jego karykatury na tabliczce i żartowałam sobie z niego i z Prissy. Naprawdę, w owej chwili żałowałam, iż nie byłam tak wzorowa pod względem sprawowania jak Minnie Andrews. Ona nie ma nic na sumieniu. Dziewczęta płakały podczas całej powrotnej drogi do domu. Carrie Sloane powtarzała raz po raz: „Nadeszła dla nas chwila rozstania!” i dzięki temu znowu zaczynałyśmy płakać, gdy już groziło nam odzyskanie równowagi ducha.

Było mi strasznie smutno, Marylo! Ale czyż można pogрузić się w otchłań rozpacz, gdy mamy przed sobą dwa miesiące wakacji? Czy można, Marylo? A przy tym spotkaliśmy nowego pastora z żoną, wracających z dworca. Pomimo iż tak niezmiernie byłam przejęta pożegnaniem z panem Phillipsem, nie potrafiłam nie zwrócić choć trochę uwagi na nowego pastora. Żona jego jest bardzo ładna. Rozumie się, że nie królewsko cudna... przypuszczam, że to nie byłoby nawet odpowiednie, aby pastor miał królewsko cudną żonę, gdyż dałby tym zły przykład. Pani Linde mówi, że żona pastora w Newbridge daje bardzo zły przykład, dlatego że się zbyt modnie ubiera. Żona naszego nowego pastora miała niebieską muślinową Suknię ze ślicznymi bufiastymi rękawami, a na głowie kapelusz przybrany wiankiem róż. Janka Andrews uważa, że bufiaste rękawy to zbyt świecki strój dla żony pastora, lecz ja nie osądziłabym jej tak nielitościwie, bo wiem dobrze, co to znaczy tęsknić do takich rękawów. Prócz tego jest ona żoną pastora dopiero od niedawna, więc należy to uwzględnić, prawda? Mieszkać będą tymczasem u pani Linde, bo plebania jest jeszcze niegotowa.

Jeśli Maryla, zaszedłszy tego wieczora do pani Linde, za powód swych odwiedzin podała konieczność zwrócenia pożyczonego od niej zeszłej zimy wzoru pikowania kołdry, to dla usprawiedliwienia jej należy przyznać, iż większość mieszkańców Avonlea użyła podobnie niewinnego pretekstu. Niejeden przedmiot, pożyczony ongi przez panią Małgorzatę bez nadziei odzyskania go kiedykolwiek, powrócił tego wieczora do rąk właścicielki. Nowy pastor, a co ważniejsze pastor z żoną, był to dostateczny powód do zainteresowania w spokojnej, o monotonnym trybie życia osadzie, gdzie wrażeń bywa tak mało.

Stary pan Bentley, o którym Ania twierdziła, że mu brak wyobraźni, był pastorem w Avonlea przez lat osiemnaście. Przybył tam jako wdowiec i wdowcem pozostał, chociaż miejscowe kumoszki bezustannie żeniły go to z tą, to z ową. Ostatniej zimy ustąpił ze swego stanowiska, żegnany szczerym żalem parafian, których przywiązanie, pomimo swych niewielkich zdolności -mówcy, potrafił pozyskać dzięki długoletniemu współżyciu z parafianami i osobistej dobroci. Od chwili jego wyjazdu parafianie Avonlea mieli urozmaicone przeżycia religijne słuchając wielu kazań kandydatów na plebanów, przybywających niedziela po niedzieli, aby wygłaszać próbne kazania. Utrzymywali się oni lub odpadali, stosownie do opinii, jaką wypowiadali o nich „ojcowie i matki gminy”. Poza tym zdanie swe o nich wyrażała też pewna mała czerwonowłosa dziewczuszka, siedząca spokojnie w kącie starej kuchni Cuthbertów. Swobodnie roztrząsała te sprawy w rozmowie z Mateuszem, bo Maryla z zasady unikała wszelkiej krytyki pastorów.

- Nie sądzę, aby pan Smith był odpowiedni, Mateuszu - zdecydowała ostatecznie Ania. - Pani Linde twierdzi, że mowa jego była zbyt uboga, lecz mnie się wydaje, że

największą jego wadą, zarówno jak i pana Bentleya, jest brak wyobraźni. A pan Terry ma jej zbyt wiele! Pozwala jej się rozbijać tak samo, jak to ja uczyniłam, opowiadając o Lesie Duchów. Zresztą pani Linde mówi, że teologia pana Terry jest niewłaściwa. Pan Gresham to bardzo dobry i bardzo religijny człowiek, lecz opowiadał zbyt wiele zabawnych historii i ludzie śmieli się w kościele. Nie miał dość godności, a pastor powinien umieć zdobyć szacunek, prawda, Mateuszu? Uwalałam, że pan Marshall był stanowczo niezmiernie pociągający, lecz pani Linde mówi, że jest on nieżonaty, a nawet nie zaręczony. Wywiadywała się o to specjalnie i twierdzi, że nie ma sensu, aby w Avonlea był młody, nieżonaty pastor, bo musiałby sobie szukać żony pośród swoich parafian, a to dałoby powód do wielu nieporozumień. Pani Linde jest to bardzo dalekowzroczna osoba, prawda, Mateuszu? Cieszę się, że wybrano pana Allana. Lubię go, bo kazanie miał zajmujące i modlił się z przejęciem, a nie czynił tego jedynie z przyzwyczajenia. Pani Linde mówi, że on nie jest znakomity, ale że nie możemy się spodziewać znakomitego pastora za siedemset pięćdziesiąt dolarów rocznie, a bądź co bądź jego wiedza teologiczna jest właściwa, gdyż wypytywała go bardzo dokładnie o rozmaite kwestie doktrynalne. Zna także rodzinę jego żony: to ludzie godni szacunku, a kobiety - znakomite gospodynie. Pani Linde mówi, że zdrowe poglądy męża i gospodarność żony stanowią idealne połączenie dla pastorostwa.

Nowy pastor i jego żona było to młode, o miłej powierzchowności małżeństwo, które przeżyło dopiero swój miodowy miesiąc. Pełni byli dobrych chęci i gorącego zapału do obranego zawodu. Avonlea od razu przyjęła ich z wielką serdecznością. Starzy i młodzi polubili szczerego, wesołego młodzieńca o szczytnych ideałach i jasną, miłą małą gospozię, która objęła we władanie plebanię. Ania także wkrótce serdecznie pokochała panią Allan, znalazłszy w niej nową pokrewną duszę.

- Pani Allan jest w istocie godna miłości - zauważyła pewnego niedzielnego popołudnia. - Prowadzi naszą klasę i jest znakomitą nauczycielką. Przyznała otwarcie, że nie uważa za słuszne, aby tylko nauczyciel miał prawo do zadawania pytań. Maryla pamięta zapewne, że to jest moje własne zdanie. Pozwala dzieciom pytać, ile tylko chcą. Toteż ja stawiam jej bardzo dużo pytań. Ja potrafię zasypywać pytaniami, prawda, Marylo?

- O, co to, to bez wątpienia - skwapliwie potwierdziła Maryla.

- Nikt prócz mnie więcej nie pytał, z wyjątkiem Ruby Gillis, która pragnęła się dowiedzieć, czy będzie tego lata niedzielny piknik szkolny. Mnie takie zapytanie wydało się nieodpowiednie, bo nie miało najmniejszego związku z lekcją; czytałyśmy o Danielu w lwiej paszczy, lecz pani Allan uśmiechnęła się tylko i rzekła, że przypuszcza, iż piknik się odbędzie. Pani Allan ma śliczny uśmiech i takie czarujące dołeczki w policzkach. Ja bym



także bardzo pragnęła mieć dołeczki, Marylo. Nie jestem już ani w części tak chuda, jak byłam przybywszy tutaj, ale dołeczków nie mam jeszcze. Być może, iż gdybym je miała, potrafiłabym mieć dobry wpływ na ludzi. Pani Allan twierdzi, że powinniśmy zawsze starać się dobrze wpływać na innych. Ona tak ładnie mówi o wszystkim. Czuję, iż cieszy się, że jest dobra. Chciałabym być prawdziwą chrześcijanką, gdybym mogła być taką jak ona. Nie chciałabym być taką chrześcijanką jak pan Bell.

- To bardzo nieładnie mówić w ten sposób o panu Bellu - rzekła Maryla surowo. - Pan Bell to porządny, dobry człowiek.

- Naturalnie, że jest dobry - zgodziła się Ania - ale nie wydaje się, żeby mu to sprawiało zadowolenie. Gdybym ja mogła być dobra, tańczyłabym i śpiewała z radością dzień cały, tak bym się z tego cieszyła. Wydaje mi się, że pani Allan jest zbyt dorosła, by tańczyć i śpiewać, a zresztą nie byłoby to może odpowiednie dla żony pastora, prawda?

- Sądzę, że wkrótce należałoby zaprosić państwa Allan na herbatę - rzekła Maryla w zamyśleniu. - Byli już prawie u wszystkich oprócz nas. Zastanówmy się nad tym. Sądzę, że przyszła środa byłaby odpowiednia. Nie wspominaj jednak o tym planie Mateuszowi, bo gotów znaleźć sobie jakąś wymówkę, aby tego dnia być poza domem. Do starego pana Bentleya przywykł już, ale zapoznanie się z nowym pastorem będzie uważać za ciężkie przejście, a już odwiedziny jego żony napędzą mu śmiertelnego stracha.

- Będę milczała jak grób - zapewniała Ania. - Ale czy Maryla pozwoli mi upiec ciasto na tę uroczystość? Chciałabym przyrządzić coś dla pani Allan, a przecież w ostatnich czasach nauczyłam się tak dobrze piec!

- Owszem, możesz upiec.

Poniedziałek i wtorek minęły pośród wielkich przygotowań. Zaproszenie pastorostwa na herbatę było niezmiernie doniosłym wypadkiem na Zielonym Wzgórzu, a Maryla postanowiła nie dać się prześcignąć tym razem żadnej z gospodyń Avonlea. Ania żyła w gorączce zachwytu i oczekiwania. We wtorek wieczorem opowiadała o wszystkim Dianie, siedząc z nią na wielkich, czerwonych kamieniach, niedaleko Źródła Nimf Leśnych i robiąc w wodzie tęczę maleńkimi gałązkami maczanymi w żywicy.

- Wszystko jest już gotowe, Diano, prócz mego tortu, który upiekę jutro rano, i biszkopcików, które Maryla przygotowuje w ostatniej chwili. Wierzaj mi, Diano, żeśmy z Marylą przeżyły dwa niezmiernie pracowite dni. Wszak wizyta pastorostwa to nie drobnostka! Nigdy jeszcze nie doświadczałam czegoś podobnego! Gdybyś zajrzała do naszej spizarni, niewątpliwie ślinka napłynęłaby ci do ust. Najpierw kurczęta w galarecie i ozór na zimno, dwa rodzaje galaretek, czerwona i żółta, bita śmietanka, ciasto z cytryną i wiśniami,

trzy rodzaje drobnych ciasteczek, placek z owocami, owe sławne konfitury z żółtych śliwek, które Maryla przechowuje tylko dla gości, tort mojej roboty i biszkopeciki, o których wspominałam. Ponadto świeżutki chleb i czerstwy też, specjalnie dla pastora, gdyby przypadkiem nie był zupełnie zdrów na żołądek. Pani Linde mówi, że pastorowie najczęściej źle trawią, ale mnie się zdaje, że pan Allan jest jeszcze chyba zbyt krótko pastorem, aby to już miało nań wyrzucić taki zły wpływ. Zimny dreszcz mnie przejmuje, gdy myślę o moim torcie! Ach, Diano, jeżeliby się nie udał! Ostatniej nocy śniło mi się, że gonił mnie jakiś straszny duch z wielkim tortem zamiast głowy. - Ależ będzie dobry, przepyszny - zapewniała Diana, zawsze gotowa pocieszać swych przyjaciół. - Wierz mi, ten kawałek ciasta, którym się podzieliłaś ze mną dwa tygodnie temu na podwieczorku w Zaciszu Słowika, był wyśmienity, a przecież tyś go piekła!

- Tak, to prawda, lecz ciasta mają tę szkaradną właściwość, iż nie udają się właśnie wtedy, gdy pragniemy, aby były jak najlepsze - westchnęła Ania maczając w wodzie przesiąkniętą żywicą gałązkę. - Myślę, że muszę zawierzyć Opatrzności i nie zapomnieć dodać mąki do ciasta. Ach, spójrz, Diano, jaka wspaniała tęcza! Czy nie sądzisz, że gdy stąd odejdziemy, nimfa leśna zjawi się, aby ją wziąć na szarfę?

- Wiesz przecież, iż nie ma nimf na świecie - rzekła Diana.

Matka jej dowiedziała się także o Lesie Duchów i surowo nakazała dziewczynce trzymać na wodzy swą wyobraźnię. Toteż Diana osądziła roztropnie, że lepiej nie zajmować się nawet niewinnymi nimfami.

- Ależ to tak przyjemnie wyobrażać sobie, że one istnieją - rzekła Ania. - Codziennie wieczorem, zanim się kładę spać, spoglądam przez okno i zdaje mi się, że widzę nimfę, jak rozczesuje swe loki nad źródłem służącym jej za zwierciadło. Czasem nawet szukam śladów jej stóp na rosie porannej. Ach, Diano, nie trać wiary w nimfy!

Nadszedł środowy poranek. Ania wstała o wschodzie słońca; była zbyt podniecona, aby móc spać dłużej. Poprzedniego wieczora, przemoczywszy nogi w stawie, nabawiła się wprawdzie silnego kataru, lecz jedynie ciężka choroba potrafiłaby ją tego rana powstrzymać od zajęć w kuchni. Natychmiast po śniadaniu zabrała się do przygotowywania tortu, a kiedy wreszcie zamknęła drzwiczki piecyka, z piersi jej wyrwało się głębokie westchnienie ulgi

- Jestem pewna, że tym razem nie zapomniałam o niczym, Marylo! Ale czy wyrośnie? Czy aby proszek do pieczenia jest świeży? Wzięłam go z nowego słoiczka. Lecz pani Linde twierdzi, że w obecnych czasach, kiedy wszystko fałszują, nie można być pewnym, że proszek jest świeży. I pani Linde mówi, że rząd powinien by się wtrącić w tę sprawę; lecz ona

pewnie nie doczeka takiej chwili, dopóki partia konserwatywna pozostanie u steru. Maryło, a jeśli ciasto nie wyrośnie?

- Będziemy mieli dość i bez niego - zauważyła Maryła z niezmaconym spokojem.

Ale ciasto wyrosło i, wyjęte z piecyka, było pulchne i żółciutkie jak złota piana. Ania pokraśniała z zachwytu, przystroiła je czerwoną galaretką i w wyobraźni swej już widziała panią Allan spożywającą ze smakiem jeden kawałek i proszącą o drugi.

- Maryła każe zapewne dać najpiękniejszą zastawę do herbaty - rzekła. - Czy mogłabym przystroić stół paprociami i polnymi różyczkami?

- Uważam to za niemądre - mruknęła Maryła. - Moim zdaniem, najważniejsze są smaczne potrawy, nie zaś przystrajanie stołu.

- Pani Barry przystroiła swój - odpowiedziała Ania sprytnie - a pastor wynagrodził jej trudy bardzo wytwornym komplementem. Powiedział, że jest to także uczta dla oka jak i dla podniebienia.

- Więc uczyni, jak ci się podoba - przyzwoliła wreszcie Maryła, stanowczo zdecydowana nie dać się prześcignąć w przyjęciu ani pani Barry, ani komukolwiek innemu. - Nie zapomnij tylko zostawić dość miejsca dla półmisek i salatek.

Ania przystroiła stół w ten sposób, iż pani Barry nigdy nie zdołałaby jej dorównać. Mając obfitość paproci i różyczek, z natury zaś obdarzona niezmiernie artystycznym smakiem, potrafiła przeobrazić stół podwieczorkowy w coś tak pięknego, że pastor i jego żona, zasiadłszy do herbaty, nie potrafili się powstrzymać od wykrzykników zachwytu.

- To zasługa Ani - przyznała zawsze sprawiedliwa Maryła.

A Ania doznała uczucia, że przychylny uśmiech pani Allan to zbyt wiele szczęścia na ziemi.

Mateusz wziął również udział w przyjęciu, ale co go do tego skłoniło, wiedziała tylko Ania. Początkowo zapowiedziane odwiedziny tak dalece go onieśmieliły i zdenerwowały, że Maryła porzuciła nadzieję przekonania go, aby zasiadł przy stole. Lecz Ania potrafiła tak szczęśliwie nań wpłynąć, iż oto siedział obok pastora w swym świątecznym ubraniu i białym kołnierzyku, zagłębiony w bardzo zajmującej rozmowie. Rozumie się, iż nie bawił pani Allan, lecz tego przecież nikt nie śmiał od niego wymagać.

Wszystko szło jak z płatka, dopóki nie nadeszła chwila częstowania ciastem roboty Ani. Pani Allan, mając przed sobą talerzyk pełen najrozmaitszych ciasteczek, podziękowała za tort. Lecz Maryła, widząc rozczarowanie na twarzyczce Ani, rzekła z uśmiechem:

- Ale pani nie odmówi kawałeczka tego tortu. Ania upiekła go specjalnie dla pani.

- W takim razie muszę go spróbować - roześmiała się pastorowa biorąc spory pulchny trójkącik, co też uczynili mąż jej i Maryla.

Pani Allan wzięła kęs do ust i dziwny wyraz odmalował się na jej twarzy. Nie wyrzekła ani słowa, powoli żując trzymany w ustach kawałek. Maryla, zauważywszy to, pośpieszyła także skosztować ciasta.

- Aniu! - krzyknęła. - Coś ty dodała do tego ciasta?

- Nic prócz tego, co nakazuje przepis! - zawołała Ania przerażona. - Czy niesmaczne?

- Niesmaczne? Ależ wstrętne! Niechże go pani nie je, pani Allan! Aniu, skosztuj, proszę. I powiedz, coś dodała do mąki?

- Wanilię - odpowiedziała sploniona z przerażenia Ania, skosztowawszy ciasta. - Tylko wanilię. Ach, Marylo, to z pewnością proszek do pieczenia. Miałam podejrzenia co do tego pr...

- Proszek, nie proszek! Pójdź i przynieś mi natychmiast słoik z wanilią, której użyłaś.

Ania, skoczywszy do spiżarni, powróciła ze słoiczkiem napełnionym do połowy brunatnym płynem i opatrzonym żółtą etykietą: „Najlepsza wanilia”.

Maryla odkorkowała go i powąchała.

- Na litość boską, Aniu! Toż dodałaś kropli walerianowych. W zeszłym tygodniu stłukłam buteleczkę z tymi kroplami i wlałam pozostałość do starego, pustego słoiczka od wanilii. Przyznaję, że to po części moja wina - powinnam cię była uprzedzić, lecz na miłość boską, czemu nie powąchałaś?

Ania rozplakała się rzewnie.

- Nie mogłam... nie czułam, miałam taki straszny katar! - i z tymi słowy pobiegła na górę do swego pokoiku, gdzie padła na łóżko szlochając jak ktoś, kto już nawet nie chce, aby go pocieszano.

Po chwili na schodach rozległy się lekkie kroki i ktoś wszedł do pokoiku.

- Ach, Marylo! - jęknęła Ania nie podnosząc głowy z poduszki. - Jestem na zawsze zhańbiona. Nie potrafię tego przeżyć. Wypadek ten stanie się głośny... W Avonlea każda drobnostka staje się głośna. Diana zapyta, jak mi się udało ciasto, i będę zmuszona wyznać jej prawdę. Będę na zawsze napiętnowana jako dziewczynka, która dodała do ciasta kropli walerianowych zamiast wanilii. Gil... chłopcy w szkole nie przestaną wyśmiewać się ze mnie. Ach, jeśli Maryla posiada odrobinę litości, proszę nie kazać mi teraz powrócić do stołu. Posprzątam wszystko, gdy pastor z żoną odjadą, lecz nie mogę teraz spojrzeć w oczy pani Allan. Może myśli, że próbowałam ją otruć... Pani Linde opowiadała, że zna dziewczynkę sierotę, która chciała otruć swą opiekunkę. Ale wszak krople walerianowe to nie trucizna.

Zażywa się je do wewnątrz... rozumie się, że nie do ciast. Czy Maryla zechce to wszystko powiedzieć pani Allan?

- Czy nie mogłabyś wstać i sama jej to powiedzieć? - rzekł 1 wesoły głosik.

Ania zerwała się. Obok jej łóżka stała pani Allan spoglądając na nią figlarnym wzrokiem.

- Moje kochane dziewczątko, nie płaczże tak bardzo! - rzekła wzruszona nieszczęśliwą miną Ani. - To przecież tylko komiczna pomyłka, która może się przytrafić każdemu.

- O nie, to tylko mnie wydarzają się tego rodzaju pomyłki - skarżyła się Ania zrozpaczona. - A tak bardzo pragnęłam, by ciasto się udało właśnie dla pani.

- Wiem o tym, kochanie! I zapewniam cię, że potrafię uznać i ocenić twoje dobre chęci i starania zupełnie tak samo, jak gdyby tort był najlepszy. No, przestańże płakać i chodź na dół pokazać mi swój ogródek kwiatowy. Panna Cuthbert mówiła mi, że masz swoje własne grządki. Pragnęłabym przypatrzeć się twoim roślinkom, bo niezmiernie lubię kwiaty.

Ania pozwoliła się sprowadzić i pocieszać, myśląc, że to prawdziwa łaska Opatrzności, iż pani Allan jest jej pokrewną duszą. O torcie nie było już więcej mowy, a kiedy goście pożegnali gospodarzy, Ania zauważyła, iż popołudnie to upłynęło jej o wiele przyjemniej, niż można było tego oczekiwać ze względu na przykre wydarzenie. Niemniej jednak westchnęła głęboko.

- Czyż to nie cudownie, Marylo, że jutro następuje nowy dzień, w którym nie uczyniłam jeszcze żadnego głupstwa?

- Jestem pewna, że popełnisz niejedno - rzekła Maryla. - Pod tym względem nikt ci nie dorówna.

- Wiem o tym - przyznała Ania żałośnie. - Ale czy Maryla zauważyła u mnie ten pocieszający objaw? Nigdy dwukrotnie nie popełniam tego samego błędu!

- Niewiele na tym zyskujesz, jeśli wymyślasz córa? to nowe.

- Ależ Marylo. Chyba musi być granica dla błędów, jakie jedna osoba może uczynić, więc kiedy popełnię już wszystkie, musi przecież nastąpić koniec. Jest to stanowczo myśl bardzo pocieszająca.

- Tak tak, ale teraz zanieś to ciasto wieprzkom - rzekła Maryla. - Żaden człowiek nie potrafiłby tego przełknąć.

## XXII.

### ODWIEDZINY ANI U PASTOROSTWA

Czemuż to znowu tak ci się oczy świecą, Aniu? - spytała Maryla dziewczynki, która właśnie wróciła z poczty. - Czyś może znowu znalazła jakąś pokrewną duszę?

W rzeczywistości cała postać Ani promieniała radością, która tryskała z jej oczu i ujawniała się w każdym ruchu. Szła aleją, podskakując niby lekki duszek unoszący się pośród łagodnych promieni słonecznych i leniwych cieni zapadającego sierpniowego wieczora.

- Nie, Marylo, ale czy to do uwierzenia? Jestem zaproszona na jutro po południu na podwieczorek do pastorostwa! Pani Allan pozostawiła dla mnie ten oto list na poczcie. Proszę spojrzeć, Marylo! „Panna Ania Shirley na Zielonym Wzgórzu”. Po raz pierwszy w życiu nazwano mnie „panną”. Jakiż dreszcz mnie przejął! Zachowam to na zawsze w sercu pomiędzy moimi najdroższymi skarbami.

- Pani Allan wspomniała mi, że ma zamiar zapraszać po kolei na podwieczorek wszystkie dzieci ze szkoły niedzielnej - rzekła Maryla, bardzo chłodno przyjmując to cudowne wydarzenie. - Niepotrzebnie się tak gorączkujesz. Naucz się brać rzeczy spokojniej.

Lecz dla Ani nauczyć się brać rzeczy spokojniej znaczyło zmienić naturę. Jej żywe i uczuciowe usposobienie przyjmowało troski i radości życia z potrójną siłą. Nie uszło to uwagi Maryli i było źródłem jej niepokoju. Przewidywała, że przeciwności życiowe niejednokrotnie mocno zadrasną tę impulsywną duszę, lecz przeoczyła zarazem, że równie wielka zdolność odczuwania szczęścia i zachwytu potrafi to dziewczynce z naddatkiem wynagrodzić. Toteż Maryla uważała za swój obowiązek nakłaniać Anię do spokoju i równowagi, co było równie nieosiągalne i obce jej naturze, jak promieniowi słonecznemu igrającemu na falach strumienia. Ze smutkiem więc przyznawała, iż dotychczasowe jej starania były najzupełniej bezowocne. Ilekroć na przykład jakaś nadzieja lub długo żywiony plan spełżył na niczym, Ania pogrążała się w „otchłani rozpacz”. Jeśli natomiast życzenia jej spełniły się, rozpływała się w „morzu szczęścia”. Maryla utraciła już prawie nadzieję przekształcenia kiedykolwiek swej pupilki w dziewczę wzorowe, o skromnym obejściu i nieśmiałym zachowaniu. Nie zdawała sobie sprawy, że właściwie kochała Anię daleko więcej taką, jaką była w rzeczywistości.

Tego wieczora Ania udała się na spoczynek smutna i zgnębiona, gdyż Mateusz oznajmił, że wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni i wobec tego jutro możliwa jest niepogoda. Szmer liści topolowych wokoło domu niepokoił ją, przypominał odgłos

spadających kropli deszczu, głuchy zaś, daleki szum zatoki morskiej, któremu zazwyczaj przysłuchiwała się z rozkoszą, zachwycona jego dziwnym, dźwięcznym, równomiernym rytmem, teraz wydawał się dziewczynce, spragnionej pięknej pogody, przepowiednią burzy i klęski. Zdawało się Ani, że ranek nigdy nie nadejdzie.

Lecz wszystko na świecie ma swój koniec, nawet noc poprzedzająca dzień, w którym się jest zaproszonym na podwieczorek do pastorostwa. Wbrew nieprzychylnym przepowiedniom Mateusza ranek wstał prześliczny, a w związku z tym i Ania była nad wyraz wesoła.

- Ach, Marylo, jest mi dziś tak dobrze na duszy, że muszę kochać wszystkich wokoło!  
- wybuchnęła z przejęciem podczas zmywania naczyń po śniadaniu. - Nie może Maryla mieć pojęcia, jaka się czuję dobra! Jak byłoby przyjemnie, gdyby to mogło trwać dłużej! Wydaje mi się, iż potrafiłabym być wzorowa, jeślibym codziennie bywała zapraszana na podwieczorek. Bądź co bądź, jest to bardzo wielka uroczystość, prawda, Marylo? I lękam się niezmiernie, czy też potrafię znaleźć się odpowiednio. Maryla wie, że jeszcze nigdy nie byłam na podwieczorku u pastorostwa i nie mam pojęcia o rozmaitych prawidłach etykiety, chociaż zanim tu przybyłam, przeglądałam codziennie w „Ognisku Domowym” dział „Wskazówek dobrego ułożenia”. Obawiam się tak bardzo, że uczynię coś niestosownego lub zapomnę zrobić coś takiego, co powinnam. Czy na przykład wypada wziąć sobie drugą porcję czegoś, na co się ma niezmierną ochotę?

- Twoją wadą, Aniu, jest to, że zbyt wiele myślisz o sobie samej. Powinnaś myśleć o pani Allan i o tym, co dla niej będzie miłe i przyjemne - rzekła Maryla trafiwszy pierwszy raz w życiu na zdrową i rozumną przestrożę. Ania pojęła ją natychmiast.

- Maryla ma słuszość. Spróbuję wcale o sobie nie myśleć.

Widocznie udało się Ani odbyć tę pierwszą wizytę bez poważniejszych wykroczeń przeciw „etykietce”, gdyż o zmierzchu, gdy wieczorne niebo kapało się w cudnych blaskach, złotych i różowych, powróciła do domu rozweselona i szczęśliwa. Usiadłszy u drzwi kuchni na wielkiej płycie z czerwonego piaskowca, złożyła swą znużoną, kędzierzawą główkę na kolanach Maryli i zaczęła opowiadać.

Świeży wietrzyk przyptywał z rozległych skoszonych łąk, ze skraju sosnowego lasu na zachodnich wzgórzach i szumiął pomiędzy topolami. Wielka, jasna gwiazda błyszczała ponad sadem, a między paprociami i kołyszącymi się gałązkami uwijały się świętojańskie robaczki. Ania mówiąc śledziła je wzrokiem, a wietrzyk, robaczki świętojańskie i gwiazdy zlewały się w jej oczach w coś niewymownie czarującego i pełnego słodyczy.

- Ach, Marylo, przeżyłam urocze chwile. Czuję, że nie żyłam na próżno, i będę to czuła zawsze, nawet gdybym już nigdy nie została zaproszona do pastorostwa. Kiedy przyszedłam na plebanie, pani Allan przywitała mnie już u drzwi. Miała na sobie suknię z jasnoróżowego muślinu z krótkimi rękawami, przybraną całymi tuzinami falbanek. Wyglądała zupełnie jak anioł! Wie Maryla, zdaje mi się, że gdy dorosnę, chciałabym zostać żoną pastora. Pastor nie zwracałby uwagi na moje rude włosy, bo wszak nie powinny go obchodzić takie światowe sprawy. Lecz wobec tego, że jako pastorkowa musiałabym być niezwykle dobra i łagodna, a taka nigdy zapewne nie będę, nie ma o czym myśleć. Jedni ludzie bywają dobrzy z natury, prawda? Inni zaś nie. Ja należę do tych innych. Pani Linde mówi, że jestem pełna wrodzonych wad. Jakkolwiek bardzo staram się być dobra, nie potrafię nigdy stać się taka, jakie bywają osoby już z natury dobre. Jest to, sądzę, po części tak samo jak z geometrią. Ale czyż starania nie powinny także być cenione? Pani Allan należy do ludzi dobrych z natury. Kocham ją szalenie. Wie Maryla, że są niektóre osoby, jak na przykład pani Allan i Mateusz, które można pokochać od razu, bez najmniejszego wysiłku, przy innych zaś, jak pani Linde, trzeba się bardzo o to starać. Człowiek wie, że powinien ich kochać, bo zasługują na to: są tacy mądrzy i czynnie pracują w kościele; ale należy bezustannie o tym wszystkim pamiętać, bo inaczej zaraz się zapomni.

Jeszcze jedna dziewczynka ze szkoły niedzielnej w Białych Piaskach była na tym podwieczorku na plebanii. Nazywa się Lauretta Bradley. Bardzo miła dziewczynka. Prawdopodobnie dusza nie pokrewna, ale jednak bardzo milutka. Podwieczorek był niezmiernie elegancki i zdaje mi się, że nie uchybiłam przepisom etykiety. Po herbacie pani Allan grała i śpiewała i nas również namówiła do śpiewu. Zauważyła, że mam ładny głos, i powiedziała, że dołączy mnie do chóru szkoły niedzielnej. Na samą tę myśl drzę ze wzruszenia! Tak bardzo pragnęłam śpiewać w chórze wraz z Dianą, ale zawsze lękałam się, że nie dostąpię tego zaszczytu.

Lauretta musiała wcześniej powrócić do domu, bo w Białych Piaskach w hotelu odbywa się dziś wieczorem koncert, na którym występuje jej siostra. Lauretta opowiadała, że Amerykanie z hotelu urządzają co dwa tygodnie koncert na rzecz szpitala w Charlottetown i proszą mnóstwo ludzi z Białych Piasków o współudział. Mówiła także, że i ona ma nadzieję być kiedyś zaproszona. Spojrzałam na Laurettę z najwyższym podziwem.

Po jej odejściu gawędziłyśmy z panią Allan bardzo serdecznie. Opowiedziałam jej wszystko... o pani Thomas i o bliźniętach, o mojej Katie i o Violetcie, o moim przybyciu na Zielone Wzgórze i tych ciężkich kłopotach z geometrią. I czy Maryla uwierzy? Pani Allan mówi, że i ona była tępa w geometrii. Trudno sobie wyobrazić, ile mi to dodało otuchy!



Gdy opuszczałam plebanię, nadeszła pani Linde i niech Maryla posłucha, co za nowina! Rada Szkolna zaangażowała nowego nauczyciela - kobietę! Nazywa się Muriel Stacy. Czy to nie romantyczne imię? Pani Linde powiada, że nigdy dotąd nie bywało w Avonlea nauczycielki, i lęka się, że to niebezpieczna innowacja. Lecz mnie się wydaje, że to będzie cudnie mieć nauczycielkę, i nie wyobrażam sobie wcale, jak ja przeżyję te dwa tygodnie dzielące nas od rozpoczęcia nauki w szkole. Tak się już niecierpliwie, by zobaczyć pannę Stacy.

### XXIII.

#### OFIARA ANI DLA SPRAWY HONOROWEJ

Niestety Ania była zmuszona czekać dłużej niż dwa tygodnie. Wobec tego, że miesiąc minął od chwili ostatniego wypadku z ciastem i kroplami walerianowymi, czas już był na jakąś nową niezwykłą przygodę. O drobnych pomyłkach tego rodzaju, jak na przykład to, że w roztargnieniu, zamiast do szaflika ze strawą dla świń, wylała garnuszek zbieranego mleka do koszyka z wełną stojącego w schowanku lub że na przechadzce, zatopiona w marzeniach, zesłała z mostu wprost do strumienia - nawet wspominać nie warto.

W tydzień po podwieczorku na plebanii Diana Barry zaprosiła do siebie gości.

- Nieliczne, ale dobrane towarzystwo - zapewniała Ania Maryłę. - Tylko dziewczęta z naszej klasy.

Panienki bawiły się doskonale i nic niezwykłego nie zakłóciło wesołego nastroju aż do podwieczorku, po którym zebrały się w cieniście ogrodzie Barry'ch, nieco już znudzone grami, gotowe na każdy nęcący figiel, jaki by się nadarzył. Toteż po chwili zaczęła się gra w „wyzywankę”.

„Wyzywanka” była to podówczas niezmiernie modna zabawa pośród młodzieży szkolnej w Avonlea. Wprowadzili ją chłopcy, ale wkrótce zajęła ona i dziewczęta i odtąd wszystkie szalone figle, jakie tego lata zdarzały się w Avonlea, były następstwem „wyzywanki” uprawianej gorliwie przez młodzież szkolną. Opisy ich zapełniłyby niewątpliwie całą książkę.

Pierwsza Carrie Sloane oświadczyła, że Ruby Gillis nie odważy się wdrapać do pewnej wysokości na wielką starą wierzbę stojącą przed domem. Rozumie się, że Ruby Gillis wykonała tę śmiałą próbę pomimo śmiertelnego lęku, jakim ją przejmowały wielkie, grube, zielone liszki, których pełno było na drzewie, i pomimo obawy przed gniewem matki w razie rozdarcia muślinowej sukienki. Carrie Sloane została całkowicie pobita.

Potem Józia Pye wyzwiała Jankę Andrews, aby obeszała ogród skacząc na lewej nodze, nie zatrzymując się ani na chwilę i nie dotknąwszy prawą nogą ziemi. Janka z wielką pewnością siebie spróbowała to uczynić, lecz już na trzecim skręcie poddała się i musiała uznać swą porażkę.

Wobec tego, że Józia triumf swój wyraziła niezbyt delikatnie, Ania Shirley wyzwiała ją, aby się przeszła po parkanie okalającym ogród ze wschodniej strony. „Przejście” po parkanie wymaga więcej zręczności i zimnej krwi, niż może przypuścić ktoś, kto tego nigdy

nie próbował. Lecz Józia Pye, choć pozbawiona pewnych zalet zdobywających sympatię otoczenia, posiadała wrodzony i starannie pielęgnowany talent chodzenia po parkanach. Toteż przeszła się po parkanie z miną lekceważącą, która zdawała się mówić, że podobna drobnostka niewarta była „wyzywanki”. Dziewczęta, acz niechętnie, wyraziły swój podziw; większość oceniła wyczyn Józii, gdyż same nieraz bezskutecznie starały się wykonać podobną próbę. Józia zeskoczyła z ostatniego pała rozpromieniona swym zwycięstwem, rzucając Ani wyzywające spojrzenie.

Ania skubała swe rude warkocze.

- Nie uważam, aby to było coś tak niezwykłego przejść się po krótkim i niskim parkanie - rzekła. - Znałam dziewczynkę w Marysville, która potrafiła przejść po szczycie dachu.

- Nie wierzę temu - odpowiedziała Józia bez wahania. - Nie wierzę, aby ktokolwiek potrafił przejść po szczycie dachu. Ty przynajmniej nie potrafiłabyś tego zrobić.

- Nie potrafiłabym? - zawołała Ania porywczo.

- A więc pokaż, jeśli umiesz! - rzekła Józia zaczepnie. - Ja wyzywam cię, byś weszła na dach i przespacerowała się po jego szczycie nad kuchnią państwa Barry'ch.

Ania zbladła, lecz nie było rady. Zwróciła się ku domowi, gdzie stała drabina oparta o daszek kuchni. Rozległ się głośny okrzyk wszystkich piątoklasistek: „O!” - okrzyk po części przerażenia, po części podziwu.

- Nie czyń tego, Aniu! - błagała Diana. - Spadniesz i zabijesz się! Nie zwracaj uwagi na Józję Pye. Nieuczciwie jest wyzywać kogoś na rzecz tak niebezpieczną.

- Muszę to uczynić. Honor mój wchodzi tu w grę - rzekła Ania uroczyście. - Przejdę po szczycie dachu lub zginę przy tej próbie, Dianu. A jeśli zginę, zatrzymaj na pamiątkę mój pierścionek z paciorków.

Głuche milczenie zapanowało, gdy Ania wchodziła na drabinę, dosięgła szczytu dachu i chwiejąc się lekko na tej niepewnej podstawie, wyprostowała się. I Ania zaczęła wędrówkę uświadomiwszy sobie nagle w przerażeniu, że znajduje się niezmiernie wysoko, a chodzenie po szczycie dachu to zadanie, przy którym bogactwo wyobraźni nic a nic pomóc nie może. Pomimo to udało się jej uczynić szczęśliwie kilka kroków. Lecz nagle zachwiała się, straciła równowagę i upadła staczając się po rozgrzanym przez słońce dachu i rozdzierając wijące się po nim sploty dzikiego wina. Stało się to w mgnieniu oka, zanim przerażone koło widzów zdołało wydać chóralny, pełen trwogi okrzyk.

Gdyby Ania spadła z dachu po stronie, od której weszła, bez wątplenia Diana zostałaby spadkobierczynią pierścionka z paciorków. Szczęściem ześliznęła się po stronie

przeciwległej, gdzie dach był niski, tak że upadek w tym miejscu wcale nie był bardzo niebezpieczny. Jednakże gdy Diana i wszystkie dziewczęta - prócz Ruby Gillis, która stała jak wryta, zalewając się łzami - popędziły jak szalone na drugą stronę domu, znalazły Anię bladą i bezsilną, leżącą pośród zerwanych pędów dzikiego wina.

- Aniu, czyś zabita?! - krzyknęła Diana rzucając się na kolana obok przyjaciółki. - O Aniu, droga Aniu, powiedz choć jedno słóweczko, powiedz, czy żyjesz jeszcze?

Ku wielkiemu uspokojeniu wszystkich dziewcząt, szczególnie zaś Józki Pye, która pomimo braku wyobraźni oczami 'duszy widziała się już w przyszłości zhańbioną piętrem wina z powodu przedwczesnej, tragicznej śmierci Ani Shirley, Ania usiadła chwiejąc się i odpowiedziała niepewnie:

- Nie, Dianko, nie zabiłam się, lecz zdaje mi się, że straciłam przytomność.

- Jak to? - zaszlochała Carrie Sloane. - Jak to, Aniu? Lecz zanim Ania zdążyła odpowiedzieć, na progu domu ukazała się pani Barry.

Spostrzegłszy ją, Ania spróbowała wstać, ale natychmiast z lekkim okrzykiem bólu opadła na ziemię.

- Co się stało? Gdzieżeś się zraniła? - spytała pani Barry.

- W kostkę nogi - jęknęła Ania. - Ach, Dianko, błagam cię, poszukaj swego ojca i poproś, by mnie zabrał do domu. Czuję, że nie potrafiłabym sama tam zejść. I jestem pewna, że nie udałoby mi się tego dokonać skacząc na jednej nodze, skoro Janka nie potrafiła w ten sposób okrążyć nawet ogrodu.

Maryla była właśnie w sadzie, zajęta zbieraniem letnich jabłek, gdy spostrzegła pana Barry, jak przeszedłszy kładkę zbliżał się ku Zielonemu Wzgórzcu. Na rękach niósł Anię, której głowa spoczywała na jego ramieniu. Obok szła pani Barry, a za nimi cała gromada dziewcząt.

W tej chwili dopiero Maryla doznała olśnienia. Nagłe uczucie bólu, jakie ją przeniknęło, uświadomiło jej, czym stała się dla niej Ania. Zawsze gotowa przyznać, że lubiła Anię... nawet że była do niej przywiązana, teraz, biegnąc strwożona w dół wzgórza, zrozumiała, że Ania była jej droższa nad wszystko.

- Panie Barry, co jej się stało? - wybuchnęła bledsza i bardziej wzruszona, niż to kiedykolwiek mogło się zdarzyć rozumnej i trzeźwej Maryli.

Ania uniosła głowę i sama odpowiedziała:

- Niech się Maryla nie przeraża. Chodziłam po szczycie dachu i spadłam. Zdaje mi się, że zwichnęłam nogę w kostce. Ale, Marylo, mogłam kark skrócić. Należy zawsze brać rzeczy z dobrej strony.

- Powinłam była przewidzieć, że coś podobnego się stanie, gdy ci pozwolę znowu wziąć udział w zabawie - rzekła Maryla, nie mogąc powstrzymać się od szorstkiej uwagi. - Proszę tędy, panie Barry! Złóżcie ją na sofie. Na miłość boską, toż ona zemdlą!a!

Była to istotnie prawda. Ziściło się jedno z najgorętszych życzeń Ani: znużona cierpieniem, zemdlą!a.

Mateusz, szybko odwołany od żniw, pośpieszył po doktora, który natychmiast przybył i stwierdził, że wypadek jest cięższy, niż przypuszczano. Noga Ani była w kostce złamana.

Tegoż wieczora, kiedy Maryla udała się do pokoiku na facjatce, gdzie blade dziewcząt!ko spoczywało w łó!zku, przywitał ją żałosny okrzyk:

- Czy Maryli bardzo mnie żal?

- Była to twoja własna wina - odpowiedzia!a Maryla spuszcza!jąc roletę i biorąc się do zapalania lampy.

- Właśnie dlatego powinna mnie Maryla ża!ować - skarży!a się Ania. - Właśnie przeświadczenie, że wszystko sta!o się z mojej winy, czyni dzisiejsze przejście takim ciężkim. Gdybym miała prawo z!ożyć winę na kogo innego, byłoby mi o wiele lżej. Ale co by też Maryla uczyni!a, gdyby ją „wyzwano” na przejście się po szczycie dachu?

- Pozwoli!abym się „wyzywać”, ile by tylko chcia!y, a sama sta!abym na pewnym gruncie. Co za szalone pomys!y!

Ania westchnę!a.

- Ale bo też Maryla posiada taki silny charakter! Ja nią mam go wcale. Czua!am, że nie potrafi!abym ścierpieć pogardy Józi Pye. Pysni!aby się ze swego zwycięstwa nade mną przez ca!e życie. I zdaje mi się, że zosta!am ju!ż tak surowo ukarana, iż Maryla nie powinna się na mnie gniewać. Przede wszystkim zemdlenie nie jest wcale przyjemne. I doktor sprawi!ł mi okropny ból nastawia!ąc nogę. Nie bę!dę mog!a chodzić przez jakie sześć, siedem tygodni i przez ten czas nie zobaczę nowej nauczycielki. Kiedy znowu zacnę chodzić do szkoły, ona nie bę!dzie ju!ż nowa. A Gil...v a ka!dzy kolega bę!dzie mó!gł mnie prześcignąć i zająć pierwsze miejsce w klasie. Ach, jestem srodze przez los prześladowana. Lecz postaram się wszystko znieść odważnie, aby tylko Maryla nie gniewa!a się na mnie.

- Dobrze, dobrze, nie gniewam się - odrzek!a Maryla. - Nie masz szczęścia, dziecko, to nie ulega wątpliwości. Lecz, jak przyzna!aś, sama bę!dziesz za to cierpieć. A teraz uspokój się i zjedz cokolwiek.

- Jak to dobrze, że posiadam bogatą wyobraźnię - rzek!a znowu Ania. - Mam nadzieję, że teraz mi się przyda. Co czynią ci, którzy nie mają wcale wyobraźni, kiedy im się zdarzy z!amać nogę? Jak Maryla myśli?

W istocie w ciągu długich, nudnych sześciu tygodni Ania miała możliwość błogosławić swą wyobraźnię. Co prawda, nie pozostawała jedynie na jej łasce. Odwiedzało ją bowiem wiele osób i żaden dzień nie minął, by jedna lub parę koleżanek nie wpadło do niej bodaj na chwilę, przynosząc kwiaty, książki oraz rozmaite drobne nowinki z młodzieńczego świata Avonlea.

- Wszyscy byli dla mnie tacy dobrzy i mili, Marylo - westchnęła Ania z zadowoleniem w dniu, w którym po raz pierwszy mogła pokuśtykać przez pokój. - Leżenie w łóżku nie jest bardzo miłe, lecz posiada też i swoje dobre strony. Wtedy, Marylo, możemy się przekonać, ilu mamy przyjaciół. Nawet rektor szkoły niedzielnej, pan Bell, przyszedł mnie odwiedzić; to rzeczywiście jest bardzo miły człowiek! Pewno, że nie jest on pokrewną duszą, lecz lubię go i jest mi naprawdę przykro, że zawsze krytykowałam jego sposób odprawiania modlitwy. Teraz wierzę, że on ją rozumiał, tylko przywykł odmawiać ją tak, jakby jej nie rozumiał. Mógłby przecież mówić inaczej, gdyby sobie zadał trochę trudu. Dałam mu do tego maleńką wskazówkę. Zwierzyłam mu się, jak bardzo starałam się uczynić moje własne modlitwy zajmującymi. On znowu opowiadał mi, jak kiedyś, będąc małym chłopcem, sam złamał nogę w kostce. Tak trudno jest wyobrazić sobie pana Bella jako chłopca. Nawet moja wyobraźnia widocznie musi mieć granice, bo tego nie potrafię sobie odmalować. Kiedy myślę o nim jako o dziecku, widzę go z siwymi bokobrodami, w okularach, zupełnie takiego samego jak na katedrze w szkole, tylko małego. Natomiast panią Allan jest bardzo łatwo przedstawić sobie jako dziewczynkę. Pani Allan odwiedziła mnie czternaście razy. Czy to nie powód do dumy, Marylo? Pastorowa, która jest tak wyjątkowo zajęta! A jaki miły z niej gość! Nigdy nie twierdzi, że to była moja wina i że to będzie nauczka na przyszłość. A takie jest zawsze zdanie pani Linde, ilekroć przychodzi mnie odwiedzić. Pani Linde mówi przy tym w taki sposób, jakby wprawdzie miała nadzieję, że się zmienię na lepsze, ale wcale nie była tego pewna.

Józia Pye odwiedziła mnie także. Przyjęłam ją tak uprzejmie, jak tylko potrafiłam, bo zdaje mi się, iż żałuje tego wyzwania mnie na próbę. Gdybym się zabiła, jakież ciężkie wyrzuty sumienia dręczyłyby ją przez całe życie!

Diana była wierną przyjaciółką. Przychodziła codziennie, aby mi osłodzić moją samotność. Ale jakże będę szczęśliwa, gdy wreszcie pójde do szkoły! Słyszałam tyle zajmujących szczegółów o nowej nauczycielce. Wszystkie dziewczęta twierdzą, że jest niezmiernie miła. Diana mówi, że ma cudne, jasne, wijące się włosy i pełne wyrazu oczy. Ubiera się ładnie, a rękawy ma bardziej bufiaste niż którakolwiek z pań w Avonlea.

Co drugi piątek po południu urządza zebranie, na którym każdy z uczestników deklamuje lub bierze udział w dialogu. Ach, z jaką rozkoszą myślę o tym! Józia Pye mówi, że nie cierpi tych zebrań, ale to tylko dlatego, że Józia nie ma ani źdźbła wyobraźni.

Diana, Ruby Gillis i Janka Andrews przygotowują na przyszły piątek dialog pod tytułem „Odwiedziny poranne”. W te zaś piątki, gdy nie ma zebrań, panna Stacy zabiera wszystkie dziewczęta do lasu na wycieczkę i wtedy pokazuje im ptaki, kwiaty i paprocie i opowiada o nich. Każdego popołudnia i każdego ranka odbywają się ćwiczenia gimnastyczne. Pani Linde mówi że nigdy nie słyszała o podobnych innowacjach i że to wszystko się dzieje dlatego, że nauczycielem jest kobieta. Mnie się to jednak wydaje cudowne i zaczynam przypuszczać, że w panie Stacy znajdę pokrewną duszę.

- Jedno jest pewne, Aniu - rzekła Maryla. - Oto nie ulega wątpliwości, że przy upadku język twój nie odniósł najmniejszego uszkodzenia.

## XXIV.

### WYCHOWANKOWIE PANNY STACY URZĄDZAJĄ KONCERT

Nadszedł październik i Ania mogła znowu zacząć chodzić do szkoły. Był to cudny październik w czerwieni i złocie; w łagodne poranki doliny stały pełne delikatnych mgieł, niby rozwieszonych przez wieszczkę jesieni, aby słońce mogło je wysuszyć. Mgły te mieniły się wspaniałymi barwami: ametystową, perłową, srebrną, różową i niebieskawą. Rosa była tak ciężka, że pola wyglądały niby okryte srebrnym płaszczem.

W gęstym lesie przechodzień stapał po stosach zwiędłych, szeleszczących liści, które wypełniały wszystkie kotlinki. W Alei Brzóz utworzyły się żółte sklepienia, a pomiędzy drzewami słały się zeschnięte, brunatne paprocie.

W powietrzu unosił się ostry, orzeźwiający zapach, którym rozkoszowały się dziewczęta dążące żwawo i chętnie do szkoły. Jakże przyjemnie było Ani zasiąść znowu za ciemnym pulpitem obok Diany, zobaczyć Ruby Gillis, życzliwie uśmiechającą się ku niej poprzez przejścia między ławkami, Carrie Sloane, przesyłającą jej miłe bileciki, i Julię Bell, ofiarowującą koleżance najdelikatniejsze kawałki żywicy.

Ania, temperując swój ołówek i układając zeszyty w szufladzie, westchnęła z zadowoleniem. „Życie w istocie jest bardzo zajmujące” - pomyślała.

W nowej nauczycielce znalazła Ania prawdziwego i pomocnego przyjaciela. Panna Stacy była to wesoła i niezmiernie sympatyczna młoda osoba, ze szczęśliwym darem zjednywania sobie uczuć swych uczniów oraz umiejętnością wydobywania z tych młodych istot wszystkich zalet umysłowych i moralnych. Ania rozwijała się jak kwiat pod jej dobroczynnym wpływem i roztaczała w domu przed podziwiałym ją Mateuszem i krytycznie usposobioną Marylą pełne zachwyty opisy zajęć i zamierzeń szkoły.

- Kocham pannę Stacy całym sercem, Maryło. Jest taką prawdziwą damą i przemawia słodkim nad wyraz głosem. Kiedy się zwraca do mnie, czuję instynktownie, że powie: „Aniu!” Dziś po południu recytowałyśmy poezję. Żałuję bardzo, żeście nie słyszeli, gdy deklamowałam „Maria, królowa szkocka”. Włożyłam w ten utwór całą moją duszę. Kiedyśmy wracały do domu, Ruby Gillis wyznała mi, że gdy mówiłam wiersz: „Żegnaj, kobiece moje serce”, zimny dreszcz ją przeniknął.

- Musisz mi to zadeklamować któregoś dnia, gdy będę w stodole - poprosił Mateusz.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Ania zamyślona - lecz nie wiem, czy potrafię to zrobić równie dobrze. Nie będę przecież tak wzruszona jak wówczas, gdy czułam, że cała



szkoła słucha mnie z zapartym tchem. Jestem prawie pewna, że nie potrafię wywołać u Mateusza zimnego dreszczu.

- Pani Linde mówi, że ona doznała też zimnego dreszczu widząc, jak wasi koledzy wdrapywali się w piątek po południu na wierzchołki wielkich drzew u państwa Bellów, szukając gniazd wronich - wtrąciła Maryla. - Dziwi mnie, że panna Stacy pozwala na to.

- Ależ gniazdo wronie było nam koniecznie potrzebne do pogadanki przyrodniczej - objaśniła Ania. - Było to podczas popołudniowej wycieczki. Nasze wycieczki są wspaniałe, Marylo. Panna Stacy objaśnia wszystko prześlicznie. Następnie piszemy wypracowania, których treścią są właśnie te wspólne przechadzki. A moje ćwiczenia są zwykle najlepsze.

- Jesteś bardzo zarozumiała twierdząc coś podobnego. Jedyne nauczycielka mogłaby wydać sąd o tym.

- Właśnie i ona to mówi. Ale pomimo wszystko nie jestem wcale zarozumiała. Jakże mogłabym być zarozumiała, skoro jestem tępą w geometrii. Chociaż w ostatnich czasach zaczynam trochę więcej pojmować. Panna Stacy wykłada tak jasno! Jednakże nie łudzę się wcale, że kiedykolwiek będę mocna w tym przedmiocie, a zapewniam Maryłę, że to bardzo poniżające uczucie. Lecz szalenie lubię pisywać wypracowania. Najczęściej panna Stacy pozwala nam wybierać dowolne tematy, ale w przyszłym tygodniu będziemy pisali o jakiejś sławnej osobistości. Trudno jest wybrać znakomitego człowieka spośród tak wielu, którzy żyli. Ach! Jakże to przyjemnie być znakomitością, o której po śmierci dzieci w szkołach będą pisały wypracowania! Jakże pragnęłabym być sławną! Kiedy dorosnę, zostanę pielęgniarką i udam się na pole bitwy jako siostra miłosierdzia. Rozumie się, jeżeli nie wyjadę za granicę jako misjonarka. Byłoby to niezmiernie romantyczne, ale misjonarz musi być bardzo dobry, a ja tak dobrą, niestety, być nie potrafię... Wie Maryla? Codziennie rano mamy ćwiczenia gimnastyczne. Wyrabia to zręczność ruchów i podobno ułatwia trawienie.

- Ułatwia trawienie! - powtórzyła z przekąsem Maryla, przekonana, iż te wszystkie innowacje są wariactwem.

Wkrótce jednak popołudniowe wycieczki, piątkowe deklamacje i ćwiczenia gimnastyczne zbladły wobec projektu, jaki panna Stacy w listopadzie przedstawiła swym wychowankom. Otóż powzięła myśl, aby młodzież szkolna z Avonlea urządziła w święto Bożego Narodzenia koncert, z którego dochód mógłby być użyty na chwalebny cel zakupu chorągwi szkolnej. Cała szkoła jednogłośnie przyklasnęła temu projektowi i wszyscy zabrali się natychmiast do układania programu. Spośród rozentuzjasmowanych artystów-amatorów najbardziej zapalona była, rozumie się, Ania Shirley, która całą duszą i

sercem oddała się tej sprawie, hamowana bezustannie przez sceptyczną krytykę Maryli, uważającej cały pomysł za nowe wariactwo.

- Nabijają wam głowy głupstwami i zabierają czas przeznaczony na odrabianie lekcji - mruzczała. - Nie uznaję potrzeby urządzania koncertów przez dzieci, które wskutek tego stają się próżne, zarozumiałe i włóczą się nie wiadomo gdzie.

- Ale jaki to ważny cel! - broniła Ania. - Przecież chorągiew będzie potęgowała ducha patriotyzmu.

- Banialuki! Miłość ojczyzny najmniej zajmuje w tej chwili wasze myśli. Pragniecie tylko przyjemnej rozrywki!

- Być może. Ale cóż to złego, jeśli rozrywka da się połączyć z miłością ojczyzny? To bardzo przyjemnie móc urządzić koncert. Będziemy mieli sześć śpiewów chóralnych, a Diana zaśpiewa solo. Ja biorę udział w dwóch dialogach: „Towarzystwo zwalczania plotkarstwa” i „Królowa elfów”. Chłopcy także powiedzą dialog. Będę deklamowała dwa razy. Drzę cała, gdy myślę o tej chwili, ale jest to jakiś przyjemny dreszcz. Na końcu będzie żywy obraz: „Wiara, Nadzieja i Miłość”. Wyobrażać je będą: Diana, Ruby i ja, wszystkie trzy w bieli, z rozpuszczonymi włosami. Ja będę Nadzieją z rękami splecionymi... ot tak... z oczami wzniesionymi w górę. Ról moich będę się uczyła na strychu. Nie trwóście się aby, słysząc westchnienia i jęki. W jednej z ról powinnam rozpaczać głosem rozdzierającym duszę, a to naprawdę trudno artystycznie rozpaczać!

Józia Pye dąsa się, że nie wyznaczono jej roli, jakiej się spodziewała; chciała być królową elfów. Ależ to byłoby śmieszne, bo czy widział kto kiedy, aby królowa elfów była taka tłusta jak Józia? Przecież elfy powinny być smukłe. Janka Andrews będzie królową, a ja jedną z jej dam dworu. Józia twierdzi, że rudowłosy elf jest równie śmieszny jak i tłusty elf, ale nie zwracam uwagi na jej zdanie.

Na głowie będę miała wianek z białych róż, a Ruby Gillis pożycz mi pantofelków. Nie mam przecież własnych, a elfy muszą mieć pantofelki. Czy Maryla może sobie wyobrazić elfa w bucikach? Niepodobna, prawda? I to w dodatku w bucikach z okutymi nosami.

Przystroimy salę koncertową gałązkami jodły i wieńcami z choiny, które będą poprzetykane różami z czerwonej bibułki. Gdy wszyscy słuchacze się zbiorą, wejdziemy parami, a Emma White zagra na organach marsza. Ach, wiem dobrze, że Maryla ani w części nie cieszy się tym koncertem tak jak ja, lecz czy Maryla nie żywi przypadkiem trochę nadziei, że wasza Ania może się wyróżni? - Mam nadzieję tylko na to, że zachowasz się odpowiednio. Będę bardzo rada, gdy cały ten gwałt się skończy i wreszcie spokojnie zabierzesz się do przerwanej pracy. Teraz jesteś w istocie niezdolna do żadnego zajęcia, mając głowę

przepełnioną dialogami, obrazami i westchnieniami. Nie pojmuję nawet, jakim sposobem twój język dotychczas nie skołowaciał.

Ania westchnęła i udała się na podwórze, gdzie Mateusz rąbał drzewo. Młody księżyc zaglądał tu spoza seledynowych, zachodnich obłoków, poprzez ogołocone z liści gałęzie topoli. Zasiadłszy na pniach drzewa, dziewczynka znowu zaczęła mówić o koncercie, pewna, iż tutaj znajdzie przychylnie usposobionego i zdolnego zrozumieć ją słuchacza.

- W istocie uważam, że będzie to bardzo ładny koncert i ty się z pewnością wyróżnisz - rzekł Mateusz z uśmiechem rozjaśniającym jego poczciwe, pełne wyrazu oblicze.

Ania odpowiedziała mu także uśmiechem. Tych dwoje było najlepszymi przyjaciółmi i Mateusz nieraz dziękował swej szczęśliwej gwiazdzie, że był zwolniony od wychowywania dziewczynki. Pozostawało to wyłącznym zadaniem Maryli. Gdyby on był wychowawcą Ani, bez wątpienia niejednokrotnie musiałby staczać walkę pomiędzy uczuciem a obowiązkiem. W obecnych warunkach wolno mu było „psuć Anię” - wedle wyrażenia Maryli - ile mu się podobało. Nie było w tym jednak nic tak bardzo szkodliwego. Nieco „uznania” od czasu do czasu oddziałuje równie dodatnio jak najrozumiejsza „wychowawcza” uwaga.

## XXV.

### MATEUSZ RZECZNIKIEM BUFIASTYCH RĘKAWÓW

Wszedłszy do kuchni o zmroku pewnego chłodnego wieczora grudniowego, Mateusz zasiadł w kącie obok skrzyni z drzewem, aby ściągnąć z nóg swe ciężkie buty. Nie miał pojęcia o tym, że Ania z kilkoma koleżankami powtarzała w bawialni dialog z „Królowej elfów”. Właśnie przebiegły gromadką przedpokój i weszły do kuchni, śmiejąc się i gawędząc wesoło.

Nie zauważyły Mateusza, który nieśmiało usunął się w cień poza skrzynię, z butem w jednej dłoni, a pachółkiem do butów w drugiej, i ukradkiem się im przyglądał. Wkładając płaszczyki i kapturki, dziewczynki rozprawiły o dialogu i koncercie. Ania stała pośród nich, zapalona, z roziskrzonym wzrokiem jak one wszystkie. Lecz Mateusz zauważył nagle, że było w niej coś, co różniło ją bardzo od towarzyszek, coś takiego, co, jak mu się wydawało, nie powinno być istnieć. Ania miała jaśniejszą cerę, większe, bardziej błyszczące oczy i delikatniejsze rysy od tamtych. Nawet nieśmiały, niezbyt spostrzegawczy Mateusz nauczył się dostrzegać te szczegóły. Jednakże różnica, która go uderzyła, miała inne źródło. Na czymże ono polegało? Pytanie to przesładowało Mateusza jeszcze długo potem, kiedy dziewczęta odeszły, a Ania, samotna, zasiadła do książki. Nie chciał mówić o tym z Marylą, która, był pewny, uśmiechnie się pogardliwie i zauważy, iż jedyna różnica, jaką widzi pomiędzy Anią a jej koleżankami, jest ta, że one nieraz milczą, podczas gdy Ania bezustannie miele językiem. Takiego wyjaśnienia Mateusz nie pragnął.

Aby swobodnie zastanowić się nad tą sprawą, uciekł się Mateusz tego wieczora do swej fajki, jak zwykle ku wielkiemu niezadowoleniu Maryli. Po dwugodzinnym paleniu i namyśle Mateusz wreszcie rozwiązał to pytanie. Oto Ania nie była ubrana jak inne dziewczęta!

I im dłużej rozmyślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Ania nigdy dotąd nie bywała tak ubierana jak inne dziewczęta, nigdy, od chwili przybycia na Zielone Wzgórze. Maryla sprawiała jej sukienki z brzydkich, ciemnych materiałów, wszystkie skrojone wedle jednego prostego fasonu. Mateusz nie miał pojęcia o tym, że istnieje taka rzecz jak moda, lecz oto zwrócił uwagę, że rękawy u sukienki Ani nie były wcale podobne do rękawów innych dziewcząt. Przypomniał sobie gromadkę koleżanek, w których otoczeniu widział Anię dzisiejszego wieczora - wszystkie w jasnych bluzeczkach, różowych, białych, czerwonych i niebieskich - i nie mógł zrozumieć, dlaczego Maryla ubiera Anię stale ciemno i brzydko.

Musiało to być słuszne. Maryla chyba wiedziała najlepiej, co czyni - ona wychowywała Anię. Prawdopodobnie rządziła się jakimiś rozumnymi, nieprzeniknionymi prawami. Lecz cóż byłoby zdrożnego, gdyby dziecko miało jedną ładną sukienkę... coś bodaj w tym rodzaju jak codzienne ubranie Diany Barry. I oto Mateusz postanowił kupić dla Ani taki strój. Nie może to przecież być uważane za wtrącanie się do nie swoich rzeczy. Za dwa tygodnie nadejdzie Boże Narodzenie. Ładna, nowa sukienka będzie bardzo odpowiednim podarkiem na Gwiazdkę. Mateusz z westchnieniem ulgi odłożył swą fajkę i poszedł spać, a Maryla otworzywszy wszystkie drzwi wietrzyła cały dom.

Następnego popołudnia Mateusz sam udał się do Carmody, aby kupić ową sukienkę. Pragnął załatwić tę sprawę jak najprędzej. Czuł, że nie pójdzie mu to łatwo. Istniały przedmioty, które Mateusz potrafił kupić i ocenić nie gorzej od niejednego kupca, lecz w tym wypadku wiedział doskonale, że gdy będzie chodziło o kupno sukienki dla dziewczynki, znajdzie się na łasce sprzedającego.

Po długich rozmyślaniach Mateusz postanowił pójść do sklepu Samuela Lawsona zamiast do Williama Blaira. Co prawda, Cuthbertowie zawsze załatwiali wszelkie zakupy u Williama Blaira. Było to równie naturalne jak należenie do kościoła prezbiteriańskiego lub głosowanie za kandydatem konserwatywnym. Lecz w sklepie Blaira zdarzało się nieraz, że obsługiwały kupującym dwie córki właściciela, a Mateusz lękał się ich jak ognia. Ostatecznie spróbowałby pomówić z nimi, gdyby dokładnie wiedział, czego chce, i mógł to określić, ale w danym wypadku, wymagającym porady i objaśnienia, Mateusz wolał mieć do czynienia z mężczyzną. Pójdzie więc do Lawsona, gdzie obsługuje klientów sam właściciel lub jego syn.

Niestety! Mateusz nie wiedział wcale o tym, że wobec wzmożonego ostatnio ruchu w sklepie Lawson przyjął sklepową. Była to siostrzenica jego żony, elegancka panna o wysokim uczesaniu a la Pompadour, dużych, żywych oczach i bardzo szerokim, onieśmielającym uśmiechu. Szykownie ubrana, nosiła na rękach bransoletki z wisiorkami, które brzęczały, błyszczały i dzwoniły przy każdym jej ruchu.

Gdy Mateusz wszedł do sklepu, zmieształ się niezmiernie, zastawszy tę damę, a brzęk bransoletek oszołomił go do reszty.

- Czym mogę dziś panu służyć, panie Cuthbert? - spytała wesoło i zalotnie panna Lucylla Harris, opierając się obu rękami o ladę sklepową.

- Czy pani ma... ma... czy są grabie ogrodowe? - wyjąkał Mateusz.

Panna Harris spojrzała na niego trochę zdziwiona, niezupełnie pewna, czy dobrze zrozumiała, że ktoś w połowie grudnia zapytuje o grabie ogrodowe.

- Zdaje mi się, że zostały jeszcze jedna czy dwie sztuki - rzekła - lecz są na górze w składzie. Pójdę sprawdzić.

Podczas jej nieobecności Mateusz zbierał siły do następnej próby.

Kiedy panna Harris wróciła z grabiami i uprzejmie spytała: „Czym mogę jeszcze służyć, panie Cuthbert?” - Mateusz zebrał całą odwagę i rzekł:

- A więc ponieważ mi pani przypomniała, chciałbym dostać, to jest... rozumie się... chciałbym kupić... trochę nasion traw...

Panna Harris słyszała, iż Mateusza nazywano oryginałem. Obecnie doszła do wniosku, że to skończony wariat.

- Nasiona sprowadzamy tylko na wiosnę - zauważyła wyniośle. - Teraz nie mamy żadnych na składzie.

- Bez wątpienia, bez wątpienia... słusznie pani mówi - wyjąkał nieszczęśliwy Mateusz chwytając grabie i zwracając się ku drzwiom. Lecz na progu sklepu przypomniał sobie, że nie zapłacił, i zawrócił. Podczas gdy panna Harris obliczała resztę, zebrał siły do ostatniej rozpaczliwej próby.

- Tak... jeśli nie zrobię tym wiele kłopotu... muszę... to jest... chciałbym prosić... o cukier.

- Jaki? Biały? Czy ciemny? - spytała cierpliwie panna Harris.

- O... zapewne... ciemny - odrzekł Mateusz słabo.

- Oto jest jeszcze ostatnia beczułka - wskazała panna Harris pobrzękując bransoletkami. - To jedyny gatunek, jaki mamy.

- Poproszę... poproszę o dwadzieścia funtów tego gatunku - rzekł Mateusz, któremu wielkie krople potu wystąpiły na czoło.

Biedny Mateusz przebył już połowę powrotnej drogi do domu, zanim odzyskał panowanie nad sobą. Było to okropne przejście, lecz uważał, iż zasłużył na nie za niegodny czyn, jakiego się dopuścił poszedłszy do obcego sklepu po zakupy. Po powrocie do domu schował grabie w wozowni, ale cukier musiał zanieść Maryli.

- Ciemny cukier! - wykrzyknęła Maryla. - Po cóżeś tyle kupić? Wiesz dobrze, że używam go tylko dla pastucha i do serów owocowych. Jerry już dawno odszedł, a sery także leżą od kilku tygodni gotowe. To nie jest dobry gatunek cukru, ordynarny i ciemny. William Blair zwykł mieć lepsze gatunki.

- Tak... sądziłem, że się przyda - rzekł Mateusz ratując się ucieczką.

Rozmyślając dłużej nad tą sprawą, Mateusz doszedł do wniosku, że jedynie kobieta potrafi ją załatwić. O powierzeniu jej Maryli mowy być nie mogło. Mateusz był pewien, że

projekt jego natychmiast odrzuci. Pozostawała pani Linde... Mateusz bowiem nie ośmieliłby się nigdy zapytać o radę jakiegokolwiek innej kobiety w Avonlea. Udał się tedy do pani Małgorzaty, a ta pocziwie od razu zdjęła ciężar z ramion skłopotanego biedaka.

- Wybrać sukienkę dla Ani na Gwiazdkę? Oczywiście, chętnie to uczynię. I tak jadę jutro do Carmody, więc zajmę się tym kupnem. Czy ma pan jakieś specjalne życzenie? Nie? A więc dobrze, wybiorę według własnego gustu. Sądzę, że w pięknym, brązowym kolorze będzie Ani do twarzy. Wiem, że William Blair otrzymał wybór bardzo ładnych lekkich wełenek. A nie życzyłby pan sobie, abym ja uszyła tę sukienkę? Jeśli Maryla się tym zajmie, Ania dowie się o podarku zbyt wcześnie i niespodzianka będzie chybiona. Owszem, chętnie ją uszyję. Ależ nie sprawi mi to bynajmniej kłopotu. Lubię szyć. A zrobię ją według miary mojej siostrzenicy, Jenny Gillis, gdyż Ania i ona są prawie tego samego wzrostu.

- Dobrze, dziękuję bardzo - rzekł Mateusz - ale... ale... nie wiem... zdaje mi się... że teraz robią inne rękawy u sukien niż dawniej. Jeśliby to nie było zbyt śmiałe żądanie... pragnąłbym, aby one były uszyte wedle nowej mody.

- Bufiaste? Ależ naturalnie! Proszę nie troszczyć się o to ani chwili. Uszyję ją według najświeższej mody - zapewniała pani Linde.

Kiedy Mateusz odszedł, rzekła do siebie:

- Przynajmniej raz biedne dziecko będzie ubrane jak należy. Maryla w istocie ubiera ją wprost śmiesznie i ja sama co najmniej dziesięć razy chciałam zrobić jej tę uwagę. Powstrzymałam się jednak, bo widzę, że Maryla uwag nie lubi, przekonana, że chociaż jest starą panną, zna się lepiej na wychowaniu dzieci niż ja. Zawsze tak bywa. Ci, którzy się zajmowali kiedykolwiek dziećmi, widzą dobrze, że nie ma stałych i niewzruszonych metod, które by się dały zastosować do wszystkich wychowanków. Ci zaś, którzy nie mieli dzieci, sądzą, że wszystko jest równie proste i łatwe jak reguła trzech. Wypisujesz trzy wiadome zgodnie z zasadą, a wynik będzie dobry. Jednak ciało i krew nie dadzą się podciągnąć pod zasady arytmetyki i w tym właśnie punkcie Maryla popełnia błąd. Przypuszczam, iż ubierając Anię w sposób, w jaki to czyni, pragnie rozwijać w niej skromność, ale kto wie, czy zamiast tego nie rozwija w niej zawiści i niezadowolenia. Jestem pewna, że biedne dziecko musi widzieć różnicę pomiędzy swoim strojem a ubraniem innych dziewcząt. Ale że też Mateusz zwrócił na to uwagę! Ten człowiek zbudził się po sześćdziesięciu latach snu!

Podczas następnych dwóch tygodni Maryla zauważyła, że Mateusz ma głowę zaprzątniętą czymś niezwykłym, lecz nie potrafiła odgadnąć, co było tego powodem. Zagadka wyjaśniła się nareszcie w wigilię Bożego Narodzenia, gdy pani Linde przyniosła nową sukienkę. Maryla niczym nie zdradziła swego nie- zadowolenia. Prawdopodobnie jednak nie

dowierzała dyplomatycznemu objaśnieniu przyjaciółki, jakoby podjęła się ona uszycia sukienki dlatego tylko, że Mateusz lękał się, aby Ania nie dowiedziała się zbyt wcześnie o niespodziance.

- Ach tak, więc to z tego powodu Mateusz miał taką tajemniczą minę, szeptał i uśmiechał się pod wąsem w ciągu ostatnich dwóch tygodni? - rzekła Maryla nieco oschle, lecz tonem pobłażliwym. - Domyślałam się, że Mateusz ma zamiar popełnić jakieś głupstwo, bo muszę przyznać, że nie uważam, żeby Ani potrzebna była nowa sukienka. Uszyłam jej na jesieni trzy praktyczne, ciepłe i ładne sukienki, a wszystko, co ponadto, jest niepotrzebnym zbytkiem. Te rękawy wymagają tyle materiału, ile starczyłoby na całą bluzkę. Rozbudzasz w Ani próżność, Mateuszu, a ona i bez tego jest próżna jak paw. Wyobrażam sobie, jak teraz będzie zachwycona, bo wiem dobrze, że marzyła o tych bezsensownych rękawach już od czasu, gdy tu przybyła, chociaż ostatnio powstrzymywała się od wspomniania o tym. Obecnie bufy są modne jeszcze większe i śmieszniejsze niż dawniej, tak wielkie jak nadęte balony. W przyszłym roku modnisie będą prawdopodobnie zmuszone bokiem przechodzić przez drzwi.

Poranek wigilijny zastał świat w białej, cudnej szacie. Grudzień był bardzo łagodny i oczekiwano Gwiazdki zielonej. Tymczasem w nocy spadł śnieg, który wystarczył, by całkowicie przeobrazić Avonlea. Ania zachwyconym wzrokiem rozglądała się wokoło przez zamrożone okno swego pokoiku. Sosny w Lesie Duchów stały cudne niby białe pióropusze; brzozy i dzikie wiśnie osypane były perłowym szronem; na zaoranych polach bruzdy pokryły się śniegiem. Powietrze, czyste i chłodne, sprawiało rozkosz. Ania zbiegła ze schodów, śpiewając wesoło, aż głos jej rozlegał się po całym Zielonym Wzgórzu.

- Wesołych Świąt, Marylo! Wesołych Świąt, Mateuszu! Czyż to nie cudne Boże Narodzenie? Cieszę się tak bardzo, że Gwiazdka jest biała! Prawdziwe Boże Narodzenie musi być białe. Nie lubię zielonej Gwiazdki! Bo zwykle nie jest zielona... tylko brudna, szara i brunatna. Jakże mogli ludzi nazwać ją zieloną? Ależ... ależ... Mateuszu, czy to dla mnie? O Mateuszu!

Mateusz niezręcznie rozwijał z papieru sukienkę i błagalnym wzrokiem spoglądał na Marylę, która udając dezaprobatę, niby zajęta nalewaniem wody do imbryka, kącikami oczu z zainteresowaniem śledziła dziewczynkę.

Ania wzięła sukienkę i przypatrywała się jej w uroczystym milczeniu. Ach, jakaż śliczna! Najmilszy brązowy kolor, miękki materiał o jedwabnym połysku! Spódniczka o delikatnych zakładkach i falbankach, staniczek pracowicie przymarszczony, z koronkowym kołnierzykiem u szyi. A rękawy! Te były koroną dzieła! Długie, obcisłe mankiety, nad nimi



zaś dwie wspaniałe bufy, rozdzielone pośrodku wążutkami zakładeczkami i kokardami z brązowej, jedwabnej wstążki.

- To gwiazdka dla ciebie, Aniu - rzekł Mateusz nieśmiało. - Ależ, Aniu., czy ci się podoba?... Cóż to!... Cóż to!...

Bo oczy Ani nagle napełniły się łzami.

- Czy mi się podoba? O Mateuszu!

Ania przewiesiła sukienkę na krzesło i złożyła dłoń.

- Mateuszu, jest zachwycająca! O, nigdy nie potrafię dostatecznie za nią podziękować! Spójrzcie tylko na te rękawy! Ach, wydaje mi się, że to uroczy sen!

- Dobrze, dobrze, ale teraz zabierzmy się do śniadania - przerwała Maryla. - Muszę dodać, Aniu, iż nie uważam wcale, aby ta sukienka była ci istotnie potrzebna. Lecz wobec tego, że Mateusz ci ją podarował, szanujże ją. Tu jest wstążka, którą pani Linde ofiarowuje ci do warkoczy. Jest brązowego koloru, odpowiednia do sukienki. A teraz chodź i siadaj do stołu.

- Nie wiem, czy będę mogła jeść śniadanie - rzekła uszczęśliwiona Ania. - W tak niezwykłej chwili śniadanie wydaje się rzeczą zbyt prozaiczną. Wolę nasycić mój wzrok tą sukienką. Cieszę się tak bardzo, że bufiaste rękawy są jeszcze modne. Czuję, że nie potrafiłabym przeżyć tego, gdyby wyszły z mody, zanim doczekałabym się sukni z takimi rękawami. Nie umiałabym być zupełnie zadowolona. Pani Linde postąpiła bardzo ładnie, ofiarowując mi tę wstążkę. Czuję, że powinnam stać się w końcu dobrą! Bywają chwile, że z przykrością myślę o tym, iż nie jestem wzorowa, ale przecież ciągle postanawiam zostać nią w przyszłości. Nieraz trudno jest dotrzymać postanowień, bo zdarza się, że nawiedzają nas nieprzewidywane pokusy, ale teraz postaram się zrobić jeszcze większy wysiłek.

W chwili gdy „prozaiczne” śniadanie dobiegało końca, w dolince, na ośnieżonym moście, ukazała się drobna figurka Diany w czerwonym, luźnym płaszczku.

Ania wybiegła naprzeciw niej.

- Wesołej Gwiazdki, Dianu! Ach, jakież cudne Boże Narodzenie! Pokażę ci coś wspaniałego! Mateusz podarował mi prześliczną sukienkę z takimi rękawami! Nie umiałabym nawet wyobrazić sobie piękniejszej!

- I ja ci coś przynoszę! - zawołała Diana bez tchu. - Oto masz... to pudełko. Ciotka Józefina przysłała nam skrzynkę z wieloma drobiazgami... a to dla ciebie. Powinnam była przynieść ci je wczoraj, ale przesyłka nadeszła o zmierzchu, a nie lubię przechodzić Lasem Duchów po zapadnięciu nocy.

Ania otworzyła pudełko i zajrzała. Na wierzchu spoczywała kartka z napisem: „Dla Ani - Wesolej Gwiazdki”, a dalej para prześlicznych, skórkowych pantofelków o okrągłych noskach z atlasowymi kokardkami i błyszczącymi klamerkami.

- Ach, Diano! To zbyt wiele! Ja chyba śnię!

- A ja to nazywam zrzędzeniem losu! - rzekła Diana. - Nie będziesz zmuszona pożyczać pantofelków od Ruby; doskonale się składa, bo i tak byłyby za duże dla ciebie o całe dwa numery. Ładnie by to wyglądało: elf człapiący w zbyt obszernych pantoflach! Józia Pye triumfowałaby z pewnością! Czy wiesz, że Rob Wright wrócił wieczorem z przedostatniej próby razem z Gertie Pye? Słyszałaś kiedy coś podobnego?

Cała młodzież szkolna Avonlea żyła tego dnia w gorączkowym podnieceniu, gdyż należało ostatecznie udekorować wielką salę i urządzić ostatnią generalną próbę.

Wieczorem odbył się koncert. Powodzenie było niewątpliwe, sala przepełniona, a wszyscy występujący spisali się znakomicie. Jednakże gwiazdą wieczoru okazała się Ania, czemu nawet nie odważyła się zaprzeczyć zazdrosna Józia Pye.

- Ach, jakież to był rozkoszny wieczór! - westchnęła Ania, gdy po skończonym przedstawieniu wracała z Dianą do domu, zapatrzona w ciemne, gwiazdami usiane niebo.

- Zdaje się, że wyniki są jak najlepsze - rzekła praktycznie usposobiona Diana. - Jestem pewna, żeśmy zebrały więcej niż dziesięć dolarów. Wyobraź sobie, że pan Allan zamieści wzmiankę o tym w dzienniku w Charlottetown.

- Ach, Diano, czy w istocie nazwiska nasze będą wydrukowane? Dreszcz mnie przejmuje, gdy pomyślę o tym. Twoje solo, Diano, było bardzo wytworne. Kiedy wołano „bis”, czułam się dumniejsza niż ty sama. Pomyślałam sobie: „To moją serdeczną przyjaciółkę tak oklaskują!”

- A twoja deklamacja, Aniu! Zdawało się, że burza oklasków zerwie dach z domu. Ten smutny wiersz był wprost boski!

- Ach, Diano, ja byłam tak rozgorączkowana! Kiedy pan Allan wywołał moje nazwisko, nie wiem, w jaki sposób znalazłam się na estradzie. Czułam, jakby milion oczu przewiercał mnie na wskroś, i przez jedną straszną chwilę zdawało mi się, że głos zamarł mi w krtani. Potem pomyślałam o moich cudnych bufiastych rękawach i nabrałam odwagi. Wiedziałam, że muszę okazać się godną tych rękawów! Zaczęłam mówić i z ‘początku doznawałam wrażenia, że głos mój przybywa z dala. Czułam się zupełnie jak papuga. Szczęście, że tak sumiennie uczyłam się tego wiersza i powtarzałam go na strychu tyle razy, inaczej nic by z tego nie wyszło. Czy dobrze jęczałam?

- Owszem, jęczałaś wspaniale - zapewniła Diana.

- Gdy skończyłam, zauważyłam, że stara pani Sloane ociera łzy. Jaka to miła świadomość, że wzruszyłam czyjeś serce! Czyż to nie romantycznie uczestniczyć w koncercie? O, będzie to dla mnie pamiętna chwila!

- A czy dialogi chłopców nie były świetne? - spytała Diana. - Gilbert Blythe był wprost niezrównany. Wiesz, Aniu, uważam, że ty zbyt surowo postępujesz z Gilbertem. Czekażcie, aż skończę. Kiedyś opuszczała estradę go dialogu elfów, jedna z róż, wplecionych w twoje włosy, wypadła. Widziałam, jak Gilbert podniósł ją i schował do kieszonki na piersiach. Oto widzisz! Przy twoim romantycznym usposobieniu taki fakt powinien ci się niezmiernie podobać.

- Obojętne są mi czyny tej osoby - odpowiedziała Ania wyniośle. - Szkoda mi czasu na myślenie o niej.

Tego wieczoru Mateusz i Maryla, którzy po raz pierwszy od lat dwudziestu byli na koncercie, zasiedli w kuchni przed kominem, rozmawiając o doznanych wrażeniach. Ania udała się już na spoczynek.

- Wydaje mi się, że Ania wywiązała się ze swej roli znakomicie - rzekł Mateusz z dumą.

- Tak jest, w istocie - przyznała Maryla. - To zdolna dziewczyna, Mateuszu. I ślicznie wyglądała, rzeczywiście! Byłam przeciwna całemu temu koncertowi, lecz teraz przyznaję, że nie było w tym nic nieodpowiedniego. Naprawdę byłam dziś wieczorem dumna z Ani, choć nie mam zamiaru jej tego mówić.

- Ja również byłem dumny z Ani, lecz powiedziałem jej to, zanim poszła do swego pokoiku - rzekł Mateusz. - Będziemy musieli pomyśleć, co z nią dalej począć, Marylo. Przypuszczam, że szkoła w Avonlea niedługo przestanie jej wystarczać.

- Dość mamy czasu do myślenia o tym - odpowiedziała Maryla. - W marcu kończy dopiero trzynaście lat, chociaż dzisiejszego wieczoru zdawało mi się, że wyrosła na dużą dziewczynkę. Małgorzata uszyła jej sukienkę cokolwiek za długą i dlatego Ania wydaje się wyższa. W nauce wykazuje duże zdolności i sądzę, że postąpimy najlepiej, kierując ją w przyszłości do seminarium. Lecz nie należy jej o tym wspominać wcześniej niż za rok lub za dwa.

- Jak chcesz, ale nie uważam, by zastanawianie się nad tą sprawą mogło jej zaszkodzić - rzekł Mateusz. - Tego rodzaju plany dojrzewają lepiej, gdy się nad nimi więcej rozmyśla.

## XXVI. KLUB POWIEŚCIOWY

Młodzieży z Avonlea trudno było powrócić do jednostajności codziennego życia. Szczególnie Ani, po kilkotygodniowej atmosferze podniecenia, wszystko wydawało się monotonne, proste i nudne. Czy potrafi kiedykolwiek wrócić do spokojnego trybu życia, jaki wiodła przed owym koncertem? W pierwszej chwili, zwierzając się Dianie, uważała to za niemożliwe.

- Jestem pewna, Diano, że życie nigdy już nie będzie mogło być takie, jakie było dawniej - mówiła smutnie, jakby miała na myśli czasy sprzed lat pięćdziesięciu. - Być może, że kiedyś znowu przywyknę, lecz lękam się, iż koncerty odbierają ludziom ochotę do codziennego życia. Przypuszczam, iż to dlatego Maryla ich nie pochwała. Maryla jest niezmiernie rozumna. Jest o wiele lepiej być rozumnym i rozsądnym, jednakże ja nie pragnęłabym wcale być rozsądną, bo to takie nieromantyczne! Pani Linde wprawdzie 'mówi, że nie ma obawy, abym kiedykolwiek nią była, ale tego nie można przecież wcale przewidzieć. Teraz właśnie czuję, że mogę jeszcze wyrosnąć na rozumnego człowieka... chociaż być może, iż to tylko skutek zmęczenia. Ostatniej nocy wcale nie mogłam spać. Leżałam zupełnie rozbudzona i raz po raz przeżywałam znowu nasz koncert. Podobne sprawy mają i tę dobrą stronę, że z przyjemnością powracamy do nich myślą.

Powoli jednak młodzież z Avonlea powróciła do dawnych zajęć i spraw codziennych. Niewątpliwie jednak koncert pozostawił pewne ślady. Ruby Gillis i Emma White, które posprzeczały się z sobą o pierwsze miejsce na estradzie, nie siedziały już w jednej ławce i obiecująca trzyletnia przyjaźń została złamana. Józia Pye i Julia Bell nie mówiły ze sobą przez trzy miesiące, gdyż Józia Pye powiedziała Bessie Wright, że ukłon Julii Bell, gdy weszła na estradę, przypominał jej ruch łebka kurczęcia. Rozumie się, że Bessie powtórzyła to Julii. Żadne ze Sloane'ów nie chciało mieć nic wspólnego z Bellami, bo Bellowie oświadczyli, że Sloane'owie wykonywali zbyt wiele numerów programu. Natomiast Sloane'owie twierdzili, że Bellowie nie umieli wykonać odpowiednio nawet i tej niewielkiej części, jakiej się podjęli. Wreszcie Karolek Sloane sprzął Moody Spurgeon MacPhersona, bo ten powiedział, że Ania Shirley od czasu swego występu zadziera nosa. To wystarczyło, aby siostra Moody'ego Ella postanowiła „nie rozmawiać” z Anią przez resztę zimy. Z wyjątkiem tych oto drobnych utarczek praca w małym królestwie panny Stacy odbywała się ze zwykłą regularnością i spokojem.

Zima mijała. Była ona niezwykle łagodna, o tak małej ilości śniegu, że Ania z Dianą prawie codziennie udawały się do szkoły drogą przez Ścieżkę Brzóz.

W dzień urodzin Ani dziewczynki szły lekkim krokiem, pomimo bezustannej paplaniny patrząc i nasłuchując uważnie, gdyż panna Stacy zapowiedziała, że napiszą wypracowanie: „Przechadzka lasem w zimie”. Należało więc pilnie zwracać uwagę na wszystko.

- Pomyśl tylko, Diano, skończyłam dziś lat trzynaście - rzekła Ania z powagą. - Trudno mi uwierzyć, że jestem już prawie dorosła. Kiedy się dziś rano zbudziłam, wydawało mi się, że wszystko musi być jakieś zupełnie inne. Tyś skończyła trzynaście lat przed miesiącem, więc zdążyłaś się już przyzwyczaić do tego uczucia... Życie wydaje się o tyle bardziej ciekawe. Za dwa lata będę dorosła. Z przyjemnością myślę o tym, że wolno mi będzie wtedy używać górnolotnych wyrażań bez obawy, że mnie wyśmieją.

- Ruby Gillis powiada, że postara się o narzeczonego, gdy tylko skończy piętnaście lat - rzekła Diana.

- Ruby Gillis myśli tylko o narzeczonych - odpowiedziała Ania pogardliwie. - Już teraz jest uszczęśliwiona, gdy ktoś połączy jej imię ze swoim na murze w szkole. Taka z niej wariatka! Ale boję się, że to, co teraz mówię, jest zbyt okrutne. Pani Allan twierdzi, że nie powinniśmy nigdy pozwalać sobie na nielitościwe słowa. Tylko że one nieraz wymykają się nam prawie bezwiednie, prawda? Ja wprost nie potrafię mówić o Józji Pye, żeby nie powiedzieć czegoś okrutnego, toteż staram się nie wspominać jej wcale. Zauważyłaś to prawdopodobnie. Chcę stać się podobna do pani Allan, uważam ją za doskonałość. Pan Allan jest również tego zdania. Pani Linde mówi o nim, że on ubóstwia ziemię, po której stąpa jego żona, i nie uważa ona bynajmniej za słuszne, by pastor darzył taką miłością ziemską istotę. Ale, Diano, przecież i pastorowie są ludźmi i mają wady takie jak wszyscy. Ostatniej niedzieli po południu miałam z panią Allan bardzo zajmującą rozmowę o wadach ludzkich. Tak mało jest tematów właściwych na niedzielną rozmowę, a wady są właśnie odpowiednim tematem. Moją wadą na przykład jest zbyt bujna wyobraźnia i zapominanie o obowiązkach. Staram się gorliwie zwalczać te błędy i sądzę, że teraz, gdy skończyłam lat trzynaście, pójdzie mi to łatwiej.

- Za cztery lata będziemy mogły upinać włosy - rzekła znowu Diana. - Alicja Bell ma dopiero szesnaście lat, a dawno je upina, lecz mnie się to wydaje śmieszne. Ja poczekam, aż skończę siedemnaście.

- Gdybym miała garbaty nos Alicji - zawołała Ania stanowczo - nie odważyłabym się!... Ale ot, nie chcę kończyć tego, co zaczęłam mówić, bo byłaby to znowu uwaga

nielitościwa. Przy tym porównywałam jej nos z moim, a już to samo było zarozumiałością. Lękam się, że myślę zbyt wiele o moim nosie, od czasu gdy już dawno temu usłyszałam pochwałę, że jest wyjątkowo kształtny. Jest to dla mnie zresztą wielka pociecha. Ach, Diano, spójrz tylko - królik! Dobrze jest zapamiętać to sobie do naszego wypracowania. Mnie się wydaje, że las jest równie piękny zimą jak i latem. Jest taki biały i cichy, jakby spał i śnił cudnie!

- Wypracowania o lesie nie obawiam się tak bardzo - westchnęła Diana. - Potrafię opisać las, ale za to wypracowanie poniedziałkowe będzie straszne. Co za pomysł panny Stacy, byśmy pisały opowiadania z własnej głowy.

- Cóż znowu, to nic trudnego! - przekonywała Ania.

- Łatwe jest dla ciebie, bo posiadasz wyobraźnię - rzekła Diana - ale cóż byś zrobiła, gdybyś jej nie miała? Przypuszczam, że twoje wypracowanie jest już gotowe.

Ania skinęła głową, starając się o skromną minę, ale jej się to nie udało.

- Napisałam je w zeszły poniedziałek wieczorem. Nosi tytuł „Zazdrosny rywal” albo „Śmierć ich nie rozłączyła”. Odczytałam je Maryli, która powiedziała, że jest głupie i nienaturalne, potem Mateuszowi, a on uznał, iż jest bardzo piękne. Właśnie jego rodzaj krytyki lubię. Jest to smutna, słodka opowieść. Pisząc ją, płakałam jak dziecko. Bohaterkami są dwie piękne i młode dziewczyny, Kordelia Montmorency i Geraldina Seymour, mieszkające w tym samym miasteczku i ubóstwiający się wzajemnie. Kordelia była to słuszna brunetka o czole opasanym koroną włosów, ciemnych jak noc, i o czarnych, płomiennych oczach. Geraldina była to królewska blondynka z włosami jasnymi jak złota przędza i aksamitnymi, purpurowymi oczami.

- Nie widziałam nigdy osoby o purpurowych oczach - rzekła Diana z powątpiewaniem.

- Ja również nie widziałam. Ale wyobraziłam ją sobie. Pragnęłam wymyślić coś niezwykłego. Geraldina miała prócz tego alabastrowe czoło. Wreszcie dowiedziałam się, co to znaczy alabastrowe czoło. Z wiekiem nabywa się wiadomości. O wiele więcej umiemy mając lat trzynaście, niż kiedyś mieli dwanaście.

- No i cóż się stało z Kordelia i Geraldina? - spytała Diana, którą losy tych dam zaczęły zajmować.

- Wzrastały piękne, jedna w pobliżu drugiej, aż skończyły lat szesnaście. Wtedy to do ich rodzinnego miasteczka przybył Bertram de Vere i zakochał się w czarującej Geraldinie. Ocalił jej życie, kiedy pewnego razu konie u jej powozu poniosły. Zemdlona, padła w jego objęcia, a on na rękach niósł ją do domu całe trzy mile, gdyż, jak się łatwo domyślisz, powóz

został strzaskany w kawałki. Było mi bardzo trudno wymyślić jakiś sposób jego oświadczeń, gdyż nie mam żadnego doświadczenia w tych sprawach. Pytałam Ruby Gillis, czy wie coś o tym, jak mężczyźni starają się o narzeczone. Uważałam, że się zna na tym, bo ma tyle sióstr zamężnych. Ruby opowiedziała mi, że raz ukryła się w spiżarni, aby usłyszeć, jak Malcolm Andrews będzie się oświadczał jej siostrze Zuzi. Malcolm zwierzył się Zuzi, że ojciec jego podarował mu folwark na własność, a potem spytał: „I cóż ty, moje ukochanie, czybyśmy nie mogli oboje tam zamieszkać?” Zuzia zaś na to: „Tak... nie... nie wiem doprawdy... zobaczymy...” - i od razu byli zaręczeni. Jednakże taki rodzaj oświadczeń nie wydał mi się wcale romantyczny, więc postanowiłam wyobrazić sobie co innego. Ułożyłam to bardzo kwieście i poetycznie: Bertram padł na kolana, choć Ruby Gillis mówi, że dziś się tego nie robi. Geraldina przyjęła go, a odpowiedź jej zajęła mi całą stronicę. Muszę ci wyznać, że miałam dużo roboty z ułożeniem tej odpowiedzi. Pisałam i przerabiałam ją pięć razy, lecz obecnie uważam, że jest to mistrzowska scena. Bertram ofiarował swej przyszłej pierścień z brylantem i naszyjnik z rubinów i obiecał jej podróż poślubną po Europie, gdyż był szalenie bogaty. Lecz niestety, cienie zaczęły wkrótce zalegać ścieżkę ich życia. Kordelia tajemnie kochała Bertrama i kiedy Geraldina opowiedziała jej o swych zaręczynach, wpadła we wściekłość, tym większą, że jednocześnie ujrzała pierścień i naszyjnik. Przywiązanie jej do Geraldiny przeszło w gorzką nienawiść i przysięgła, że nie zezwoli nigdy na jej związek z Bertramem. Ale pozornie udawała nadal przyjaźń dla Geraldiny. Pewnego wieczora, kiedy obie przyjaciółki stały na wąskiej kładce nad rwącym, głębokim potokiem, Kordelia, przypuszczając, że są same, pchnęła Geraldinę do wody, śmiejąc się szyderczo: „Cha! Cha! Cha!” Tymczasem Bertram, znajdujący się w pobliżu, spostrzegł to i rzucił się w fale, wołając: „Uratuję cię, moja niezrównana Geraldino!” Niestety jednak zapomniał, że nie umiał pływać, i utonęli oboje, trzymając się mocno w objęciach. Wkrótce potem fale wyrzuciły ich ciała na brzeg. Zostali pochowani we wspólnym grobie, a pogrzeb ich był wyjątkowo wspaniały, Diano. Uważam, iż daleko romantyczniej jest zakończyć pogrzebem niż weselem. Co się zaś tyczy Kordelii, wyrzuty sumienia przyprawiły ją o utratę zmysłów i została umieszczona w domu dla obłąkanych. Sądzę, że to było poetyczne zadośćuczynienie za jej zbrodnię.

- Prześliznę! - westchnęła Diana należąca do szkoły krytyki Mateusza. - Nie pojmuję, jak ty, Aniu, potrafisz wymyślić takie wzruszające sceny. Pragnęłabym bardzo mieć tak bogatą wyobraźnię jak twoja.

- Nic łatwiejszego, jeśli zechcesz ją tylko pielęgnować - zapewniała Ania pocieszającym tonem. - Powzięłam właśnie następujący plan. Słuchaj, Diano. Ty i ja

założymy nasz własny klub powieściowy i będziemy pisywały powieści dla wprawy. Dopóki sama nie potrafisz, będę ci pomagała. Należy urabiać wyobraźnię, jak mawia panna Stacy. Tylko trzeba to czynić rozumnie. Mówiłam jej o Lesie Duchów, ale uważała, że w tym wypadku byłśmy na złej drodze.

W taki oto sposób powstał klub powieściowy. Początkowo ograniczał się jedynie do dwóch członkiń, lecz wkrótce rozwinął się przyjąwszy na swe łono Jankę Andrews i Ruby Gillis oraz jedną czy dwie spośród koleżanek, które także uważały, że ich wyobraźnia wymaga pielęgnacji. Chłopców nie dopuszczono pomimo twierdzenia Ruby Gillis, że obecność ich ożywiłaby klub. Każdy członek klubu winien był napisać jedną powieść na tydzień.

- Jest to niezmiernie zajmujące - opowiadała Ania Maryli. - Każda z dziewcząt odczytuje swój utwór głośno, a następnie rozprawiamy o nim. Mamy zamiar je zachować, a w przyszłości odczytywać naszym dzieciom. Pisujemy pod pseudonimami. Mój brzmi Rosamonda Montmorency. Wszystkie dziewczęta są bardzo zdolne. Ruby Gillis jest wyjątkowo sentymentalna. Wprowadza zbyt wiele miłości do swych opowiadań, a zbyt wiele - to gorzej niż zbyt mało. Janka znów pomija miłość, bo uważa, że to brzmi głupio przy głośnym czytaniu. Powieści jej są bardzo rozsądne. Diana wprowadza zbyt wiele zbrodni do swych opowiadań. Mówi, że najczęściej nie wie, co począć z różnymi osobami, więc zabija je, by się ich pozbyć. Najczęściej ja poddaję tematy do tych powieści, lecz dla mnie to nic trudnego, bo mam zawsze miliony pomysłów.

- Uważam, że taka pisanina to nowe wariactwo - rzekła Maryla pogardliwie. - Nabijacie sobie głowy głupstwami i marnujecie czas potrzebny na odrabianie lekcji. Czytanie powieścideł jest już złe, a cóż dopiero pisanie ich.

- Ależ my się staramy, aby każdy utwór zawierał jakiś morał, Marylo - broniła się Ania. - Ja tego nawet wymagam. Wszyscy szlachetni bywają wynagradzani, wszyscy zaś źli - odpowiednio karani. Jestem pewna, że to musi wywrzeć dobroczynny wpływ na czytelnika. Morał to najważniejsze! Pan Allan tak twierdzi. Odczytałam jedną z moich powieści pastorostwu i oboje przyznali, że morał był bardzo dobry. Tylko podczas wzruszających sytuacji śmieli się serdecznie. Co prawda ja wolę, jeżeli słuchacze płaczą. Janka i Ruby płaczą najczęściej, gdy odczytuję wzruszające sceny. Diana napisała o naszym klubie do ciotki Józefiny, a ta w odpowiedzi prosiła, byśmy jej przysłały niektóre nasze powieści. Przepisałyśmy więc cztery najlepsze i posłałyśmy jej. Panna Barry odpisała nam, że nigdy w życiu nie czytała nic równie zabawnego. Zdziwiło nas to niezmiernie, bo wszystkie te opowiadania były bardzo wzruszające i prawie wszyscy w nich umierali. Lecz jestem



zadowolona, że podobały się pannie Barry. Okazuje się, że nasz klub przyniósł jakąś korzyść ludzkości. A pani Allan powiada, że taki winien być nasz cel w każdej sprawie. Ja w istocie staram się o to, lecz zapominani, ilekroć jestem rozbawiona. Jednakże mam nadzieję, że kiedy dorosnę, będę trochę podobna do pani Allan. Czy Maryla uważa, że to jest możliwe?

- Nie powiem, żeby się na to bardzo zanosilo - brzmiała nie dodająca otuchy odpowiedź Maryli. - Jestem pewna, że pani Allan nie była nigdy tak roztrzepana ani tak zapominalska jak ty.

- Nie, ale też nie była zawsze taka dobra jak obecnie - odrzekła z powagą Ania. - Sama mi to wyznała... to znaczy opowiedziała mi, że będąc dzieckiem była wielką psotnicą i często sama ściągala na siebie przykrości. Dodało mi to wiele otuchy. Czy to bardzo brzydko, Marylo, że nabieram otuchy, kiedy słyszę od innych, że oni także bywali źli i psotni? Pani Linde tak twierdzi. Pani Linde mówi, że ona zawsze doznaje przykrości, ilekroć słyszy, że ktoś był niedobry, chociażby w młodym wieku, w dzieciństwie nawet. Mówiła mi, że kiedyś słyszała, jak pewien pastor opowiadał, iż będąc chłopcem ściagnął ciastko z poziomkami ze spiżarni swej ciotki. Od tego czasu pani Linde nie potrafiła nigdy zdobyć się na szacunek dla tego pastora. Co do mnie, zapatrywałabym się inaczej na te sprawy. Uważam, że postąpił szlachetnie, przyznając się do błędu, i przypuszczam, iż małym chłopcom, którzy postępują źle i żalują tego, dużo otuchy powinna dodać myśl, że i oni także, pomimo wszystko, mogą wyrosnąć na rozumnych pastorów. Ja tak uważam, Marylo.

- Ja zaś uważam, Aniu - rzekła Maryla - że już dawno powinnaś była skończyć zmywanie naczyń. Z powodu swej paplaniny zużyłaś na tę robotę pół godziny więcej, niż należało. Naucz się przede wszystkim kończyć robotę, a potem rozprawiać.

## XXVII. PRÓŻNOŚĆ UKARANA

Pewnego wieczora w końcu kwietnia Maryla wracała z posiedzenia związku. Świadomość, że zima wreszcie minęła, zbudziła w niej uczucie zachwyty, jakie wiosna zwykła budzić zarówno w duszach ludzi starych i smutnych, jak i młodych i wesołych. Maryla nie miała zwyczaju analizowania swych myśli i uczuć. Wyobrażała sobie prawdopodobnie, iż myśli jedynie o związku, kasie misjonarzy i nowym dywanie do zakrystii. Tymczasem poza tymi rozmyślaniami ukrywała się rozkoszna świadomość, że wokół rozpościerają się rdzawe pola, rozpalające się w bladej purpurze mgieł zachodzącego słońca; że wysokie, ostro zakończone cienie sosen padają na łąki po drugiej stronie stawu, że nieruchome klony o ciemnoczerwonych, nabrzmiewających pąkach stoją wokół zwierciadlanej tafli jeziora leśnego i cały świat budzi się, a pod szarą powłoką ziemi pulsuje ukryte życie. Wiosna nadchodziła, a poważny, stateczny krok Maryli stawał się coraz lżejszy i szybszy pod wpływem głębokiej, wiośnianej radości.

Wzrok starej panny spoczął z miłością na Zielonym Wzgórzu przezierającym poprzez młode liście drzew i odbijającym w swych oknach światło słoneczne w licznych migotliwych lśnieniach. Przyspieszając kroku po wilgotnej alei, Maryla dumiała, jak miła jest świadomość, że powraca do domu, do wesołego trzaskającego na kominku ognia, do stołu ładnie nakrytego do herbaty, i porównywała to uczucie z wrażeniem chłodnego dostatku, jakiego doznawała na tym samym Zielonym Wzgórzu wracając z posiedzeń związku dawnymi laty przed przybyciem Ani.

Toteż nic dziwnego, że gdy weszła do kuchni i nie zastała tam ani śladu ognia ani też swojej wychowanki, uczuła się słusznie zirytowana i rozczarowana. Poleciała Ani, aby przygotowała herbatę punktualnie na piątą, a tymczasem sama będzie zmuszona szybko przebrać się i przygotować wieczerzę, zanim Mateusz wróci z pola od orki.

- Rozmówię się z panną Anną, gdy się zjawi - mówiła Maryla gniewnie, łupiąc siekierką drzewo na rozpałkę z większą energią, niż należało. - Ot, i Mateusz już powrócił i cierpliwie czeka w kącie. A ona biega gdzieś pewno z Dianą, pisze powieści, deklamuje dialogi lub inne bzdurstwa i ani myśli o godzinie i o swych obowiązkach. Trzeba będzie raz na zawsze skończyć z tym wszystkim. Mało mnie obchodzi twierdzenie pani Allan, że Ania jest najzdolniejszą i najbardziej uroczą z dziewcząt, jakie zna. Niechaj sobie będzie uroczą i zdolna, lecz w głowie jej roi się od głupstw i nigdy nie można z góry przewidzieć, na jaki

szalony pomysł wpadnie. Ledwie zapomni o jednym wybryku, już drugi jest gotów. Ale masz tobie! Toć w tej chwili powtarzam słowa Małgorzaty Linde, która rozmawiając ze mną na dzisiejszym zebraniu, w ten sposób krytykowała Anię. Rada byłam, że pani Allan broniła naszej małej, gdyż jestem pewna, iż w przeciwnym razie ja sama byłabym zbyt ostro odpowiedziała Małgorzacie bez względu na obecność innych. Ania ma wiele wad i daleka jestem od tego, by temu przeczyć. Przecież ja ją wychowuję, nie zaś Małgorzata Linde, która potrafiłaby znaleźć wady w samym Archaniele Gabrielu, gdyby mieszkał on w Avonlea... Lecz, bądź co bądź, skoro poleciłam Ani zająć się przygotowaniem wieczerzy, nie powinna była wyjść po południu z domu. Wprawdzie muszę przyznać, że pomimo wszystkich jej wad nigdy dotąd nie bywała nieposłuszna lub nieobowiązkowa, i smuci mnie bardzo, że się to dziś zdarzyło.

- Zapewne masz rację - rzekł Mateusz, który, cierpliwy i rozsądny, lecz przede wszystkim głodny, uważał za najodpowiedniejsze pozwolić, by Maryła wygderła się do woli. Doświadczenie nauczyło go, że siostra krząta się o wiele szybciej, jeżeli nie przeszkadzać jej w podobnej chwili niewczesną argumentacją. - Czy aby nie sądzisz jej zbyt pośpiesznie, Marylo? - rzekł powoli. - Nie nazywaj jej nieobowiązkową, jeżeli nie jesteś pewna jej winy. Być może, iż wszystko da się jeszcze wytłumaczyć... Ania na pewno potrafi wyjaśnić tę sprawę.

- Ani nie ma w domu, pomimo że kazałam jej pozostać - odrzekła ostro Maryła. - Sądzę, że trudno jej będzie się z tego wytłumaczyć przede mną. Z góry wiedziałam, iż ty będziesz jej bronił, Mateuszu. Szczęściem, ja ją wychowuję, nie ty.

Noc już zapadła, gdy wieczerza była gotowa, ale nie widać było małej winowajczynie, która powinna była już pędzić zadyszana i skruszona przez kładkę i wzdłuż Alei Zakochanych, ze świadomością nie spełnionych obowiązków. Maryła z ponurą miną zmyła i pochowała naczynia stołowe. Następnie, potrzebując świecy do piwnicy, udała się na facjatkę, aby wziąć lichtarz stojący zazwyczaj na stoliku Ani. Zapaliwszy świecę odwróciła się i nagle zauważyła dziewczynkę leżącą na łóżku, z głową ukrytą w poduszkach.

- A to co znowu! - zawołała zdumiona. - Czyś ty spała, Aniu?

- Nie - brzmiała przytłumiona odpowiedź.

- Czyś więc chora? - spytała Maryła zaniepokojona, zbliżając się do łóżka.

Ania głębiej jeszcze zaryła się w poduszki, jakby pragnęła ukryć się na zawsze przed oczami śmiertelników.

- Nie. Ale, kochana Marylo, proszę odejść i nie patrzeć na mnie. Jestem pogrążona w otchłani rozpaczy i nic mnie nie obchodzi, kto jest prymusem w klasie ani kto pisze najlepsze

wypracowania, ani też kto będzie śpiewać w chórze szkoły niedzielnej. Podobne drobiazgi nie mają obecnie dla mnie najmniejszego znaczenia, bo nie sądzę, bym kiedykolwiek mogła się pokazać ludziom. Kariera moja skończona. Proszę nie patrzeć na mnie, niech Maryla odejdzie!

- Słyszane rzeczy! - wykrzyknęła Maryla, coraz bardziej zdziwiona. - Cóż to się dzieje, Aniu? Cóż ty uczyniła? Wstań natychmiast i odpowiedz. Natychmiast, powtarzam! I mów, co się stało?

Ania zsunęła się z łóżka zrozpaczona, lecz posłuszna.

- Proszę spojrzeć na moje włosy, Marylo - szepnęła.

Maryla uniosła świecę i badawczo rzuciła okiem na włosy Ani, ciężką masą opadające na jej ramiona. W istocie miały one dziwny wygląd.

- Cóż ty zrobiła ze swymi włosami, Aniu? - spytała. - Przecież one są zielone!

Zielone dałyby się nazwać, gdyby to był jakiś możliwy kolor... ten dziwaczny, brzydki, brązowozielony odcień, tu i ówdzie przetykany pasmami naturalnej rudej barwy, potęgującej jeszcze bardziej upiorne wrażenie. Nigdy w życiu Maryla nie widziała czegoś tak szkaradnego jak włosy Ani w owej chwili.

- Tak, są zielone - jęknęła Ania. - Myślałam, że nie ma nic równie brzydkiego jak rude włosy. Lecz teraz widzę, że dziesięć razy gorzej jest mieć zielone. Ach, Maryla nie może sobie wyobrazić, jak bezgranicznie jestem nieszczęśliwa!

- Nie pojmuję, co się stało, lecz mam nadzieję, że się dowiem - rzekła Maryla. - Pójdź ze mną do kuchni, tutaj jest chłodno, i opowiedz, co ty znów zrobiła. Już od pewnego czasu oczekiwałam jakiegoś niezwykłego wydarzenia. Dwa miesiące minęły od ostatniej awantury, więc byłam pewna, że ten spokój nie może trwać dłużej. No i co takiego zrobiłaś ze swymi włosami?

- Ufarbowałam je.

- Ufarbowałaś? Ufarbowałaś włosy? Aniu, czyś ty nie wiedziała, że tego nie można robić?

- Owszem, wiedziałam, że to niewłaściwe - przyznała Ania. - Ale pomyślałam sobie, iż warto popełnić coś trochę niewłaściwego, aby się wreszcie pozbyć czerwonych włosów. Obliczyłam wszystko, Marylo, i postanowiłam być dodatkowo grzeczną pod innymi względami, aby w ten sposób wyrównać błąd.

- Co prawda - rzekła Maryla ironicznie - gdybym się zdecydowała ufarbować włosy, ufarbowałabym je przynajmniej na jakiś ludzki kolor, a nie na zielono.

- Ależ ja nie miałam zupełnie zamiaru ufarbować ich na zielono - broniła się Ania ze łzami w oczach. - Jeśli postąpiłam niesłusznie, pragnęłam przynajmniej coś przez to osiągnąć. On mnie zapewnił, że włosy moje uzyskają wspaniałą kruczą barwę... twierdził tak z największą stanowczością. Jakże mogłam wątpić o prawdzie jego słów, Marylo? Wiem dobrze, jak to boli, gdy nie ufają naszym słowom. I pani Allan powiada, że nie należy nigdy wątpić o czyjejs uczciwości, jeśli się nie ma na to dowodów. Teraz mam już dowód... zielone włosy to dowód wystarczający dla każdego. Przedtem nie miałam tego dowodu i oczywiście wierzyłam.

- Komu? Kto ci o tym powiedział?

- Handlarz wędrowny, który tu był po południu. Kupiłam tę farbę od niego.

- Ależ, Aniu, ile razy prosiłam cię, byś nigdy nie pozwoliła żadnemu z tych Włochów wejść do domu! Nie chcę, abyś zachęcała ich do kręcenia się tutaj.

- O, ja go też wcale nie wpuściłam do mieszkania. Pamiętałam o zakazie Maryli i wyszłam na dwór, starannie zamknąwszy drzwi. Wszystkie drobiazgi oglądałam na progu. Zresztą nie był to wcale Włoch... lecz niemiecki Żyd. Miał olbrzymie pudło pełne bardzo ciekawych przedmiotów i opowiadał mi, że ciężko pracuje, by zarobić na sprowadzenie swej żony i dzieci z Niemiec. Mówił o tym z takim przejęciem, że wzruszył moje serce. Pragnęłam kupić coś, aby mu pomóc w tak ważnej sprawie. Nagle spostrzegłam ową buteleczkę z farbą do włosów. Handlarz solennie zapewnił mnie, że farba ta zabarwi każde włosy na kruczoczarny kolor, który się nigdy nie zmyje. W mgnieniu oka ujrzałam się w obramowaniu kruczoczarnych włosów i pokusa stała się nieprzewyciężona... Tylko, niestety, cena buteleczki była siedemdziesiąt pięć centów, ja zaś z moich pieniędzy za kurczątką miałam już tylko pięćdziesiąt. Zdaje mi się, że handlarz miał bardzo dobre serce, gdyż rzekł, że dla mnie sprzeda ją za pięćdziesiąt, co znaczy tyle, jakby mi ją darował. Kupiłam więc i gdy odszedł, pobiegłam na górę i natarłam włosy starą szczotką, według przepisu. Zużyłam całą buteleczkę, lecz kiedy ujrzałam straszny kolor, jakiego nabrały moje włosy, żałowałam szczerze, iż tak niewłaściwie postąpiłam. I martwiłam się od tej chwili bez przerwy.

- Mam nadzieję, że ci to posłuży za przestrożę - rzekła Maryla surowo - i wskaże, dokąd cię może zawieść próżność. Bóg raczy wiedzieć, co z tobą począć. Przypuszczam, że przede wszystkim należy włosy bardzo starannie umyć; zobaczymy, czy to coś pomoże.

Stosownie do tej rady, Ania umyła włosy, szorując je bardzo silnie mydłem i wodą. Lecz daremne były wszelkie wysiłki: zielona farba nie dawała się zupełnie zmyć, tak samo jak naturalny rudny kolor włosów. Jakkolwiek uczciwość wędrownego handlarza mogła podlegać kwestii, pod jednym względem powiedział prawdę: farba była nie do zmycia.

- Co ja pocznę, Marylo? - pytała Ania zalewając się łzami. - Ja tego nie przeżyję! Ludzie już chyba zapomnieli o moich poprzednich pomyłkach, jak ciasto z kroplami walerianowymi, spojenie winem Diany i gwałtowne uniesienie się wobec pani Linde. Lecz tego nie zapomną mi nigdy. Powiedzą, że nie jestem godna szacunku. Ach, jakże Józia Pye będzie się śmiała! Marylo, nie mogłabym spojrzeć w oczy Józi. Jestem najniezwyklejszą dziewczynką na Wyspie Księcia Edwarda.

Rozpacz Ani trwała cały tydzień. Przez ten czas nie wychodziła wcale z domu i codziennie szorowała włosy. Diana była jedyną osobą wtajemniczoną w tę nieszczęśliwą historię. Rozumie się, że solennie przyrzekła nie mówić o tym nikomu i dotrzymała obietnicy.

Przy końcu tygodnia Maryla rzekła stanowczo:

- Nie ma rady, Aniu. Jest to trwała farba nie do wywabienia. Włosy trzeba ściąć. Nic nie pomoże! Nie zechcesz chyba wyjść tak na ulicę!

Usteczka Ani zadrgały, lecz zrozumiała, że niestety Maryla ma słuszość. Z westchnieniem pełnym rozpaczyny udała się po nożyczki.

- Proszę, Marylo, utnijmy je natychmiast... i będzie skończone. Ach, czuję, że mam zranione serce... To takie nieromantyczne zmartwienie. Bohaterki powieści tracą włosy z powodu ciężkiej choroby lub sprzedają je, aby pieniądze poświęcić na jakiś dobry uczynek. Jestem pewna, że w podobnym wypadku nie bolałabym nad ich utratą ani w połowie tak jak w tej chwili. Nie ma żadnej pociechy dla kogoś, kto ścina włosy dlatego, że je ufarbował na wstrętny kolor, prawda? Będę też płakała bezustannie podczas tej okropnej operacji, jeśli to Maryli nie przeszkadza. To takie tragiczne przeżycie!

I w istocie Ania płakała rozpaczliwie, lecz później, gdy wróciła na górę do swego pokoiku i przejrzała się w lusterku, popadła w niemą rozpacz. Maryla bardzo skrupulatnie wypełniła swe zadanie, gdyż konieczne okazało się ścięcie włosów aż do skóry. Rezultat wypadł nie bardzo do twarzy... jeśli użyjemy najłagodniejszego wyrażenia. Ania szybko odwróciła lusterko do ściany.

- Nigdy już, nigdy nie zajrzę do lusterka, zanim mi włosy nie odrosną! - wybuchnęła namiętnie.

Lecz już po chwili odwróciła lusterko od ściany.

- Owszem, będę się przeglądała. Niechaj to się stanie moją pokutą za próżność. Ilekroć wejdę do mego pokoiku, przejrzę się, by zobaczyć, jaka jestem brzydka. No i nie będę próbowała wyobrazić sobie, że jest inaczej. Nigdy nie sądziłam, że jestem próżna z powodu moich włosów, teraz jednak przekonałam się, że jednak tak, bo chociaż rude, były długie,

niezmiernie gęste i wijące się. Przypuszczam, że w najbliższej przyszłości wydarzy się jakiś wypadek i mojemu nosowi.

Ogolona głowa Ani wywołała duże zdumienie w szkole, lecz ku pewnemu uspokojeniu dziewczynki nikt się nie domyślił istotnej przyczyny tego faktu. Pozostała ona tajemnicą nawet dla Józki Pye, która nie omieszkała jednak oświadczyć Ani, że wygląda jak prawdziwe straszdyło na wróble.

- Nic nie odrzekłam, kiedy mi to Józka powiedziała - zwierzyła się tegoż wieczoru Ania Maryli, która po silnej migrenie leżała na kanapie. - Uważałam to za część kary, jaką powinnam cierpliwie znosić. Ciężko mi było usłyszeć, że jestem podobna do straszdyła na wróble, i już, już miałam coś odrzec. Ale nie uczyniłam tego. Cisnęłam Józce tylko pogardliwe spojrzenie, a potem wybaczyłam. Człowiek czuje się szlachetniejszy, gdy przebacza innym, nieprawdaż? Mam zamiar w przyszłości wyteńczyć całą moją energię w celu uszlachetnienia się i nigdy nie usiłować stać się piękną. Na pewno lepiej jest być dobrą! Wiem o tym! Lecz czasem jakże trudno jest uwierzyć w coś, chociaż się to wie. Z pewnością będę się starała stać się dobrą, tak jak Maryla, pani Allan, panna Stacy, i wyrosnąć wam na pociechę. Diana powiada, że kiedy moje włosy zaczną odrastać, powinnam opasać głowę czarną aksamitką z kokardką- z boku. Jest pewna, że będzie mi bardzo do twarzy. Ale czy ja nie mówię zbyt wiele, Marylo? Może to źle wpływa na ból głowy?

- Lepiej mi jest teraz. Po południu strasznie mi głowa dokuczała. Te migreny stają się coraz cięższe. Będę musiała poradzić się lekarza. Co się tyczy twojej paplaniny, to już mi ona nie przeszkadza. Przywykłam do niej, Aniu.

Znaczyło to, że Maryla lubi jej się przysłuchiwać.

## XXVIII.

### NIEFORTUNNE PRZEDSTAWIENIE

Rozumie się, że ty, Aniu, będziesz Elaine - rzekła Diana. - Ja nigdy bym nie miała odwagi, by zdać się na łaskę prądu. - Ani ja - potwierdziła wstrząsając się Ruby Gillis. - Rozumiem, iż przyjemnie jest, siedząc we dwie lub we trzy w łodzi, kołysać się na falach. Tak, to jest bardzo przyjemne! Lecz leżeć na dnie i udawać umarłą... nie potrafiłabym nigdy! Naprawdę umarłabym ze strachu.

- Niewątpliwie byłoby to romantyczne! - dodała Janka Andrews. - Ale jestem pewna, iż nie umiałabym leżeć bez ruchu. Co chwila zerkałabym wokoło, aby się przekonać, gdzie jestem i czy prąd nie uniósł mnie zbyt daleko. A rozumiesz przecież, Aniu, że popsułoby to zupełnie wrażenie.

- Ależ śmiesznie byłoby wybrać rudowłosą Elaine - zaproponowała Ania. - Ja nie lękam się bynajmniej płynąć z prądem i pragnęłabym gorąco odegrać rolę Elaine. Niemniej jednak uważam, iż byłoby to śmieszne. Ruby powinna być Elaine, gdyż jest taka biała i ma przepyszne, długie, złote włosy. „Jasne włosy Elaine spływały w dół”, znacie ten wiersz! Przecież Elaine była „jak lilia biała”, więc ruda osoba nie może grać jej roli.

- -Ty masz cerę równie jasną jak Ruby - rzekła Diana poważnie - a włosy twoje znacznie ściemniały, odkąd je obcięłaś.

- Czy naprawdę tak uważasz?! - zawołała Ania rumieniąc się z radości. - I mnie samej niejednokrotnie tak się zdawało... lecz nigdy nie odważyłam się spytać o to kogokolwiek. Bałam się usłyszeć, że to nieprawda.-Jak ci się zdaje, Dianko, czy można by je nazwać kasztanowatymi?

- Owszem, i wydają mi się naprawdę piękne - rzekła Diana, z podziwem przyglądając się krótkim, jedwabistym lokom okrywającym głowę Ani i opasany według jej rady czarną aksamitką z kokardką z boku.

Dziewczęta stały na brzegu stawu, poniżej Sosnowego Wzgórza, gdzie wrzynał się niewielki cypel wysadzony brzoźami. Na jego czubku zbudowany był drewniany pomost wysunięty w wodę dla wygody rybaków i polujących na kaczki. Ruby i Janka przyszły dziś na całe czerwcowe popołudnie do Diany i Ania nadbiegła, aby z nimi pogawędzić.

Ania i Diana spędzały tego lata prawie wszystkie wolne chwile nad stawem lub w jego pobliżu. Zacisze Słowika należało już do przeszłości, gdyż pan Bell kazał na wiosnę bezlitośnie wyciąć drzewka tego gajku. Ania płakała siedząc pomiędzy ściętymi pniakami,



lubując się przy tym trochę romantyczną stroną sytuacji. Pocięszyła się jednak wkrótce, bo pomimo wszystko musiała przyznać, wraz z Dianą, że jako podlotki w czternastej wiosnie, były już zbyt dorosłe na takie dziecinne zabawy, jak urządzenie sobie domku. Zresztą o wiele bardziej zajmujący sport znalazł się wkrótce nad stawem: z mostka znakomicie można było łowić pstrągi. Dziewczynki wkrótce nauczyły się samodzielnie wiosłować pływając w płytkiej łodzi zakupionej przez pana Barry do polowania na kaczki.

Ania wpadła na pomysł inscenizowania „Elaine”. Poprzedniej zimy przestudiowały w szkole ten poemat Tennysona. Przeanalizowały go, podzieliły i rozebrały na części, aż dziw brał, że mogły znaleźć w nim jeszcze jakiś urok. W każdym razie Elaine, owo urocze, jak lilia białe dziewczę, Lancelot, Ginewra, król Artur, wszyscy przybrali w ich oczach cielesną postać, a Ania tajemnie martwiła się, że nie przyszła na świat w Camelot.

- Owe czasy - mówiła - były o wiele bardziej romantyczne niż obecne!

Pomysł Ani przyjęto z entuzjazmem. Dziewczęta doszły do wniosku, że jeśli czołno zostanie odepchnięte od przystani, to prąd uniesie je aż pod mostek i potem doprowadzi do drugiego cypla, w miejscu gdzie staw zakręcał. Niejednokrotnie już łódź niosła je w ten sposób, który teraz wydał im się świetny dla odegrania „Elaine”.

- A więc dobrze... będę Elaine - ustąpiła Ania niechętnie. Pragnęła gorąco odegrać rolę bohaterki, jednakże jej poczucie artystyczne opierało się temu - uważała, że nie posiada warunków zewnętrznych.

- Ty, Ruby, będziesz królem Arturem, Janka będzie Ginewrą, Diana zaś Lancelotem. Ale przedtem odegracie role ojca i braci.

Starego, niemego sługi nie możemy wprowadzić, gdyż na dnie łódki, gdy ja się położę, nie będzie miejsca dla dwóch osób. Dno łódki wyłożymy czarnym aksamitem. Stary, czarny szal twojej matki, Diano, będzie najodpowiedniejszy do tego celu.

Otrzymawszy żądany szal, Ania rozpostarła go w łodzi, a następnie położyła się na nim wyciągnięta, przymknęła powieki i złożyła ręce na piersiach.

- Ach, wygląda zupełnie jak umarła - szepnęła nerwowo Ruby Gillis spoglądając na nieruchomą, bladą twarzyczkę, po której ślizgały się cienie brzoź. - Wiecie, dziewczęta, strach mnie ogarnia! Czy w ogóle powinnyśmy bawić się w ten sposób? Pani Linde twierdzi, że branie udziału w przedstawieniach teatralnych jest rzeczą okropnie niewłaściwą.

- Ruby, nie powinnaś teraz wspominać o pani Linde - odezwała się Ania surowo. - Psujesz wrażenie, bo wszystko to działo się setki lat przed urodzeniem się pani Linde. Janko, ty zajmij się wszystkim! Wszak Elaine nie powinna mówić, jeśli umarła.

Janka okazała się na wysokości zadania. Nie było złotej kapy do nakrycia leżącej dziewczynki, lecz zastąpiła ją znakomicie stara serweta z żółtej, japońskiej krepy. Nie było też pod ręką białej lilii, ale w zupełności wystarczył piękny, szafirowy irys umieszczony w splecionych dłoniach Ani.

- Oto jest już gotowa! - zawyrokowała Janka. - Teraz ucałujcie jej czyste czoło i ty, Diano, powiedz: „Żegnaj, siostrze, na wieki!” - a ty, Ruby, powiesz: „Żegnaj, miła siostrzyco!” Tylko jak najsmutniejszym głosem! Aniu, uśmiechnij się choćby leciutko! Przypominasz sobie zapewne: „Elaine z bladym uśmiechem na ustach”. Tak, teraz jest lepiej. Możecie pchnąć łódkę!

Wypchnięta gwałtownie łódź uderzyła mocno o jeden ze starych, wystających pali. Diana, Janka i Ruby czekały tylko, dopóki woda jej nie uniosła, po czym skoczyły w las, przebiegły drogę prowadzącą na most i popędziły ku owemu oddalonemu cyplowi, gdzie jako Lancelot, Ginewra i król miały być gotowe do przyjęcia Elaine.

Ania, powoli unoszona przez prąd wody, kilka chwil napawała się romantycznością swego położenia. Lecz nagle stało się coś bynajmniej nie romantycznego. Do łodzi zaczęła się dostawać woda. Po kilku minutach Elaine była zmuszona zerwać się ze swego łoża, unieść złotem haftowaną szatę i ściągnąć czarny całun, aby z rozpaczą przekonać się o istnieniu sporej dziury, przez którą niewątpliwie przedostawała się woda. Ostry pal u przystani oderwał łatę przybitą do dna łodzi.

Ania nie wiedziała o tym, lecz niewiele czasu potrzebowała, aby się przekonać, że jest w niebezpieczeństwie. Łódź będzie się napełniała wodą i bez wątpienia zatonie, zanim zdąży dotrzeć do owego drugiego cypla. Gdzież były wiosła? Pozostały prawdopodobnie na przystani.

Ania wydała krótki, przytłumiony, przez nikogo nie dosłyszany krzyk; była blada jak kreda, lecz nie straciła przytomności umysłu. Jedna tylko była rada, jedna, jedyna...

- Byłam okropnie przerażona - opowiadała Ania nazajutrz pani Allan - i latami wydawał mi się czas, zanim łódź dotarła do mostu, gdy tymczasem coraz więcej wody napływało do środka. Zaczęłam się modlić bardzo gorąco, lecz nie przymykałam oczu, wiedziałam bowiem, że jest tylko jeden sposób ratunku: zbliżyć się do pali u mostu, tak żebym zdążyła się wdrapać na jeden z nich. Pani wie, że te pale są to stare pnie drzew, ze sterczącymi odłamkami gałęzi i sękami. Trzeba było się modlić, ale jednocześnie zrobić to, co należało do mnie: uważać i mieć oko zwrócone na wszystko. Powtarzałam bezustannie: „Kochany Boże, pozwól, niech tylko łódka przybliży się do pali, a ja już zrobię resztę!” W takich okolicznościach nie można myśleć nad ułożeniem pięknej modlitwy. Jednakże moja

została wysłuchana, gdyż łódka na chwilę zbliżyła się do jednego z pali, a wówczas, zarzuciwszy szybko serwetę i szal na ramiona, wdrapałam się na wystający sęk. I tak pozostałam, przytulona do śliskiego pala, bez możliwości poruszania się w tę lub ową stronę. Była to bardzo nieromantyczna sytuacja, ale wówczas nie myślałam o tym. Trudno jest zastanawiać się nad romantycznością, kiedy się tylko co wymknęło z mogiły pod wodą. Odmówiłam dziękczynną modlitwę i całą uwagę skupiłam na tym, by mocno trzymać się słupa; wiedziałam bowiem dobrze, że tym razem będę musiała zapewne liczyć na ludzką pomoc, aby wydostać się na ląd.

Tymczasem łódka przesunęła się koło mostu i szybko zniknęła pod wodą. Ruby, Janka i Diana, oczekujące u owego drugiego cypla, ujrawszy nagle, że łódź tonie, ani na chwilę nie wątpiły, że i Ania znalazła się pod wodą. Stały nieruchome, blade, zamarłe z trwogi. Potem z głośnym okrzykiem przerażenia pomknęły w szalonym pędzie przez las, nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia w kierunku mostu. Ania, rozpaczliwie przytulona do swej niepewnej podpory, widziała poruszające się w biegu sylwetki dziewczynek i słyszała ich okrzyki. Niewątpliwie pomoc zjawi się wkrótce, tymczasem jednak pozycja jej była bardzo niewygodna. Minuty mijały, a każda z nich wydawała się godziną nieszczęśliwej dziewczynce. Dlaczegoż nikt się nie zjawia? Dokąd pobiegły koleżanki?! A jeśli zemdlały z przerażenia i nikt nie nadejdzie? A jeśli ona tak opadnie z sił i zdrętwieje, że nie potrafi się dłużej utrzymać? Ania spojrzała w roztaczającą się pod stopami głęboką, zieloną przepaść, gdzie chwiały się długie, zamazane cienie... i zadrżała. Wyobraźnia zaczęła jej podsuwać rozmaite straszne obrazy.

Wtem, w chwili gdy poczuła, że z powodu zmęczenia i bólu ramion i dłoni nie potrafi dłużej utrzymać się w tej pozycji, obok mostu ukazał się; Gilbert Blythe w łodzi Andrews.

Chłopiec podniósł wzrok i ku niezmiernemu swemu zdumieniu spostrzegł drobną, bladą, lecz dumną twarzyczkę, patrzącą nań wielkimi, trwożnymi, ale jednocześnie gniewnymi oczami. - Ania! Jakim sposobem i skąd się tu wzięłaś?! - zawołał.

I nie czekając odpowiedzi podpłynął do pala i wyciągnął ku niej rękę.

Nie było innej rady. Ania, mocno wsparta na dłoni Gilberta, zsunęła się do łodzi, gdzie usiadła, przemoknięta i zła, trzymając w obu rękach ociekający wodą szal i mokrą serwetę. Niewątpliwie bardzo trudno było zachować się z godnością w podobnej sytuacji.

- Cóż się stało, powiedz, Aniu? - spytał Gilbert zabierając się do wiosł.

- Chciałyśmy grać „Elaine” Tennysona - wyjaśniła Ania chłodno, nie patrząc wcale na swego wybawcę - i ja powinnam była popłynąć do Camelot w barce, to jest w łódce. Tymczasem łódka zaczęła przeciekać, więc gdy zbliżyła się do pala, wdrapałam się na niego.

Jednocześnie dziewczynki pobiegły szukać pomocy. Czy zechcesz być tak uprzejmy i podwieźć mnie do przystani?

Gilbert chętnie podpłynął we wskazane miejsce i Ania, odrzucając jego pomoc, sama zręcznie wyskoczyła na brzeg.

- Dziękuję bardzo - rzekła wyniośle, odchodząc.

Ale i Gilbert wyskoczył z łodzi i położył rękę na jej ramieniu, starając się ją zatrzymać.

- Aniu - rzekł pośpiesznie - posłuchaj mnie! Czy nie moglibyśmy być przyjaciółmi? Bardzo mi jest przykro, że wówczas zażartowałem z twoich włosów. Nie chciałem cię obrazić, powiedziałem ot, tak sobie, dla żartu tylko. A zresztą to już tak dawno. Teraz twoje włosy są bardzo piękne... szczerze mówię. Bądźmy przyjaciółmi!

Ania zawahała się chwilę. Pomimo obrażonej dumy doznała nagle jakiegoś niezwykłego, nie znanego dotąd wrażenia, że ten na poły nieśmiały, na poły gorący wyraz ciemnych oczu Gilberta stał się jej miły. Serduszko jej zaczęło uderzać szybciej i mocniej. Lecz gorycz starej zniewagi szybko odniosła zwycięstwo nad wahaniem. Scena, która się odegrała dwa lata temu, odżyła w wyobraźni Ani równie żywo, jak gdyby zdarzyła się wczoraj. Gilbert zawołał: „Marchewka!” i okrył ją wstydem wobec całej szkoły. Gniew jej, który dojrzałym ludziom wydałby się równie śmieszny jak i jego powód, nie ustąpił i nie złagodniał jeszcze. Nienawidziła Gilberta! Nigdy mu nie przebaczy!

- Nie - odrzekła chłodno. - Nigdy nie będzie przyjaźni pomiędzy mną a Gilbertem Blythe. Nie życzę sobie tego.

- Jak ci się podoba! - I Gilbert, zaczerwieniony z gniewu, wskoczył do swej łodzi. - Nigdy już nie poproszę cię o przyjaźń. Mnie również na niej nie zależy.

Odepchnął łódź kilkoma szybkimi, gniewnymi uderzeniami, a Ania odeszła stromą, osłoniętą paprociami ścieżką pośród klonów. Głowę trzymała wysoko, lecz w głębi duszy doznawała przykrego uczucia żalu. Żałowała niemal, iż nie odpowiedziała Gilbertowi inaczej. Prawda, że strasznie ją obraził, lecz... W ogóle zdawało jej się, że najlepiej byłoby, gdyby mogła usiąść i serdecznie się wypłakać. Czuła się najzupełniej wytrącona z równowagi; fizyczne zmęczenie i przeżyty strach teraz dopiero dawały jej się we znaki.

W połowie ścieżki spotkała Jankę i Dianę wracające nad staw. Dziewczynki były w najwyższym stopniu przerażone. Na Sosnowym Wzgórzu nie zastały nikogo, bo państwo Barry wyszli z domu. Ruby dostała ataku histerycznego płaczu, zostawiły ją więc w mieszkaniu, by się uspokoiła, same zaś pobiegły przez Las Duchów i przez most na Zielone

Wzgórze. Tam także nie było nikogo, gdyż Maryla udała się do Carmody, a Mateusz był daleko w polu, zajęty zbieraniem siana.

- Ach, Aniu! - wybuchnęła Diana obejmując szyję przyjaciółki i płacząc z radości i ulgi z powodu niespodzianego jej ocalenia. - Ach, Aniu droga... myślałyśmy... żeś utonęła... i uważałyśmy się za zbrodniarki... bo to myśmy cię namówiły... abyś była Elaine! Ruby ma atak płaczu! Aniu, jakżeś się wyratowała?

- Wdrapałam się na pal - wyjaśniła Ania zmęczonym głosem - a Gilbert, który właśnie nadpłynął w łodzi pana Andrews, wysadził mnie na brzeg.

- Ach, Aniu, jak świetnie, że to zrobił! I jakie to romantyczne! - wykrzyknęła Janka, która nareszcie odzyskała zdolność mówienia. - Teraz oczywiście będziesz już z nim rozmawiała!

- Oczywiście, że nie będę! - wybuchnęła Ania, w mgnieniu oka powracając do dawnych uprzedzeń. - I nie chcę nigdy więcej słyszeć wyrazu „romantyczne”. Martwi mnie bardzo, żeście się tak przeraziły. Przekonuję się, że jestem urodzona pod nieszczęśliwą gwiazdą. Wszystko, do czego się biorę, kończy się niedobrze dla mnie lub moich najbliższych. Łódź twego ojca, Dianio, leży na dnie wody i mam przeczucie, że nie pozwolą nam już nigdy wiosłować po stawie.

Przeczucie Ani tym razem sprawdziło się dokładniej, niż to zwykle bywało. Zarówno państwo Barry, jak i Cuthbertowie byli przerażeni dowiedziawszy się o wypadkach tego popołudnia.

- Czy też ty kiedykolwiek będziesz rozsądna, Aniu? - skarżyła się Maryla.

- O, na pewno, Marylo - odpowiedziała Ania optymistycznie. Wypłakała się bowiem serdecznie w samotności swego pokoiku na facjatce, a płacz ten uspokoił jej nerwy i przywrócił zwykły, pogodny pogląd na świat. - Zdaje mi się, że nadzieja zostania rozsądną jest teraz bliższa urzeczywistnienia niż kiedykolwiek.

- Nie rozumiem, w jaki sposób - rzekła Maryla.

- Oto tak - objaśniała Ania. - Dziś znowu otrzymałam nową i cenną nauczkę. Odkąd przybyłam na Zielone Wzgórze, popełniam bezustannie głupstwa, lecz każde z nich pomogło mi wyleczyć się z jakiejś wady. Zdarzenie z broszką ametystową nauczyło mnie nie ruszać rzeczy, które nie są moją własnością. Strach, jakiego doznałam w Lesie Duchów, wskazał mi, że należy wyobraźnię trzymać na wodzy. Pomyłka z kroplami walerianowymi wyleczyła mnie z nieuwagi przy zajęciach w kuchni. Ufarbowanie włosów wyleczyło mnie z próżności. Obecnie nigdy nie myślę o swoich włosach i swoim nosie... a przynajmniej bardzo rzadko. Dzisiejsza przygoda wypełniła ze mnie skłonność do romantycznych awantur. Doszłam do

wniosku, że nie warto teraz być romantycznym. Było to bez wątpienia bardzo piękne paręset lat temu, w otoczonym wieżami Camelot, lecz obecnie romantyczność nie znajduje na ogół uznania. Jestem pewna, że Maryla wnet zobaczy we mnie wielkie zmiany pod tym względem.

- Oby tak było! - uśmiechnęła się Maryla niedowierzająco.

Lecz gdy Maryla wyszła z pokoju, Mateusz, który dotąd milcząco siedział w kącie, zbliżył się do Ani i położył swą dłoń na jej ramieniu.

- Nie zatracaj całej romantyczności, Aniu - szepnął nieśmiało. - Zapewne niezbyt wiele... ale troszeczkę jej nie zawadzi.

## XXIX. EPOKA W ŻYCIU ANI

Ania odprowadzała krowy z pastwiska do domu Aleją Zakochanych. Był wrześnieowy wieczór i wszystkie szczeliny i polanki w lesie zalane były rubinowymi blaskami zachodzącego słońca. Tu i ówdzie przemknął po alei bladożółty promień, lecz cienie zmierzchu zapadały coraz bardziej pod sklepieniami klonów, a pomiędzy jodłami zalegał jasnofioletowy zmrok. Na wierzchołkach drzew igrały wiatry, a nie ma chyba na świecie słodszej muzyki nad tę, jaką wygrywa wieczorny wiatr bujający pośród drzew jodłowych.

Krowy szły spokojnie, kołyszącym krokiem wzdłuż alei. Ania postępowała za nimi zadumana, powtarzając głośno pieśń wojenną z „Marmion”. Poemat ten był również lekturą zaleconą ubiegłego roku i panna Stacy poleciła im nauczyć się go na pamięć. Ania przeżywała radośnie tchnące entuzjazmem słowa; zdawało jej się, że słyszy w nich chrzęst lanc.

Zachwycona, przymknęła powieki, aby wywołać silniejsze złudzenie tego wspaniałego obrazu. Gdy je podniosła, spostrzegła Dianę wychodzącą z furtki wiodącej na pole Barry'ch. Diana miała poważny wyraz twarzy, więc Ania domyśliła się, iż przynosi jakieś niezwykle nowiny. Nie zdradziła jednak zbyt ciekawości.

- Czy dzisiejszy wieczór to nie istny purpurowy sen, Dianio? Cieszę się tak bardzo, że żyję! Rankiem wydaje mi się zawsze, że poranki są najpiękniejsze, a wieczorem jestem znowu zdania, iż wieczory są niezrównane.

- W istocie wieczór jest bardzo piękny - potwierdziła Diana - ale, Aniu, jakie ja ci przynoszę nowiny! Zgadnij! Pozwalam ci trzykrotnie zgadywać.

- Charlotte Gillis, pomimo wszystko, weźmie ślub w kościele i pani Allan poleci nam go przystroić.

- Nie. Narzeczony Charlotte nie chce się na to zgodzić, gdyż obecnie bierze się już tylko śluby cywilne i on uważa, że ślub w kościele przypomina pogrzeb. Żałuję byłaby świetna zabawa. Zgaduj dalej!

- Matka Janki pozwoliła jej wyprawić podwieczorek na urodziny?

Diana zaprzeczyła ruchem głowy, a jej czarne oczy wesoło się uśmiechnęły.

- Nie domyśle się, co to być może - rzekła Ania w rozpacz. - Może Moody odprowadził cię wczoraj wieczorem do domu, co?

- O! - zawołała Diana z oburzeniem. - Z pewnością nie chwaliłabym się tym, gdyby to uczynił... ten nieznośny chłopiec! Widzę, że nie potrafisz zgadnąć. Otóż powiem ci. Mama moja otrzymała dziś list od ciotki Józefiny, która zaprasza ciebie i mnie na przyszły wtorek do miasta i chce, żebyśmy zwiedziły z nią wystawę. Cóż ty na to?

- Ach, Diano - szepnęła Ania, tak bardzo wzruszona, że aż, musiała się oprzeć o pień klonu. - Czy to jest w istocie prawdą? Lękam się tylko, że Maryla się nie zgodzi. Powie mi na pewno, że nie pozwoli na to, bym się wałęsała. Tak właśnie wyraziła się w zeszłym tygodniu, gdy Janka zaprosiła mnie, abym pojechała wraz z nią na amerykański koncert w hotelu na Białych Piaskach. Pragnęłam tego bardzo, lecz Maryla orzekła, że lepiej będzie, gdy pozostanę w domu i popracuję nad lekcjami, i że dla Janki też by tak było lepiej. Strasznie byłam rozczarowana, Diano. Byłam tak zgnębiona, że ułożywszy się do snu, nie chciałam zmówić modlitwy. Lecz potem żałowałam tego i pośród nocy wstałam, żeby się pomodlić.

- Wiesz, co ci poradzę? - rzekła Diana. - Poprośsę mamy, by ona powiedziała o tym zaproszeniu Maryli. Wtedy chyba nie odmówi, a my będziemy miały rozkosz nad rozkosze. Zobaczysz, Aniu! Ja nigdy jeszcze nie byłam na żadnej wystawie i jest mi zawsze przykro, gdy inne dziewczęta opowiadają, co widziały. Janka i Ruby były już dwukrotnie, a w tym roku również mają jechać.

- Nie chcę myśleć o tym wszystkim, dopóki nie będę wiedziała, czy pojedę - rzekła Ania stanowczo. - Jeślibym się cieszyła, a następnie doznała rozczarowania, nie potrafiłabym tego znieść. Lecz jeśli pojedę, to dobrze, że mój nowy płaszczyk będzie akurat gotów. Maryla uważała, że nowy płaszczyk jest mi niepotrzebny tej zimy i że powinnam się zadowolić nową sukienką. Sukienka jest naprawdę bardzo ładna, Diano... granatowa, a przy tym tak modnie zrobiona! Maryla teraz sprawia mi wszystkie sukienki według modnych fasonów, bo mówi, że nie życzy sobie, aby Mateusz udawał się do pani Linde z prośbą o ich uszycie... Cieszę się tym bardzo! Zdaje mi się, że łatwiej jest być dobrym, kiedy się jest modnie ubranym; a przynajmniej ja tak to czuję. Osobom z natury dobrym nie sprawia to może różnicy... Lecz Mateusz uważał, iż powinnam dostać nowy płaszczyk, Maryla kupiła więc sztuczkę granatowego cienkiego sukna i dała do uszycia prawdziwemu krawcowi w Carmody. Będzie gotów w sobotę wieczór. Staram się nie myśleć wcale, jak będę wyglądała, gdy w niedzielę wejdę do kościoła w nowej czapeczce i nowym płaszczku. Sądzę, że nie godzi się zaprzętać myśli takimi rzeczami, ale mimo woli wpadają mi one do głowy. Moja czapeczka jest także śliczna! Mateusz kupił mi ją tego dnia, gdyśmy razem byli w Carmody. Jest maleńka, cała z granatowego aksamitu, objęta złotym sznurem z pomponami. Cudo! Twój nowy kapelusz jest także bardzo ładny! A jak ci w nim do twarzy! Kiedy cię zobaczyłam ostatniej niedzieli



wchodzącą do kościoła, serce zabiło mi z dumy, że to moja najserdeczniejsza przyjaciółka. Czy ty uważasz, że bardzo źle postępujemy myśląc tak wiele o naszym ubraniu? Maryla twierdzi, że to naganne. Ale jakie przyjemne, prawda?

Maryla pozwoliła na wyjazd Ani do miasta i postanowiono, że pan Barry następnego wtorku zabierze obie dziewczynki. Wobec tego, iż Charlottetown było odległe o trzydzieści mil, a pan Barry pragnął tego samego dnia powrócić do domu, należało wyjechać o bardzo wczesnej godzinie. Dla Ani było to także powodem do radości; we wtorek rano zerwała się jeszcze przed wschodem słońca. Spojrzenie, rzucone z okna jej pokoiku, upewniło ją, że dzień będzie prześliczny, gdyż niebo na wschodzie ponad Lasem Duchów, nie zamącone ani jedną chmurką, tonęło w srebrze. Poprzez szczelinę pomiędzy drzewami błyszczało światelko z facjatki na Sosnowym Wzgórzu: znak, że i Diana już wstała.

Zaledwie Mateusz zdążył rozniecić ogień, już Ania była na dole w kuchni i gdy Maryla weszła, zastała gotowe śniadanie. Jednak dziewczynka była zbyt wzruszona, aby móc spokojnie zasiąść do jedzenia. Po śniadaniu, w ślicznej nowej czapeczce i nowym płaszczyku, Ania pośpieszyła przez most na stawie i poprzez las jodłowy na Sosnowe Wzgórze. Pan Barry i Diana czekali tu na nią i wkrótce wszyscy troje znaleźli się na gościńcu.

Była to długa droga, lecz dziewczynki rozkoszowały się każdą chwilą. Cudnie było sunąć tak po wilgotnych drogach, gdy wczesne purpurowe światło słoneczne pełzało po ogołoconych, zżętych polach. Powietrze było świeże i czyste, a niewielkie błękitne mgły unosiły się w dolinach i spływały po wzgórzach. Miejscami droga prowadziła przez lasy, gdzie klony zaczynały właśnie przyodziewać się w szkarłatną szatę; nieraz przecinała mostki, na których Anię obejmowała dawna, dziecinna trwoga, że most załamie się „jak scyzoryk”, czasem znowu wiła się wzdłuż wybrzeża i zatoki morskiej, gdzie przycupnęła maleńka wioska, pełna zszarzałych od niepogod chatek rybackich; to znowu wjeżdżali na wzgórza, z których widać było dalekie wyżyny i niebo spowite w błękitne mgły. W którąkolwiek zwrócili się stronę, wszędzie znajdowali wiele zajmujących tematów do rozmowy. Południe już się zbliżało, gdy przybyli do miasta i skierowali się ku Beechwood. Była to poważna stara rezydencja, oddzielona od ulicy szpalerem zielonych wiązów i rozłożystych buków. Panna Barry wyszła na ich spotkanie z życzliwym spojrzeniem w swych żywych, czarnych oczach.

- Wreszcie przyjechałaś do mnie, Aniu kochana - przywitała dziewczynkę. - Zmiłuj się, dziecko, jakżeś ty wyrosła! Wyższa jesteś ode mnie, naprawdę! Jesteś też o wiele ładniejsza, niż byłaś. Ale o tym wiesz sama, nie potrzeba ci tego mówić.

- Właściwie nie wiedziałam - rzekła Ania rozradowana. - Wiem, że jestem mniej piegowata, niż byłam dawniej, i z tego już jestem niezmiernie rada, lecz naprawdę nie

odważyłam się sądzić, że zaszły we mnie jeszcze inne zmiany. Cieszę się bardzo, że pani jest tego zdania.

Mieszkanie panny Barry było urządzone „bardzo wspaniale” - jak opowiadała później Ania Maryli. Obie dziewczynki, mieszkanki prowincji, zostały po prostu olśnione wykwintem saloniku, do którego wprowadziła je właścicielka.

- Czyż to nie istny pałac? - szepnęła Diana. - Nigdy dotąd nie byłam w mieszkaniu ciotki Józefiny i nie miałam pojęcia, że jest tak wspaniale. Pragnęłabym tylko, aby Julia Bell mogła je zobaczyć... ona tak się chełpi, gdy mówi o saloniku swej matki.

- Pluszowy dywan - westchnęła Ania zachwycona owym luksusem - i jedwabne portiery! Marzyłam tylko o czymś podobnym, Dianu. Ale wiesz, nie sądzę, żebym się dobrze czuła pośród tego zbytku. Jest tak wiele przedmiotów w tym pokoju, a wszystko takie wspaniale, iż nie ma tu już pola dla wyobraźni. A to właśnie jest pociechą ludzi, którzy nie są bogaci... jest tyle rzeczy, które mogą sobie wyobrazić.

Ten pobyt w mieście pozostał na długie lata w pamięci obu dziewcząt. Od początku do końca był on jednym pasmem miłych chwil.

W środę panna Barry zabrała je na wystawę, gdzie spędziły cały dzień.

- Cudnie tam było - opowiadała później Ania swej opiekunce. - Wie Maryla, że ja nie potrafiłabym nigdy wyobrazić sobie czegoś równie zajmującego. Nie wiem doprawdy, który dział na wystawie był najbardziej interesujący. Zdaje się, że jednak najwięcej podobały mi się konie, kwiaty i ręczne roboty. Józia Pye otrzymała pierwszą nagrodę za niciane koronki. Bardzo mnie to ucieszyło. I byłam zadowolona z tej swojej radości. To dowód, że stałam się lepsza, skoro potrafię cieszyć się powodzeniem Józki, prawda, Marylo? Pan Harmon Andrews otrzymał drugą nagrodę za jabłka, pan Bell zaś pierwszą za świnię. Diana twierdzi, że to bardzo śmieszne, aby kierownik szkoły niedzielnej otrzymywał nagrody za świnię, lecz ja nie bardzo rozumiem dlaczego. A Maryla jak uważa? Diana mówi, że będzie pamiętała o tym zawsze, ilekroć zobaczy pana Bella modlącego się uroczyście. Klara MacPherson dostała nagrodę za malowidło, pani Linde zaś pierwszą nagrodę za masło i sery domowej roboty. W ten sposób Avonlea bardzo dobrze się zaprezentowała, prawda? Pani Linde także była na wystawie; nie wyobrażałam sobie, że ją tak bardzo lubię, i przekonałam się o tym dopiero, gdy ujrzałam jej znajomą twarz pośród tych wszystkich obcych. Były tam tysiące osób, Marylo, i czułam się tak bardzo, tak strasznie nic nie znaczącą istotą. Panna Barry zaprowadziła nas na wielki plac, gdzie się odbywały wyścigi konne. Pani Linde nie chciała pójść z nami. Twierdziła, że wyścigi konne to ohydny pomysł i że jej obowiązkiem jako członka kościoła, jest dawać dobry przykład unikaniem podobnego widowiska. Lecz były tam

takie tłumy, że wątpię, czy nieobecność pani Linde mogła być zauważona. Co do mnie, nie sądzę, żebym powinna często przypatrywać się wyścigom, gdyż uważam, że zabawa ta wywołuje zbyt wielkie rozgorączkowanie. Diana była tak bardzo przejęta, że chciała założyć się ze mną o dziesięć centów, że wygra kasztanowaty koń. Przypuszczałam, że on nie wygra, lecz nie zgodziłam się na zakład, przyrzekłam bowiem pani Allan mówić jej o wszystkim, a wiedziałam, że tego nie ośmielę się jej opowiedzieć. Zawsze jest źle robić coś, czego nie można powiedzieć żonie pastora. A przyjemna jest ta świadomość, że się ma żonę pastora za przyjaciela. I dobrze zrobiłam, bo ten koń naprawdę wygrał i byłabym straciła dziesięć centów. W ten sposób cnota moja została wynagrodzona. Widziałyśmy człowieka lecącego balonem. Ach, jakżebym chciała polecieć balonem! Jakież to byłoby oryginalne! I podszedł do nas jakiś człowiek sprzedający wróżby. Za dziesięć centów maleńka ptaszyna wyciąga zapowiedź naszego przyszłego losu. Panna Barry dała Dianie i mnie po dziesięć centów, abyśmy się dowiedziały cokolwiek o naszej przyszłości. W mojej kartce była zapowiedź, że wyjdę za mąż za człowieka o ciemnej skórze, bardzo bogatego i że popłynę przez ogromną wodę. Przyglądałam się uważnie wszystkim ciemnym mężczyznom, ale żaden z nich zbyt mi się nie podobał... a zresztą sądzę, że to jeszcze zbyt wcześnie, aby się za nim oglądać. Ach, był to nigdy niezapomniany dzień, Maryło. A czułam się tak zmęczona, że w nocy nie mogłam spać. Panna Barry umieściła nas, zgodnie z przyrzeczeniem, w gościnnym pokoju. Był to bardzo elegancki pokój, Maryło, ale spanie w gościnnym pokoju nie jest wcale czymś tak osobliwym, jak sobie wyobrażałam. Zaczynam się przekonywać, że niedobrze jest być dorosłym. To, czegośmy pragnęli tak bardzo będąc dziećmi, nie wydaje się ani w części tak cudowne, gdyśmy to wreszcie zdobyli.

W czwartek dziewczęta odbyły przejażdżkę po parku, a wieczorem panna Barry zabrała je na koncert do Instytutu Muzycznego; występowała jakaś sławna śpiewaczka. Ani wieczór ten wydał się pięknym snem.

- O Maryło, coś podobnego nie da się opisać. Byłam do tego stopnia zachwycona, że nie mogłam mówić; możecie więc sobie wyobrazić stan mojej duszy... Siedziałam w milczącym zachwycie! Madame Selitsky była niezwykle piękna, ubrana w białą, jedwabną suknię i brylanty. Kiedy zaczęła śpiewać, zapomniałam o całym świecie. O, nie potrafię wypowiedzieć, co czułam!... I zdawało mi się, że chyba już nigdy nie będzie mi trudno być dobrą. Czułam się tak, jak kiedy patrzę ku gwiazdom. Łzy napłynęły mi do oczu, ale były to łzy szczęścia! Było mi tak przykro, kiedy się wszystko skończyło, i powiedziałam pannie Barry, że nie rozumiem wcale, jak powrócę do codziennego, szarego życia... Odpowiedziała, że przejdziemy na drugą stronę ulicy, do cukierni, a porcja lodów bez wątpienia pomoże mi

odzyskać równowagę. Brzmiało to bardzo prozaicznie, ale ku memu wielkiemu zdumieniu okazało się prawdą. Lody śmietankowe były wysmienite, Marylo, a przy tym jakże miło i elegancko siedzieć w cukierni o jedenastej przed północą. Diana twierdziła, że przekonuje się, iż jest stworzona do życia miejskiego. Panna Barry zapytała, jakie jest moje zdanie w tej kwestii, lecz odpowiedziałam, iż musiałabym się poważnie zastanowić, zanim mogłabym coś orzec. I rozmyślałam nad tym, położywszy się spać. Wtedy najlepiej jest roztrząsać wszelkie sprawy. Jednakże doszłam do wprost przeciwnego wniosku niż Diana. Oto, Marylo, ja wcale nie jestem stworzona do miejskiego życia i bardzo się z tego cieszę. Przyjemnie jest zajadać od czasu do czasu lody śmietankowe w eleganckiej restauracji o jedenastej w nocy, lecz stokroć wolę przebywać stale o jedenastej na mojej facjatce, śpiąc nawet, bo i we śnie czuję, że gwiazdy błyszczą nade mną, a wiatr szumi pośród jodeł za stawem. Nazajutrz rano przy śniadaniu oświadczyłam to pannie Barry. Śmiała się. W ogóle panna Barry śmiała się prawie zawsze ze wszystkiego, co mówiłam, nawet gdy mówiłam bardzo poważnie. Nie byłam wcale rada z tego, Marylo, bo nie starałam się być śmieszną. Bądź co bądź, jest to niezwykle gościnna dama i przyjmowała nas po królewsku.

W piątek nadeszła godzina wyjazdu i pan Barry przyjechał po dziewczynki.

- Mam nadzieję, żeście się dobrze bawiły - rzekła panna Barry żegnając się z nimi.

- Niewątpliwie - odpowiedziała Diana.

- A ty, Aniu?

- Cieszyłam się każdą chwilą tu spędzoną! - zawołała Ania, serdecznie zarzucając ręce na szyję panny Barry i całując jej pomarszczone policzki.

Diana nie odważyłaby się nigdy uczynić czegoś podobnego i przeraziła się nawet śmiałością koleżanki. Lecz panna Barry była temu najwidoczniej rada i pozostała na werandzie, dopóki powozik nie zniknął jej z oczu. Po czym z westchnieniem powróciła do swego obszernego mieszkania, które, pozbawione tych świeżych, wesołych dziewcząt, wydało jej się teraz puste i smutne. Panna Barry była to, prawdę powiedziawszy, egoistycznie nastawiona stara dama, zawsze zajęta jedynie sobą. Inni zajmowali ją tylko o tyle, o ile byli jej potrzebni lub bawili ją. Ania bawiła ją serdecznie i dlatego stara panna lubiła ją. Lecz oto panna Barry doszła do przekonania, że mniej ujął ją swoisty sposób wyrażania się Ani niż jej świeży zachwyt, bezpośredniość jej wzruszeń, jej uprzejme zachowanie i słodycz jej ust i oczu.

„Kiedy usłyszałam, że Maryla Cuthbert przyjęła na wychowanie sierotę z przytułku, nazwałam ją w myśli starą wariatką - rzekła do siebie - lecz teraz widzę, że wcale nie

postąpiła niemądrze. Gdybym ja miała w domu dziecko podobne do Ani, byłabym bez wątplenia lepsza i szczęśliwsza, niż jestem”.

Dziewczętom jazda powrotna wydała się równie miła, jak poprzednia do miasta... miłsza nawet, gdyż doznawały rozkosznego uczucia, że u celu podróży czeka je dom rodzinny. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy przejechali Białe Piaski i dostali się na wybrzeże. W dali na szafranowożółtych obłokach rysowały się ciemne wzgórza Avonlea. Poza jadącymi wielki księżyc wyłaniał się z wód morza, które w jego świetle wyglądało coraz bardziej promiennie i lśniaco. Każda najmniejsza zatoka wzdłuż wijącego się wybrzeża stawała się istnym cudem drżących, rozkołysanych pian, a fale z przytłumionym hukiem rozbijały się o skały nadbrzeżne; słony zapach morza przesycił chłodne, surowe powietrze.

- Ach, jakże cudnie jest żyć i powracać do domu! - westchnęła Ania.

Gdy minęli most na stawie pod Zielonym Wzgórzem, powitało ich przyjemnym migotaniem światło z kuchni Cuthbertów, a przez otwarte drzwi buchnął płomień z komina, rzucając ciepły, czerwony żar w chłodną noc jesienną. Ania wesoło wbiegła na wzgórze i wpadła do kuchni, gdzie gorąca wieczerza czekała na stole.

- Wróciłaś wreszcie! - zawołała Maryla odkładając swą robotę.

- Tak - zawołała Ania radośnie - jakże rozkosznie jest powracać do domu!... Mogłabym ścisnąć i całować wszystko, nawet ten zegar. Cóż to, Marylo, pieczony kurczak? Nie sądzę, aby był dla mnie przygotowany!

- Owszem, dla ciebie, Aniu - odpowiedziała Maryla. - Wyobrażałam sobie, jak bardzo będziesz głodna po tak długiej drodze, i chciałam, żebyś zjadła coś smacznego. Zasiądziemy do wieczerzy, gdy tylko Mateusz nadejdzie. Muszę przyznać, iż cieszę się, że już powróciła. Straszna tu była pustka bez ciebie. Nie pamiętam równie długich czterech dni.

Po wieczerzy Ania zasiadła przed kominkiem pomiędzy Mateuszem a Marylą i opowiadała im szczegółowo o swej podróży do miasta i o tym wszystkim, co tam widziała i czego doświadczyła.

- Przeżyłam śliczne chwile - zakończyła zachwycona - i czuję, że stanowią one będą epokę w moim życiu. Najmilsze jednak ze wszystkiego - to powrót do domu.

### XXX.

#### UTWORZENIE KOMPLETU SEMINARZYSTÓW

Maryla odłożyła robotę ręczną na kolana i oparła się w swym fotelu. Oczy miała zmęczone; przez głowę przemknęła jej myśl, że przy najbliższej bytności w mieście zmuszona chyba będzie zmienić szkła okularów na silniejsze. W ostatnich czasach tak często i łatwo wzrok jej się nużył.

Było prawie ciemno, gdyż ponury listopadowy zmierzch otulił już Zielone Wzgórze i jedyne światło padało od tańczących w kominku czerwonych języków ognia.

Ania siedziała po turecku na dywaniku przed kominkiem i spoglądała w resztki rozżarzonych głowni drzewa klonowego. Czytała, ale oto książka wysunęła się jej z rąk na podłogę i dziewczynka zatopiła się w marzeniach, z uśmiechem na rozchylonych wargach. Z mgieł i tęczy jej bogatej wyobraźni wysuwały się świetne zamki na lodzie; cudne, czarowne przygody spotykały ją w krainie obłoków... przygody, które tam kończyły się zawsze szczęśliwie i nigdy nie przyprawały jej o żadne kłopoty, jak to niestety zdarzało się często w życiu codziennym.

Maryla spoglądała na nią z czułością, na jaką nie pozwoliłaby sobie nigdy w świetle jaśniejszym niż to harmonijne połączenie zmroku z odblaskiem żaru. Miłości, wyrażającej się w szczerzej mowie i spojrzeniu oczu, Maryla nie potrafiłaby się nauczyć. Lecz nauczyła się kochać to szczupłe, szarookie dziewczę uczuciem tym głębszym i silniejszym, iż tak mało na zewnątrz wyjawianym. Lękała się trochę, że to przywiązanie czyni ją może zbyt pobłażliwą. Doznawała przykrej obawy, czy takie gorące ukochanie jednej ludzkiej istoty nie jest niesprawiedliwością, i z tego powodu nieraz zadawała sobie pewien gwałt, starając się być surowszą i krytyczniej usposobioną dla swej wychowanki, niż czyniłaby to wtedy, gdyby była mniej do niej przywiązana. Niewątpliwie Ania sama nie miała pojęcia o tym, jak bardzo Maryla ją kochała. Niejednokrotnie nawet myślała, że niezmiernie trudno jest zadowolić Marylę, która zapewne nie ma do niej sympatii i zrozumienia. Lecz natychmiast z wyrzutem odsuwała od siebie podobną myśl przypominając sobie, jak wiele zawdzięcza swej opiekunce.

- Aniu - rzekła nagle Maryla - panna Stacy była tutaj, gdy wyszłaś z Dianą.

Ania drgnęła i z westchnieniem powróciła z dalekich światów.

- Była? Ach, jakże żałuję! Dlaczego Maryla nie zawołała mnie? Byłyśmy z Dianą tylko w Lesie Duchów. Cudnie jest teraz w lasach! Cały drobiazg leśny... paprocie, krzaki derenia ułożyły się do snu, jak gdyby je kto nakrył kołderką z liści Poleżą tak do wiosny.

Wyobrażam sobie, że mały, popielaty elf, spowity w szal o tęczy barwach, zakradł się ku nim na paluszkach ostatniej księżycowej nocy i pootulał je pieczołowicie. Diana nie bardzo temu wierzy. Nie zapomniała ona dotąd nagany, jakiej w swoim czasie udzieliła jej matka za zaczarowane istoty w Lesie Duchów. Miało to na nią bardzo zły wpływ - zgasiło jej wyobraźnię. Pani Linde mówi, że Myrtle Bell jest zupełnie zgaszona. Pytałam Ruby Gillis, dlaczego Myrtle jest zgaszona, a Ruby powiada, że to pewnie dlatego, że jej chłopiec ją rzucił. Ruby Gillis myśli tylko o chłopcach, a im jest starsza, tym z nią gorzej. Nie mam nic przeciwko chłopcom w ogólności, ale po cóż wplątywać ich we wszystkie sprawy? Prawda? Diana i ja poważnie zamierzamy przyrzec sobie nigdy nie wyjść za mąż i mieszkać razem jako stare panny. Jednak Diana nie powzięła jeszcze absolutnie stanowczej decyzji, bo uważa, iż może szlachetniej byłoby zostać żoną jakiegoś zepsutego, rozrutnego hulaki i nawrócić go na dobrą drogę. Diana i ja rozmawiamy obecnie najczęściej o poważnych sprawach. Uważamy, żeśmy już na tyle dorosły, iż nie powinniśmy rozprawiać o kwestiach dziecinnych. To coś tak uroczystego - świadomość, że się ma lat czternaście. Panna Stacy zabrała nas, starsze dziewczęta, w środę nad potok i rozmawiała z nami na ten temat. Twierdziła, że żadne starania nie są zbyt wielkie, jeśli chodzi o wyrobienie charakterów i obranie właściwych ideałów właśnie w wieku młodzieńczym. Gdy dojdziemy bowiem do lat dwudziestu, nasze charaktery będą już ustalone i fundament na całe przyszłe życie założony. A jeśli fundament będzie niepewny, nie potrafimy nigdy zbudować na nim niczego wartościowego - dodała. Diana i ja rozmawialiśmy o tym długo, wracając ze szkoły. Byłyśmy bardzo poważnie nastrojone, Marylo. I postanowiłyśmy pilnie zwracać uwagę na nasz charakter, zdobywać rozsądne przyzwyczajenia, uczyć się jak najwięcej, aby w dwudziestym roku życia nasze charaktery były już odpowiednio ukształtowane. Strasznie jest wyobrazić sobie, że się ma lat dwadzieścia! To brzmi tak poważnie i staro. Ale dlaczego panna Stacy przyszła do nas?

- Właśnie chciałam ci to powiedzieć, Aniu, jeżelibyś pozwoliła mi wtrącić słówko. Mówiła ze mną o tobie.

- O mnie? - Ania zmieszała się nieco. Po czym zarumieniła się i zawołała: - Aha, wiem już, co mówiła! Sama miałam zamiar opowiedzieć to Maryli, ale naprawdę zapomniałam. Panna Stacy zastała mnie wczoraj po południu w szkole nad czytaniem „Ben Hura” zamiast nad lekcją historii Kanady. Pożyczyłam tę książkę od Janki Andrews. Czytałam ją podczas paury obiadowej i właśnie zaczęłam rozdział o wyścigach rydwanów, gdy trzeba było powrócić do szkoły. Ginęłam z ciekawości, żeby się dowiedzieć o rezultacie - chociaż byłam pewna, że Ben Hur musi zwyciężyć, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby

sprawiedliwości powieściowej - więc rozłożyłam historię otwartą na pulpicie, a „Ben Hura” położyłam na kolanach, oparłszy go o pulpit. Zdawało się wszystkim, że pracuję nad lekcją historii, a tymczasem czytałam spokojnie. Byłam tak bardzo zajęta, że nie zauważyłam nawet, iż panna Stacy przeszła pomiędzy ławkami i stanęła obok mnie. Dopiero spojrzawszy nagle w jej stronę, zobaczyłam ją spoglądającą na mnie wzrokiem pełnym wyrzutu. Nie mogę wcale wypowiedzieć, jak bardzo się zawstydziłam, szczególnie gdy usłyszałam za sobą chichotanie Józi Pye... Panna Stacy zabrała „Ben Hura”, ale nie wyrzekła ani słowa. Dopiero po skończonych lekcjach pomówiła ze mną i zwróciła mi uwagę, że postąpiłam niewłaściwie z dwóch powodów. Po pierwsze, marnowałam czas przeznaczony na naukę, po drugie, oszukiwałam nauczycielkę udając, że uczę się historii, gdy właściwie czytałam powieść. Nigdy przedtem nie miałam pojęcia, że to, co uczyniłam, było oszustwem... Byłam wstrząśnięta. Płakałam gorzko, prosząc pannę Stacy, by mi przebaczyła, a nigdy już nie uczynię nic podobnego. Zaproponowałam jej, iż za karę przez cały tydzień nie zajrzę do „Ben Hura”, nie przekonam się nawet, jak się skończyły wyścigi. Ale panna Stacy rzekła, że wcale nie wymaga takiej ofiary i wybacza mi. Dlatego sędzę, że niesprawiedliwie postąpiła zwracając się z tą kwestią do Maryli.

- Panna Stacy nie wspominała mi nawet o tym, Aniu. To twoje nieczyste sumienie nie daje ci spokoju”. Nie powinnaś zabierać powieści do szkoły. Ty i tak tracisz zbyt wiele czasu na czytanie książek. Kiedy ja byłam w twoim wieku, nie Wolno mi było nawet spojrzeć na powieść.

- Ach, jakże można nazwać „Ben Hura” powieścią? Wszakże to taka religijna’ książka! - zaprotestowała Ania. - Oczywiście jest trochę podniecająca na lekturę niedzielą. Więc czytam ją tylko w dni powszednie. Teraz nie czytam nic, czego panna Stacy lub pani Allan nie uznają za odpowiednie dla dziewczynki w wieku lat trzynastu i trzech kwartałów. Panna Stacy wzięła ode mnie takie przyrzeczenie. Pewnego dnia zastała mnie zagłębioną w czytaniu „Strasznej tajemnicy Zamku Upiorów”. Pożyczyłam tę książkę od Ruby Gillis. Ach, Maryło, jakie to było przejmujące i przykuwające uwagę opowiadanie! Po prostu ścinało lodem krew w żyłach. Ale panna Stacy uważała, iż to niezmiernie głupia i szkodliwa książka, i prosiła, bym już nigdy nie czytała podobnych bzdurstw. Z łatwością przyrzekłam, iż więcej tego nie uczynię, ale dużo siły woli trzeba’ było, aby nie dokończyć takiej ciekawej powieści i nie dowiedzieć się o losie jej bohaterów. Jednakże przywiązanie moje do panny Stacy wytrzymało próbę i dotrzymałam przyrzeczenia. Naprawdę, Maryło, zadziwiające jest, ile można wymóc na sobie, gdy pragniemy komuś sprawić przyjemność.



- Widzę, że mogę zapalić lampę i zabrać się do roboty - rzekła Maryla. - Zdaje się, iż nie jesteś ciekawa tego, co mówiła panna Stacy. Najbardziej zajmuje cię twoja własna paplanina.

- Ale cóż znowu, Marylo, ja bardzo pragnę usłyszeć, o co chodzi! - wybuchnęła Ania skruszona. - Nie powiem już nic więcej - ani jednego słowa... Wiem, że mówię zbyt wiele, ale staram się poprawić z tej wady. Gdyby jednak Maryla wiedziała, ile chciałabym powiedzieć i ile przemilczam, z pewnością miałyby dla mnie trochę wyrozumiałości. Słucham więc, Marylo!

- Otóż panna Stacy ma zamiar zorganizować komplet spośród najbardziej zaawansowanych uczniów i uczennic, którzy pragną zdawać egzaminy do seminarium. Chce ona dawać im specjalne lekcje, codziennie godzinę, po szkole. Przyszła więc zapytać Mateusza i mnie, czybyśmy zechcieli ciebie przyłączyć. Cóż ty myślisz o takim projekcie, Aniu? Czy chciałabyś pójść do seminarium i zostać nauczycielką?

- Ach, Marylo! - Ania ukłękła i złożyła dłonie. - Było to marzeniem mego życia... rozumie się, od pół roku dopiero, gdy Ruby i Janka zaczęły rozprawiać o przygotowywaniu się do egzaminu. Lecz nie chciałam nic mówić, gdyż uważałam to za zupełnie bezcelowe. Jakże gorąco pragnęłam zostać nauczycielką! Czy to nie będzie jednak zbyt kosztowne? Pan Andrews mówił, że przepchnięcie Prissy kosztowało go sto pięćdziesiąt dolarów. A wszak Prissy nie była tępą w geometrii.

- Nie niepokój się wcale tą stroną sprawy. Gdyśmy z Mateuszem zaopiekowali się tobą, postanowiliśmy uczynić dla ciebie, co tylko będzie w naszej mocy, i dać ci jak najlepsze wykształcenie. Uważam, iż każde młode dziewczę powinno umieć zapracować na swe utrzymanie bez względu na to, czy będzie tego potrzebowało, czy też nie. Dopóki Mateusz i ja będziemy żyli, Zielone Wzgórze nie przestanie być twoim domem. Lecz nikt nie może przewidzieć, co się stanie na tym niepewnym świecie, i dobrze jest być przygotowanym na wszystko. A więc, jeśli tylko chcesz, możesz się przyłączyć do kompletu.

- O Marylo, dziękuję! - Ania objęła Marylę i poważnie spojrzała jej w oczy. - Jestem wam niewypowiedzianie wdzięczna! Będę pracowała tak gorliwie, jak tylko potrafię, i postaram się być waszą chlubą. Nie oczekujcie tylko zbyt wiele co do geometrii. Za to w innych przedmiotach, ucząc się pilnie, niewątpliwie zrobię postępy.

- Przypuszczam, że dasz sobie radę. Panna Stacy twierdzi, że jesteś zdolna i pilna.

Za nic w świecie Maryla nie powiedziała by Ani, jak gorąco panna Stacy ją chwaliła. Uważałyby to za schlebienie jej próżności.

- Tylko nie przesadzaj i nie przepracowuj się zabijając się nad książkami. Wszak nie ma pośpiechu. Nie będziecie gotowi do zdawania egzaminów wcześniej niż za półtora roku. Lepiej jest jednak zacząć naukę zawczasu i być gruntownie przygotowanym, twierdzi panna Stacy.

- Z pewnością będę pracowała z jeszcze większym zapałem niż dotąd - rzekła Ania uszczęśliwiona. - Teraz bowiem mam cel w życiu. Pan Allan powiada, że każdy winien mieć w życiu jakiś cel i dążyć do niego wytrwale. Tylko, twierdzi, należy się przedtem upewnić, że jest to cel godny zabiegów. Czyż to nie szlachetne dążenie zostać nauczycielką taką jak panna Stacy? Co, Marylo? Mnie się wydaje, że to musi być niezmiernie piękny zawód.

Komplet przyszłych seminarzystów został zorganizowany we właściwym czasie. Należeli doń Gilbert Blythe, Ania Shirley, Ruby Gillis, Janka Andrews, Józia Pye, Karolek Sloane i Moody Spurgeon MacPherson. Diany brak było w tym gronie, gdyż państwo Barry nie mieli zamiaru wysyłać jej do seminarium. Dla Ani było to prawdziwym nieszczęściem. Od tamtej pamiętnej nocy, w której Minnie przechodziła krup, dziewczynki prawie się nie rozstawały. Tego popołudnia, gdy nowo utworzony komplet pozostał po raz pierwszy w szkole na specjalnej lekcji z panną Stacy, Ania, widząc Dianę wychodzącą powoli wraz z innymi, aby udać się samotnie do domu Ścieżką Brzóz i Doliną Fiołków,omalże nie zerwała się z miejsca i nie pobiegła za przyjaciółką. Coś ścisnęło ją za gardło i szybko zaczęła przeglądać kartki swej rozłożonej na pulpicie gramatyki łacińskiej, aby ukryć przed towarzyszami łzy napływające jej do oczu. Za skarby świata nie chciała, aby Gilbert Blythe lub Józia Pye spostrzegli te łzy.

- W istocie, Marylo, wydało mi się, że widząc Dianę odchodzącą samotnie, zakosztowałam goryczy śmierci, jak wyraził się pan Allan w swym niedzielnym kazaniu - żałośnie opowiadała Ania tegoż wieczora Maryli. - Wyobrażałam sobie, jak by było pięknie, gdyby i Diana należała do naszego kompletu. Ale nie ma doskonałości na tym niedoskonałym świecie, mawia pani Linde i chociaż trudno powiedzieć, że pani Linde umie kogoś pocieszyć, przyznać jednak trzeba, że często wypowiada bardzo rozumne zdania. Wydaje mi się, że nasze wykłady będą niezmiernie zajmujące. Janka i Ruby też chcą się uczyć, by zostać nauczycielkami; jest to szczyt ich ambicji. Ruby mówi, że będzie dawać lekcje tylko przez dwa lata po skończeniu, a potem zamierza wyjść za mąż. Janka chce całe życie poświęcić nauczycielstwu i nigdy, nigdy nie wyjść za mąż. Twierdzi bowiem, że jako nauczycielka będzie zarabiała, a mąż nie płaci żadnej pensji i w dodatku gniewa się, gdy żona żąda udziału w zarobkach z wyrobu masła i sprzedaży jaj. Domyślam się, że Janka mówi to na podstawie smutnego doświadczenia, bo pani Linde powiada, że jej ojciec to skończony stary zrzęda i

skąpi-radło jakich mało. Józia Pye dowodzi, że ona podejmuje studia dla samej nauki, bo przecież nie będzie potrzebowała zarabiać na swe utrzymanie. Twierdzi, że inaczej rzecz się ma z sierotami żyjącymi z cudzej łaski... te muszą pracować. Moody Spurgeon ma zamiar zostać pastorem. Pani Linde mówi, że on nie może być niczym innym, jeśli ma przynieść zaszczyt nazwisku, jakie nosi\*. Zdaje mi się, że nie jestem złośliwa, Marylo, ale naprawdę myśl o Moody Spurgeonie w roli pastora pobudza mnie do śmiechu. On jest przecież taki pocieszny z tą tłustą, okrągłą twarzą, z maleńkimi, niebieskimi oczyma i uszami odstającymi jak dwie kłapy! Być może jednak, że gdy podrośnie, zyska inteligentniejszy wyraz twarzy. Karolek Sloane już postanowił obrać karierę polityczną i zostać członkiem parlamentu, ale pani Linde twierdzi, że nie ma dla niego przyszłości na tej drodze, bo Sloane'owie to są uczciwi ludzie, a w obecnych czasach tylko łotrzy robią karierę w polityce.

- A czemu Gilbert Blythe postanowił się poświęcić? - spytała Maryla, widząc, że Ania otwiera swego „Cezara”.

- Nieciekawa jestem ambicji życiowych Gilberta Blythe... jeśli w ogóle je posiada - odrzekła Ania pogardliwie.

Pomiędzy Gilbertem a Anią zawrzało obecnie otwarte współzawodnictwo. Dawniej raczej tylko jedno z nich dążyło do zajęcia pierwszego miejsca, ale teraz nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że Gilbert, na równi z Anią, zdecydowany jest zostać prymusem. W istocie był to przeciwnik godny jej w zupełności. Reszta seminarzystów uznała milcząco ich wyższość i nikomu nie wpadło na myśl stanąć z nimi do walki.

Od owej chwili, gdy Ania nad stawem odmówiła prośbie Gilberta, ten - poza współzawodnictwem w nauce - ignorował najzupełniej jej istnienie. Gawędził i żartował z innymi koleżankami, pożyczał im książki, omawiał lekcje i plany, od czasu do czasu odprowadzał tę lub inną z kościoła lub Klubu Dyskusyjnego do domu. Tylko Ania Shirley dlań nie istniała.

Ania wkrótce doszła do wniosku, że nieprzyjemnie jest być ignorowaną. Na próżno, dumnie potrząsając głową, mówiła sobie w duchu, że to ją nic nie obchodzi. W głębi swego upartego kobiecego serduszka czuła jednak, że to ją bardzo obchodzi i gdyby raz jeszcze powtórzyć się mogła tamta sytuacja znad Jeziora Lśniących Wód, z pewnością odpowiedziałyby zupełnie inaczej.

I nagle z przerażeniem, które starała się zataić, poczuła, że dawna niechęć, jaką pielęgnowała w sobie ku Gilbertowi, znikła... znikła właśnie wówczas, gdy najbardziej była

---

\* Moody i Spurgeon to nazwiska dwóch najpopularniejszych kaznodziejów w Ameryce (przyp. tłum.).

Ani potrzebna. Na próżno odświeżała w pamięci każdy szczegół owej pamiętnej sceny i starała się wzbudzić w sobie dawne oburzenie. Drgnęło ono po raz ostatni podczas spotkania na stawie. Ania przekonała się, iż przebaczyła urazę i zapomniała, sama nie wiedząc o tym. Ale teraz było już za późno!

Szczęściem ani Gilbert, ani nikt inny, nawet Diana, nie domyślali się ani na chwilę, jak bardzo Ania cierpiała nad tym, że okazała się wówczas tak dumna i nieubłagana! Postanowiła „ukryć swe uczucia w najgłębszym zapomnieniu”. Należy przyznać, że udawało jej się to tak znakomicie, iż sam Gilbert, prawdopodobnie nie tak zupełnie obojętny, jak się to pozornie zdawało, nie mógł się pocieszyć ani jednym bodaj dowodem, że Ania żałowała swego pełnego pogardy odwetu. Jedyną jego pociechą było to, że bezustannie i niemiłosiernie, acz niesprawiedliwie, żartowała z Karolka Sloane.

Zima minęła jak jedno pasmo przyjemnych obowiązków i nauki. Dla Ani dni prześlizgiwały się jak złote paciorki na naszyjniku roku. Była szczęśliwa, pilna, pełna zainteresowań: uczyła się, zdobywała zaszczytne wyróżnienia, miała prześliczne książki do czytania, nowe pieśni, których należało się uczyć do chóru szkoły niedzielnej. Sobotnie popołudnia spędzała zazwyczaj na probostwie w towarzystwie pani Allan i zanim się spostrzegła, wiosna zawitała znowu na Zielone Wzgórze.

Wtedy zapał do nauki ostygł cokolwiek. Podczas gdy większość uczniów i uczennic rozpraszała się po zielonych ścieżkach, pośród cienistych gajów i łąk, pozostający w klasie przyszli seminarzyści spoglądali smutnie przez okna i nagle dochodzili do wniosku, że czasowniki łacińskie i ćwiczenia francuskie utraciły do pewnego stopnia urok, jaki miały podczas surowych zimowych miesięcy. Nawet Ania i Gilbert wolniej i obojętniej posuwali się naprzód i zarówno nauczycielka, jak i uczniowie byli bardzo radzi, kiedy nadszedł koniec roku szkolnego i zajaśniały przed nimi radosne dni wakacji.

- Uczciwie i sumiennie pracowaliście tego roku - rzekła panna Stacy zegnając na ostatniej lekcji swój komplet - i zasłużyliście na przyjemne, wesołe wakacje. Używajcie do syta swobody na świeżym powietrzu i przygotujcie nowy zapas zdrowia, sił i ochoty do pracy w roku przyszłym. Będzie to przełomowa chwila w waszym życiu, ostatni rok przed składaniem egzaminów!

- Czy pani powróci do nas w roku przyszłym? - spytała Józia Pye.

Bo Józia nigdy nie ociągała się z zadawaniem pytań. Tym razem jednak klasa była jej wdzięczna za śmiałość, bo nikt nie odważył się spytać o to panny Stacy, pomimo że niecierpliwie oczekiwano jakiegoś wyjaśnienia w tej kwestii. Od niejakiego bowiem czasu krążyły w szkole alarmujące wieści, że panna Stacy nie powróci po wakacjach, gdyż w

rodzinnym mieście ofiarowano jej posadę nauczycielki w liceum, i sądzono ogólnie, że propozycję tę bez wątpienia przyjmie. Więc przyszli seminarzyści w milczeniu, bez tchu, oczekiwali jej odpowiedzi.

- Owszem, sądzę, że tak - odrzekła panna Stacy. - Miałam zamiar objąć inną szkołę, lecz ostatecznie postanowiłam zostać w Avonlea. Przyznaję, że tak się do was przywiązałam, iż trudno by mi było rozstać się z wami. Pozostanę więc, by doprowadzić was do celu.

- Wiwat! - wykrzyknął Moody Spurgeon.

Kandydat na pastora jeszcze nigdy dotąd nie pozwolił sobie na to, by uczucia poniosły go tak dalece, toteż przez cały tydzień, ilekroć przypominał sobie tę chwilę, czerwienił się z zakłopotania.

- Ach, jakże się cieszę! - rzekła Ania z rozpromienionym wzrokiem. - Kochana panno Stacy, to byłoby okropne, jeśli by pani nas opuściła! Zdaje mi się, iż straciłabym wszelką ochotę do nauki, gdyby inny nauczyciel zajął pani miejsce.

Powróciwszy tego popołudnia do domu, Ania włożyła wszystkie swe szkolne książki do starego kufra na strychu i klucz od niego ukryła na dnie pudełka z różnymi drobiazgami.

- Nie zajrzę do szkolnych książek podczas wakacji! - oznajmiła Maryli. - Pracowałam całą zimę tak gorliwie, jak tylko potrafiłam. Ślęczałam nad tą nieznośną geometrią tak długo, aż wyuczyłam się na pamięć wszystkich twierdzeń i dowodzeń z pierwszej części. Umieję znakomicie, nawet gdy litery są pozmieniane. Czuję się doprawdy zmęczona wszystkim, co jest poważną pracą, i postanowiłam w lecie pozwolić swojej wyobraźni znów bujać swobodnie. O, niech się Maryla nie lęka! Pozwolę jej się rozbijać jedynie w granicach rozsądku. Lecz pragnę spędzić to lato prawdziwie wesoło, gdyż będzie ono ostatnim latem mojego dzieciństwa. Pani Linde mówi, że jeśli w przyszłym roku urosnę tak jak tej zimy, będę musiała włożyć dłuższą suknię. Powiada, że u mnie wszystko idzie w nogi i oczy. A kiedy włożę dłuższą suknię, powinnam umieć zachowywać się w odpowiedni sposób i być pełną godności. Boję się, że wówczas nie wolno mi już będzie wierzyć w elfy, więc też chcę całą duszą nacieszyć się nimi podczas lata. Zdaje mi się, że wakacje tegoroczne przejdą nam bardzo wesoło. Wkrótce z okazji urodzin Ruby Gillis będziemy zaproszone do niej na podwieczorek, a w przyszłym miesiącu ma się odbyć piknik szkoły niedzielnej i koncert na cele misji. Pan Barry znowu przyrzekł, że któregoś wieczora zabierze Dianę i mnie do hotelu w Białych Piaskach, na obiad. Maryla wie, iż tam się je obiady wieczorem. Janka Andrews była tam pewnego razu latem i mówi, że wspaniałe wrażenie sprawiał widok świateł

elektrycznych, mnóstwa kwiatów i strojnie ubranych dam. Janka twierdzi, że wtedy po raz pierwszy poznała, co to jest życie high life'u\*, i nigdy tego nie zapomni.

Nazajutrz po południu pani Linde przyszła się dowiedzieć, dlaczego Maryla nie była na czwartkowym posiedzeniu związku. Skoro nie stawiała się na zebranie, domyślano się, że w domu Cuthbertów zaszło coś niezwykłego.

- Mateusz miał we czwartek lekki atak sercowy - opowiadała Maryla - i nie chciałam zostawić go samego. Co prawda czuje się już znowu zupełnie dobrze, ale podobne ataki zdarzają mu się obecnie coraz częściej i lękam się o niego. Lekarz twierdzi, iż Mateusz powinien wystrzegać się wszelkich wzruszeń. Spełnienie tej rady nie jest trudne, bo Mateusz nigdy nie szukał i nie szuka wzruszeń, ale nie wolno mu też wykonywać żadnej ciężkiej roboty; a Mateuszowi praca jest równie konieczna do życia, jak powietrze do oddychania. Zdejmijże okrycie, Małgorzato. Wszak pozostaniesz u nas na herbacie?

- Jeśli sobie tego życzysz, zostanę chętnie - odpowiedziała pani Małgorzata, która wcale nie miała zamiaru odejść.

Obie panie zasiadły wygodnie w bawialni, a Ania zajęła się przygotowywaniem herbaty i grzanek, tak cienkich i rumianych, że mogły wytrzymać krytykę nawet pani Małgorzaty.

- Muszę przyznać, że Ania wyrosła na dzielne dziewczę - rzekła pani Małgorzata, kiedy po zachodzie słońca Maryla odprowadzała ją na drogę. - Musi ci być ona wyręką nie lada.

- Jest nią w istocie - odpowiedziała Maryla - a w ostatnich czasach stała się też o wiele poważniejsza i bardziej systematyczna. Z początku lękałam się, że pozostanie na zawsze taką postrzeloną kozą, ale obecnie mogę jej we wszystkim zaufać.

- Nie uwierzyłamby nigdy w taką przemianę, wówczas gdy zobaczyłam ją u was po raz pierwszy trzy lata temu - rzekła znowu pani Linde. - Boże miłosierny, nie zapomnę nigdy sceny, jaką mi ona wtedy urządziła. Powróciwszy tamtego wieczoru do domu, powiedziałam do Tomasza: „Pamiętaj moje słowa, Tomaszu. Maryla Cuthbert pożałuje tego, co uczyniła”. Ale omyliłam się i rada jestem temu. Szczęściem, Marylo, nie należę do tych ludzi, którzy nigdy nie chcą przyznać, że się pomylili. Nie, nie należę do nich. Pomyliłam się w ocenie Ani, lecz nic w tym dziwnego, gdyż oryginalniejszego i bardziej niezwykłego dziecka nie było chyba na świecie. Wszelkie słuszne wnioski, które nie zawodzą w stosunku do innych dzieci, nie mogły być zastosowane do niej. Zdziwiająca jest, jak bardzo zmieniła się przez

---

\* High life - wyższe sfery towarzyskie.

trzy lata, szczególnie jej powierzchowność. Wyrosła na zupełnie ładne dziewczę, chociaż osobiście nie jestem zwolenniczką tych bladych, wielkookich podlotków. Wolę okrągłe buziaki i mocne rumieńce Diany lub Ruby Gillis. Ruby jest bardzo efektowna. A jednak... nie wiem czemu, kiedy widzę Anię w ich towarzystwie, one obok niej wyglądają pospolicie i ciężko, chociaż są od niej o wiele ładniejsze. Zupełnie jak te białe czerwcowe lilie, które Ania nazywa narcyzami, obok wielkich, czerwonych piwonii.

## XXXI.

### ZWIERZENIA

Ania w istocie spędziła to lato wesoło i używała go z całej duszy. Wraz z Dianą przebywały całymi dniami poza domem, napawając się urokiem, jaki potrafiły przed nimi roztoczyć Aleja Zakochanych, Źródło Nimf Leśnych, Szum Wierzb i Wyspa Wiktorii. Maryla nie broniła Ani tej swobody. Lekarz ze Spencervale, który owej pamiętnej nocy odwiedził Minnie chorą na krup, spotkał Anię na początku wakacji w domu jednego ze swych pacjentów. Przyjrzał jej się bystrym wzrokiem, wydał usta, pokiwał głową i za pośrednictwem jakiejś znajomej kazał Maryli powiedzieć:

- Niechaj to rudowłose dziewczątko spędzi całe lato na powietrzu i nie zagłąda do książek, zanim nie nabierze większej sprężystości w ruchach.

Poselstwo to przeraziło niezmiernie Marylę. Wyobraziła sobie, że Ania bezwarunkowo umrze na galopujące suchoty, jeśli polecenie lekarza nie zostanie skrupulatnie wykonane. Wskutek tego Ania użyła rozkoszy lata w takim stopniu, w jakim swoboda i wesołość mogły na to pozwolić. Odbywała przechadzki, wiosłowała, zbierała jagody i marzyła, ile tylko pragnęła. A kiedy nadszedł wrzesień, była znowu rześka, o promieniejących oczach, ruchach niezmiernie sprężystych, które bez wątplenia zadowolilyby lekarza ze Spencervale, z sercem pełnym ochoty do pracy i ambitnych planów.

- Pragnę z całych sił zająć się nauką - oświadczyła przyniosłszy ze strychu wszystkie książki. - O, wy dobrzy, starzy towarzysze! Jakże się cieszę, że widzę znowu wasze pocziwe oblicza... nawet i twoje, geometrio! Przeżyłam cudne lato, Marylo, i gotowa jestem radośnie wziąć na swe barki cały ciężar życia, jak powiedział pan Allan w swym ostatnim niedzielnym kazaniu. Czy pan Allan nie mówi prześlicznie? Pani Linde twierdzi, że jest on coraz wymowniejszy i że niewątpliwie lada dzień porwą go do dużego miasta, a my będziemy zmuszeni znowu szukać i uczyć niedowarzonych mówców. Ale nie widzę powodu, aby z góry się tym martwić. Prawda, Marylo? Wolę się cieszyć obecnością pana Allana, jak długo jest z nami. Gdybym ja była mężczyzną, zdaje mi się, że zostałabym pastorem. Może on wywierać taki dobroczynny wpływ, jeśli jest rozumnym człowiekiem. I jakież to zadowolenie dla przemawiającego, gdy potrafi pięknym kazaniem wzruszyć serca swych słuchaczy! Dlaczego kobiety nie mogą być pastorami, Marylo? Pytałam o to pani Linde. Oburzyła się i powiedziała, że to byłby skandal! Mówiła też, że w Stanach Zjednoczonych kobiety mogłyby być pastorami i zdaje się, że już nawet są, ale w Kanadzie, szczęściem, nie dojrzelismy



jeszcze do tego i ona ma nadzieję, że społeczeństwo na to nigdy nie zezwoli. Nie pojmuję dlaczego. Mnie się wydaje, że kobiety byłyby znakomitymi pastorami. Ilekroć chodzi o jakiś cel społeczny, o jakiś koncert czy odczyt dla zebrania większej sumy pieniędzy, zawsze kobietom powierza się całą krzątaninę koło tych spraw i całą robotę. Jestem pewna, że pani Linde umie się modlić równie dobrze, jak nasz kierownik, pan Bell, i nie wątpię, że po krótkiej praktyce mówiłaby kazania równie dobrze, jak on.

- O, bez wątpienia potrafiłaby - dodała Maryla z przekąsem. - Przecież bezustannie na wszystkie strony wygłasza kazania. Nikomu w Avonlea nie uda się przeszkrobać czegoś, na co pani Linde nie zwróciłaby uwagi.

- Marylo - rzekła Ania w przystępie zaufania - chciałabym zwierzyć się z czymś Maryli i zapytać o radę. Myśl ta gnębi mnie strasznie, szczególnie w niedzielę po południu, kiedy mam więcej czasu na rozmyślanie. Otóż staram się być dobrą. Ilekroć jestem z Marylą, z panią Allan lub z panną Stacy, staram się o to gorliwiej niż kiedykolwiek, pragnę, by moje postępowanie było wedle waszych zasad i byście je pochwalały. Lecz kiedy znajduję się w towarzystwie pani Linde, czuję się strasznie niedobra i korci mnie, by zrobić właśnie to, co ona uważa za niewłaściwe. Doznaję pod tym względem jakiejś nieprzewyciężonej pokusy. No i co wydaje się Maryli przyczyną tego? Czy jestem naprawdę taka zła i niepoprawna?

Maryla spojrzała na swą wychowankę z wahaniem, po czym roześmiała się serdecznie.

- Jeśli ty taka jesteś, Aniu, to chyba i ja nie jestem lepsza, bo oto przyznam ci się, że Małgorzata wywiera podobny wpływ i na mnie. Nieraz wydaje mi się, że o wiele lepiej oddziaływałyby na ludzi, gdyby ich tak nie nakłaniała do czynienia dobra. Powinien by istnieć specjalny zakaz strofowania. Ale nie powinnam tak mówić. Małgorzata jest w gruncie rzeczy dobrą kobietą i ma dobre zamiary. Nie ma poczciwszej duszy ani też uczynniejszej kobiety w całej Avonlea.

- Cieszę się bardzo, że Maryla jest tegoż zdania, co i ja - rzekła Ania. - To dodaje otuchy. Teraz nie będę już tak się martwić tą sprawą. Chociaż prawdopodobnie znajdą się inne sprawy, które będą mi cięższe. Co chwila inna kwestia do rozważenia... co chwila coś innego, co nie daje spokoju. Rozstrzygniesz jedną sprawę, a już nasuwa się następna. Nad tak wielu kwestiami należy się zastanowić i tyle rozstrzygać z chwilą, gdy dorastamy! Przez cały czas jestem pochłonięta rozmyślaniami i decydowaniem, co jest słuszne, a co nie. Toż to bardzo poważna rzecz stać się dorosłą! Prawda, Marylo? Lecz mając takich dobrych przyjaciół, jak Maryla, Mateusz, pani Allan, panna Stacy, powinnam wyrosnąć na dzielną kobietę; w przeciwnym razie byłaby to już moja własna wina. Czuję na sobie wielką

odpowiedzialność, gdyż stoję przed możliwością, która się nie powtórzy. Jeśli nie wyrosnę na taką, jaką być powinnam, nie będę przecież mogła się cofnąć i zacząć na nowo. Urosłam dwa cale tego lata, Marylo. Pan Gillis mierzył mnie, kiedyśmy były na podwieczorku urodzinowym u Ruby. Cieszę się niezmiernie, że Maryla uszyła mi nowe, dłuższe sukienki. Ta ciemnozielona jest prześliczna i Maryla poczciwie uczyniła przybierając ją falbaną. Wiem, że to nie było konieczne, lecz falbany są teraz tak bardzo modne i Józia Pye ma wszystkie suknie z falbanami. Z pewnością będę teraz jeszcze pilniejsza w nauce. Mam takie przyjemne uczucie gdzieś na dnie serca z powodu tej falbany. - W takim razie dobrze się stało, że ją zrobiłam - przyznała Maryla.

Panna Stacy powróciwszy do szkoły w Avonlea zastała swoich wychowanków równie jak poprzednio chętnych do nauki. Szczególnie wyteżał swe siły komplet przyszłych seminarzystów... W dali bowiem, w końcu roku szkolnego, rzucając mglisty cień na całą pozostającą do przebycia drogę, wyłaniało się już widmo „wstępnego egzaminu”, na myśl o którym serduszko każdego z uczących się zamierało z trwogi. Wyobrazić sobie, że się nie zda! Myśl ta nawiedzała Anię podczas pracowitych godzin zimowych, nawet w niedzielne popołudnia, nie pozostawiając czasu na żadne inne problemy. Ilekroć trażyły ją ciężkie sny, widziała siebie wpatrującą się w listę kandydatów, którzy zdali szczęśliwie egzamin do seminarium. Na pierwszym miejscu widniało wypisane wielkimi literami nazwisko Gilberta Blythe, jej zaś nazwiska nie było tam wcale.

Pomimo to zima była wesola, pełna zajęć i mijała prędko. Wykłady były tak zajmujące, współzawodnictwo w klasie jednakowo żywe jak dawniej. Nowe światy myśli, uczuć i ambicji, świeże, niezbadane horyzonty wiedzy otwierały się przed ciekawymi oczami Ani.

Było to w dużej części zasługą taktownego, starannego i rozumnego kierownictwa panny Stacy. Uczyła swych wychowanków samodzielnie myśleć, korzystać z wiedzy, na własną rękę szukać rozwiązań i dodawała im bodźca do porzucenia starych, wydeptanych dróg w tym stopniu, iż niepokoiło to panią Linde oraz komitet szkolny, odnoszący się do wszelkich nowych metod raczej z powątpiewaniem.

Poza nauką Ania używała też częstszych niż dawniej rozrywek, ilekroć nadarzała się sposobność, gdyż Maryla, pamiętając polecenie lekarza, nie broniła jej tego. Klub Dyskusyjny rozkwitał i zorganizował kilka koncertów. Odbyło się też parę zebrań towarzyskich, które były już prawie zebraniem dorosłych. Ania odbywała też przejażdżki saniami i często jeździła na łyżwach. A jednocześnie rosła tak prędko, tak szybko wystrzeliła w górę, że

pewnego dnia Maryla, stanąwszy za nią przypadkiem, aż krzyknęła ze zdumienia, spostrzegłszy, że dziewczynka jest wyższa od niej.

- Ależ, Aniu, jakżeś ty urosła! - rzekła prawie z niedowierzaniem.

Po tych wyrazach nastąpiło głębokie westchnienie. Maryla poczuła dziwny smutek z powodu tych dodatkowych cali wzrostu. Bo oto zniknęło dziecko, które nauczyła się kochać, a na jego miejscu stało smukłe dziewczę lat piętnastu, o poważnym wejrzeniu, myślącym czole i dumnie zadartej główce. Maryla kochała to dziewczę równie gorąco, jak kiedyś tamto dziecko, lecz jednocześnie doznawała niezwykłego poczucia utraty czegoś. I kiedy tego wieczora Ania udała się wraz z Dianą na zebranie, Maryla, siedząc samotna w zimowym półmroku, nie potrafiła powstrzymać się od łez. Mateusz, wszedłszy właśnie z latarką, zdziwił się niepomniernie i stropił, tak że Maryla musiała się przez łzy roześmiać.

- Myślałam o Ani - objaśniła. - Zmieniła się niezmiernie! Rosła to już dziewczę i opuści nas prawdopodobnie przyszłej zimy. Będzie mi jej brakowało na każdym kroku.

- Wszak może często przyjeżdżać do domu - pocieszał Mateusz, w którego oczach Ania pozostała na zawsze małą, roztropną dziewczynką, jaką przywiózł ze stacji kolejowej w ów wieczór czerwcowy przed czterema laty. - W tym roku przecież zbudowana zostanie nowa linia kolejowa do Carmody.

- Będzie to zupełnie co innego niż mieć ją stale w domu - westchnęła Maryla, zdecydowana pogрузić się w swym smutku. - Ale cóż... wy, mężczyźni, nie rozumiecie tych uczuć!

I inne zmiany, wcale nie mniej znaczne od fizycznych, można było zauważyć w Ani. Przede wszystkim stała się o wiele spokojniejsza. Być może, iż myślała i marzyła tyle co i dawniej, lecz niewątpliwie mówiła mniej. Maryla i na to zwróciła uwagę.

- Nie szczebioczysz ani w części tyle „po dawniej, Aniu, i nie używasz też tylu przesadnych wyrażen. Cóż to się stało?

Ania zarumieniła się i uśmiechnęła, po czym odłożyła czytana przed chwilą książkę i marzącym wzrokiem spojrziała przez okno, gdzie wielkie, czerwone pąki dzikiego wina wychylały się w odpowiedzi na ciepłe promienie wiosennego słońca.

- Nie wiem... nie czuję potrzeby mówienia tyle - rzekła w zamyśleniu, opierając podbródek na palcu. - Przyjemniej jest mieć ukochane, piękne myśli i przechowywać je w swym sercu jak skarby. Nie chcę, by inni je wyśmiewali lub dziwili się im. I nie pragnę jakoś używać górnolotnych zwrotów. Szkoda nawet, że teraz, kiedy dorosłam i wolno mi ich używać, nie dbam o to. Miło jest być dorosłym... pod pewnymi względami, lecz stanowczo nie jest to aż tak wielka przyjemność, jak sobie wyobrażałam. Tyle jest nauki, tyle pracy, tyle

do myślenia, że nie ma czasu na górnolotne wystawianie się. Poza tym panna Stacy uważa, iż krótkie słowa są mocniejsze i wymowniejsze. Wszelkie wypracowania każe nam pisywać stylem możliwie prostym. Z początku trudne to było zadanie. Przywykłam nagromadzać najrozmaitsze napuszone wyrażenia, jakie tylko potrafiłam wymyślić, a miałam ich zawsze bez liku. Teraz nauczyłam się mówić inaczej i rozumiem, że tak jest lepiej.

- A cóż się stało z waszym klubem powieściowym? Już dawno nic o nim nie słyszałam  
- spytała znowu Maryla.

- Klub powieściowy przestał już istnieć. Nie mamy czasu, a przy tym byliśmy już nim znużone. Jaka głupia była ta pisanina o miłości, zbrodniach, ucieczkach i tajemnicach. Panna Stacy dla wprawy każe nam od czasu do czasu pisywać jakieś opowiadania, lecz pozwala jedynie na coś takiego, co mogłybyśmy osobiście przeżyć w Avonlea. Sama jest bardzo surowym sędzią i nam także zaleca surowość w ocenie tego, co piszemy. Nie sądziłam nigdy, zanim same nie zaczęłyśmy krytykować swoich prac, że moje wypracowania mają tyle błędów. Wstydziłam się tak bardzo, że postanowiłam w ogóle nie pisywać, ale panna Stacy powiedziała, że mogę nauczyć się pisać dobrze, jeśli przyzwyczaję się sama najsurowiej krytykować własną robotę. Więc też próbuję.

- Dwa miesiące dzielą cię tylko od egzaminu - rzekła Maryla - Czy myślisz, że zdasz?  
Ania zadrżała.

- Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że zdam jak najlepiej... innym razem strach mnie ogarnia, kiedy o tym pomyślę... Pracowaliśmy bardzo gorliwie i panna Stacy była niezmordowana, mimo to możemy jednak ściąć się. Każde z nas ma swoją piętę Achillesową. Moją jest, rozumie się, geometria, Janki - łacina, Ruby i Karolka - algebra, a Józi - arytmetyka. Moody Spurgeon mówi, że czuje w kościach, iż zetnie się z historii Anglii. Panna Stacy urządzi nam w czerwcu egzamin próbny, równie ciężki jak ten, który zadecyduje o przyjęciu do seminarium, i będzie nas równie surowo oceniała. W ten sposób nabierzemy pojęcia, co umiemy. Ach, jakże pragnę, aby już było po wszystkim! Myśl ta nie daje mi spokoju. Nieraz budzę się w nocy i rozmyślam, co zrobię, jeśli nie zdam.

- Będiesz wtedy jeszcze rok chodziła do szkoły, a następnie będziesz zdawać po raz drugi - rzekła Maryla tonem obojętnym.

- O, nie wyobrażam sobie, bym miała tyle hartu duszy. Co za wstyd nie zdać, szczególnie jeśli Gil... jeśli inni zdadzą. Wiem dobrze, iż na egzaminie będę tak zdenerwowana, że gotowam pomylić wszystko. Pragnęłabym mieć nerwy Janki Andrews. Nic nie potrafi wyprowadzić jej z równowagi.

Ania westchnęła i odrywając wzrok od czarów młodej wiosny, witającej świat błękitem nieba i lekkim powiewem wietrzyka oraz zapachem młodych pąków rozwijających się w ogrodzie, znowu zatopiła oczy w książce. Nadejdą i inne wiosny, lecz Ania była przekonana, że jeśli nie złoży chlubnie egzaminu do seminarium, nigdy już nie potrafi odpowiednio cieszyć się ich urokiem.

## XXXII.

### OGŁOSZENIE LISTY PRZYJĘTYCH

Z końcem czerwca nadszedł też i koniec nauki oraz kierownictwa panny Stacy w szkole Avonlea. Ania i Diana powracały tego popołudnia do domu w bardzo smutnym nastroju. Zaczerwienione powieki i mokre chustki do nosa były przekonywającym świadectwem, że pożegnanie panny Stacy musiało być co najmniej równie wzruszające jak rozstanie, w podobnych okolicznościach, z panem Phillipsem przed trzema laty. Diana, przystanąwszy u podnóża porośłego świerkami pagórka, raz jeszcze obejrzała się na budynek szkolny i westchnęła.

- Czy nie wydaje ci się, że to już koniec wszystkiego? - spytała smutnie towarzyszki.

- Przecież tobie, Dianio, nie powinno być ani w części tak przykro jak mnie - rzekła Ania, na próżno szukając suchego miejsca w swej chustce do nosa. - Ty przecież powrócisz tu w roku przyszłym, ale ja prawdopodobnie pożegnam naszą ukochaną szkołę na zawsze... rozumie się, jeśli mi szczęście dopisze.

- To już zupełnie co innego. Nie będzie pośród nas panny Stacy ani ciebie, ani Ruby, ani też Janki. Nikt nie zasiądzie na ławce obok mnie, gdyż nie zgodzę się na żadne sąsiedztwo. Nikt nie zastąpi mi ciebie. Przeżyliśmy wiele miłych chwil, Aniu, prawda? Strasznie mi jest, gdy pomyślę, że to wszystko już minęło bezpowrotnie.

Dwie wielkie łzy stoczyły się po policzkach Diany.

- Gdybyś ty przestała płakać, Dianio, to i ja bym może potrafiła zapanować nad wzruszeniem - rzekła błagalnie Ania. - Ilekroć schowam chustkę do nosa, a spojrzę na twoje oczy tonące we łzach, płacz znowu ściska mnie za gardło. A mimo wszystko wydaje mi się, że jednak powrócę do szkoły w przyszłym roku. Są to chwile, w których jestem pewna, że nie zdam. Chwile te zdarzają mi się, niestety, coraz częściej.

- Cóż znowu! Zdałaś świetnie egzamin urządzony przez pannę Stacy.

- Tak, ale ten egzamin nie niepokoił mnie. Kiedy zaś myślę o tamtym, czuję zimny dreszcz wokół serca. A przy tym będę trzynastą z kolei. Józia Pye powiada, że to feralna liczba. Nie jestem przesądna i wiem, że to nie może mieć wpływu. Jednakże wolałabym nie być trzynastą.

- Chciałabym być tam z tobą - rzekła Diana. - Świetnie spędziłybyśmy ten czas. Myślę jednak, że będziesz musiała kuć wieczorami, prawda?

- Nie, panna Stacy kazała nam przyrzec, że absolutnie nie zajrzemy do książek. Mówi, że to nas tylko zmęczy i pogmatwa w głowach, że powinniśmy spacerować, zupełnie nie myśleć o egzaminach i chodzić wcześniej spać. To dobra rada, lecz obawiam się, że trudno będzie jej usłuchać. Prissy Andrews mówiła mi, że podczas egzaminów siadywała codziennie nad książkami długo po północy i kuła na zabój; wtedy postanowiłam siedzieć co najmniej tak długo jak ona. Jak uprzejmie postąpiła twoja ciotka Józefina zapraszając mnie, bym zamieszkała w Beechwood, gdy przyjadę do miasta.

- Napiszesz do mnie stamtąd, prawda?

- Napiszę we wtorek' wieczorem i opowiem ci, jak minął pierwszy dzień - przyrzekła Ania.

- Nie ruszę się z poczty ani na chwilę przez całą środę - zapewniała Diana przyjaciółkę.

W następny poniedziałek Ania pojechała do miasta, a w środę, wedle umowy, Diana czekała na poczcie, gdzie odebrała obiecany list.

*Najdroższa moja Diano - pisała Ania - oto jest wtorek wieczór i piszę te słowa w bibliotece Beechwood. Wczoraj wieczorem było mi strasznie smutno samej w moim pokoju. Jakże żałowałam, iż Ciebie nie było! Nie mogłam „kuć”, gdyż przyrzekłam pannie Stacy, że tego nie zrobię. Ale wierzaj, iż równie trudno było mi się powstrzymać od przeglądania podręcznika historii, jak w swoim czasie od czytania powieści przed odrobieniem lekcji.*

Dziś rano panna Stacy przysłała po mnie i udałyśmy się razem do seminarium, zabierając po drodze Jankę, Ruby i Józię. Ruby kazała mi dotknąć swych rąk: były zimne jak lód. Józia zauważyła, iż wyglądam, jakbym nie spała ani jednej chwili przez całą noc, i dodała, że nie wierzy, bym była dość silna, aby wytrzymać studia nauczycielskie, nawet gdybym zdała egzaminy. Bywają i teraz jeszcze takie chwile, w których mi się zdaje, że uczyniłam niewielkie postępy w moich uczuciach względem Józi.

Zbliżając się do seminarium, spotykałyśmy całe gromady studentów przybyłych ze wszystkich stron naszej wyspy. Pierwszy, którego przywitałyśmy, był to Moody Spurgeon, który siedział na schodach i mrucał coś do siebie. Janka spytała go, co robi. Odpowiedział, iż powtarza tabliczkę mnożenia ciągle, bezustannie, aby w ten sposób uspokoić swe nerwy, i prosi, byśmy, na miłość boską, nie przerywały mu, gdyż jeśli się na chwilę zatrzyma, strach przed egzaminem znowu go ogarnie i z pewnością zapomni wszystkiego, co umie. Tylko tabliczka mnożenia utrzymuje ład w jego głowie.

Kiedy nas rozmieszczono w rozmaitych pokojach, panna Stacy odeszła pozostawiając nas własnym losom. Janka i ja siedziałyśmy obok siebie, a Janka była tak spokojna, że jej

szczerze zazdrościłam. Niepotrzebna był tabliczka mnożenia tej poważnej, poczciwej i mądrej Jance! Ciekawa byłam, czy też wyglądam, na taką, jaką się czułam, i czy obecni słyszeli, jak mocno kołatało moje serce. Następnie nadszedł jakiś pan i rozdał tematy z literatury angielskiej. Wtedy poczułam, że ręce moje lodowacieją, a kiedy sięgnęłam po papier, w głowie mi się mąciło. Straszna to była chwila, Diano! Czułam się zupełnie tak samo jak cztery lata temu, wówczas gdy zapytywałam Marylę, czy będę mogła pozostać na Zielonym Wzgórzu... a potem rozjaśniło mi się w głowie i serce znowu zaczęło bić... Zapomniałam napisać, iż zatrzymało się na chwilę. Zrozumiałam bowiem, że potrafię sobie dać radę z tym tematem.

*W południe wróciliśmy do domu na obiad, a potem znowu do seminarium na egzamin z historii. Temat dostałam dość trudny i strasznie mi się poplątały daty. Bądź co bądź jednak, zdaje mi się, że dzisiejszy dzień minął niezłe. Ale jutro, Diano, egzamin z geometrii! Gdy to sobie uprzytomnia, załamuje się na chwilę moje postanowienie, że nie otworzę Euklidesa\*. Jeślibym przypuszczała, że tabliczka mnożenia mogłaby mi pomóc, powtarzałabym ją od tej chwili aż do jutra rano.*

Wieczorem wyszłam na godzinę, aby odwiedzić nasze dziewczęta. Po drodze spotkałam Moody Spurgeona, który z nieprzytomną miną błąkał się po ulicy. Skarżył się, że wie dobrze, iż ściał się z historii, że przyszedł na świat na utrapienie swych rodziców, że powróci do domu rannym pociągiem i że łatwiej byłoby mu zostać szewcem niż pastorem. Staralam się wlać weń nieco otuchy i namówić, aby pozostał do końca, bo w przeciwnym razie będzie to nie w porządku wobec panny Stacy. Nieraz bywało, że pragnęłam urodzić się chłopcem, ale kiedy widzę Moody Spurgeona, cieszę się zawsze, iż jestem dziewczyną, i to nie jego siostrą.

Ruby zastałam w pensjonacie, gdzie mieszka, tonącą we łzach. Odkryła właśnie straszną omyłkę, jaką popełniła w swojej odpowiedzi z literatury. Gdy się nieco uspokoiła, poszliśmy do miasta i wstąpiliśmy na lody śmietankowe. Jakże pragnęłam, byś Ty była z nami!

Ach, Diano, gdybyż tylko ten egzamin z geometrii już minął! Pani Linde powiedziałaaby, że słońce wstanie i zajdzie bez względu na to, czy przepadnę z geometrii, czy też nie. Jest to prawda, ale niestety, wcale nie pocieszająca. Ja wołałabym, by raczej nie wstało, gdybym się ściała!

*Twoja kochająca Cię*

---

\* Euklides (żył około 300 r. p.n.e.) - słynny matematyk grecki.



W dwa dni zostały zakończone egzaminy z geometrii oraz wszystkie inne i w piątek wieczorem Ania powróciła do domu, zmęczona, ale z wyrazem triumfu na twarzy. Diana oczekiwała ją na Zielonym Wzgórzu i przywitały się jak po kilkuletnim rozstaniu.

- Jakże się cieszę, kochanie, że cię widzę znowu! Wiekiem mi się wydawał czas twojej nieobecności. No i jakże ci się powiodło, Aniu?

- Bardzo dobrze, zdaje mi się, we wszystkim prócz geometrii. Nie wiem, czy się z niej ścięłam, czy też nie, lecz mam jakieś smutne przeczucie, iż nie zdałam z tego nieszczęsnego przedmiotu. Ach, jakże cudnie jest być znowu w domu! Zielone Wzgórze to najdroższy, najmilszy kącik na świecie!

- A jak inni zdali?

- Dziewczęta twierdzą, że przepadły, ale ja sądzę, że wszystkie zdały dobrze. Józia mówi, iż zadanie geometryczne było tak łatwe, że dziesięcioletnie dziecko potrafiłoby je rozwiązać! Moody Spurgeon ciągle jeszcze myśli, iż przepadł z historii, Karolek zaś, że ściął się z algebry. Ale właściwie nic nie wiemy pewnego, a przekonamy się dopiero, gdy się ukaże lista przyjętych. Będzie to za dwa tygodnie, nie wcześniej! Pomyśl tylko, przeżyć dwa tygodnie w podobnej niepewności! Pragnęłabym zasnąć i zbudzić się dopiero, gdy wszystko minie.

Diana wiedziała, że bezcelowe byłoby pytanie o Gilberta Blythe, więc rzekła tylko:

- O, ty z pewnością zdałaś dobrze. Bądź spokojna!

- Wolałabym nie zdać wcale, jeśli nie mogę znajdować się wśród pierwszych na liście!  
- wybuchnęła Ania.

Czuła bowiem - Diana domyśliła się tego - że szczęście jej byłoby niepełne i zabarwione goryczą, jeśliby jej nazwisko znalazło się za nazwiskiem Gilberta Blythe.

Ten bowiem cel mając na oku, Ania wyteżala wszystkie swe zdolności umysłowe podczas egzaminów. To samo czynił i Gilbert. Spotykali się i mijali na ulicach dziesiątki razy, udając, że się wcale nie znają. Lecz im Ania dumniej zadzierała głowę i mocniej żałowała, że nie pogodziła się z Gilbertem, gdy ją o to prosił, tym goręcej życzyła sobie prześcignąć go w egzaminach. Wiedziała, iż cała młodzież Avonlea interesuje się, kto z nich będzie pierwszy, wiedziała, że Jimmy Glover i Ned Wright założyli się nawet o to, a Józia Pye twierdziła, że nie ma żadnej wątpliwości, iż Gilbert zdobędzie palmę pierwszeństwa. Ania czuła, że nie zniesie upokorzenia, gdyby mu się dała wyprzedzić.

Jeszcze inny, bardziej szlachetny powód kierował nią w tej sprawie. Pragnęła „zdać świetnie” ze względu na Mateusza i na Marylę... Zwłaszcza na Mateusza, który był

przekonany, że ona będzie „pierwsza na całej wyspie”. Ania czuła, że takie przypuszczenie byłoby szalone w najśmielszych nawet marzeniach, lecz życzyła sobie gorąco znaleźć się na liście bodaj pomiędzy pierwszymi dziesięcioma, aby móc ujrzeć pocziwe, brązowe oczy Mateusza błyszczące dumą z powodu jej zwycięstwa. Czuła, iż chwila ta będzie słodką nagrodą za całą jej ciężką pracę i cierpliwe borykanie się z odmianami cudzoziemskich czasowników.

Przy końcu drugiego tygodnia Ania zaczęła także pilnie „odwiedzać” pocztę w towarzystwie Janki, Ruby i Józi. Drżącymi rękami przerzucały dzienniki Charlottetown, doznając przy tym wzruszeń nie mniej silnych jak podczas egzaminów w seminarium. Nawet Karolek i Gilbert zniżali się do tego stopnia, że zaglądali tam od czasu do czasu; jedynie Moody Spurgeona stale brakło w ich gronie.

- Nie mam odwagi pójść tam, aby z zimną krwią przeglądać dzienniki - zwierzył się Ani. - Wolę poczekać, dopóki ktoś trzeci nie powie mi nagle, że zdałem albo nie.

Kiedy po trzech tygodniach lista przyjętych nie ukazała się jeszcze, Ania czuła, że nie potrafi dłużej znieść tego wyczekiwania. Straciła apetyt i zaczęła się mniej zajmować codziennymi sprawami Avonlea. Pani Linde z przekąsem twierdziła, że nie można było spodziewać się czego innego po konserwatywnym ministrze oświaty, a Mateusz, zauważywszy bladość, przygnębienie i ociężały krok Ani powracającej codziennie po południu z poczty do domu, zaczął poważnie się zastanawiać, czy nie byłoby słuszniej w czasie przyszłych wyborów głosować za liberałem.

Lecz oto jednego wieczora nadeszła wielka nowina. Ania siedząc u otwartego okna, zapomniawszy na chwilę o egzaminach i o innych niedolach i troskach życia, napawała się pięknem letniego zmierzchu przepojonego słodką wonią kwiatów ogrodowych oraz szumem poruszanych przez wiatr topoli. Niebo na wschodzie ponad jodłami było jeszcze lekko zaróżowione odblaskiem zachodu i Ania marząc dumiała, czy to nie duch barw schował się poza tymi obłokami. Wtem spostrzegła Dianę pędzącą pomiędzy jodłami, przez most, na wzgórze, powiewającą dziennikiem trzymanym w ręce.

Ania skoczyła z miejsca, zrozumiałwszy natychmiast, co ta gazeta zawiera. Oto lista przyjętych została ogłoszona! Uczuła zawrót głowy, a serce poczęło bić silnie, aż do bólu. Nie mogła postąpić ani jednego kroku. Godziną wydała jej się chwila, podczas której Diana przebiegła schody, się i wpadła do pokoju, nie zapukawszy nawet z wielkiego wzruszenia.

- Aniu, zdałaś! - zawołała. - Zdałaś najlepiej!... Ty i Gilbert, oboje... w jednym rzędzie... lecz twoje nazwisko jest pierwsze! Ach, jaka jestem dumna!

Diana cisnęła dziennik na stół, a sama padła na łóżko Ani, zadyszana, niezdolna więcej mówić.

Ania, przewróciwszy przedtem drżącymi dłońmi podstawkę do zapalek i zużywszy ich z pół tuzina, zdołała wreszcie zapalić lampę. Potem podniosła gazetę. Tak, zdała! Oto nazwisko jej wydrukowano na czele dwustu innych! Warto było żyć dla takiej chwili!

- Spisałaś się wspaniale, Aniu! - wybuchnęła nagle Diana odzyskując mowę i siadając przy stole, gdy tymczasem Ania, zachwycona, z oczami błyszczącymi jak gwiazdy, nie wymówiła ani słowa. - Ojciec przywiózł ten dziennik ze stacji niespełna dziesięć minut temu... nadszedł on południowym pociągiem, a wiesz przecież, że u nas będzie dopiero jutro, wozem pocztowym... kiedy ujrzałam w nim listę przyjętych, chwyciłam go jak szalona i pobiegłam do was. Zdaliście wszyscy, wszyscy bez wyjątku! Moody Spurgeon i wszyscy, chociaż on warunkowo z historii. Janka i Ruby zupełnie dobrze zdały, są na środkowych miejscach, Karolek Sloane także prawie na równi z nimi, Józia Pye prześliznęła się jakimś szczęśliwym trafem, ale przekonasz się, że będzie tak samo zadzierała nosa jak i przedtem. Czy panna Stacy nie będzie zachwycona? Ach, Aniu, jakiego ty musisz doznawać uczucia, widząc swe nazwisko wydrukowane na czele listy! Co za szczęście! Gdybym ja była na twoim miejscu, z pewnością oszalałabym z radości! I teraz nie mogę się wcale uspokoić, gdy tymczasem ty jesteś spokojna i chłodna jak wiosenny wieczór.

- Jestem oszołomiona! - rzekła Ania. - Chciałabym powiedzieć sto rzeczy, lecz nie znajduję słów. Nigdy nie marzyłam o takim szczęściu... owszem - raz! Jeden, jedyny raz przemknęła mi przez głowę myśl: „Gdybym też została pierwszą?” Ale odrzuciłam ją w mgnieniu oka, bo jakże zuchwałe i próżne było przypuszczenie, że miałabym stanąć na czele wszystkich zdających z całej naszej wyspy! Ale przepraszam cię, Dianu, muszę wybiec w pole zanieść tę nowinę Mateuszowi. Potem pójdziemy gościć, by ją oznajmić wszystkim innym.

Pobiegły na łąkę za stodołą, gdzie Mateusz zajęty był składaniem siana. Przypadek zrządził, że pani Linde, stojąc za furtką, gawędziła przy płocie z Marylą.

- Ach, Mateuszu! - wykrzyknęła Ania. - Zdałam i jestem pierwsza... albo jedna z pierwszych! Nie pysznię się tym bynajmniej, ale jestem taka wdzięczna losowi!

- No widzisz. Wszakże byłem pewny tego - odrzekł Mateusz, z zachwytem wpatrując się w listę przyjętych. - Wiedziałem, że z łatwością wyprzedzisz wszystkich.

- Świetnie się spisałaś, Aniu! Muszę ci to przyznać - dodała Maryła starając się ukryć przed krytycznym wzrokiem pani Linde dumę, jaką ją przejęło powodzenie Ani.

Ale ta poczciwa dusza odezwała się bardzo serdecznie:

- Ja także uważam, iż Ania świetnie się spisała, i nie mam zamiaru tego ukrywać. Jesteś chlubą swych przyjaciół, Aniu, i wszyscy jesteśmy z ciebie dumni!

Uroczysty ten dzień zakończyła Ania godziną, spędzoną na plebanii, na miłej, poważnej pogawędce z panią Allan.

Powróciwszy do swego pokoiku, uklękła u otwartego okna i w srebrnym świetle wielkiego księżyca wyszeptała modlitwę pełną dziękczynień i gorących życzeń, płynących wprost z duszy. Wyrażała ona wdzięczność za czas miniony i pokorne prośby na przyszłość. A kiedy wreszcie Ania zasnęła na swej białej poduszce, senne jej marzenia były takie jasne i piękne, jakie tylko szesnastoletnie dziewczę może sobie uroić.

### XXXIII.

#### KONCERT W HOTELU

Włóż koniecznie białą organdynową sukienkę, Aniu - radziła Diana stanowczo.

Obie były w pokoiku na facjatce. Na dworze panował letni zmrok... miły, żółtawozielony zmrok pod lazurowym niebem, czystym, bez najmniejszej chmurki. Wielki, okrągły księżyc, coraz mocniej iskrzący się srebrnym blaskiem, zawisł ponad Lasem Duchów. Powietrze przepełnione było słodkimi dźwiękami letniego wieczora... świergotem zasypiających ptasząt, szelestem kapryśnego wietrzyka, odgłosami dalekich wybuchów śmiechu i wesołych rozmów. Ale w pokoiku Ani roleta była zapuszczona, a lampa paliła się pomimo wczesnej pory, gdyż dziewczęta zajęte tutaj były bardzo ważną sprawą... toalety.

Pokoik na facjatce przybrał zupełnie inny wygląd niż pamiętnego wieczora przed czterema laty, kiedy to Ania odczuła, że nagość jego ścian swym niegościnnym chłodem przejmując ją do szpiku kości. Stopniowo zachodziły w nim zmiany, na które Maryla godziła się z rezygnacją, aż wreszcie powstało istne gniazdko, przytulne i miłe, jakiego młode dziewczę mogło sobie życzyć.

Niewątpliwie nie sprawdziło się jedno z najwcześniejszych rojeń Ani; nie było ani pluszowego dywanu o pąsowych różach, ani jedwabnych pąsowych kotar u drzwi; lecz wraz z wiekiem wyrabiał się również jej gust i prawdopodobnie dziewczynka nie żałowała swych dawnych marzeń. Podłogę pokrywała ładna mata, u wysokiego zaś okna spuszczały się, przyćmiewając światło, bladezielone, muślinowe firanki, kołysane w tej chwili lekkim powiewem wiatru. Ściany nie były zawieszane makatami haftowanymi złotem i srebrem, lecz obite bardzo gustowną tapetą w bladoróżowe kwiaty jabłoni i przybrane kilku dobrymi obrazkami, ofiarowanymi Ani przez panią Allan. Honorowe miejsce zajmowała fotografia panny Stacy, przed którą Ania w dowód swego uczucia stale ustawiała świeże kwiaty.

Tego wieczora wiązanka białych lilii rozsiewała cudowny zapach po pokoju. Nie było w nim także „mahoniowych mebli”, natomiast znajdowała się biała szafka zapełniona książkami, wyplatany fotel bujający, toaletka przystrojona białym muślinem, ładne lustro w złoczonej ramie z różowymi, puciołowatymi amorkami i kiśćmi winogron, wymalowanymi na łukowatym szczycie, dawniej ozdoba gościnnego pokoju Cuthbertów, i niskie, białe łóżko.

Ania ubierała się na koncert w hotelu na Białych Piaskach. Goście kąpieliskowi przeznaczyci dochód z koncertu na potrzeby szpitala w Charlottetown i postarali się o współudział wszystkich talentów amatorskich z okolicy. Berthę Sampson i Pearl Clay z

Białych Piasków poproszono o odśpiewanie duetu; Milton Clark z Newbridge miał zagrać solo skrzypcowe; Winnie Blair z Carmody przyrzekła zaśpiewać jakąś balladę szkocką, a Laura Spencer ze Spencervale i Ania Shirley z Avonlea miały deklamować.

Było to, mówiąc tak, jak się w swoim czasie Ania wyrażała, „epokowe zdarzenie w jej życiu” i nic dziwnego, że dziewczę było niezwykle podniecone. Mateusz nie posiadał się z radości z powodu zaszczytu, jakiego dostąpiła jego Ania, Maryla także podzielała jego zachwyty, chociaż umarłaby raczej, niż przyznałaby się głośno do aprobaty tego, co, jak twierdziła, było nieodpowiednie dla młodzieży. Zabawa w hotelu bez towarzystwa jakiegokolwiek starszej osoby!

Ania i Diana miały pojechać wraz z Janka Andrews i jej bratem Billy’em w ich czteroosobowym kabriolecie. Na koncert wybierało się z Avonlea wiele dziewcząt i młodych ludzi. Spodziewano się też licznych gości z miasta, a po koncercie wszyscy wykonawcy mieli być podejmowani wspólną kolacją.

- Czy naprawdę wydaje ci się, że moja organdynowa suknia będzie najodpowiedniejsza? - pytała Ania niespokojnie. - Nie sądzę, by była równie ładna jak muślinowa niebieska w kwiatki, a bez wątpienia jest mniej modna.

- Ale jest ci w niej bardziej do twarzy - zapewniała Diana. - Jest taka lekka, powiewna i układa się tak miękko. Muślin niebieski jest sztywny i wyglądasz w nim jak „ustrojona”. W białej zaś zdaje się, że stanowisz z nią jedną całość.

Ania westchnęła i zgodziła się na ten wybór. Diana zaczynała zdobywać sobie uznanie jako wyrocznia w sprawach gustu i stroju, a rady jej w takich wypadkach były bardzo cenione. Sama też wyglądała tego wieczora niezwykle ładnie w sukience koloru czerwonej dzikiej róży, barwy, której Ania musiała się wyrzec raz na zawsze. Wobec tego jednaką że Diana nie należała do występujących na koncercie, wygląd jej miał mniejsze znaczenie. Wszelkie swe wysiłki poświęciła więc Ani, która powinna była, także i dla honoru Avonlea, być ubrana, uczesana i przystrojona po królewsku.

- Wyciągnij trochę więcej tę falbankę... ot tak! Pozwól, zawiążę ci szarfę! A teraz pantofle! Zaplotę ci włosy w dwa grube warkocze i w połowie zawiążę wielkimi, białymi kokardami... Nie ściągaj tego jednego loczka na czoło... niech się tak miękko układa! Zbyteczna jest wszelka sztuka, bo w tym uczesaniu jest ci do twarzy, Aniu. Pani Allan twierdzi, że gdy masz włosy tak rozdzielone, wyglądasz jak Madonna. Tę maleńką, białą różyczkę wepnę ci nad uchem. Miałam tylko jedną na krzaku i schowałam ją dla ciebie.

- Czy mam włożyć mój sznurek pereł na szyję? - spytała Ania. - Mateusz przywiózł mi je w zeszłym tygodniu z miasta i jestem pewna, że pragnąłby, abym je włożyła.

Diana wydeła usta, przechyliła swą czarną główkę spoglądając okiem znawcy i wreszcie wydała wyrok na korzyść pereł, które otoczyły smukłą, mlecznobiałą szyję Ani.

- Jest coś bardzo stylowego w tobie, Aniu - rzekła Diana z niekłamanym podziwem. - Trzymasz głowę w tak niezwykły sposób. I masz taką zręczną, wysmukłą postać. Ja jestem istny kloc w porównaniu z tobą. Zawsze obawiałam się tego, ale teraz wiem, że już taka zostanę. Trudno, muszę się z tą myślą pogodzić.

- Masz natomiast rozkoszne dołeczki w buzi - zauważyła Ania uśmiechając się przyjaźnie do ładnej, żywej twarzyczki, pochylonej nad nią. - Słodkie dołeczki, zupełnie jak zagłębienie w kremie. Ja straciłam już nadzieję zdobycia ich kiedykolwiek. Moje marzenie o dołeczkach nie ziści się nigdy, lecz tyle snów moich stało się rzeczywistością, że nie wolno mi się skarżyć... Czy jestem już gotowa?

- Zupełnie gotowa - zapewniła Diana właśnie w chwili, gdy we drzwiach ukazała się Maryla, szczupła jak przed laty, lecz z posiwiałymi włosami i daleko łagodniejszym wyrazem twarzy. - Proszę wejść, Marylo, i obejrzeć naszą deklamatorkę. Czy nie ślicznie wygląda?

Maryla mruknęła coś niezrozumiałego.

- Wygląda ładnie i skromnie. Lubię tak ułożone włosy. Lecz zdaje mi się, że zniszczysz tę sukienkę na kurzu i wilgoci. Jest zbyt lekka na obecne chłodne noce. Organdyna jest najmniej praktycznym materiałem na świecie i powiedziałam to Mateuszowi, gdy miał zamiar ją kupić. Ale obecnie bezcelowe jest czynienie jakichkolwiek uwag panu bratu. Był czas, kiedy słuchał mojej rady, teraz jednak kupuje dla Ani przedmioty zbyteczne i kupcy Carmody wiedzą już, że mogą mi wkręcić, cokolwiek zechcą. Wystarczy, by mu wmówili, że coś jest ładne i modne, a Mateusz bez namysłu utopi w tym swój grosz... Pamiętaj, Aniu, trzymaj suknię z dala od kół i włóż ciepły płaszczyk.

I Maryla powędrowała na dół, myśląc z dumą o tym, jak ślicznie Ania wygląda, i żałując, że sama nie może pojechać na ten koncert, by usłyszeć swą wychowankę deklamującą.

- Obawiam się, że w istocie jest za wilgotno dla mojej sukni - rzekła Ania trochę niespokojnie.

- Ale ani troszkę - zapewniła Diana podciągając roletę w górę. - Noc jest prześliczna i ani śladu rosy. Spójrz tylko na księżyc.

- Cieszę się, że moje okno wychodzi na wschód - rzekła Ania podchodząc ku Dianie. - Jakże to cudnie, iż codziennie mogę widzieć słońce wschodzące ponad tymi wysokimi wzgórzami i zaglądające poprzez szczyty tych smukłych jodeł! Codziennie jest ono jakieś inne, nowe i czuję, że dusza moja kąpie się w tej powodzi światła słonecznego. Ach, Dianio, ja

tak kocham ten pokój! Nie wiem doprawdy, jak się będę czuła bez niego, gdy w przyszłym miesiącu przeniosę się do miasta.

- Nie mów dziś o wyjeździe - prosiła Diana. - Czuję się tak nieszczęśliwa, gdy myślę o naszej rozłące... a dziś chcę spędzić miły wieczór. Co będziesz deklamowała, Aniu? Czy jesteś bardzo zdenerwowana?

- Ani trochę. Tak często występowałam publicznie, że nie czuję wcale niepokoju. Postanowiłam deklamować: „Ślubowanie dziewicy”. To takie wzruszające! Laura Spencer będzie zapewne recytowała coś komicznego, lecz ja zawsze wolę wzruszać niż rozśmieszać.

- A co powiesz na „bis”?

- Nie będą go żądali - zaśmiała się Ania, ale gdzieś w głębi duszy żywiła tajemną, choć bardzo nieśmiałą nadzieję, iż może jednak zażądadają „bisu”, i już wyobrażała sobie rozkosz, z jaką opowiadać o tym będzie Mateuszowi nazajutrz przy śniadaniu. - Ale oto Janka i Billy... słyszę turkot kół. Chodźmy!

Billy Andrews nalegał, by Ania koniecznie usiadła obok niego, więc, choć niechętnie, uległa jego prośbie. Wolałaby stokroć bardziej zająć miejsce z tyłu, obok dziewcząt, gdzie by mogła się śmiać i żartować, ile dusza zapagnie. Nie było mowy o śmiechu i żartach w towarzystwie Billa. Był to wysoki, tęgi, niezgrabny młodzieniec lat dwudziestu, o okrągłej, pozbawionej wyrazu twarzy, nie posiadający w najmniejszym stopniu daru rozmowy. Ale podziwiał Anię i rósł z dumy na myśl o tym, że zajedzie przed gmach hotelu z tą smukłą, strzelistą postacią obok siebie.

Jednakże Ania, zwrócona bokiem do dziewcząt, gawędziła z nimi wesoło, od czasu do czasu rzucając z grzeczności w stronę Billa jakieś pytanie, na które on, uśmiechając się i jękając, nie mógł najczęściej znaleźć na czas odpowiedzi. Ale Ania pomimo to potrafiła cieszyć się przejażdżką. Był to wieczór jakby stworzony do radości. Na gościńcu pełno było kabrioletów kierujących się ku hotelowi, a wszędzie rozlegał się i rozbrzmiewał echem srebrzysty, jasny śmiech.

Zajechawszy na miejsce, ujrzeli przed sobą hotel niby wielki snop świetlny rzucający odblaski wokoło. Panie z komitetu, urządzającego koncert, wyszły na spotkanie przybyłych. Jedna z nich zaprowadziła Anię do gotowalni artystek zapełnionej członkiniami Klubu Muzycznego w Charlottetown, pośród których Ania poczuła się nagle nieśmiała, przerażona i prowincjonalna! Suknia jej, która na facjatce wydawała się ładna i strojna, teraz robiła wrażenie prostej i skromnej... zbyt skromnej i zbyt prostej - jak pomyślała Ania - pośród tych wszystkich jedwabi i koronek co błyszczały i szeleściły wokoło niej. Jakże nędzny wydawał się jej sznurek pereł wobec brylantów pięknej, wysokiej damy stojącej obok! I jak ubogo



wyglądała jej maleńka biała różyczka w porównaniu z tymi przepyszными cieplarnianymi kwiatami, jakimi się przystroiły inne damy.

Ania zdjęła kapelusz i płaszczyk i smutna usunęła się w kącik. Gorąco życzyła sobie znaleźć się czym prędzej w swym białym pokoiku na Zielonym Wzgórzu.

Jeszcze gorzej poczuła się na estradzie wielkiej sali koncertowej, gdzie się wkrótce znalazła. Elektryczne światła kłuły ją w oczy, zapach perfum i szmer na sali oszałamiał. Pragnęłaby raczej zasiąść pośród widzów obok Diany i Janki, które zdawały się spędzać czas bardzo mile.

Ania dostała się pomiędzy jakąś otyłą damę w różowej jedwabnej toalecie a wysoką młodą pannę o ironicznym wyrazie twarzy, wystrojoną w białą koronkową suknię. Otyła dama rozglądała się od czasu do czasu wokół i poprzez lorgnon mierzyła krytycznym wzrokiem Anię, która, boleśnie dotknięta tym surowym egzaminem, omal nie krzyknęła głośno. Młoda zaś panna w białych koronkach niezbyt przyciszonym głosem mówiła swej najbliższej sąsiadce b znajdujących się na sali „niezgrabach małomiasteczkowych” i „pięknościach wiejskich” oraz przewidywała, jak dalece będą się bawić zapowiedzianymi w programie występami miejscowych artystów. Ania przyrzekła sobie nienawidzić tej białej koronkowej panny do końca życia.

Nielaskawe dla Ani losy zrzędziły, że jakaś zawodowa deklamatorka, chwilowo przebywająca w hotelu, przyrzekła swój współudział w koncercie. Była to smukła, ciemnooka osoba w prześlicznej, lśniącej, popielatej sukni, utkanej jakby z promieni księżyca, z drogocennymi kamieniami na szyi i we włosach. Miała precudnie miękki głos i niezwykłą siłę wyrazu, czym w zachwytyt wprawiła słuchaczy. Ania, zapominając o sobie i swym niepokoju sprzed chwili, słuchała pełna podziwu, roziskrzonym wzrokiem wpatrzona w deklamatorkę. Lecz gdy ta skończyła, Ania ukryła twarz w dłoniach. Nie odważyłaby się teraz wystąpić... nigdy, nigdy... Jakże mogła łudzić się kiedykolwiek, że umie deklamować? Ach, gdyby już była z powrotem na Zielonym Wzgórzu!

W tej nieszczęsnej chwili nazwisko jej zostało wywołane. Ania nie zauważyła gestu zdziwienia owej panny w koronkowej sukni, w którym widoczny był, choć go Ania nie dostrzegła, pewien wyraz uznania. Wstała i chwiejnym krokiem podążyła ku przodowi sceny. Była tak niezwykle blada, że Diana i Janka, siedząc na swych miejscach pomiędzy publiczności?, nerwowo ścisnęły się za ręce w przypiływie współczucia.

W tej chwili Ania była ofiarą nieopanowanej tremy. Jakkolwiek często deklamowała przed publicznością, nigdy nie występowała jeszcze wobec tego rodzaju słuchaczy, których widok paraliżował zupełnie jej energię. Wszystko tu było takie obce, takie bogate, takie

olśniewające... te rzędy pań w wieczorowych toaletach, te krytyczne twarze, cała ta otaczająca ją atmosfera bogactwa i odmiennej kultury. Jakież to wszystko było różne od prostych, drewnianych ławek w ich Klubie Dyskusyjnym, gdzie roiło się od dobrze znanych, serdecznych twarzy sąsiadów i przyjaciół. „Ci ludzie - myślała Ania - będą bezlitośnie krytyczni. Być może na równi z ową panną w koronkowej sukni pragną uprzyjemnić sobie wieczór drwinami z »wiejskich« wysiłków i dobrych chęci”. Poczuli się taka nieszczęśliwa, taka beznadziejnie opuszczona i zawstydzona! Kolana jej drżały, serce tłukło się w piersiach i opanowało ją niezwykle jakieś osłabienie. Nie potrafiła wymówić ani jednego wyrazu i była gotowa uciec z estrady pomimo upokorzenia, jakie, czuła, stałoby się na zawsze jej udziałem, gdyby tak postąpiła.

Wtem nagle, gdy jej szeroko otwarte, pełne lęku oczy ślizgały się po widzach, spostrzegła Gilberta Blythe gdzieś w głębi sali, pochylonego naprzód z uśmiechem na twarzy - z uśmiechem, który wydał się Ani jednocześnie uśmiechem triumfu i szyderstwa. W rzeczywistości jednak nie był wcale taki. Gilbert uśmiechał się z zadowolenia, bo wszystko to mu się podobało, szczególnie zaś miłe wrażenie sprawiła na nim wiotka postać Ani i jej uduchowiona twarzyczka na tle zielonych palm. Józia Pye, której Gilbert towarzyszył, siedziała obok niego, a jej spojrzenie było istotnie triumfujące i szydercze. Lecz Ania nie widziała Józii i nie zwróciła na nią uwagi, gdyby ją nawet spostrzegła. Westchnęła głęboko, dumnie odrzuciła głowę, czując nagle przypływ pewności siebie i odwagi, ostry niby prąd elektryczny. Nie zblamuje się wobec Gilberta Blythe... nie pozwoli, by szydził z niej, nigdy, nigdy! Lęk i niepewność opuściły ją w mgnieniu oka. Zaczęła deklamować, a jej jasny, słodki głos docierał do najbardziej oddalonych kątów sali, dochodził tam bez najlżejszego drżenia lub załamania. Odzyskała w zupełności pewność siebie, a silna reakcja po krótkotrwałym osłabieniu woli sprawiła, iż deklamowała tak pięknie, jak nigdy przedtem. Gdy skończyła, w sali rozległ się grzmot oklasków. Powróciwszy na swoje miejsce, Ania, zarumieniona z radości i onieśmienia, poczuła mocny uścisk dłoni otyłej pani w różowych jedwabkach.

- Prześlicznie mówiłaś - chwaliła serdecznie. - Płakałam jak dziecko, naprawdę płakałam. Ale wołają... żądają „bisu”.

- O, nie mogę - rzekła Ania zmieszana. - Jednak... muszę pójść, bo Mateusz byłby rozczarowany. Twierdził, że będą wołali o „bis”.

- Nie należy sprawiać rozczarowania Mateuszowi - rzekła pani wesoło, darząc Anię życzliwym spojrzeniem.

Uśmiechnięta, zarumieniona, z rozpromienionym wzrokiem, Ania ponownie stanęła na estradzie i wypowiedziała oryginalny i wesoły monolog, który się niezmiernie spodobał publiczności.

Reszta wieczoru była triumfem Ani.

Po skończonym koncercie owa tęga pani - wdowa po jakimś amerykańskim milionerze - zaopiekowała się Anią i przedstawiła ją wielu znajomym, a każdy z nich był dla niej bardzo uprzejmy. I znakomita artystka, pani Evans, rozmawiała z nią długo i orzekła, że Ania ma piękny głos i świetnie interpretuje deklamowane utwory. Nawet owa panna w białej koronkowej sukni obdarzyła ją jakimś komplementem.

Kolację podano w olbrzymiej, pięknie przybranej sali jadalnej. Diana i Janka, jako towarzyszące Ani, były także zaproszone do stołu; tylko Billy znikł gdzieś, ukrywając się w śmiertelnej obawie przed takim zaszczytem. Zastały go jednak czekającego przy kabriolecie, gdy szczęśliwe i wesołe opuściły hotel. Noc była cicha, biała, księżycowa. Ania westchnęła i zapatrzyła się w jasne obłoki poza ciemnymi wierzchołkami jodeł.

Ach, jakże przyjemnie było zatopić się w ciszy tej czystej, balsamicznej nocy! Jakież wspaniałe, wielkie i spokojne było wszystko dookoła! I ten cichy szmer morza, i te ciemne skały niby srogie olbrzymy strzegące zaczarowanych skarbów.

- Czyż nie był to cudowny wieczór? - westchnęła Janka, kiedy ruszyli z miejsca. - Chciałabym być bogatą Amerykanką, móc mieszkać latem w eleganckim hotelu, mieć na sobie piękne klejnoty i mocno wycięte suknie, zajadać lody śmietankowe i kurczęta z sałata nawet w dni powszednie. Jestem pewna, że byłoby to o wiele przyjemniejsze niż uczyć dzieci. Aniu, deklamowałaś bosko! Choć w pierwszej chwili lękałam się, że nie zaczniesz wcale! Zdaje mi się, że mówiłaś ładniej niż pani Evans.

- Ależ, nie! Nie mów tak, Janko - rzekła żywo Ania. - Brzmi to niedorzecznie! Nie mogłam deklamować lepiej od pani Evans, bo ona jest zawodową artystką, ja zaś tylko uczennicą, nieco bardziej uzdolnioną w tym kierunku. Jestem zupełnie zadowolona, jeśli słuchacze uważali, że mówiłam ładnie.

- Muszę ci powtórzyć pewien komplement, Aniu - odezwała się Diana, - Przynajmniej myślę, że to komplement, sądząc z tonu, jakim był wypowiedziany. Obok mnie i Janki siedział jakiś Amerykanin... taki o romantycznym wyglądzie, o czarnych jak węgiel włosach i oczach. Józia Pye mówi, że jest to bardzo znany malarz i że kuzynka jej matki w Bostonie jest żoną jego szkolnego kolegi. Prawda, Janko, słyszałaś, jak mówił: „Któż to jest to dziewczę na estradzie z takimi wspaniałymi tycjanowskimi włosami? Twarzyczkę tę pragnąłbym malować”. Oto masz, Aniu. Ale co to znaczy włosy tycjanowskie?

- Przetłumaczone na nasz język znaczą po prostu rude - roześmiała się Ania. - Tycjan był to sławny malarz, który lubił malować rude kobiety.

- Czyście widziały te wszystkie brylanty, którymi te panie były przystrojone? - westchnęła Janka. - Po prostu olśniewające! A wy, dziewczęta, nie chciałybyście być bogate?

- Jesteśmy bogate! - rzekła Ania stanowczo. - Mamy lat szesnaście i całe życie przed sobą, jesteśmy szczęśliwe jak królowe i wszystkie mamy mniej lub bardziej bogatą wyobraźnię. Spójrzcie na to morze, dziewczęta!... Samo srebro, cienie i cudne, fantastyczne blaski... Nie potrafiłybyśmy więcej napawać się jego pięknem, gdybyśmy posiadały miliony dolarów i naszyjniki z brylantów. Nie chciałybyście z pewnością zamienić się z żadną z tych kobiet, gdybyście mogły to uczynić. Czy chciałaby na przykład która z was zostać tą panną w białych koronkach z kwaśną miną przez całe życie, lalką, która nie potrafi radować się czymkolwiek z całej duszy? Albo tą panią w różowych jedwabiach, miłą i dobrą prawdopodobnie, lecz tak otyłą i przysadzistą, że wygląda jak kloc? Albo panią Evans z takim smutnym wyrazem oczu? Musi być strasznie nieszczęśliwa, jeśli patrzy w ten sposób. Wiesz dobrze, Janko, że nie zamieniłabyś się z żadną z nich.

- Nie wiem... w istocie - rzekła Janka niezdecydowanym tonem. - Sądzę, że brylanty jednak potrafią zagłuszyć wiele zmartwień.

- A ja jednak nie chciałabym być nikim innym, tylko sobą, nawet gdybym przez całe życie miała dźwigać moje troski bez możliwości pocieszania się brylantami - oświadczyła Ania.

- Jestem zupełnie zadowolona z tego, że jestem Anią z Zielonego Wzgórza, i wystarcza mi sznurek moich pereł. Wiem, że Mateusz dał mi wraz z nimi tyle miłości, ile nigdy nie otrzymała jej wysokość, pani w różowych jedwabiach, przystrojona kosztownościami.

## XXXIV. SEMINARZYSTKA

Podczas tych ostatnich trzech tygodni wrzała robota na Zielonym Wzgórzu. Czyniono przygotowania związane z wyjazdem Ani do seminarium. Wiele spraw należało jeszcze omówić i załatwić, dużo szycia wykończyć. Tak zwana wyprawa Ani była ładna i dostatnia; Mateusz dbał o to, a Maryla tym razem nie oponowała, gdy udawał się po zakupy do miasta. Co więcej... pewnego wieczora sama zjawiła się w pokoiku na facjatce, przynosząc śliczny, bladozielony materiał.

- Aniu, oto coś odpowiedniego na lekką sukienkę dla ciebie. Nie zdaje mi się, co prawda, aby ci była koniecznie potrzebna. Masz dość ładnych bluzek! Ale pomyślałam sobie, że może pragnęłabyś mieć strojną sukienkę, w razie zaproszenia na jakiś większy wieczorek, na liczniejsze zebranie lub coś podobnego. Słyszałam, że Janka, Ruby i Józia dostały „wieczorowe suknie” - tak je nazywają - a nie chcę, byś ty była gorsza. Prosiłam panią Allan, będąc w zeszłym tygodniu w mieście, aby mi pomogła wybrać odpowiedni materiał, i zamierzam oddać tę suknię do uszycia Emilii Gillis. Ma ona bardzo wiele gustu, a co do kroju nie ma sobie równej.

- O Marylo, jakie to prześliczne! - zawołała Ania. - Dziękuję, dziękuję bardzo! Nie spodziewałam się wcale tyle dobroci... To jeszcze cięższym czyni mi wyjazd z domu.

Zielona sukienka została wykończona tyłu falbankami, zakładkami i marszczeniami, na ile tylko dobry gust pani Emilii pozwolił. Chcąc sprawić przyjemność Maryli i Mateuszowi Ania wystroiła się w nią któregoś wieczora i zadeklamowała w kuchni w ich obecności „Ślubowanie dziewicy”. Maryla, spoglądając na jasną, ożywioną twarzyczkę i zręczne ruchy dziewczęcia, powróciła myślą do owego wieczora, kiedy Ania przybyła na Zielone Wzgórze. Stał jak żywy w jej pamięci obraz tego nieszczęśliwego, wylęknionego dziecka w wyrośniętej, żółto-brunatnej, brzydkiej sukience, z rozpaczą w oczach pełnych łez. Wspomnienie to sprawiło, że łzy napłynęły do oczu Maryli.

- Ach, czy być może? Wszak' moją deklamacją wycisnęłam łzy z oczu Maryli! - zawołała Ania wesoło, schylając się nad swą opiekunką, by ucałować jej policzki. - Oto jest największy mój triumf.

- Nie, nie płakałam ze wzruszenia z powodu twojej deklamacji - rzekła Maryla, która nie chciała być posądzona o wrażliwość na „poetyczne bzdurstwa”. - Przypomniałam sobie właśnie tę dziewczynkę, którą tu po raz pierwszy ujrzałam, i na chwilę zapragnęłam, abys

była na zawsze pozostała tym dzieckiem, bodaj nawet z jego oryginalnymi pomysłami. Tymczasem wyrosłaś i pójdziesz w świat... jesteś taka duża i... taka inna w tej sukni... jak gdybyś nie należała wcale do Avonlea... i to właśnie rozczuliło mnie tak bardzo.

- Marylo - Ania przysiadła u kolan Maryli, na rąbku jej prostej, taniej sukni, w obie ręce ujęła pomarszczoną twarz swej opiekunki i poważnie a czule spojrzała jej w oczy. - Ja się ani trochę nie zmieniłam... w rzeczywistości. Ja tylko jak drzewo wyrosłam i puściłam gałęzie. Moje istotne ja... tutaj w głębi... pozostało to samo. I takim pozostanie, gdziekolwiek się udam i jakkolwiek się zmienię powierzchownie. W duszy pozostanę zawsze waszą małą Anią, która będzie coraz więcej, z każdym dniem więcej kochała Marylę, Mateusza i drogie Zielone Wzgórze.

Ania przytuliła swój świeży, młody policzek do twarzy Maryli i wyciągnęła dłoń, by pogłaskać ramię siedzącego obok Mateusza.

W tej chwili Maryla ofiarowałaby wiele za umiejętność wypowiedziania, wzorem Ani, swych uczuć. Lecz natura i przyzwyczajenie zrzędziły inaczej; zdobyła się jedynie na to, by objąć ramieniem swą ukochaną wychowankę i przycisnąć ją mocno do serca, życząc sobie, by jej nigdy w życiu nie utraciła.

Mateusza oczy jakoś podejrzanie zwilgotniały... wstał z miejsca i wyszedł. Pod szafirowym, osypanym gwiazdami letnim niebem przechadzał się wzruszony po topolowej alei.

- Uważam, że nie zepsuliśmy tego dziecka - szeptał z dumą. - I moje wtrącanie się od czasu do czasu do jej wychowania nie wyrządziło wiele złego. Jest smukła i ładna, a przy tym taka kochająca i dobra, co jest najważniejsze. Dla nas stała się istnym błogosławieństwem i nie było szczęśliwszej pomyłki niż ta, którą w swoim czasie popełniła pani Spencer. Nie uważam nawet, aby właściwie była to pomyłka. Opatrzność zesłała nam Anię, uznając, że jest nam potrzebna.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu Ani do miasta. W piękny wrześnieowy poranek wyruszyła z domu wraz z Mateuszem, pożegnawszy się pośród potoku łez z Dianą, z Marylą zaś w sposób nieco mniej łzawy i wylewny - w każdym razie oczy Maryli były suche.

Lecz po wyjeździe Ani Diana otarła łzy i udała się ze swymi kuzynkami z Carmody na wycieczkę do Białych Piasków, gdzie się bardzo wesoło bawiła, gdy tymczasem Maryla z rozpaczliwą energią zabrała się do wykonywania najrozmaitszych, zupełnie zbytecznych robót, aby tylko zabić nurtujący ją serdeczny ból - ból, który pali i gryzie i nie daje się zmyć łatwymi łzami. Dopiero kiedy wieczorem udała się na spoczynek z bolesnym i ciężkim przeświadczeniem, że małego pokoiku na facjatce nie rozjaśnia młode życie ani nie

rozgrzewa miarowy, spokojny oddech, ukryła twarz w poduszkę i płakała z tęsknoty za swym dziewczęciem. Szlochała serdecznie, aż opanowawszy się wreszcie, sama czyniła sobie wyrzuty, że niesłusznie tak się zamartwia o jedną ludzką istotę.

Ania i wszyscy inni uczniowie z Avonlea przybyli do miasta w sam czas, by zdążyć jeszcze do seminarium. Pierwszy dzień minął dość przyjemnie w wesołym pośpiechu i w wirze nowych wrażeń. Spotykano nowych kolegów, poznawano bodaj z powierzchowności profesorów, dobierano i organizowano klasy. Ania postanowiła, idąc za radą panny Stacy, zacząć od razu od wyższego kursu. Gilbert Blythe uczynił tak samo. Znaczyło to uzyskać dyplom nauczycielski pierwszej klasy już po roku zamiast po dwóch, ale wymagało też o wiele większej pracy. Janka, Ruby, Józia, Karol i Moody Spurgeon, nie niepokojeni wyższymi ambicjami, zadowolili się nauczycielskim świadectwem drugiej klasy.

Ania doznała niezwykłego uczucia osamotnienia znalazłszy się w sali pośród pięćdziesięciu kolegów i koleżanek, samych nieznajomych, prócz tego wysokiego, ciemnego bruneta w rogu, pode drzwiami. Zresztą ta znajomość, w warunkach, w jakich istniała, niewiele była warta - zauważyła pesymistycznie. Pomimo to Ania ucieszyła się niezmiernie, że będą razem z Gilbertem na tym samym kursie. Dawne współzawodnictwo będzie mogło i tutaj istnieć nadal, a Ania wiedziała, jak w takim razie należało pracować.

„Nie czułabym się dobrze, gdyby mi zabrakło tego bodźca - pomyślała. - Gilbert wygląda na zdecydowanego. Przypuszczam, że w duszy postanowił zdobyć złoty medal. Jaki on ma wspaniały podbródek, nigdy dotąd nie zauważyłam tego. Żałuję, że Janka i Ruby nie są na tym samym roku, co ja, nie czułabym się tak bardzo osamotniona. Ciekawa też jestem, która z tych dziewcząt zostanie moją przyjaciółką? Co prawda, przyrzekłam Dianie, że żadna z seminarzystek, nawet najsympatyczniejsza, nie będzie mi nigdy tak droga, jak ona. Ale wolno mi wszakże mieć przyjaciółki drugiego rzędu! Podoba mi się ta dziewczyna o ciemnych oczach w bluzce wiśniowego koloru; musi być żywego usposobienia. Taka rumiana! A ta blada, jasna, co wygląda oknem! Jakie ma cudne włosy! Z pewnością jest marzycielką. Chciałabym je poznać obie, zbliżyć się do nich... Tak aby przechadzać się z nimi, obejmując się w pół, i mówić do siebie zdrobniałymi imionami. Tymczasem jednak nie znam ich, one mnie nie znają i prawdopodobnie nieciekawe są wcale mnie poznać. Ach, jakie to przykre!”

Jeszcze smutniej zrobiło się Ani, kiedy o zmierzchu znalazła się sama jedna w swym pokoiku. Nie mieszkała tak jak inne dziewczęta u swoich krewnych. Panna Józefina Barry byłaby ją chętnie u siebie pomieściła, lecz Beechwood było tak bardzo oddalone od

seminarium, że nie mogło być o tym mowy. Wobec tego panna Barry wyszukała jakiś pensjonat, który, jak zapewniła Marylę i Mateusza, był odpowiednim miejscem dla Ani.

- Osoba, która go prowadzi, jest to zubożała dama - wyjaśniła panna Barry. - Mąż jej był oficerem angielskim. Jest niezmiernie wybredna w doborze swych pensjonariuszy. Ania nie spotka pod jej dachem nikogo nieodpowiedniego. Odżywianie młodzieży jest tam bardzo dobre, a dom znajduje się w pobliżu seminarium, w spokojnej okolicy.

Wszystko to mogło być zupełną prawdą i okazało się nią istotnie, lecz niewiele pomogło Ani, gdy ją w pierwszej chwili opanowała tęsknota.

Smutnie rozglądała się po swym ciasnym, małym pokoju o ponurych tapetach, bez najmniejszego obrazka, z wąskim, żelaznym łóżkiem i pustą szafą do książek. Wzruszenie ścisnęło jej krtań, gdy przypomniała sobie swój biały pokój na Zielonym Wzgórzu, wspaniałą zieloność wokoło, miłą woń pachnącego groszku pod oknami, światło księżycy nad sadem, potok za wzgórzem i korony sosen, cicho szumiące od nocnego wiatru, rozległe, gwiazdziste niebiosa i światełko z okna Diany, przezierające poprzez szczeliny drzew. Tutaj nie było ani śladu tego wszystkiego. Ania wiedziała, iż poza jej oknem ciągnie się brukowana ulica, sieć drutów telefonicznych zasłania niebo, że odgłosy obcych kroków rozlegają się na chodnikach i tysiące świateł padają na obce jej twarze. Poczwała, że jest bliska płaczu, i zaczęła z nim walczyć.

- Nie chcę płakać. Jest to dziecinne... i głupie... a oto już trzecia łza stacza mi się po twarzy. I jeszcze kilka! Muszę pomyśleć o czymś przyjemnym, aby je powstrzymać. Jednakże wszystko przyjemne ma związek z Avonlea, a to jeszcze pogarsza... cztery... pięć... pojedę do domu w przyszły piątek, ale to jest jakby za sto lat. Teraz Mateusz niedługo powróci do domu... Maryla stoi przy furtce i wygląda jego nadejścia... sześć... siedem... osiem... ach, nie ma wcale sensu ich liczyć! Teraz płyną całym strumieniem. Nie mogę być wesoła... Nie chcę być wesoła! Lepiej się wypłakać!

I potok łez byłby niewątpliwie popłynął, gdyby w tejże chwili nie ukazała się Józia Pye. Ucieszona widokiem znajomej twarzy, Ania zapomniała na razie, iż nie było między nimi wielkiej przyjaźni. Jako część Avonlea, Józia Pye była w tej chwili miłym gościem.

- Cieszę się bardzo, żeś wstąpiła do mnie - rzekła Ania szczerze.

- Bczwałaś! - zauważyła Józia z przesadną litością. - Przypuszczam, że tęsknisz za swoimi... niektórzy pod tym względem nie umieją panować nad sobą. Co do mnie, mogę cię zapewnić, że nie mam zamiaru tęsknić za domem. Miasto daje o wiele więcej przyjemności niż ta stara, nudna Avonlea. Nie rozumiem, jak mogłam tam tak długo wytrzymać. Nie powinnaś płakać, Aniu! Będziesz źle wyglądała, bo zaczerwienią ci się oczy i nos, a wtedy



staniesz się już cała czerwona... Bardzo wesoło spędziliśmy dziś dzień w seminarium. Nasz profesor francuskiego to istna kaczka. Wąsy ma, ot, takie... Czy masz coś do przegryzienia, Aniu? Umieram z głodu. O, wyobrażam sobie, jak cię Maryla obładowała ciastkami. Po to przysłałam tu właśnie. Inaczej byłabym poszła do ogrodu z Frankiem Stockley posłuchać muzyki. Mieszka w tym samym pensjonacie co i ja, a jest szalenie wesoły. Zauważył dziś ciebie i spytał mnie, kto jest ta rudowłosa dziewczyna. Powiedziałam mu, że jesteś sierotą przygarniętą przez Cuthbertów i nikt nie wie nic bliższego o tobie.

Ania zaczęła się już zastanawiać nad tym, czy samotność i łzy nie są jednak lepsze od towarzystwa Józii Pye, kiedy ukazała się Janka i Ruby, każda z nich z godłem seminarium w postaci kokardki z purpurowej wstążki, dumnie przypiętej do sukni. Wobec tego, że Józia chwilowo „nie rozmawiała” z Janką, zamilkła na ich widok i na chwilę stała się nieszkodliwa.

- Ach - rzekła Janka z westchnieniem - wydaje mi się, że od dziś rana przeżyłam już wiele miesięcy. Powinna bym w tej chwili siedzieć w domu i kuć mego Wergiliusza\*... Ten wstrętny stary profesor kazał nam przygotować na jutro dwadzieścia wierszy. Ale nie mogłam dziś usiedzieć nad książką. Aniu, zdaje mi się, że widzę ślady łez na” twojej twarzy. Jeśli płakałaś, nie ukrywaj tego, proszę cię bardzo. To mi powróci szacunek dla samej siebie, bo też zalewałam się łzami, zanim Ruby przysłała mnie pocieszyć. Nie jest mi tak przykro, że jestem gąską, jeśli i ktoś inny jest nią także. Co to, ciasto? Daj mi ździebełko, dobrze?... Dziękuję ci bardzo... Ach, pachnie Avonlea!

Ruby, spostrzegłszy na stole plan studiów seminaryjnych, zapragnęła się dowiedzieć, czy Ania będzie się ubiegała o złoty medal.

Ania zarumieniła się i przyznała, że myśli o tym.

- Ale, ale, czy wiecie - wtrąciła Józia - że seminarium otrzyma jedno ze stypendiów Avery’ego... Dziś właśnie nadeszło zawiadomienie. Frank Stockley mówił mi o tym... wuj jego zasiada w Radzie Akademickiej, słyszałyście pewnie! Jutro wywieszą zawiadomienie w seminarium.

Stypendium Avery’ego! Ania uczuła, że serce jej mocniej zabiło, a horyzonty jej ambicji rozszerzyły się nagle i wyolbrzymiały. Zanim Józia opowiedziała tę nowinę, najwyższym szczytem ambicji Ani był dyplom nauczycielski pierwszej klasy, a może i medal! A teraz w jednej chwili wyobraziła sobie, jak zdobywszy stypendium Avery’ego, otrzyma prawo do czteroletnich wyższych studiów w Redmond College, i myślą tą pieściła się jeszcze długą chwilę potem, kiedy ucichło echo słów Józii. Stypendium Avery’ego bowiem

---

\* Wergiliusz (Vergilius Publius Maro, r. 70-19 p.n.e.) - słynny rzymski poeta, autor „Eneidy”, rzymskiej epepei narodowej.

przyznawano za język angielski, a Ania czuła, iż pod tym względem może sprostać największym wymaganiom.

Pewien bogaty przemysłowiec w Nowym Brunswiku, umierając, w testamencie swym polecił część swego majątku użyć na utworzenie wielkiej ilości stypendiów i ofiarował je różnym wyższym szkołom i seminariom tej prowincji. Długo rozważano, czy przyznać stypendium seminarium w Carmody, lecz wreszcie zapadło postanowienie przychylne. Absolwent, który w końcu roku wykaże największe postępy w języku i literaturze angielskiej, otrzyma stypendium wynoszące dwieście pięćdziesiąt dolarów rocznie, obejmujące cały okres czteroletnich studiów w Redmond College. Nic dziwnego, że Ania tego wieczoru udała się na spoczynek z pałającymi policzkami.

- Jeśli to będzie zależne od usilnej pracy, zdobędę stypendium - postanowiła. - Czy Mateusz nie będzie dumny ze mnie, jeśli otrzymam tytuł magistra? Ach, jak to jest przyjemnie mieć wyższe dążenia! Jakże się cieszę, że mam ich tyle! A najlepsze jest to, że się nigdy nie kończą. Zaledwie osiągnęłaś jeden cel, już inny, wyższy jeszcze, ukazuje ci się w dali... I to właśnie czyni życie tak miłym!

## XXXV.

### ZIMA W SEMINARIUM

Tęsknota Ani za Avonlea osłabła dzięki temu, że każdą sobotę i niedzielę spędzała w swoim ukochanym domu. Dopóki trwała piękna pogoda, studenci z Carmody stale w piątki wieczorem jeździli do Avonlea nową koleją. Diana i kilkoro z młodzieży avonlejskiej oczekiwali ich na dworcu i wszyscy razem wesołą gromadką powracali do swoich. Ania uważała te wieczorne przechadzki piątkowe poprzez zabarwione jesienią wzgórza, na świeżym powietrzu, przy migających z dala światłach domów avonlejskich, za najmiłsze i najcenniejsze godziny z całego tygodnia.

Gilbert Blythe prawie zawsze towarzyszył Ruby i niósł jej torbę podróżną. Ruby wyrosła na bardzo ładne dziewczę i uważała się za zupełnie dorosłą, jaką też w istocie była. Suknię nosiła tak długą, na jaką tylko matka jej zezwalała, a w mieście upinała włosy wysoko, chociaż w domu musiała mieć warkocze spuszczone. Miała wielkie, jasnoblękitne oczy, prześliczną cerę i zręczną, choć pulchną postać. Śmiała się bardzo dużo, była wesoła, zawsze w dobrym humorze i cieszyła się każdą radosną chwilą w życiu.

- Jednakże nigdy nie przypuszczałam, aby Gilbert mógł sobie upodobać ten rodzaj urody - szepnęła Janka do Ani.

Ania była też tego zdania, lecz nie wygłosiłaby go za nic na świecie, nawet za cenę stypendium Avery'ego. Nie mogła zataić przed sobą, że przyjemnie byłoby z takim przyjacielem jak Gilbert gawędzić, prowadzić spory, rozprawiać o książkach, o nauce i celach życia. Gilbert miał cel przed sobą, wiedziała o tym dobrze, a przecież Ruby nie była osobą, z którą można by poważnie dyskutować na te tematy.

W stosunku Ani do Gilberta nie było ani żdźbła głupiego sentymentalizmu. Myśląc o chłopcach, jeśli w ogóle o nich myślała, widziała w nich jedynie ewentualnych dobrych kolegów. Gdyby oboje z Gilbertem byli przyjaciółmi, bez wątpienia nie obchodziłoby jej to, ilu ma on przyjaciół lub kogo odprowadza do domu. Umiała pozyskiwać sobie przyjaźń i koleżanek obdarzających ją tym uczuciem miała bardzo wiele, lecz instynktownie czuła, że dopiero męska przyjaźń daje pełnię poczucia koleżeństwa i bardziej może rozszerzyć dotychczasowe horyzonty myśli. Ania nie potrafiłaby prawdopodobnie określić tak jasno tych swoich uczuć, wiedziała jednak, że jeśliby Gilbert towarzyszył jej kiedykolwiek w drodze powrotnej z pociągu poprzez rozległe pola i przez wijące się między paprociami dróżki,

mogliby prowadzić niejedną miłą i zajmującą rozmowę o tym nowym świecie, który się przed nimi roztoczył, o swych nadziejach i ambicjach.

Gilbert był to niewątpliwie zdolny, mądry chłopiec, o samodzielnych poglądach, pełen chęci zdobycia w życiu tego, co jest w nim najlepsze, i ofiarowania mu najszlachetniejszej części swej istoty. Ruby Gillis zwierzyła się Jance Andrews, że nie rozumie ani połowy tego wszystkiego, o czym jej Gilbert prawi. Potrafi on bowiem mówić tak jak Ania Shirley, gdy się nad czymś poważnie zastanawia, ona zaś, Ruby, nie widzi przyjemności w nudzeniu się poważnymi sprawami i rozprawianiu o książkach wtedy, gdy się szczęśliwie uwolniła chwilowo od nauki... Frank Stockley jest stanowczo weselszym i dowcipniejszym towarzyszem, ale nie jest ani w połowie tak przystojny jak Gilbert i dlatego nie umiałaby zdecydować, którego woli.

Tymczasem w seminarium Ania zdobyła sobie stopniowo małe kółko przyjaciół - myślących, ambitnych, podobnych do niej, obdarzonych bujną wyobraźnią studentek. Z „rumianym dziewczęciem”, Stellą Maynard, i „marzycielką” Priscillą Grant prędko zbliżyła się i zaprzyjaźniła. Priscillą - blade, o uduchowionej twarzy dziewczę - pociągnęła ją ku sobie niewyczerpaną ochotą do figłów, zabaw i rozmaitych żartów, gdy tymczasem żywa, ciemnowłosa Stella, o duszy pełnej tęsknoty i marzycielstwa, razem z nią budowała zamki na lodzie.

Po świętach Bożego Narodzenia studenci i studentki z Avonlea przerwali swe piątkowe odwiedziny w domach i zabrali się poważnie do nauki. Wszyscy seminarzyści zostali odpowiednio ocenieni na swych rocznikach, a pomiędzy poszczególnymi grupami zaczęły się pojawiać coraz wyraźniejsze różnice.

Pewne fakty zostały jednomyślnie uznane i przyjęte, jak na przykład ten, że liczba ubiegających się o medal zredukowała się do trzech osób: Gilberta Blythe, Ani Shirley i Lewisa Wilsona. Co się tyczy stypendium Avery'ego, uznano tu za ewentualnych zwycięzców sześciu studentów. Brązowy medal za matematykę przyznawano bezsprzecznie grubemu, przysadzistemu młodzieńcowi z głuchej prowincji, o wypukłym czole i w połatanej kurtce. Ruby Gillis była najpiękniejszą z tegorocznych słuchaczek seminarium. Na drugim roku palmę zwycięstwa za piękność otrzymała Stella Maynard, co prawda wobec niewielkiej, lecz bardziej krytycznej mniejszości wypowiadającej się na korzyść Ani Shirley. Ethel Marr przyznali kompetentni sędziowie najbardziej stylowe i modne uczesanie, a Janka Andrews - skromna, pracowita, sumienna Janka - zbierała laury na polu gospodarstwa domowego. Nawet Józia Pye także potrafiła zdobyć sobie sławę... niestety - najbardziej złośliwej panny pośród seminarzystek.

Można więc powiedzieć, że wychowankowie panny Stacy wybijali się również na szerszej arenie życia akademickiego.

Ania pracowała wytrwale i pilnie. Jej współzawodnictwo z Gilbertem było takie samo jak w swoim czasie w szkole w Avonlea, pomimo że na kursie nikt o tym nie wiedział. Utraciło ono jednak wiele z dawnej zaciętości. Ania nie pragnęła zwyciężyć, aby upokorzyć Gilberta, lecz kierowało nią raczej dumne pragnienie trudnego zwycięstwa nad wartościowym przeciwnikiem. Miła byłaby wygrana, lecz jeśli ją ominęła, Ania nie uważałaby już, że z tego powodu życie straci całą swą wartość.

Poza lekcjami i pracą młodzież znajdowała też wolne chwile na rozrywki. Ania spędzała niejedną godzinę w willi panny Barry, gdzie zwykle w niedzielę jadała obiady i bawiła całe popołudnie. Ciotka Józefina postarzała się, jak sama twierdziła, lecz czarne jej oczy nie straciły przenikliwości, sprawność zaś języka nie osłabła ani trochę. Nigdy jednak nie czyniła żadnych przykrych uwag Ani, bo dziewczę, tak samo jak kiedyś, było i nadal jej ulubienicą.

- Ta dziewczynka doskonali się z każdym dniem - mówiła. - Inne dziewczęta męczą mnie... są tak irytująco nudne. Ania posiada tyle barw, co tęcza, a każda z nich jest piękna. Nie jest, co prawda, obecnie tak zabawna jak wówczas, gdy była jeszcze dzieckiem, ale zniewala do kochania. A ja lubię takich ludzi, bo oszczędza mi to kłopotu zmuszania się do miłości.

Zanim się ktokolwiek spostrzegł, zjawiała się wiosna. Wokoło Avonlea przylaszczki wyjrzały spod zeschniętych traw pokrytych jeszcze cienką warstwą śniegu, a jasna zieleń ukazała się w lasach i w dolinach. Ale w Charlottetown zmęczeni seminarzyści mówili i myśleli jedynie o egzaminach.

- Nieprawdopodobne wydaje się, aby termin był taki bliski - mówiła Ania - a jednak zesza jesień jest już tak odległa... Cała zima nauki i wykładów - i nagle, ani się obejrzelśmy - egzaminy już, już w przyszłym tygodniu! Wiecie, dziewczęta, nieraz miewam chwile, gdy egzaminy są w moim pojęciu czymś bardzo ważnym, lecz kiedy widzę przed sobą te wspaniałe kasztany z nabrzmiętymi pąkami i szafirowe obłoki w górze u wylotu ulic, wtedy egzaminy tracą w moich oczach przynajmniej połowę swej doniosłości.

Janka, Ruby i Józia, które na chwilę wstąpiły do Ani, nie dzieliły tego poglądu. Dla nich przyszłe egzaminy miały zawsze bardzo duże znaczenie... były o wiele ważniejsze od pąków kasztanów lub mgieł majowych. Ania, zupełnie pewna, że zda co najmniej dobrze, mogła pozwolić sobie na takie chwile lekceważenia, ale jeśli czyjaś przyszłość zależy od

szczęśliwego trafu, jak to uważały dziewczęta, niezupełnie pewne gruntowności swej wiedzy - nie wolno tak filozoficznie spoglądać na te sprawy.

- Ubyło mi w ostatnim tygodniu siedem funtów - westchnęła Janka. - I nic nie pomogą rady, aby się nie trapić. Ja nawet chcę się trapić, to trochę pomaga. Zdaje ci się, że pracujesz, że starasz się, skoro się trapisz. Byłoby to coś-strasznego, gdybym nie dostała dyplomu po spędzeniu całej zimy w seminarium, po narażeniu rodziców na takie ogromne wydatki.

- Ja nie troszczę się bynajmniej o to wszystko - zauważyła Józia. - Jeśli nie zdobędę w tym roku dyplomu, zdam w roku przyszłym. Ojciec mój może łożyć na moją naukę. Wiesz, Aniu, Frank Stockley opowiadał, że profesor Tremaine twierdzi, że Gilbert Blythe z pewnością otrzyma medal, a Emilia Clay zdobędzie stypendium Avery'ego.

- Sprawi mi to przykrość dopiero jutro - zaśmiała się swobodnie Ania. - Ale teraz czuję dokładnie, że dopóki fiołki będą kwitły w dolinie poniżej Zielonego Wzgórza, a małe paprocie będą wychylały swe główki wzdłuż Alei Zakochanych, nie zrobi mi to wielkiej różnicy, czy otrzymam stypendium Avery'ego, czy też nie. Staralam się, jak mogłam najlepiej, i teraz zaczynani pojmować, co to znaczy „rozkosz walki”. Najpiękniej jest walczyć i zwyciężyć, ale również dobrze jest walczyć i szlachetnie przegrać... Dziewczęta, nie mówmy więcej o egzaminach! Spójrzcie na sklepienie jasnozielonych obłoków nad tymi domami i wyobraźcie sobie, jak ono musi cudnie wyglądać ponad ciemnopurpurowymi lasami buków w Avonlea!

- Jak się ubierzesz na rozdanie dyplomów, Janko? - spytała praktyczna Ruby.

Janka i Józia jednocześnie pośpieszyły z odpowiedzią i zaczęła się pogawędka o modach. Tylko Ania z łokciami wspartymi na oknie, ze swą łagodną twarzą wtuloną w obie dłonie, z oczami pełnymi obrazów, głucha na paplaninę koleżanek, spoglądała ponad dachy domów, podziwiając wspaniałe sklepienie obłoków oblanym światłem zachodzącego słońca, i snuła marzenia o przyszłości.

Całe życie należało do niej, tyle obietnic wychylających się z szeregu przyszłych lat, a każdy rok jak ponętna róża, wpleciona w nieśmiertelną girlandę.

## XXXVI.

### SŁAWA I MARZENIE

Tego ranka, gdy miały być ogłoszone ostateczne wyniki egzaminów w seminarium, Ania z Janka przechadzały się po ulicy. Janka była szczęśliwa i uśmiechnięta. Egzaminy minęły i była pewna, że zdała i otrzyma dyplom. Inne względy nie trapiły jej; nie miała wyższych ambicji, więc też nie przechodziła nigdy gorączki niepokoju. Okupujemy bowiem pewną ceną wszystko, co zdobywamy lub otrzymujemy w życiu. Zaspokojenie cennych ambicji wymaga nakładu pracy, trzeba je czasem okupić niepokojem i samozaparciem, a nawet chwilami załamania. Ania była blada i spokojna. Za mniej więcej dziesięć minut będzie już wiedziała, kto zdobył medal, a kto stypendium.

- Nie ma wątpliwości, że ty otrzymasz jedno lub drugie z tych odznaczeń - rzekła Janka, która nie mogła sobie wyobrazić, aby Rada Seminarium okazała się na tyle niesprawiedliwa, by zdecydować inaczej.

- Nie łudzę się nadzieją otrzymania stypendium - odpowiedziała Ania. - Wszyscy twierdzą, że Emilia Clay dostanie je. Ale nie pójde do tablicy ogłoszeń, aby się o tym jak najwcześniej dowiedzieć, nie mam tej moralnej odwagi. Idę do szatni dziewcząt! Ty przeczytaj ogłoszenie i przyjdź mnie zawiadomić, Janko. Ale błagam cię w imię naszej długoletniej przyjaźni, uczyn to możliwie prędko. Jeśli mi się nie powiodło, powiesz mi to otwarcie, nie starając się bynajmniej ukryć prawdy. I cokolwiek się stanie, nie pocieszaj mnie i nie żałuj. Przrzeknij mi to, Janko!

Janka uroczyście przrzekła, lecz, jak się to wkrótce okazało, obietnica ta była zbyteczna. Zaledwie bowiem weszły do seminarium, ujrzały w hallu tłum młodzieży podnoszącej na ramionach Gilberta Blythe i wołającej z całych sił:

- Niech żyje Gilbert Blythe, zdobywca medalu!

Na chwilę Ania uczuła przenikliwy ból, spowodowany rozczarowaniem i porażką. A więc przegrała. Gilbert zwyciężył! Mateusz zmartwi się niewątpliwie... taki był przekonany, że ona zwycięży!

Ale wtem!...

Ktoś krzyknął:

- Po trzykroć hura! Niech żyje panna Shirley, stypendystka Avery'ego!

- Ach, Aniu! - zawołała Janka, kiedy wśród grzmiących okrzyków przedostały się wreszcie do szatni- - Ach, Aniu, jaka ja jestem z ciebie dumna! Czyż to nie wspaniałe?!

Dziewczęta otoczyły Anię, śmiejąc się i winszując jej gorąco. Obejmowały ją za szyję i mocno ścisnęły dłonie. Całowana, rozrywana Ania zdołała jednak szepnąć Jance:

- Ach, jakże Mateusz i Maryla będą uradowani! Muszę natychmiast napisać do domu.

Wkrótce nastąpiło uroczyste rozdanie dyplomów. Ważny ten akt odbywał się w wielkiej sali zebrań w seminarium. Po wygłoszeniu mów, odczytaniu najlepszych prac i odśpiewaniu pieśni nastąpiło publiczne wręczanie dyplomów, nagród i medali.

Mateusz i Maryla byli przy tym obecni, z oczami utkwionymi w jedną osobę na estradzie... smukłą dziewczę w jasnozielonej sukience, z lekko zarumienionymi policzkami i oczyma błyszczącymi jak gwiazdy. Absolwentka ta odczytała najlepszą pracę z języka angielskiego. Wskazywano ją sobie i szeptano, że to ona zdobyła stypendium Avery'ego.

- Przynajmniej, Marylo, że jesteś zadowolona, iż ją zatrzymałaś - szepnął Mateusz, kiedy Ania skończyła czytać.

Były to jego pierwsze słowa od chwili, gdy wszedł do sali.

- Nie po raz pierwszy jestem z tego zadowolona. Już dawno powinno być to do ciebie dotrzeć, Mateuszu - odpowiedziała Maryla.

Panna Barry, siedząca za nimi, przechyliła się i parasolką dotknęła Maryli.

- Czy nie jesteście dumni ze swojej Ani? Ja jestem bardzo dumna - rzekła.

Ania powróciła tegoż wieczora do Avonlea z Mateuszem i Marylą. Nie była już w domu od kwietnia i czuła, że nie potrafi czekać dłużej na tę chwilę. Jabłonie były osypane kwiatami, a cały świat był świeży i młody. Diana oczekiwała jej na Zielonym Wzgórzu. W swym ukochanym białym pokoiku, gdzie Maryla ustawiła na oknie kwitnącą różę, Ania rozejrzała się i westchnęła z uczuciem szczęścia.

- Ach, Diano, jak dobrze jest wrócić do domu! Jaka to rozkosz widzieć znowu jodły, zarysowujące się na różowym niebie... i ten biały sad, i tę starą Królową Śniegu! Czyż nie słodki jest zapach mięty? A ta cudna róża!... Jest w niej i poezja, i nadzieja, i modlitwa. I jak dobrze być znowu z tobą, Diano!

- Sądziłam, że wolisz Stellę Maynard - rzekła Diana z wyrzutem. - Józia Pye mi to powiedziała. Twierdzi, że jesteś oczarowana Stellą.

Ania roześmiała się i zwiędłą konwalijką ze swego bukietu rzuciła w Dianę.

- Stella Maynard jest to najmilsze dziewczę pod słońcem, oprócz jednego, którym ty jesteś, Diano - rzekła. - Kocham cię więcej niż kiedykolwiek... i mam ci tyle do opowiedzenia! Ale w tej chwili uważam, że samo siedzenie tu spokojnie i patrzenie na ciebie już jest szczęściem. Jestem zmęczona... wydaje mi się, że zmęczyła mnie nauka i ambicje.



Mam zamiar spędzić jutro co najmniej dwie godziny, leżąc na trawie w sadzie, nie myśląc zgoła o niczym.

- Jakżeś ty świetnie zdała, Aniu! Przypuszczam, że teraz, gdy zdobyłaś stypendium Avery'ego, nie weźmiesz się do nauczycielstwa.

- Nie. We wrześniu wyjadę do Redmond. Czy to nie wspaniale? Przez trzy cudowne miesiące złotej swobody zgromadzę zdwojoną energię do pracy. Janka i Ruby zostaną nauczycielkami. Jak to się doskonale udało, żeśmy wszyscy otrzymali dyplomy, nawet Moody Spurgeon i Józia Pye.

- Komitet szkolny w Newbridge ofiarował już posadę nauczycielki Jance - rzekła Diana. - Gilbert Blythe także zabiera się do pracy nauczycielskiej. Musi to zrobić. Ojciec jego nie może łożyć na koszty College w przyszłym roku, więc Gilbert postanowił sam zapracować na dalsze studia. Sądzę, że jeśli panna Ames opuści naszą szkołę, on ją obejmie.

Ania doznała uczucia lekkiego rozczarowania. Nie wiedziała o tym planie. Przypuszczała, że i Gilbert uda się do Redmond. Cóż ona pocnie bez jego pobudzającego współzawodnictwa?

Czyż praca w College z wielkim celem w przyszłości nie będzie jałowa z chwilą, gdy jej nie okraśli rywalizacja z „wrogiem”?

Nazajutrz rano podczas śniadania Ania zauważyła nagle, że Mateusz jest niezwykle mizerny. Stanowczo bardzo posiwił od zeszłego roku.

- Marylo - rzekła wahającym tonem, gdy Mateusz wyszedł z pokoju. - Czy Mateusz jest zupełnie zdrow?

- Niestety, nie - odpowiedziała Maryla ze smutkiem. - Wiosną miewał kilkakrotnie poważne kłopoty z sercem, a nie chce w żaden sposób szanować się i więcej dbać o swe zdrowie. Niepokoiłam się o niego bardzo, lecz obecnie czuje się o wiele lepiej. Przyjęliśmy też dzielnego parobka, więc mam nadzieję, że Mateusz wypocznie i odzyska zdrowie. Przyjdzie to o tyle łatwiej, że ty będziesz w domu. Tyś zawsze umiała go rozweselić.

Ania przechyliła się poprzez stół i ujęła w dłonie twarz Maryli.

- I Maryla nie wygląda tak dobrze jak zwykle - rzekła. - Taki wyraz znużenia na twarzy! Obawiam się, czy też Maryla nie pracuje zbyt wiele. Teraz, dopóki ja pozostanę w domu, musicie wy, moi drodzy, wypocząć. Dzisiejszy dzień poświęcę na odwiedzenie i powitanie wszystkich drogich, miłych kątów i rozbudzenie dawnych wspomnień, potem zaś wy będziecie próżnowali, natomiast ja zabiorę się do pracy.

Maryla uśmiechnęła się serdecznie.

- Nie praca męczy mnie... to wina mojej głowy. Tak często mnie teraz boli... o tu, głęboko za oczami. Doktor Spencer już kilkakrotnie zmieniał mi szkła, ale to nie pomaga. Przy końcu czerwca przyjedzie na naszą wyspę jakiś sławny okulista i doktor namawia, bym się go poradziła. Sądzę, że tak uczynię. Nie mogę teraz ani czytać, ani szyć swobodnie. Ale tyś się dzielnie spisała w seminarium, Aniu! Muszę ci to przyznać. Zdobyć podczas jednorocznej nauki dyplom pierwszej klasy i stypendium Avery'ego to wcale nie drobnostka! Pani Linde oczywiście twierdzi, że po każdym osiągnięciu musi przyjść niepowodzenie, a poza tym nie uznaje wcale wyższego wykształcenia kobiet. Mówi, że to odciąga kobietę od jej właściwego powołania. Nie wierzę temu... Ale, ale, przypominam sobie, że Małgorzata wspomniała mi o jakichś pogłoskach dotyczących Banku Abbey, czyś ty nic o tym nie słyszała, Aniu?

- Słyszałam, że jest zachwiany - odpowiedziała Ania. - A o co chodzi?

- Właśnie Małgorzata mówiła to samo. Była u nas któregoś dnia w zeszłym tygodniu. Mateusz zmartwił się tym niezmiernie. Wszystkie bowiem nasze oszczędności, każdy cent, złożone są w tym banku. Namawiałam Mateusza, by umieścił je raczej w Kasie Oszczędności, lecz stary pan Abbey był serdecznym przyjacielem naszego ojca, który zawsze powierzał mu swój grosz. Mateusz twierdzi, że do każdego banku, gdzie pan Abbey byłby dyrektorem, można mieć ślepe zaufanie.

- Zdaje mi się, że od paru lat jest on tam tylko dyrektorem de nomine\* - rzekła Ania. - Przecież to już staruszek. Właściwie na czele instytucji stoją jego siostrzeńcy.

- Toteż kiedy Małgorzata zwróciła na to uwagę, prosiłam Mateusza, by natychmiast wycofał nasz wkład; przyrzekł, że zastanowi się nad tym. Lecz oto wczoraj pan Russel zapewnił go znowu, że nie ma żadnych obaw co do Banku Abbey.

Ania spędziła cudny dzień na łonie natury. Dnia tego nie zapomniała nigdy. Był taki jasny, piękny i złoty. Ani jedna chmurka nie rzucała cienia na przepyszne kwiaty i krzewy. Ania zabawiła kilka godzin w sadzie, udała się do Źródła Nimf Leśnych, do Doliny Fiołków i Szumu Wierzb. Zajrzała na plebanię, gdzie pogawędziła mile z panią Allan, a wreszcie przed wieczorem powędrowała z Mateuszem poprzez Aleję Zakochanych na pastwisko. Lasy kąpały się w ciepłych promieniach zachodzącego słońca. Mateusz szedł powoli, z pochyloną głową, Ania, smukła i gibka, przystosowywała do niego swe lekkie kroki.

- Za wiele dziś Mateusz pracował - rzekła tonem łagodnego wyrzutu. - Dlaczego Mateusz się tak mało oszczędza?

---

\* De nomine - z nazwy, formalnie.

- Nie pracuję zbyt dużo - odpowiedział otwierając wrota, by przepuścić krowy. - Tylko zestarzałem się, a zapominam o tym. Tak, tak, zawsze pracowałem dużo i myślę, że umrę też przy robocie.

- Gdybym była tym chłopcem, o któregoście w swoim czasie prosili panią Spencer - powiedziała Ania w zamyśleniu - mogłabym pomagać wam i wyręczać w rozmaitych sprawach. Chociażby dla tego jednego względu żałuję, że nie byłam chłopcem.

- Ja zaś, Aniu, stokroć wolę ciebie od całego tuzina chłopców - odpowiedział Mateusz gładząc jej dłoń. - Zapamiętaj sobie... od tuzina chłopców. Czy któryś z chłopców zdobył może stypendium Avery'ego, co? Zdobyła je dziewczynka... moja dziewczynka, z której jestem dumny!

Uśmiechnął się do niej swym dobrym, nieśmiałym uśmiechem.

Wspomnienie tego uśmiechu zabrała Ania do swego pokoiku, gdzie spędziła tego wieczora długie chwile u otwartego okna, myśląc nad przeszłością i marząc o przyszłości. Przed domem Królowa Śniegu rysowała się mglisto, biała w świetle księżyca. Żaby rechotały w stawie poza Sosnowym Wzgórzem. Ania zapamiętała na zawsze owo jasnosrebrne, pełne spokoju piękno i pachnącą ciszę tego wieczora.

Była to ostatnia noc przed ciężkim smutkiem, jaki miał dotknąć młodą dziewczynę. Są pewne dotknięcia losu, które kładą cień na całe ludzkie życie.

## XXXVII.

### ŻNIWIARZ, KTÓREGO IMIĘ JEST ŚMIERĆ

Mateuszu, Mateuszu... co się stało? Mateuszu... czy ci słabo? - Tak wołała Maryla, a z każdego jej drżącego słowa przebijał niepokój. Ania wchodziła właśnie do sieni, trzymając w rękach ogromny pęk białych narcyzów.

Dużo czasu potem minęło, zanim mogła znieść znowu widok i zapach tych kwiatów - od chwili gdy usłyszała przerażony głos i ujrzała Mateusza stojącego w drzwiach, z jakąś gazetą złożoną w ręce, z twarzą jakby, zeszywniałą, popielatą.

Ania rzuciła kwiaty i podbiegła ku niemu jednocześnie, z Marylą. Ale było już za późno; zanim zdolały go podeprzeć, Mateusz runął na progu.

- Zemdła! - krzyknęła Maryla. - Aniu, biegnij po Marcina... prędko, prędko! Jest w stajni.

Marcin, nowo przyjęty parobek, który właśnie powrócił z poczty, natychmiast pośpieszył po lekarza, zawiadamiając po drodze o tym, co się stało, państwa Barry'ch. Pani Linde, znajdująca się przypadkiem na Sosnowym Wzgórzu, przybiegła wraz z nimi. Zastali Anię i Marylę blade i przerażone, starające się na próżno przywrócić Mateusza do przytomności.

Pani Linde łagodnie odsunęła obie kobiety, zbadła puls i przyłożyła ucho do serca Mateusza leżącego na ziemi, po czym smutnie spojrzała na ich strwożone twarze i łzy napłynęły jej do oczu.

- Ach, Marylo - rzekła poważnie. - Nie sądzę, byśmy mogły mu jeszcze pomóc.

- Pani Linde, czy pani myśli... pani nie sądzi chyba... czy Mateusz... czy...

Ania nie mogła wymówić tego strasznego wyrazu. Pobladła, słabo jej się zrobiło.

- Tak, dziecko, obawiam się, że tak. Spójrz na jego twarz. Jeśli ktokolwiek widział ten wyraz twarzy tak często jak ja, to rozumie, co on znaczy.

Ania spojrzała na nieruchomą twarz Mateusza i dopiero teraz spostrzegła na niej znamię śmierci.

Przybyły lekarz stwierdził, że zgon nastąpił nagle, bez bólu, spowodowany zapewne jakimś silnym, gwałtownym wzruszeniem.

Tajemnica tego wzruszenia odnalazła się w dzienniku trzymanym w ręce przez Mateusza, a przywiezionym właśnie rano z poczty. Zawierał on wiadomość o bankructwie Banku Abbey.

Smutna nowina szybko obiegła Avonlea. Przyjaciele i sąsiedzi tłumnie przybywali na Zielone Wzgórze, aby okazać współczucie pozostałym i sympatię zmarłemu. Po raz pierwszy cichy, skromny Mateusz Cuthbert stał się ważną osobistością. Biały majestat śmierci pochylił się nad nim i ukoronował jego czoło.

Kiedy łagodna noc rozpostarła się ponad Zielonym Wzgórzem, stary dom Cuthbertów zaległa uroczysta cisza. W bawialni spoczywał w trumnie Mateusz Cuthbert. Długie, siwe włosy okalały jego nieruchomą twarz, łagodnie uśmiechniętą, jak gdyby spał śniąc przyjemnie. Wokoło leżały kwiaty, pachnące, staromodne kwiaty, ongi zasadzone w ogrodzie przez matkę jego, przybyłą tu jako młoda mężatka. Mateusz żywił dla nich zawsze tajemne, ciche przywiązanie. Ania zebrała je i przyniosła zmarłemu, zatapiając swe strwożone, suche oczy w jego twarzy. Była to ostatnia posługa, jaką mogła mu oddać.

Rodzina Barry'ch i pani Linde nie opuścili tej nocy Zielonego Wzgórza. Diana udała się na facjatkę, gdzie Ania stała u okna, i spytała serdecznie:

- Aniu droga, czy nie chciałabyś, abym pozostała u ciebie na noc?

- Dziękuję ci, Diano - Ania poważnym wzrokiem spojrzała na przyjaciółkę. - Sądzę, że nie zrozumiesz mnie źle, gdy ci powiem, że chcę być sama. Ja się nie boję tej samotności. Nie byłam jeszcze ani jednej chwili sama, odkąd to się stało... a pragnę być sama, zupełnie sama, w ciszy, w spokoju, i spróbować to zrozumieć. Bo dotąd nie mogę tego pojąć. Przez chwilę wydaje mi się, że Mateusz nie umarł, a potem znowu, że umarł już dawno i że ja ten straszny, ciężki ból już dawno odczuwam.

Diana nie rozumiała dokładnie. Pojmowała lepiej nieokiełznaną rozpacz Maryli, zrywającą wszelkie tamy, sztucznie stawiane przez życie i długoletnie przyzwyczajenie, niż Ani cichy ból bez łez. Lecz odeszła, czule żegnając przyjaciółkę. Ania pozostała po raz pierwszy w życiu sam na sam z tak ciężką troską.

Biedaczka sądziła, że w samotności popłyną łatwiej łzy. Straszne jej się wydawało, że nie potrafi poświęcić ani jednej łzy Mateuszowi, którego tak bardzo kochała, a który był dla niej zawsze tak nad wyraz dobry, temu Mateuszowi, który jeszcze ostatniego wieczora przechadzał się z nią po zachodzie słońca, a teraz spoczywał w mrocznym pokoju obok, z tym strasznym spokojem na czole. Ale łzy nie zjawiły się nawet i wtedy, gdy ukląkszy w ciemności u swego okna, modliła się zapatrzona w gwiazdy nad wzgórzami.. Czują tylko ten sam straszny, tępy ból, który ją gryzł i kąsał, dopóki nie usnęła wreszcie, wyczerpana zmęczeniem i przebytymi wzruszeniami.

Zbudziła się w nocy. Pośród otaczającej ją ciemności i ciszy wróciły wspomnienia przeżytego dnia nową falą smutku. Ujrzała uśmiechniętą twarz Mateusza, kiedy ostatniego

wieczoru rozstawali się przy furtce... usłyszała jego głos: „Moja dziewczynka... moja dziewczynka, z której jestem dumny”. Wtedy dopiero łyzy rzuciły jej się do oczu i Ania zapłakała.

Maryla, posłyszawszy płacz, wśliznęła się na facjatkę - pragnąc pocieszyć Anię.

- Cicho, dziecko... uspokój się... nie płacz tak, kochanie. To go nam nie wróci. Nie... nie... nie trzeba tak płakać. Ja także za bardzo płakałam, nie potrafiłam się powstrzymać. Był zawsze takim dobrym, kochającym bratem.

- Ach, pozwól mi płakać, Marylo - szlochała Ania. - Łzy nie zaszkodzą mi tyle, co ten straszny ból. Niech Maryla pozostanie tu przez chwilę ze mną... niech mnie obejmie ramieniem, ot tak... Nie chciałam, by Diana została... jest dobra i kochana,.. ale to nie jej smutek... ona jest poza nim... Diana nie może mnie pocieszyć. To jest nasz smutek... Maryli i mój. Ach, Marylo, cóż my poczniemy bez Mateusza?

- Będziemy miały siebie wzajemnie, Aniu! A cóż bym uczyniła, gdyby ciebie tu nie było, gdybyś nigdy do nas nie przybyła? Wiem dobrze, moja Aniu, że nieraz bywałam dla ciebie szorstka i surowa, ale nie sądz, że pomimo to nie kochałam ciebie tak jak Mateusz. Przyznaję się do tego, że zawsze trudno mi było wypowiedzieć, co czułam, ale w tej chwili potrafię to uczynić. Ja ciebie kocham, Aniu, tak bardzo, jak gdybyś była moim własnym dzieckiem. Od tej chwili, kiedy przybyłaś na Zielone Wzgórze, byłaś mi stale radością i pociechą.

W dwa dni potem wyniesiono Mateusza Cuthberta przez sień jego starego domu, poza pola, które uprawiał, poza sady, które ukochał, i poza drzewa, które zasadził.

Avonlea powróciła do swego zwykłego, niezamąconego spokoju i nawet na Zielonym Wzgórzu wszystkie sprawy potoczyły się dawnym trybem, robota była wykonywana z tą samą regularnością co dawniej, pomimo że wszyscy dotkliwie odczuwali bolesną pustkę, jaką sprawiła śmierć Mateusza.

Ania, która nigdy dotąd nie zaznała ciężkiego zmartwienia, smuciła się, że wszystko idzie dawnym trybem, że życie może toczyć się dalej tak samo - bez Mateusza. Czuła jakby wstyd i wyrzuty sumienia, gdy spostrzegła, że wschody słońca ponad jodłami i jasne, różowe pączki w ogrodzie wprawiały ją w dawny zachwyt, że cieszyły ją odwiedziny Diany, a jej wesola paplanina i żarty pobudzały ją do śmiechu, że - krótko mówiąc - cudny świat kwiecica, miłości i przyjaźni nie utracił nic zgoła ze swej mocy wzruszania jej, a życie wzywało ją nadal tysiącem nieprzewyciężonych głosów.

- Nieraz wydaje mi się nieuczciwością wobec Mateusza, że cieszę się tym wszystkim, kiedy jego już nie ma - zwierzała się pani Allan, gawędząc z nią pewnego wieczora w

ogrodzie na plebanii. - Brak mi go tak bardzo... bezustannie... a jednak świat i życie wydają mi się tak niezmiernie zajmujące i piękne! Dziś Diana powiedziała coś wesołego i oto roześmiałam się głośno. Kiedy się to stało, myślałam, że już nigdy śmiać się nie potrafię. I jakoś sędzę, że nie powinnam się śmiać.

- Mateusz cieszył się widząc cię wesołą, lubił twój śmiech i był zadowolony, że znajdujesz przyjemność w otaczającym cię świecie - rzekła pani Allan łagodnie. - Odszedł, ale bez wątpienia pragnął, byś się nie zmieniła. Uważam, że nie należy zamykać dusz przed kojącym wpływem natury. Ale ja rozumiem twe uczucia, Aniu. Sędzę, że wszyscy doświadczamy tego samego, t Myśl, że odczuwamy rozkosze życia, kiedy ktoś ukochany nie jest już pośród nas i nie może dzielić ich z nami, myśl ta rani nas boleśnie i często wydaje się nam, że sprzeniewierzamy się naszemu smutkowi, jeśli na nowo zaczynamy wracać do życia.

- Byłam dziś po południu na cmentarzu, aby zasadzić krzak róży na grobie Mateusza - rzekła Ania smutnie. - Zabrałam pęd z tego małego krzaka białej róży, którą matka jego przywiozła kiedyś ze swej ojczyzny, ze Szkocji. Mateusz najbardziej lubił te różyczki... takie drobne, a milutkie na swych kolczastych gałązkach. Rada byłam, że mogłam ją zasadzić na jego grobie, zdawało mi się, że czynię coś, co sprawiłoby Mateuszowi przyjemność. Ale muszę wracać do domu, Maryla jest sama i czuje się bardzo osamotniona o zmierzchu.

- Nieboraczka będzie zupełnie samotna, gdy ty wyjedziesz do College - rzekła pani Allan.

Ania nie odpowiedziała nic na tę uwagę. Pożegnawszy się z pastora, podążyła wolno ku Zielonemu Wzgórz. Maryla siedziała na stopniach przed domem i Ania usiadła obok niej. Drzwi prowadzące do mieszkania były otwarte, na podłodze za nimi leżała wielka, różowa muszla o cudnych, mieniających się odcieniach i broniła drzwi od zamknięcia.

Ania zerwała parę gałązek bladożółtego powoju i zatknęła je we włosy. Lubiła ten delikatny zapach, unoszący się wokoło niej przy każdym ruchu.

- Doktor Spencer był tutaj podczas twej nieobecności - rzekła Maryla. - Zawiadomił mnie, że ów sławny okulista będzie jutro w Carmody. Nalega, abym się do niego zwróciła, by zbadał mój wzrok. Myślę, że uczynię to wreszcie. Będę mu bardzo wdzięczna, jeśli potrafi dobrać mi odpowiednie szkła. Nie będzie ci chyba przykro pozostać samej na gospodarce? Marcin musi mnie odwiedzić, a w domu jest robota, prasowanie, pieczenie ciasta.

- Załatwię to na pewno. Diana przyjdzie dotrzymać mi towarzystwa. Zrobię wszystko starannie. Niech się Maryla nie obawia, że ukrochmalę chustkę do nosa albo że dodam kropli walerianowych do ciasta.

Maryla roześmiała się.

- Jakim trzpiotem byłaś wówczas, Aniu. Co chwila inna katastrofa! Czasem myślałam, że coś cię opętało. Czy pamiętasz ten dzień, gdyś sobie ufarbowała włosy?

- Naturalnie, że pamiętam. Nigdy go nie zapomnę - uśmiechnęła się Ania dotykając ciężkich warkoczy okalających jej kształtną główkę. - Nieraz śmiech mnie ogarnia, kiedy przypomnę sobie, ile przykrości doznałam z powodu tych moich włosów, ale nie śmieję się długo. Była to wówczas naprawdę wielka troska mego życia. Martwiłam się strasznie o moje włosy i o moje piegi. Piegi znikły w istocie, a ludzie są na tyle dobrzy, że nazywają moje włosy kasztanowatymi. Wszyscy tak mówią, z wyjątkiem Józi Pye. Wczoraj właśnie zauważyła, że obecnie są one jeszcze bardziej rude niż kiedykolwiek, chyba że to przy mojej czarnej sukni wydają się takie. Pytała mnie też, czy rudowłose osoby mogą przyzwyczać się do koloru swoich włosów. Czy Maryla wie, że porzuciłam już myśl polubienia kiedykolwiek Józi Pye? Czyniłam wszystko, co kiedyś nazwałabym bohaterskim wysiłkiem, by ją polubić, ale Józia Pye nie daje się kochać.

- Józia należy do rodziny Pye - rzekła Maryla surowo - więc nie może być miła. Przypuszczam, że ludzie jej pokroju mają także swój cel istnienia w społeczeństwie, lecz nie mogę go odgadnąć, zarówno jak nie potrafię się domyślić, po co istnieją osty. Czy Józia zostaje nauczycielką?

- Nie, wraca na przyszły rok do seminarium, tak jak Moody

Spurgeon i Karol Sloane, Janka i Ruby wezmą się do nauczycielstwa i obie mają już przyręczone posady w szkołach. Janka w Newbridge, Ruby zaś trochę dalej na zachód.

- Zdaje się, że i Gilbert Blythe będzie nauczycielem, prawda?

- Tak - krótko brzmiała odpowiedź.

- Jaki to przystojny chłopiec! - rzekła Maryla w zamyśleniu patrząc w dal. - Widziałam go przeszłej niedzieli w kościele, wydał mi się taki wysoki i męski! Zupełnie podobny do swego ojca w tym wieku. Jan Blythe był także bardzo przystojnym młodzieńcem. Przyjaźniliśmy się ze sobą. Ludzie nazywali go nawet moim narzeczonym.

Ania spojrzała ciekawie na Marylę.

- Ach, Marylo... i cóż się stało... dlaczego... jakaż przyczyna? - Posprzeczaaliśmy się ze sobą. Nie chciałam mu wybaczyć, kiedy prosił o zgodę. Miałam zamiar uczynić to później, lecz byłam zła, obrażona i na razie pragnęłam go ukarać. Nie prosił więcej. Wszyscy Blythe'owie byli bardzo dumni. Zawsze potem... smutno mi było. I zawsze żałowałam, że nie wybaczyłam mu, kiedy o to prosił.

- Więc i Maryla miała w swej młodości romantyczne przeżycia? - spytała Ania miękko.



- Tak, możesz to tak nazwać. Nie domyśliłabyś się tego patrząc na mnie, prawda? Ale nigdy nie należy sądzić ludzi według ich powierzchowności. Wszyscy już zapomnieli o historii Jana i Maryli. Ja sama zapomniałam. Lecz wspomnienia te odżyły we mnie, kiedy zeszłej niedzieli ujrzałam Gilberta Blythe.

## XXXVIII.

### ZAKRĘT NA DRODZE

Nazajutrz Maryla pojechała do miasta, gdzie spędziła cały dzień. Ania odprowadziła Dianę do domu, a wróciwszy zastała Marylę w kuchni siedzącą przy stole, z głową wspartą na rękach. Przygnębienie, malujące się na jej twarzy, przejęło lodem serce Ani. Nigdy dotąd nie widziała Maryli tak złamanej.

- Czy Maryla jest bardzo zmęczona? - spytała.

- Tak... nie... nie wiem doprawdy - odpowiedziała bezdźwięcznie zapytana, unosząc głowę. - Zapewne, że jestem trochę zmęczona, lecz nie o tym myślałam.

- Czy Maryla radziła się okulisty? I cóż on powiedział? - spytała Ania z niepokojem.

- Owszem, byłam u niego. Zbadał mój wzrok i powiedział, że jeśli wyrzeknę się najzupełniej szycia i czytania oraz wszelkiej pracy nadwężającej oczy, jeśli postaram się nie płakać i będę używać poleconych mi przez niego szkieł, to ma nadzieję, że nie zajdzie pogorszenie i wyleczę się z bólów głowy. Jeśli zaś nie posłucham go, za pół roku bezwarunkowo stracę wzrok. Będę niewidoma! Aniu, pomyśl, jakie to straszne!

Ania wydała rozpaczliwy okrzyk i zamilkła. Zdawało się jej, że nie może wykrztusić ani słowa. Ale zaraz śmiało, choć niepewnym trochę głosem, powiedziała:

- Marylo, nie należy się dręczyć taką myślą. Przecież lekarz nie odebrał nadziei. Jeśli Maryla będzie się szanowała, nigdy wzroku nie utraci. A jeżeli odpowiednie szkła potrafią w dodatku usunąć dotychczasowe bóle głowy, to wielkie szczęście!

- Nie nazywaj tego szczęściem - odpowiedziała z goryczą Maryla. - Po cóż mam żyć, jeśli nie wolno mi czytać, szyć ani też zajmować się czymkolwiek? W takim razie co za różnica: umrzeć czy oślepnąć? A jeśli chodzi o płacz, nie mogę się powstrzymać, gdy zostaję samotna. Ale nie ma o czym mówić... Będę ci, Aniu, bardzo wdzięczna, jeśli mi przygotujesz filiżankę herbaty. Jestem taka osłabiona! Tylko, proszę cię, nie wspominaj o tym wszystkim nikomu. Nie chcę, by przychodzili mnie odwiedzać, żeby mnie wypytywali i żalowali...

Kiedy Maryla zjadła wieczerzę, Ania namówiła ją, by się położyła do łóżka. Po czym sama udała się na facjatkę i w ciemnościach usiadła przy oknie, samotna ze swymi łzami i ciężarem w sercu. Jakże strasznie zmieniło się wszystko od czasu, kiedy siedziała tu wieczorem po powrocie z seminarium! Pełna była wówczas nadziei i radości, a przyszłość wydawała jej się różowa, bogata w cudne obietnice. Zdawało się jej, że całe lata minęły od tej promiennej chwili. Lecz zanim ułożyła się do spoczynku, uśmiech zakwitł na jej ustach, a

spokój zawitał do duszy. Odważnie i śmiało stawiała czoło obowiązкови i zżyła się z myślą o nim, bo obowiązek bywa przyjazny, jeżeli się od niego nie uchylamy, lecz śmiało idziemy na jego spotkanie.

W kilka dni potem Maryla powoli wracała z podwórka, gdzie rozmawiała z jakimś obcym przybyszem. Ania znała go tylko z widzenia: był to Jan Sadler z Carmody. Ania nie domyślała się treści rozmowy, lecz zdziwiła się zmianie, jaka odmalowała się na twarzy Maryli.

- Co chciał ten Sadler, Marylo? Maryla usiadła u okna i spojrzała na Anię.

Wbrew zakazowi okulisty, oczy jej były pełne łez, a głos załamywał się, gdy rzekła:

- Słyszał, że mam zamiar sprzedać Zielone Wzgórze, więc chciałby je nabyć.

- Sprzedać? Sprzedać Zielone Wzgórze? Ania nie była pewna, czy dobrze słyszała.

- Och, Maryla chyba nie zamierza sprzedać Zielonego Wzgórza?

- Nie wiem, Aniu, jak tego uniknąć. Rozmyślałam już nad tym. Gdybym miała dobry wzrok, mogłabym tu pozostać, zajmować się wszystkim, gospodarować przy pomocy dobrego parobka. Ale w obecnej sytuacji jest to niemożliwe. Mogę zupełnie utracić wzrok, a jakże wtedy będę sobie radziła? Nigdy nie wyobrażałam sobie, że dożyję dnia, w którym przyjdzie mi sprzedać nasz stary dom... Ale gospodarstwo będzie coraz bardziej upadało, aż wreszcie nikt nie zechce kupić Zielonego Wzgórza. Wszystkie nasze oszczędności przepadły w Banku Abbey, a dużo jest zobowiązań, które Mateusz miał właśnie uregulować. Pani Linde radzi mi, bym sprzedała wszystko i zamieszkała gdzieś na stałe... może u niej. Niewiele uzyskam z tej sprzedaży... gruntu jest mało, a budynki są stare. Sądzę jednak, że dla mnie wystarczy. Szczęśliwa jestem, że ty masz zabezpieczone utrzymanie dzięki stypendium, Aniu, Przykro mi tylko, że nie będziesz miała swego domu, gdzie byś spędzała wakacje, lecz sądzą, że potrafisz zaoszczędzić cokolwiek. Maryla przerwała, gorzko płacząc.

- Maryli nie wolno sprzedawać Zielonego Wzgórza - rzekła Ania stanowczo.

- Ach, Aniu, jakżebym pragnęła móc tego nie robić. Ale przecież sama widzisz! Nie mogę tu pozostać samotna. Oszaleję ze smutku i zgryzoty. I stracę wzrok... wiem, że go stracę.

- Maryla nie pozostanie tu sama. Ja tu będę. Nie pojedę do Redmond.

- Nie pojedziesz do Redmond? - Maryla odjęła dłonie od zapłakanej twarzy i spojrzała na Anię. - Co przez to rozumiesz?

- To, co mówię. Nie przyjmę stypendium. Postanowienie to powzięłam tego wieczora, kiedy Maryla wróciła z miasta. Rozmyślałam i ułożyłam plan, który zaraz wyłożę. Pan Barry zamierza w przyszłym roku wydzierżawić nasze grunty, więc Maryla nie będzie miała

kłopotu z rolą. Ja zaś obejmę posadę nauczycielki. Pragnęłam pozostać w Avonlea, ale słyszałam, że Rada Szkolna przyrzekła to miejsce Gilbertowi Blythe. Mogę jednak otrzymać posadę w Carmody... mówił mi o tym wczoraj wieczorem pan Blair. Zapewne, że to nie będzie ani tak przyjemne, ani tak wygodne, jak gdybym została w Avonlea. Mogłabym jednak mieszkać dalej tutaj, a codziennie jeździć do Carmody. Przynajmniej dopóty, dopóki pogoda będzie służyć. W zimie zaś przyjeżdżałbym do domu co piątek. Zatrzymałabym jednego konia dla siebie. O, obmyśliłam już dokładnie wszystko. Będę Maryli czytywała głośno i będę ją rozweselała. Nie możesz być smutna ani samotna! Będziemy żyły we dwie spokojnie i szczęśliwie.

- O Aniu, wiem, że byłoby mi o wiele lżej, gdybyś ty tu ze mną została. Lecz nie mogę pozwolić na takie poświęcenie dla mnie. To byłoby zbyt wiele.

- Ależ drobnostka! - Ania roześmiała się wesoło. - Nie ma w tym najmniejszego poświęcenia! Nie ma nic gorszego niż sprzedaż Zielonego Wzgórza... nic nie mogłoby boleśniej mnie dotknąć. Musimy zatrzymać nasz stary, kochany kąt. Postanowienie moje jest stanowcze, Marylo. Nie pojedę do Redmond; pozostanę tutaj i będę nauczycielką. Niechże się Maryla o mnie nie martwi!

- A twoje dążenia, twoje plany, Aniu?

- Pozostają. Zmieniłam jedynie cel moich dążeń. Chcę być dobrą nauczycielką i chcę uratować wzrok Maryli. Poza tym zamierzam kształcić się samodzielnie w domu, przejść odpowiedni kurs College. Ach, mam dziesiątki planów, Marylo! Myślałam o nich przez cały ten tydzień. Ofiaruję innym to, co posiadam najcenniejszego, i mam nadzieję, że z życia otrzymam w zamian również to, co jest w nim najlepsze. Kiedy opuszczałam seminarium, wydawało mi się, że przyszłość roztacza się przede mną jak równa, szeroka droga. Sądziłam, że potrafię sięgnąć wzrokiem daleko, wiele mil w dal. Teraz oto niespodzianie jakiś zakręt. Nie wiem, co się poza nim znajduje, ale chcę wierzyć, że tylko dobre. Zakręt ten ma w sobie coś pociągającego, Marylo. Wyobrażam sobie, że poza nim ciągnie się wspaniała zieloność, barwne światła i cienie, wiele nowych krajobrazów, wiele nowego piękna, jakieś wyżyny, wzgórze, jakieś szczyty i doliny...

- Sądzę jednak, że nie powinnam ci pozwolić na zrzeczenie się stypendium - wtrąciła Maryla.

- Nie może temu Maryla zapobiec! Mam lat szesnaście i pół, „uparta jak osioł”, jak to mi kiedyś powiedziała pani Linde - roześmiała się Ania. - Ach, Marylo, proszę nie litować się nade mną. Nie lubię litości, a w tym wypadku stanowczo nie ma do niej powodów. Cieszę się

bardzo myślą pozostania na naszym ukochanym Zielonym Wzgórzu. Nikt nie potrafi go tak kochać jak Maryla i ja, więc musimy je zatrzymać.

- Ty droga, błogosławiona dziewczynko! - rzekła Maryla nie protestując więcej. - Czuję, że wlałaś we mnie nowe życie. Wiem, że powinnam bronić się i wysłać cię do Redmond, ale wiem też, że nie zdołam tego uczynić, więc nie próbuję. Postąpisz, jak sama zechcesz, Aniu.

Kiedy po Avonlea rozeszła się wieść, że Ania porzuciła zamiar wstąpienia do College, a zostaje w domu i zajmie się nauczycielstwem, rozmaicie o tym mówiono. Większość sąsiadów,- nie wiedząc nic o zagrożonym wzroku Maryli, uważała, że Ania postępuje niemądrze. Pani Allan twierdziła inaczej. Powiedziała to Ani w tak wzruszających słowach, że dziewczęciu łzy szczęścia napłynęły do oczu. Pocziwa pani Linde podzielała zdanie pani Allan. Przyszedłszy któregoś popołudnia na Zielone Wzgórze, zastała Anię i Marylę siedzące na progu w ciepłe zachodzącego słońca. Lubiły tu przesiadywać, gdy zmrok zapadał, białe śmy latały po ogrodzie, a zapach mięty przenikał wilgotne powietrze.

Pani Linde usadowiła swą pulchną postać na kamiennej ławeczce obok drzwi, przy których rósł rząd wysokich, różowych i żółtych pnących róż. Następnie wydała głębokie westchnienie ulgi i rzekła:

- Przyznaję, że rada jestem, iż mogę wypocząć. Cały dzień byłam na nogach, a dwieście funtów wagi to nie lada ciężar dla dwóch nóg. Wielkie to szczęście nie być tęgą, Marylo. Przypuszczam, że umiesz je ocenić. Słyszałam, że Ania porzuciła myśl wyjazdu do College, cieszyłam się serdecznie tą wiadomością. Naprawdę, Aniu, zdobyłaś już tyle wykształcenia, ile wystarczy kobiecie. Nie mam zaufania do tych dziewcząt, które się udają do College dla wspólnej nauki z chłopcami i nabijają sobie głowy greką, łaciną i tymi wszystkimi niedorzecznościami.

- Ale ja, pomimo to, będę pracowała w domu nad łaciną i greką - zaśmiała się Ania. - Postanowiłam przerobić kurs College na Zielonym Wzgórzu i studiować wszystko, co by mnie tam obowiązywało.

Pani Linde podniosła ręce w górę, pełna zgrozy.

- Aniu, zamordujesz się!

- Cóż znowu! To mi tylko dobrze zrobi. Nie przepracuję się bynajmniej. Będę przecież miała tyle wolnego czasu w długie zimowe wieczory, a nie mam zamiłowania do robót ręcznych. Mam zamiar przyjąć posadę nauczycielki w Carmody, pani wie o tym, prawda?

- Nie, nic na ten temat nie słyszałam. Mówiono mi natomiast, że zostajesz w Avonlea. Rada Szkolna postanowiła powierzyć ci naszą szkołę.

- Co też pani mówi! - zawołała Ania zrywając się z miejsca. - Jak to, wszak posadę tę przyrzeczone Gilbertowi Blythe?

- Tak było w istocie. Lecz kiedy Gilbert dowiedział się, że ty przyjąłabyś chętnie tę posadę, zwrócił się do Rady Szkolnej - wczoraj wieczorem, jak wiesz, odbywało się posiedzenie w szkole - i oświadczył, że zrzeka się swej nominacji na twoją korzyść. On sam zaś przechodzi na stanowisko nauczyciela w Białych Piaskach. Prawdopodobnie zrzekł się tej posady tylko ze względu na twoje dobro, gdyż niewątpliwie domyśla się, jak bardzo pragnęłabyś pozostać z Marylą. Uważam, że postąpił bardzo szlachetnie. Powiem, że nawet do pewnego stopnia z poświęceniem, gdyż w Białych Piaskach musi opłacać pensjonat, a każdy wie, że chce on zebrać pieniądze na dalsze studia. Rada Szkolna przychyliła się do jego prośby i tobie ofiarowuje tę posadę. Ucieszyłam się niezmiernie, gdy Tomasz, po powrocie do domu, opowiedział mi o tym.

- Nie sądzę, bym powinna ją przyjąć - szepnęła Ania. - To jest... nie wiem, czy wolno mi przyjąć takie poświęcenie Gilberta... takie poświęcenie dla mnie.

- Nie możesz obecnie zapobiec temu. Podpisał już umowę z Radą Szkolną z Białych Piasków. Nie uczynisz mu więc żadnej przysługi, jeśli odmówisz. Rozumie się, że powinnaś przyjąć tę posadę. Dasz sobie doskonale radę w szkole, teraz gdy nie będzie w niej żadnego dziecka z rodziny Pye. Józia była ostatnia z nich, ale też i dobry był z niej numer. W ostatnich dwudziestu latach stale mieliśmy jedno lub kilkoro dzieci Pye'ów w szkole w Avonlea i przypuszczam, że ich misją życiową było ćwiczenie nauczycieli w cierpliwości. Prawda, Marylo? A to co takiego? Cóż tam tak migocze w pokoiku na facjatce u Barry'ch?

- Diana sygnalizuje, abym przyszła czym prędzej - roześmiała się Ania. - Pani wie, że zachowałyśmy nasze dawne zwyczaje. Proszę wybaczyć, że pobiegnę zapytać, co się stało.

Ania pomknęła przez pole koniczyny i znikła w ciemnej głębi Lasu Duchów. Pani Linde życzliwie patrzyła za nią.

- Ma jeszcze w sobie wiele z dziecka.

- Ale też i wiele z kobiety - odpowiedziała Maryla powracając nagle do swego dawnego surowego tonu.

Jednakże surowość przestała już cechować Marylę. Pani Linde tegoż wieczora zwierzyła się swemu mężowi:

- Maryla Cuthbert złagodniała. Możesz mi wierzyć.

Nazajutrz wieczorem Ania udała się na mały cmentarz Avonlea, by złożyć wiązanek świeżych kwiatów na mogile Mateusza i podlać krzak szkockiej róży. Pozostała tam aż do zmierzchu; kochała spokój i ciszę tego miejsca, szum topoli, niby miłą przyjacielską

rozmowę, i szept traw rosnących pomiędzy grobami. Gdy wreszcie wyszła z cmentarza i schodziła po wzgórzu, w którego dole leżało Jezioro Lśniących Wód, słońce już się zupełnie skryło i Avonlea roztoczyła się przed nią w sennym półmroku. Lekki powiew, płynący tu ze słodkich jak miód pól koniczyny, napełnił powietrze cudną świeżością. Spomiędzy drzew zaczęły połyskiwać światła zapalane po domach. W dole rozciągało się morze, zamglone i purpurowe, szumiąc i hucząc bezustannie. Na zachodzie niebo żarzyło się jeszcze w przepysznej symfonii barw, a staw odbijał je w spokojniejszych odcieniach. Piękno natury wzruszyło Anię i wdzięcznym sercem wchłonęła je w siebie.

- Drogi, ukochany świat! - szepnęła. - Jakże ja cię podziwiam i jakże się cieszę, że żyję wśród ciebie.

Na połowie zbocza rozległo się nagle wesole pogwizdywanie i ukazał się jakiś wysoki młodzieniec, wychodzący z furki ogrodu Blythe'ów. Był to Gilbert. Kiedy spostrzegł Anię, gwizdanie zamarło na jego wargach. Uprzejmie uchylił czapki, lecz poszedłby dalej, gdyby Ania nie zatrzymała się i nie wyciągnęła doń ręki.

- Gilbertcie - rzekła zalewając się szkarłatnym rumieńcem - chciałam ci podziękować za rzeczenie się szkoły w Avonlea na moją korzyść. Było to bardzo wspaniałomyślne... i pragnęłam ci powiedzieć, jak cenię twoją dobroć.

Gilbert szybko ujął podaną sobie dłoń.

- Nie było w tym nic niezwykłego, Aniu. Przyjemnie mi jest, że mogę ci oddać małą przysługę. Czy teraz będziemy wreszcie przyjaciółmi? Czy naprawdę przebaczasz mi mój dawny błąd?

Ania roześmiała się i na próżno starała się cofnąć swą rękę.

- Przebaczyłam ci już tamtego dnia na przystani, chociaż sama sobie tego nie uświadamiałam. Jakąż upartą gąską byłam wówczas! Od tamtej chwili... muszę się ostatecznie przyznać... żałowałam ciągle mego uporu.

- Teraz więc będziemy przyjaciółmi! - zawołał Gilbert wesole. - Stworzeni byliśmy na przyjaciół, Aniu. Tyś się dość długo opierała przeznaczeniu. Wiem, że będziemy mogli niejednokrotnie pomagać sobie wzajemnie. Masz przecież zamiar dalej się uczyć, prawda? Ja zamierzam to samo. Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

Maryla ciekawie spojrzała na Anię wchodzącą do kuchni.

- Któż to szedł z tobą ścieżką, Aniu? - spytała.

- Gilbert Blythe - odpowiedziała Ania czując, ku swemu niezadowoleniu, że się rumieni. - Spotkałam go na wzgórzu obok domu.

- Nie przypuszczałam, że Gilbert i ty przyjaźnicie się do tego stopnia, aby spędzać pół godziny na rozmowie przy furtce - rzekła Maryla z lekkim uśmiechem.

- Nie przyjaźniliśmy się... a nawet byliśmy wrogo do siebie usposobieni. Lecz oto zdecydowaliśmy, że o wiele mądrzej będzie, jeśli na przyszłość zostaniemy przyjaciółmi. Czy naprawdę rozmawialiśmy całe pół godziny? Myślałam, że najwyżej pięć minut. Ale musimy sobie powetować cztery lata straconej rozmowy.

Długo siedziała Ania tego wieczora u okna z cichą radością w duszy. Wiatr lekko kołysał gałęzie wiśni, a z ogrodu płynął ku niej zapach mięty. Gwiazdy mrugały ponad czubami jodeł w dolinie, a światło z pokoiku Diany migotało przez starą szczelinę między drzewami.

Wizja przyszłości Ani zacieśniła się nieco od tego wieczora, kiedy powróciła ona z seminarium do domu. Lecz pomimo że ścieżka ścieląca się obecnie pod jej stopami była wąska, dziewczę czuło, iż zakwitną na niej kwiaty spokojnego szczęścia. Radość, jaką stwarza gorliwa praca, słuszne dążenia i serdeczna przyjaźń, stanie się jej udziałem. Nic nie zdoła ukrócić skrzydeł jej wyobraźni ani przytłumić światła jej marzeń, a zakręt na drodze może zawsze się zdarzyć.

- Życie jest piękne! - szepnęła Ania z zachwytem.

